

CECELIA

Ahern

Dziękuję
za wspomnienia

Z angielskiego przełożyła
Joanna Grabarek


Świat Książki

Prolog

Zamknij oczy i wpatrz się w ciemność.

To była rada mojego ojca, kiedy jeszcze jako mała dziewczynka nie mogłam zasnąć. Teraz nie chciałby, żebym to zrobiła, ale i tak podążam za jego radą.

Wpatruję się w niezmierną czerń rozciągającą się poza zamknięte powieki. Chociaż leżę nieruchomo na ziemi, czuję się zawieszona w najwyższym punkcie, w jakim mogłabym się znaleźć; trzymam się gwiazdy na nocnym niebie, zwieszając nogi nad chłodną czarną nicością. Spoglądam po raz ostatni na moje palce oplatające blask i rozwieram je. Spadam, płynę, znowu opadam, czekając na lądowanie.

Już jako dziecko walczące ze snem wiedziałam, że za delikatną zasłoną powiek rozciągają się kolory. Drażnią mnie, wabia, wzywają, żebym otworzyła oczy i nie spała. Błyski czerwieni i bursztynu, żółci i bieli wypełniają ciemność. Nie daję się wciągnąć. Buntuję się i zaciskam mocniej powieki. Zablokuję ziarenka światła, zwykłe zakłócenia, które nie pozwalają nam zasnąć - znak, że życie to więcej niż tylko egzystencja ziemską.

Ale we mnie nie ma życia. Nie czuję go, leżę u stóp schodów. Serce bije mi coraz szybciej, samotny wojownik stojący na ringu, wyrzucając triumfalnie w górę dłoń odzianą w czerwona bokserką rękawicę. Odmawia poddania się.

To jedyna część mnie, która chce żyć, której kiedykolwiek na czymkolwiek zależało. Z wysiłkiem pompuje krew do całego ciała, żeby je wyleczyć, zastąpić to, co tracę. Czerwony płyn opuszcza jednak moje ciało tak szybko, jak dociera do jego granic, formując głęboki ciemny ocean wokół, tam gdzie upadłam.

Szybko, szybko, szybko. Zawsze gdzieś się spieszymy. Nigdy nie zostajemy w jednym miejscu, ciągle usiłujemy dostać się gdzie indziej. Powinnam stąd wyjść pięć minut temu, muszę tam być teraz. Telefon znowu dzwoni, doceniam ironię losu. Mogłam go odebrać teraz.

Teraz, nie wtedy.

Mogłam bez pośpiechu pokonać każdy z tych schodków. Ale zawsze gdzieś się spieszymy. Z wyjątkiem mojego serca, które zwalnia. Nie obchodzi mnie to już. Kładę dłoń na brzuchu. Jeżeli moje dziecko odeszło, a tak podejrzewam, dołączę do niego tam... tam, gdzie? Gdziekolwiek. Ono. Bezdużne słowo. Ona lub on, taki młody. Kim by się stał, nadal pozostaje pytaniem. Będę jego matką tam... gdziekolwiek.

Tam, nie tutaj.

Powiem mu: przykro mi, kochanie. Przepraszam, że zrujnowałam twoje szanse, moje szanse, nasze szanse na wspólne życie. A teraz zamknij oczka i wpatrz się w ciemność, tak jak to robi mamusia. Razem odnajdziemy drogę.

W pomieszczeniu rozlega się jakiś głos. Czuję czyjaś obecność.

- O Boże, Joyce. O Boże! Słyszysz mnie, kochanie? O Boże! O Boże! Nie, błagam, nie! Dobry Boże, tylko nie moja Joyce, nie odbieraj mi jej. Trzymaj się, kochanie, jestem tutaj. Tatuś jest przy tobie.

Nie chcę się trzymać i zamierzam mu o tym powiedzieć. Słyszę swój własny jęk, zwierzęcy, płaczący. Zdumiewa mnie i przeraża. Chcę powiedzieć tacie, że mam plan. Odejdę, bo tylko w ten sposób mogę być z moim dzieckiem.

Później, nie teraz.

Powstrzymał mnie od upadku, ale jeszcze nie wylądowałam. Zamiast tego balansują w próżni, zawieszona do czasu podjęcia decyzji. Chcę spadać dalej, ale ojciec dzwoni po karetkę i trzyma moją dłoń z taką żarliwością, jakby chciał ocalić swoje życie. Jakby miał tylko mnie. Odgarnia mi włosy z czoła i głośno płacze. Nigdy nie słyszałam, jak płakał, nawet gdy umarła mama. Ścisną moją dłoń z siłą, której nie spodziewałam się w jego starczym ciele. Przypominam sobie, że ma tylko mnie i że znowu, tak jak kiedyś, jest dla mnie całym światem. Krew nadal płynie przez moje ciało. Szybko, szybko, szybko. Zawsze się gdzieś spieszymy. Może znów to robię. Może jeszcze nie czas, żebym odeszła.

Czuję stwardniałą skórę starych dłoni na moich palcach. Intensywność uścisku i znajomy dźwięk głosu zmuszają mnie do otwarcia oczu. Wypełnia je światło i dostrzegam twarz taty. Widok, którego nigdy więcej nie chcę zobaczyć. Kurczowo uchwycony swojego dziecka. Wiem, że straciłam swoje, i nie mogę mu pozwolić na utratę jego. Podejmuję decyzję i wypełnia mnie ból i smutek. Wylądowałam. A moje serce nadal bije.

Nawet złamane, nie przestaje pracować.

MIESIĄC WCZEŚNIEJ

1

- Transfuzja krwi - oznajmia doktor Fields z podium w sali wykładowej wydziału sztuk pięknych Trinity College. - Jest to proces przetaczania krwi lub produktów krwiopochodnych jednej osoby do układu krążenia drugiej. Transfuzje krwi mogą być sposobem na niektóre problemy medyczne, jak na przykład duża utrata krwi w następstwie traumy, operacja, szok oraz w przypadkach, w których zawodzi mechanizm produkcji czerwonych krwinek. Kilka faktów: każdego tygodnia w Irlandii potrzeba trzech tysięcy dawców. Tylko trzy procent populacji liczącej niemal cztery miliony oddaje krew. Ocenia się, że w którymś momencie życia jedna osoba na cztery będzie potrzebowała transfuzji. Rozejrzyjcie się teraz wokół.

Pięćset głów obraca się na wszystkie strony. Zmieszane chichoty przerywają ciszę.

Doktor Fields podnosi głos, przekrzykując nagły hałas.

- Przynajmniej sto pięćdziesiąt osób w tym pokoju będzie kiedyś potrzebowało krwi.

To ich ucisza. W górze pojawia się dłoń.

- Tak?

- Ile krwi potrzebuje jeden pacjent?

- Jak długa jest struna, kretynie? - rzuca ktoś z tyłu.

W głowę młodego ciekawego studenta uderza papierowa kula.

- To bardzo dobre pytanie. - Doktor Fields spogląda surowo na spowitą półmrokiem salę. Nie widzi studentów, oślepią światłem projektora. - Kto je zadał?

- Dover - wykrzykuje ktoś z innego kąta auli.

- Jestem pewna, że pan Dover potrafi odpowiadać samodzielnie. Jak ma pan na imię?

- Ben - odpowiada zmarkotniały Dover.

Studenci wybuchają śmiechem. Doktor Fields wzdycha ciężko.

- Ben, dziękuję za pytanie. Nie ma głupich pytań. Po to właśnie mamy Tydzień Krwiodawstwa, żeby wyjaśnić wszelkie niewiadome, jakie przyjdą wam do głowy w związku z tym tematem, i dowiedzieć się jak najwięcej o transfuzjach, zanim, mam nadzieję, zdecydujecie się oddać krew. Dzisiaj, jutro i każdego dnia do końca tygodnia na terenie kampusu, a w przyszłości być może regularnie, w klinice krwiodawstwa.

Główne drzwi otwierają się i do środka wdziera się blask. Na sali pojawia się Justin Hitchcock, skoncentrowany, trzymając pod pachą wyslizgujący mu się coraz bardziej plik folderów. Poprawia je kolanem. W prawej ręce trzyma wypchaną teczkę i plastikowy kubek z kawą. Stawia kroki powoli, jakby ćwiczył tai-chi. Na jego twarzy pojawia się uśmiech, gdy równowaga zostaje przywrócona. Potem ktoś parska i wszystko zaczyna się od nowa.

Trzymaj się, Justin. Nie patrz na kubek, tylko oceń sytuację. Kobieta na podium, pięćset dzieciaków na sali, wszyscy wpatrzeni w ciebie. Powiedz coś. Najlepiej coś inteligentnego.

- Nie rozumiem, o co tu chodzi - rzuca w ciemność, w której wyczuwa bliżej niesprecyzowaną formę życia. Forma życia zaczyna trajkotać, kiedy Justin cofa się w stronę drzwi, żeby sprawdzić numer.

Nie rozlej kawy. Nie rozlej cholernej kawy.

Otwiera drzwi, wpuszczając do środka światło, które wydobywa z ciemności twarze studentów.

Ha, ha, ha. Zagubiony człowiek. Nic zabawniejszego.

Ma pełne ręce, ale udaje mu się przytrzymać drzwi nogą. Spogląda na numer na nich, a potem na kartkę, która, jeżeli zaraz jej nie złapie, spadnie na podłogę. Próbuje ją zatrzymać. Niewłaściwa ręka. Plastikowy kubek z kawą spada na podłogę, a za nim kartka papieru.

Cholera jasna! Znowu to trajkotanie. Nie ma nic zabawniejszego niż zagubiony człowiek, który rozlał kawę i upuścił rozkład zajęć.

- Mogę w czymś pomóc? - pyta kobieta, schodząc z podium. Justin odwraca się w jej stronę, drzwi się zamykają. Znowu zapada mrok.

- Tutaj... tam jest napisane, że mam w tej sali zajęcia. - Skinął głową w kierunku nasiąkniętej kawą rozpiski.

- Zapisy dla studentów zagranicznych są w sali egzaminacyjnej.

Justin marszczy brwi.

- Nie, ja...

- Przepraszam. - Kobieta podchodzi bliżej. - Wydawało mi się, że słyszę amerykański akcent.

Podnosi kubek i wyrzuca go do kosza, nad którym widnieje napis „Nie wносить płynów na salę”.

- Och... przepraszam.

- Starsi studenci zbierają się w sąsiedniej sali - rzuca kobieta szeptem. - Niech mi pan wierzy, nie chciałby pan dołączyć do tego tu stadka.

Justin chrząka i prostuje się, poprawiając plik dokumentów trzymany pod pachą.

- Tak naprawdę wykładam historię sztuki i architektury.

- Wykłada pan?

- Gościnnie. Choć może trudno w to pani uwierzyć.

Dmuchięciem usiłuje odsunąć włosy ze spoconego czoła.

Strzyżenie. Pamiętaj, żeby się ostrzyć. Znowu to trajkotanie. Zagubiony wykładowca, który rozlał kawę, upuścił plan zajęć, za chwilę wypadną mu spod pachy foldery, a na dodatek potrzebuje wizyty u fryzjera. Nic zabawniejszego.

- Profesor Hitchcock?

- Tak, to ja. - Czuje, że dokumenty wyślizgują mu się spod ramienia.

- Och... bardzo przepraszam - szepcze kobieta. - Nie wiedziałam. - Przytrzymuje jego folder. - Doktor Sara Fields z ICT. Powiedziano mi, że mogę porozmawiać przez pół godziny ze studentami przed pana wykładem, oczywiście jeżeli wyrazi pan zgodę.

- Cóż, nic o tym nie wiem, ale no problemo.

No problemo? Potrząsa głową nad własną głupotą i rusza w kierunku drzwi. *Starbucksie, nadciągam.*

- Profesorze Hitchcock?

Zatrzymuje się przy wyjściu.

- Tak?

- Może zechciałby pan do nas dołączyć?

Z całą pewnością nie. W kawiarni jest cappuccino i ciastko cynamonowe zarezerwowane specjalnie dla mnie. Nie. Po prostu powiedz nie.

- Em... nnnn-o dobrze. Oczywiście.

Trajkotanie, znów to trajkotanie. Wykładowca złapany w sieci. Zmuszony do czegoś, czego wyraźnie nie chce robić, przez atrakcyjną młodą kobietę w białym fartuchu, która twierdzi, że jest lekarzem i pracuje dla organizacji o niezbyt zrozumiałym skrócie w nazwie.

- Wspaniale. Witamy.

Kobieta poprawia folder pod jego pachą i wraca na podium, aby kontynuować wykład.

- No dobrze, proszę wszystkich o uwagę. Wróćmy do pytania o to, ile krwi może potrzebować pacjent. Ofiara wypadku samochodowego może potrzebować do trzydziestu jednostek, operacja krwawiącego wrzodu żołądka między trzy

a trzydzieści jednostek. Wszczepienie by-passa tętnicy wieńcowej wymaga podania od jednej do pięciu jednostek. Ilości są różne, ale tak czy inaczej widzicie chyba, dlaczego zawsze potrzebujemy dawców.

Justin siada w pierwszym rzędzie i przysłuchuje się z przeżeniem dyskusji, do której się przyłączył.

- Czy ktoś ma pytania?

Możemy zmienić temat?

- Czy za oddanie krwi dostaje się pieniądze?

Więcej chichotów.

- Nie w naszym kraju.

- Czy krwiodawcy wiedzą, kto dostał ich krew?

- Krwiodawcy zazwyczaj zachowują anonimowość, ale bank krwi może zawsze odnaleźć dawcę po dokumentacji sporządzonej podczas pobierania, testów, oddzielania poszczególnych składników krwi, magazynowania i wreszcie podania ich biorcy.

- Czy każdy może oddać krew?

- Dobre pytanie. Mam tutaj listę przeciwwskazań. Proszę, żebyście uważnie ją przeczytali. Możecie też zrobić notatki. - Doktor Fields umieszcza folię na projektorze i jej biały fartuch odbija zamazany zarys kogoś, kto wyraźnie potrzebuje transfuzji. Odsuwa się i zdjęcie wypełnia ekran na ścianie.

Ludzie jęczą i po sali przebiega słowo „obrzydliwe”, niczym meksykańska fala, dwukrotnie zahaczając Justina. Robi mu się słabo i odwraca wzrok od ekranu.

- Och, nie ta folia - rzuca doktor Fields niewinnie i wymieniają na obiecaną listę.

Justin czyta ją z ogromną nadzieją, że strach przed igłami i widokiem krwi pozwolą go wyeliminować jako ewentualnego dawcę. Nie ma szczęścia. Choć to i tak nie ma żadnego znaczenia. Szanse, że odda komukolwiek choćby kroplę krwi są tak małe, jak na dokonanie genialnego odkrycia nad ranem.

- Przykro mi, Dover. - Kolejna papierowa kulka uderza w głowę Bena. - Homoseksualiści nie mogą oddawać krwi.

Ben spokojnie pokazuje środkowy palec swojemu prześladowcy.

- To dyskryminacja - wykrzykuje jakaś dziewczyna.

- A przede wszystkim temat na osobną dyskusję - odpowiada doktor Fields. - Pamiętajcie, że wasze ciała w ciągu dwudziestu czterech godzin są w stanie zastąpić ubytek oddanej krwi. Jedna jednostka krwi to około pół litra. Ponieważ w naszych żyłach krąży od czterech do sześciu litrów krwi, przeciętna osoba może sobie pozwolić bez problemu na ubytek połówki.

Studenci śmieją się dziecinnie, dostrzegając w jej słowach aluzję do alkoholu.

Kochani, spokój. - Doktor Fields klaszcze w dłonie, desperacko usiłując przyciągnąć ich uwagę. - Tydzień Krwiodawstwa to nie tylko okazja do ofiarowania krwi, ale także czas na uświadomienie ludzi. Możemy sobie żartować do woli, ale byłoby dobrze, gdybyście mieli świadomość, że w tej chwili czyjeś życie, kobiety, dziecka, mężczyzny, może zależeć od was.

W sali zapada nagle cisza. Nawet Justin przestaje mówić do siebie w myślach.

2

- Profesorze Hitchcock? - Doktor Fields podchodzi do Justina, który układa notatki na pulpicie podczas pięciominutowej przerwy dla studentów.

- Proszę mi mówić Justin.

- W takim razie proszę mi mówić Sara. - Wyciąga dłoń.

- Miło mi, Saro. - *Bardzo mi miło.*

- Chciałam się tylko upewnić, że zobaczymy się później.

- Później?

- Tak, później. To znaczy... po wykładzie. - Uśmiecha się.

Flirtuje ze mną? Minęło już tyle czasu... skąd mam wiedzieć? Powiedz coś, Justin. Dalej, mów.

- Doskonale. Świetnie. Jesteśmy umówieni.

Sara ściąga usta, żeby powstrzymać uśmiech.

- Znakomicie. Będę czekała przed głównym wejściem o szóstej i sama cię zaprowadzę.

- Zaprowadzę dokąd?

- Do ruchomego punktu poboru krwi w kampusie. Stoi obok boiska do rugby, ale wołę cię tam sama odprowadzić.

- Ruchomy punkt poboru krwi... - Natychmiast ogarnia go przerażenie. - Em... nie sędzę, że...

- A po wszystkim może wyskoczmy na drinka?

- Wiesz co? Niedawno miałem grypę, więc chyba chwilowo nie kwalifikuję się na dawcę. - Rozkłada ręce i wzrusza ramionami.

- Bierzesz antybiotyki?

- Nie, ale może powinienem... - Chwyta się znacząco za gardło.

Doktor Fields uśmiecha się szeroko.

- Och, myślę, że sobie poradzisz.

- Nie, widzisz, ostatnio stykałem się z wieloma zakaźnymi chorobami. Malaria, ospa i tym podobne. Byłem w bardzo tropikalnym kraju. - Przypomina sobie usilnie listę przeciwskazań. - A mój brat Al jest trędowaty. - *Beznadziejne, cholernie beznadziejne wytłumaczenie.*

- Naprawdę? - Fields unosi brew i chociaż Justin usiłuje zachować powagę, w końcu się uśmiecha. - Jak dawno temu wyjechałeś ze Stanów?

Myśl, człowieku. To może być podchwytliwe pytanie.

- Przeprowadziłem się do Londynu trzy miesiące temu - odpowiada wreszcie zgodnie z prawdą.

- Och, masz szczęście. Gdyby to były dwa miesiące, nie mógłbyś oddać krwi.

- Nie, zaraz, chwileczkę, niech pomyślę... - Skrobie się po brodzie zamyślony, mamrocząc pod nosem przypadkowo wybrane nazwy miesięcy. - Może jednak dwa miesiące temu. Jeżeli policzyć od dnia, w którym przyjechałem... - Zaczyna liczyć na palcach, z widoczną na twarzy koncentracją, wpatrując się w przestrzeń.

- Boi się pan, profesorze Hitchcock? - Fields uśmiecha się do niego.

- Czy się boję? Skądże! - Odrzuca głowę i parska śmiechem. - Czy wspominałem, że mam malarię? - Wzdycha, widząc, że Fields nie bierze jego słów poważnie. - Zabrakło mi już pomysłów.

- W takim razie do zobaczenia przed wejściem, o szóstej. Ach, i nie zapomnij czegoś przedtem zjeść.

- Oczywiście, bo przecież dostanę wilczego apetytu przed randką z wielką igłą zabójczynią - mamrocze, przyglądając się wychodzącej pani doktor.

Studenci wypełniają powoli aulę i Justin, zadowolony, usiłuje ukryć, nie wiedzieć czemu, uśmiech. Wreszcie to miejsce należy do niego.

No dobrze, moi roztrajkotani przyjaciele. Przyszedł czas zemsty.

Zaczyna, zanim jeszcze dobrze usadowią się na miejscach.

- Sztuka - anonsuje. Słyszysz szelest wyciąganych z toreb notatników i ołówków, głośny świst i szcęk rozpinanych suwaków i klamerek, stukotanie ołówków, wszystko nowiutkie pierwszego dnia studiów. Czyściutkie, nieskazitelne, pachnące świeżością. Szkoda, że nie można tego samego powiedzieć o studentach. - Produkt ludzkiej kreatywności. - Nie daje im czasu na zaczęcie notowania. Przyszedł czas na zabawę. Przyspiesza. - Tworzenie pięknych i ważnych rzeczy - spaceruje, mówiąc. Ciągłe słyszysz stukotanie ołówków i odgłosy rozpinanych suwaków.

- Proszę pana, czy mógłby pan to jeszcze raz pow...

- Nie - ucina. - Inżynieria. - Rusza dalej. - Praktyczne zastosowanie nauki w komercji lub przemyśle. - Na sali zapada kompletna cisza.

- Kreatywność i praktyczność. Owocem połączenia tych dwóch jest architektura.

Szybciej, Justin, szybciej!

- Architektura jest przetworzeniem idei w rzeczywistość fizyczną. Kompleksowa struktura uważnie zaprojektowana w szerszym kontekście i specyficzny okres. Aby zrozumieć architekturę - musimy zgłębić związek pomiędzy technologią a społeczeństwem.

- Proszę pana, czy może...

- Nie. - Mimo to zwalnia. - Badamy, jak w ciągu stuleci architektura była i nadal jest kształtowana przez społeczeństwo, ale również jak sama na nie wpływa. - Przerzywa, spoglądając na młode twarze, wpatrzone w niego oczy. Widzi ich umysły, puste naczynia czekające na wypełnienie.

Tyle nauki i tak mało czasu, tak niewiele w nich pasji dla

prawdziwego zrozumienia. To jego zadanie, aby natchnąć ich tym zapałem, podzielić się z nimi swoim doświadczeniem, wspomnieniami z podróży, wiedzą o wszystkich arcydziełach stworzonych stulecia temu. Przeniesie ich z dusznej auli prestiżowego dublińskiego college'u do sal Luwru, usłyszysz echo ich kroków, gdy razem będą przemierzać nawę katedry St-Denis i dalej, St-Germain-des-Pres aż do St-Pierre de Montmartre. Poznają nie tylko daty i statystyki, ale również zapach farb Picassa, fakturę barokowego marmuru. Dźwięk dzwonów katedry Notre-Dame. Doświadczą tego wszystkiego tutaj, w tym pomieszczeniu. On im to zapewni.

Wpatrują się w ciebie, Justin. Powiedz coś.

Chrząka.

- Ten kurs nauczy was, jak analizować dzieła sztuki i jak rozpoznawać ich wartość historyczną. Umożliwi wam rozwinąć w sobie świadomość otoczenia, a jednocześnie pogłębi waszą wrażliwość na kulturę i ideały innych narodowości. Będziemy omawiać szerokie spektrum zagadnień: historię malarstwa, rzeźby i architektury od starożytnej Grecji do czasów współczesnych, wczesną sztukę irlandzką, malarzy renesansu włoskiego, wielkie gotyckie katedry Europy, architektoniczny splendor epoki georgiańskiej i artystyczne osiągnięcia dwudziestego wieku.

Pozwala, żeby salę znów wypełniła cisza.

Czy żałują, że dowiedzieli się, czego będą się uczyć przez następne cztery lata swojego życia? A może ich serca biją szaleńczo z podniecenia na myśl o tym, co ich czeka? Nawet po tylu latach Justin czuje ten sam entuzjazm i uwielbienie dla budynków, obrazów i rzeźb całego świata. Euforia często pozbawia go tchu podczas wykładów. Musi pamiętać, żeby zwolnić tempo, nie powiedzieć im wszystkiego od razu, chociaż bardzo by chciał, żeby dowiedzieli się teraz, natychmiast!

Spogląda znowu na ich twarze i doznaje oświecenia.

Masz ich! Spijają słowa z twoich ust, chcą usłyszeć więcej. Udało ci się! Są pod twoim urokiem.

Ktoś puszcza bąka i cała sala wybuchła śmiechem.

Justin wzdycha, nagle pozbawiony złudzeń.

- Nazywam się Justin Hitchcock - ciągnie znudzonym tonem. - Na moich wykładach gościnnych wprowadzę was w malarstwo europejskie, takie jak renesans włoski i francuski impresjonizm. Nauka będzie obejmowała krytyczną analizę obrazów, ikonografii i zrozumienie wielu technik używanych przez artystów od czasu Księgi z Kells* po dzień dzisiejszy. Usłyszycie również wstęp do architektury europejskiej: świątynie greckie do czasów współczesnych i tak dalej. A teraz proszę o dwóch ochotników do pomocy. Ręce w górę.

I tak zaczął się kolejny rok. Nie w domu, w Chicago. Przyjechał do Londynu, żeby mieszkać w pobliżu byłej żony i córki. Kursował co jakiś czas do Dublina na gościnne wykłady. Inny kraj, ale ten sam temat, co zwykle. Tacy sami ludzie. Świeżo upieczeni studenci, roztrzepani, rozbawieni. Kolejna grupa przejawiająca niedojrzały brak zrozumienia dla jego pasji; z rozmysłem odwracająca się plecami do możliwości - nie, nie możliwości, do *pewności* - że nauczą się czegoś cudownego i wspaniałego.

Nie ma znaczenia, co teraz powiesz. Od tej chwili jedyną rzeczą, którą zapamiętają po tej lekcji, będzie pierdnięcie.

* inaczej Ewangeliarz Świętego Kolumbana, manuskrypt z 800 roku, jeden z najważniejszych zabytków irlandzkiego chrześcijaństwa (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki)

3

- O co chodzi z tymi żartami o prukaniu, Bea?
 - O! Cześć, tato.
 - Co to za przywitanie?
 - O rany, kurczę, tato, super, że dzwonicz. Minęło już... matko jedyna, całe trzy godziny od ostatniej rozmowy.
 - W porządku, nie musisz być taka sarkastyczna. Czy twoja ukochana matka wróciła już do domu po wypadzie na miasto z okazji rozpoczęcia nowego życia?
 - Tak, jest w domu.
 - Czy przyprowadziła ze sobą cudownego Laurence'a? - Nie potrafi powstrzymać się od sarkazmu. Nienawidzi się za to, ale jednocześnie nie chce się wycofać, nie potrafi przeprosić i w efekcie robi to, co zwykle, czyli draży problem, zagniając sytuację. - Laurence - powtarza z przesadnym akcentem. - Laurence z... em... przepukliną pachwinową.
 - Ale z ciebie palant, tato. Musisz cały czas gadać o jego przydatkach? - Bea wzdycha znudzona.
- Justin zrzuca z siebie gryzący koc z taniego dublińskiego hotelu, w którym się zatrzymał.
- Daję słowo, Bea. Kiedy się pojawi następnym razem, sama sprawdź. Nosi zdecydowanie za ciasne spodnie na to, co usiłuje w nich schować. Powinni wymyślić jakąś specjalną nazwę. Coś-tam-itis - *Jądritis*. - W tej dziurze są tylko cztery programy telewizyjne, w tym jeden w języku, którego kom-

piętnie nie rozumiem. Brzmi to, jakby ciągle chrząkali i przygotowywali się do splunięcia po spożyciu obrzydliwego coq-au-vin produkcji twojej matki. W moim cudownym domu w Chicago miałem dwieście kanałów telewizyjnych - *Penistis. Fjutitis. Ha!*

- Z których nigdy nie korzystałeś.

- Ale miałem przynajmniej wybór. Mogłem postanowić, że nie będę oglądał żadnego z programów o majsterkowaniu, muzyce albo nagich kobietach tańczących na stołach.

- Rozumiem, że to ogromny wstrząs, tato. Iście traumatyczne przeżycie dla ciebie, podobno dorosłego człowieka, podczas gdy ja, w wieku szesnastu lat, musiałam sama przyzwyczaić się do rozwodu moich rodziców i przeprowadzki z Chicago do Londynu.

- Masz teraz dwa domy i dostajesz dodatkowe prezenty. Tak ci źle? - marudzi Justin. - Poza tym to był twój pomysł.

- Ja chciałam tylko pójść do szkoły baletowej w Londynie, a nie, żebyście się rozwiedli!

- Och, szkoła baletowa? Popatrz, nie wiedziałem. Moja wina. Myślisz, że powinniśmy do siebie wrócić i przeprowadzić się z powrotem do Chicago?

- Nie. - Słyszysz uśmiech w jej głosie i wie, że wszystko jest w porządku.

- Myślałaś, że zostanę w Chicago, kiedy ty będziesz po drugiej stronie świata?

- I to wszystko z ust człowieka, który dzwoni do mnie z innego kraju. - Roześmiała się.

- Irlandia to tylko podróż służbowa. Będę z powrotem w Londynie za kilka dni. Daję słowo, Bea, że nie chciałbym być nigdzie indziej - dodaje. *Chociaż nie obraziłbym się za pokój w Czterech Porach Roku.*

- Myślę o przeprowadzeniu się do Petera - rzuca Bea zdawkowo.

- No więc? O co chodzi z tym pierdzeniem na lekcjach? - ignoruje ją. - Co jest takiego śmiesznego w dźwięku ucho-

dzącego powietrza, że potrafi powstrzymać ludzi od zainteresowania się najbardziej niezwykłymi arcydziełami sztuki?

- Rozumiem, że nie chcesz rozmawiać na temat mojej przeprowadzki do Petera?

- Jesteś jeszcze dzieckiem. Możecie co najwyżej wprowadzić się do domku-zabawki, który powinienem nadal mieć w składzie. Rozłożę go dla was w dużym pokoju. Będzie wam tam miło i wygodnie.

- Mam osiemnaście lat. Nie jestem już dzieckiem. Mieszkam sama, z dala od domu, od dwóch lat.

- Tylko od roku. Twoja matka zostawiła mnie samego w drugim roku, żeby dołączyć do ciebie.

- Poznaliście się z mamą, kiedy byliście w moim wieku.

- I, niestety, nie żyliśmy długo i szczęśliwie. Przestań nas naśladować i napisz swoją własną bajkę.

- Zrobiłabym to, gdyby mój nadopiekuńczy ojciec nie wtrącał się nieustannie ze swoim własnym zakończeniem historii. - Bea wzdycha i zmienia temat na bezpieczniejszy. - Dlaczego twoi studenci śmieją się z baków? Myślałam, że miałaś dać jeden wykład dla magistrantów, którzy zdecydowali się uczyć twojej nudnej specjalizacji, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego ktokolwiek by tego chciał. Twoje wykłady na temat Petera są wystarczająco nudne, a przecież jego kocham.

Miłość! Zignoruj to. Na pewno zapomni, co powiedziała.

- Zrozumiałabyś, gdybyś mnie naprawdę słuchała. Oprócz magistrantów poproszono mnie jeszcze o poprowadzenie wykładów dla studentów pierwszego roku. Prawdopodobnie gorzko pożałuję, że się zgodziłem, ale to nieważne. Wracając do mojej pełnoetatowej pracy i znacznie ważniejszych spraw, planuję zorganizować w Galerii wystawę siedemnastowiecznego malarstwa holenderskiego. Powinnaś ją zwiedzić.

- Nie, dziękuję.

- Cóż, może moi magistranci za kilka miesięcy bardziej docenią moją ekspertyzę.

- Wiesz, może i twoi studenci śmiali się z tego, że ktoś puścił baka, ale założę się, że przynajmniej jedna czwarta oddała krew.

- Tylko dlatego, że obiecano im w nagrodę darmowy batonik czekoladowy - nabzdycza się Justin, grzebiąc w słabo zaopatrzonym minibarku. - Jesteś na mnie zła za to, że nie oddałem krwi?

- Myślę, że jesteś kompletnym dupkiem, skoro wystawiłeś tę kobietę do wiatru.

- Nie używaj słowa „duppek”, Bea. Poza tym, kto ci powiedział, że ją wystawiłem do wiatru?

- Wujek Al.

- Wujek Al jest dupkiem. I wiesz co, kochanie? Wiesz, co dobra pani doktor powiedziała dzisiaj na temat krwiodawstwa? - Siłuje się z paczką pringlesów.

- Co? - Bea ziewa.

- Że krwiodawcy pozostają anonimowi dla biorecy. Słyszysz? Anonimowi. Po co ratować komuś życie, skoro ten człowiek nie wie nawet, że to ty go ocaliłeś?

- Tato!

- Słucham? Daj spokój, Bea. Okłam mnie w żywe oczy i powiedz, że nie chciałabyś dostać bukietu kwiatów w podziękę za uratowanie czyjegoś życia? - Bea protestuje, ale Justin ciągnie niezrażony: - Albo koszyka ciepłych słodkich bułeczek z tym tam... kokosem...

- Cynamonem. - Śmieje się.

- Właśnie. Mały koszyczek pełen bułeczek cynamonowych przed twoimi drzwiami, z karteczką głoszącą: „Droga Beo, dziękuję za ocalenie mi życia. Jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy, na przykład w odebraniu rzeczy z pralni, albo zapragniesz codziennej dostawy gazet i świeżej kawy do domu, samochodu z szoferem do osobistego użytku, najlepszych miejsc w operze...”, och, lista mogłaby się ciągnąć w nieskończoność. - Porzuca próby oderwania folii na wieczku i zamiast tego przedziurawia ją korkociągiem. -

Mogłoby być tak, jak w chińskiej tradycji. Ktoś ratuje ci życie i od tej chwili jesteś jego dłużnikiem na wieki. Byłoby miło, gdyby ktoś chodził za tobą co dzień, ratował przed wypadającymi przez okno fortepianami i tym podobne.

Bea się uspokaja.

- Mam nadzieję, że żartujesz.

- No oczywiście, że żartuję! - Justin się krzywi. - Fortepian z pewnością zabiłby tę osobę, gdyby spróbowała go złapać. Nie byłoby to zbyt sprawiedliwe. - Wreszcie udaje mu się otworzyć pudełko pringlesów. Rzuca korkociąg, który uderza w szklany wierzch minibaru i rozbija go.

- Co to było?

- Sprzątaczką - kłamie. - Uważasz, że jestem egoistą, tak?

- Tato, porzuciłeś wygodne życie, zrezygnowałeś ze świetnej pracy, fantastycznego mieszkania i przemierzyłeś tysiące kilometrów po to tylko, żeby być blisko mnie w obcym kraju. Oczywiście, że nie jesteś egoistą.

Justin uśmiecha się i wrzuca chipsa do ust.

- Jeżeli jednak nie żartowałeś na temat koszyki z bułeczkami, to zdecydowanie jesteś samolubem. Gdyby w moim college'u zorganizowano Tydzień Krwiodawstwa, na pewno wzięłabym w nim udział. Ty masz okazję zrekompensować tej kobiecie zawód, jaki jej sprawiłeś.

- Czuję się, jakby ktoś mnie zmuszał do oddania krwi. Chciałem jutro pójść do fryzjera, a nie do ciężarówki, w której ludzie będą kłuli moje żyły.

- Jeżeli nie chcesz, nie oddawaj krwi, nie obchodzi mnie to. Pamiętaj tylko, że mała igiełka cię nie zabije. Właściwie to może być odwrotnie. Może ocalisz kogoś i, kto wie, może ta osoba będzie podążała za tobą do końca życia, będzie zostawiała na twoim progu koszyki z bułeczkami cynamonowymi i łąpała latające fortepiany, zanim spadną ci na głowę. Czy to nie byłoby miłe?

W ruchomym punkcie krwiodawstwa ustawionym przy boisku do rugby w Trinity College Justin usiłuje ukryć przed Sarą drżenie rąk. Wręcza jej pisemną zgodę na pobranie krwi i kwestionariusz medyczny, który, jego zdaniem, zawiera zbyt wiele informacji osobistych, niż chciałby ujawnić na pierwszej randce. Doktor Fields uśmiecha się pokrzepiająco i opisuje procedurę, jakby oddawanie krwi było najnormalniejszą czynnością na świecie.

- A teraz muszę zadać ci kilka pytań. Czy przeczytałeś, zrozumiałeś i wypełniłeś kwestionariusz medyczny?

Justin kiwa głową niezdolny do wydania dźwięku z wyschniętego gardła.

- Czy informacje, które w nim podałeś, są prawdziwe?

- Czemu pytasz? - chrypi. - Nie wygląda to na prawdę? Skoro tak, zawsze mogę wyjść i wrócić kiedy indziej.

Sara uśmiecha się. Spogląda na niego tak samo, jak jego matka, kiedy układała go do snu i gasiła światło w pokoju.

- W porządku, jest wszystko. Teraz muszę już tylko zrobić test hemoglobinowy - wyjaśnia.

- Czy to test na obecność chorób? - Justin rozgląda się nerwowo po ciężarówce. *Proszę, tylko bez chorób. To byłoby zbyt żenujące. Chociaż nieprawdopodobne. Czy ty w ogóle pamiętasz, kiedy ostatnio uprawiałeś seks?*

- Nie, sprawdza tylko poziom żelaza we krwi. - Nakłuwca

jego palec i pobiera kropelkę krwi. - Dopiero potem krew testuje się na obecność chorób zakaźnych i wenerycznych.

- Przydatne, kiedy chcesz sprawdzić swoich narzeczonych - żartuje, czując kropelkę potu nad górną wargą. Przygląda się nakłutemu palcowi.

Sara cichnie, robiąc szybki test.

Justin kładzie się na miękkiej leżance i wyciąga lewe ramię. Sara zakłada mu opaskę zaciskową, żeby uwidocznić lepiej żyły, i przemywa skórę alkoholem.

Nie patrz na igłę, tylko nie patrz na igłę.

Spogląda na igłę i świat nagle wiruje wokół niego. Gardło zaciska się boleśnie.

- Będzie bolało? - Przełyka głośno. Koszula przywiera mu do spoconych pleców.

- Tylko lekkie ukłucie - mówi Sara z śmiechem i zbliża się z kaniulą trzymaną w ręku.

Justin czuje słodki zapach jej perfum i na chwilę przestaje myśleć o strachu. Kiedy Sara pochyla się nad nim, zagląda jej w dekolt. Czarny koronkowy stanik.

- Chwyć to w dłoń i zacznij zaciskać i rozluźniać.

- Co? - Śmieje się nerwowo.

- Gumową kulkę.

- Och. - Bierze do ręki przedmiot. - Po co to? - pyta drżącym głosem.

- Żeby przyspieszyć cały proces.

Pompuje kulkę najszybciej jak może. Sara chichocze.

- Jeszcze nie teraz. I nie tak szybko, Justin.

Czuje, jak po plecach ścieka mu pot. Włosy przylegają do wilgotnego czoła. *Powinieneś pójść do fryzjera, Justin. Co za głupi pomysł...*

- Auć!

- Chyba nie było tak źle, co? - pyta Sara łagodnie, jakby mówiła do dziecka.

Serce Justina wali jak młotem. On zaś zaciska dłoń na piłce w rytm uderzeń. Wyobraża sobie, jak jego serce przepły-

cha krew płynącą w żyłach. Widzi, jak czerwony płyn dociera do igły, a potem do rurki. Czeką na osłabienie, które jednak nie nadchodzi, więc przygląda się, jak krew spływa do torebki umieszczonej zmyślnie pod łóżkiem.

- Dostanę po wszystkim batonik?

Sara śmieje się w głos.

- Oczywiście.

- A potem pójdziemy na drinka czy wykorzystujesz mnie tylko dla mojego ciała?

- W porządku, pójdziemy na drinka, ale muszę cię ostrzec, że nie powinieneś dzisiaj robić niczego, co wymaga dużego wysiłku. Potrzebujesz czasu na regenerację.

• Justin spogląda na wystający spod jej swetra fragment koronkowego stanika. *Jasne, oczywiście.*

Piętnaście minut później patrzy z dumą na pół litra własnej krwi. Nie chce, żeby dostał ją ktoś obcy, niemal pragnie sam zanieść torebkę do szpitala, przyjrzeć się pacjentom i wręczyć ją komuś niezwykłemu, komuś, komu na tym zależy. To pierwsza rzecz od długiego czasu, którą zrobił prosto z serca.

DZISIAJ

5

Otwieram powoli oczy.

Wypełnia je białe światło. Zaczynam widzieć przedmioty i blask przygasa. Jest teraz pomarańczoworóżowy. Rozglądam się. Jestem w szpitalu. Na ścianie zamontowano telewizor. Jego ekran wypełnia zieleń. Wytężam wzrok. Konie. Skaczące i ścigające się. Tata musi tu być. Spoglądam niżej i dostrzegam go, siedzącego w fotelu, tyłem do mnie. Uderza lekko pięściami w podłokietniki. Jego tweedowa czapka wynurza się co rusz zza oparcia, kiedy podskakuje z podniecenia. Sprężyny w siedzeniu jęczą pod jego ciężarem.

Wyścigi konne odbywają się w milczeniu. Tata również milczy. Zupełnie jakbym oglądała niemy film. Obserwuję go. Zastanawiam się, czy nie ogłuchłam. Tata podskakuje teraz szybciej niż kiedykolwiek w mojej obecności i wyrzuca pięść w kierunku telewizora, w ciszy zachęcając swojego konia do przyspieszenia.

Telewizor gaśnie. Pięści taty rozwierają się, kiedy unosi ramiona w górę, spogląda na sufit i błaga niebiosą o zlitowanie. Wkłada dłonie do kieszeni brązowych spodni i wywraca je na drugą stronę. Puste. Klepie kieszeń na piersi, szukając drobnych. Sprawdza kieszonkę w brązowej kamizelce i mruczy coś do siebie. Czyli moje uszy są w porządku.

Odwraca się, żeby sprawdzić leżący obok mnie płaszcz. Zamykam szybko oczy.

Nie jestem jeszcze gotowa. Aż usłyszę, nic się nie stało. Ostatnia noc pozostanie koszmarem, aż zapewnią mnie, że wszystko to prawda. Im dłużej trzymam zamknięte oczy, tym dłużej wszystko jest takie, jak zwykle. Błoga nieświadomość.

Słyszę, jak tata przeszukuje kieszenie płaszcza, znajduje brzęczące monety i wrzuca je do licznika przy telewizorze. Ostrożnie otwieram oczy i widzę go, jak znów podskakuje w fotelu i wymachuje pięściami.

Zasłona po prawej stronie jest zaciągnięta, ale wiem, że dzielę pokój z innymi pacjentami. Ciekawe z iloma? Jest cicho. I duszno. Pachnie starym potem. Ogromne okna zajmujące całą ścianę po lewej stronie są zamknięte. Światło jest tak jaskrawe, że nic nie widzę. Pozwalam moim oczom przyzwyczaić się do niego i wreszcie dostrzegam krajobraz na zewnątrz. Po przeciwnej stronie ulicy zatrzymuje się autobus. Na przystanku czeka kobieta z siatkami u stóp. Trzyma na rękach dziecko wymachujące pulchnymi nóżkami w letnim słońcu. Natychmiast odwracam wzrok. Tata przygląda mi się. Wychyla się zza oparcia fotela, wykręcając głowę do tyłu jak dziecko w wózku.

- Witaj, kochanie.

- Hej. - Sądzę, że nie odzywałam się od długiego czasu i oczekuję, że mój głos będzie schrypnięty. Ale nie jest. Rozbrzmiewa czysto i przejrzysto, wylewa się z moich ust niczym miód. Jakby nic się nie stało. Bo przecież nic się nie stało. Jeszcze nie, dopóki mi nie powiedzą.

Tata podpira się dłońmi o podłokietnik i dźwiga się do góry. Podchodzi do łóżka, poruszając się jak na huśtawce. W górę i w dół, w dół i w górę. Urodził się z lewą nogą dłuższą i mimo specjalnych butów, które przepisano mu lata temu, nadal porusza się z chybotem wyuczonym w dzieciństwie. Nienawidzi obuwia ortopedycznego i, pomimo ostrzeżeń lekarzy oraz bólu kręgosłupa, nie używa ich. Jestem przyzwyczajona do widoku jego ciała kolebiącego się w górę i w dół, w dół i w górę. Pamiętam, kiedy w dzieciństwie cho-

dziłam z nim na spacer, trzymając go za rękę, moje ramie poruszało się w idealnie sprzężonym rytmie z jego ciałem, pociągane w górę, kiedy stapał prawą nogą i popychane w dół, gdy przestępował na lewą.

Zawsze był taki silny, taki sprawny. Umiał wszystko naprawić, załatać, udźwignąć. Zawsze ze śrubokrętem w dłoni, rozkładał rzeczy na części i składał je ponownie: piloty do telewizora, radia, budziki, wtyczki. Złota rączka znana na całej ulicy. Miał nierówne nogi, ale za to silne i sprawne dłonie.

Zdejmuje czapkę, zbliżając się do mojego łóżka, chwytając obiema rękami i porusza niczym kierownicą. Przygląda mi się z troską. Przystępuje na prawą nogę i opada w dół. Ugina lewe kolano. Pozycja spoczynku.

- Czy... em... powiedzieli mi, że... eh - chrząka. - Powiedzieli mi, żeby... - Przełyka głośno i porusza wykręconym od reumatyzmu palcem, usiłując sobie przypomnieć. - Zrobili ci transfuzję krwi, więc... em... wszystko jest w porządku z twoimi płynami.

Dolna warga nadal mi się trzęsie. Dłonie odruchowo wędrują do mojego brzucha, nadal jeszcze spuchniętego pod kocem. Spoglądam na tatę z nadzieją, zdając sobie sprawę, jak wielką mam nadzieję, jak bardzo przekonałam siebie samą, że ten okropny pobyt na porodówce był tylko sennym koszmarem. Może wyobraziłam sobie milczenie mojego dziecka, milczenie, które wypełniło salę w tamtym ostatecznym momencie. Może dziecko płakało, a ja po prostu tego nie słyszałam. Oczywiście wszystko to możliwe. Miałam już wtedy tak mało energii, że odpływałam. Może po prostu nie usłyszałam pierwszego cudownego oddechu życia, którego świadkiem byli wszyscy inni.

Tata potrząsa głową smutno. Nie. To ja krzyczałam w tamtym pokoju.

Warga drży mi jeszcze bardziej, podskakuje w górę i w dół. Nie potrafię jej zatrzymać. Całe ciało trzęsie się po-

twornie i jego też nie potrafię powstrzymać. Łzy napływają mi do oczu, ale powstrzymuję je przed ucieczką. Jeżeli teraz zacznę płakać, nigdy nie przestanę.

Wydaję z siebie odgłos. Niezwykły odgłos, którego nigdy przedtem nie słyszałam. Jęk, sieknięcie, kombinację obydwu. Tata chwyta mnie za rękę i ściska mocno. Dotyk jego skóry przenosi mnie we wspomnieniach do ostatniej nocy, kiedy leżałam u dołu schodów. Tata nie mówi ani słowa, ale co można w takiej chwili powiedzieć? Nie mam pojęcia.

Zapadam w niespokojną krótką drzemkę. Budzę się i przypominam sobie rozmowę z lekarzem. Zastanawiam się, czy to tylko sen. Straciłaś dziecko, Joyce. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy... transfuzja krwi... Kto potrzebuje pamiętać coś takiego? Nikt. Nie ja.

Kiedy znów się budzę, zasłona z boku jest odsłonięta. Po sali biega trójka dzieci, a ich ojciec, jak zakładałam, woła, żeby się uspokoiły. Mówi w języku, którego nie rozumiem. Matka trójki pociech leży w łóżku. Wygląda na zmęczoną. Spoglądamy na siebie i uśmiechamy się.

Wiem, jak się czujesz, mówiącej smutne oczy. Wiem, jak się czujesz.

Co teraz poczniemy? - pyta mój uśmiech.

Nie wiem, odpowiadającej oczu. Nie wiem.

Czy będzie z nami lepiej?

Odwraca głowę. Uśmiech znika z jej twarzy.

- Skąd jesteście? - pyta mój tata.

- Słucham? - dziwi się mąż kobiety.

- Pytałem, skąd jesteście - powtarza tata. - Bo raczej nie stąd.

Jego głos jest radosny i miły. Nie chce nikogo obrazić. Nigdy nikogo nie chciał obrazić.

- Z Nigerii - odpowiada mężczyzna.

- Nigeria. A gdzie to jest? - pyta tata.

- W Afryce.

Ton mężczyzny jest również uprzejmy. Traktuje tatę jak

starszego człowieka, który potrzebuje z kimś porozmawiać. Stara się być miły.

- Ach, Afryka. Nigdy tam nie byłem. Chyba jest tam gorąco, prawda? Tak sobie myślę. Ciepłej niż tutaj. Można się dobrze opalić. Nie żeby pan tego potrzebował - dodaje ze śmiechem. - Marzniecicie tu?

- Marzniecicie? - Afrykanin uśmiecha się z niezrozumieniem.

- Tak, no wie pan. - Tata obejmuje się ramionami i udaje, że się trzęsie. - Zimno?

- Tak. - Mężczyzna się śmieje. - Czasem.

- Tak myślałem. Ja też marznę, a jestem z tych stron - wyjaśnia tata. - Przemarzam do kości. Ale upał też niezbyt lubię. Słońce zaraz mi przypala skórę. Moja córka, Joyce, z kolei opala się na brązowo. To ona.

Wskazuje na mnie. Zamykam szybko oczy.

- Bardzo ładna - odpowiada mężczyzna uprzejmie.

- Owszem. - Zapada cisza. Pewnie teraz mi się przyglądają. - Kilka miesięcy temu pojechała na jakąś hiszpańską wyspę i wróciła czarna, mówię panu. Oczywiście nie tak bardzo jak pan, ale była nieźle opalona. Niestety, już jej zeszło. Panu pewnie nie schodzi skóra od opalenizny?

Mężczyzna śmieje się uprzejmie. Cały tata. Nigdy nie ma na myśli niczego złego, ale przez całe życie nie ruszył się z kraju. Powstrzymuje go strach przed lataniem, przynajmniej tak twierdzi.

- W każdym razie mam nadzieję, że pana żona wkrótce lepiej się poczuje. To niezbyt miłe zachorować podczas wakacji.

Na te słowa otwieram oczy.

- Ach, witaj z powrotem, kochanie. Właśnie gawędziłem sobie z twoimi miłymi sąsiadami. - Znów podchodzi do mnie, huśtając się w górę i w dół, z czapką w dłoniach. Staje na prawej nodze, opada w dół, ugina lewą. - Wiesz, myślę, że jesteśmy jedynymi Irlandczykami w tym szpitalu. Chwilę temu była tu pielęgniarka. Jest z jakiegoś Sing-Sing czy jakoś tak.

- Singapuru, tato. - Uśmiecham się.
- O właśnie. - Unosi brwi. - Widziałas ją już? Wszyscy jednak rozmawiają po angielsku, ci zagranicznicy. Lepsze to niż wyjechać na wakacje za granicę i porozumiewać się za pomocą gestów. - Kładzie czapkę na łóżku i wykręca palce.
- Nigdy nie byłeś na wakacjach za granicą tato.
- Czy przypadkiem nie słyszałem, jak chłopcy rozmawiali o tym na poniedziałkowym spotkaniu? Frank był w zeszłym tygodniu w tym miejscu... no, jak ono tam. - Zamyka oczy i myśli intensywnie. - W miejscu, gdzie robią czekoladę?
- W Szwajcarii.
- Nie.
- Belgii.
- Nie - powtarza sfrustrowany. - Tam, gdzie robią te kulki z chrupiącym środkiem. Czasem można kupić białe, ale ja wolę oryginalne, z normalną czekoladą.
- Maltesers? - Śmieję się w głos, ale czuję ból i zaraz przestaję.
- Właśnie. Pojechał do Maltesers.
- Tato, nie do Maltesers, tylko na Malte.
- No tak. Na Malte. - Milknie. - Czy oni tam robią maltesersy?
- Nie wiem. Może. Co się wydarzyło Frankowi na Malcie? Zamyka oczy i myśli intensywnie.
- Nie pamiętam, co chciałem powiedzieć.
- Milczenie. Tata nienawidzi zapominać. Kiedyś pamiętał wszystko.
- Wygrałeś coś w zakładach konnych? - pytam.
- Kilka groszy. Wystarczy na parę kufli dziś wieczór w naszym Klubie Poniedziałkowym,
- Ale dzisiaj jest wtorek.
- Spotykamy się we wtorek z powodu poniedziałkowego święta - wyjaśnia, okrążając rozchybotanym krokiem łóżko, żeby usiąść z drugiej strony.
- Nie mogę się śmiać. Jestem zbyt obolała, poza tym wy-

gląda na to, że wraz z dzieckiem odebrano mi część poczucia humoru.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeżeli pójde do klubu, Joyce? Jeżeli chcesz, to zostanę, naprawdę. Tamto jest nieważne.

- Oczywiście, że jest ważne. Nie opuściłeś poniedziałkowych spotkań od dwudziestu lat.

- Z wyjątkiem świąt państwowych. - Unosi wykrzywiony palec i wywraca oczami.

- Z wyjątkiem świąt państwowych. - Uśmiecham się i chwytam go za rękę. Odwzajemnia uścisk.

- Ale ty jesteś ważniejsza niż kilka kufli piwa i plotki.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła, tato. - Łzy napływają mi do oczu.

- Poradziłabyś sobie, kochanie. Poza tym - spogląda na mnie ostrożnie - masz Conora.

Puszczam jego dłoń i spoglądam w bok. A jeśli ja już nie chcę Conora?

- Wczoraj wieczorem usiłowałem do niego zadzwonić na ręczny telefon, ale nikt nie odbierał. Może coś mi się pomyliło z numerem - dodaje szybko. - Tyle tam cyfr, w tych numerach ręcznych telefonów.

- Komórek, tato - poprawiam go automatycznie.

- Ach, no tak, komórek. Dzwonił, kiedy spałaś. Zamierza wrócić do domu najbliższym wolnym lotem. Bardzo się martwi.

- To miło z jego strony. Będziemy mogli spędzić kolejne dziesięć lat naszego małżeńskiego życia, starając się spłodzić potomka. - Powrót do rzeczywistości. Mała przyjemna rozrywka nadająca naszemu związkowi jakieś znaczenie.

- Ależ kochanie...

To pierwszy dzień reszty mojego życia, a ja nie jestem pewna, czy chcę być tutaj. Wiem, że powinnam za to komuś podziękować, ale naprawdę nie mam na to ochoty. Wołałabym, żeby się tak nie starali.

6

Obserwuję trójkę dzieci bawiących się zgodnie na podłodze szpitalnego pokoju. Małe paluszki i stopki, pulchne policzki i pełne usteczka. Rysy ich rodziców skopiowane na małych twarzyczkach. Żołądek skręca mi się boleśnie, łzy napływają do oczu i muszę uciec wzrokiem w bok.

- Mogę się poczęstować winogronem? - pyta tata.

Jest niczym kanarek w klatce u mojego boku.

- Oczywiście, że tak. Tato, powinieneś pójść do domu, zjeść coś porządnego. Potrzebujesz energii.

Chwyta banana.

- Potas. - Uśmiecha się i porusza sztywno ramionami. - Dziś wieczorem pobiegnę do domu.

- Jak się tu dostałeś?

Nagle przychodzi mi do głowy, że tata nie pojawiał się w mieście od wieków. Wszystko tutaj działo się zbyt szybko, budynki wyrastały nagle tam, gdzie przedtem było pustkowie, pojawiały się kolejne drogi, a na nich mnóstwo samochodów. Ze smutkiem sprzedał swój wóz. Za bardzo zepsuł mu się wzrok, żeby mógł jeździć bezpiecznie po okolicy, a tym bardziej wozić rodzinę. Siedemdziesiąt pięć lat, żona nie żyła od dziesięciu. Teraz miał swoje własne przyzwyczajenia, wolał nigdzie się nie ruszać, rozmawiał z sąsiadami, chodził do kościoła w niedziele i środy, w poniedziałek spo-

tykał się ze znajomymi z klubu (z wyjątkiem świąt państwowych, wtedy przesuwali spotkanie na wtorek), we wtorek odwiedzał rzeźnika, miał swoje krzyżówki, łamigłówki i telewizję, a w przerwach ogród.

- Fran, moja sąsiadka, mnie przywiozła. - Odkłada banana, nadal śmiejąc się do siebie z żartu o bieganiu. Wkłada do ust kolejne winogrono. - Niemal mnie nie zabiła dwa czy trzy razy. To wystarczy, żebym się przekonał, że Bóg istnieje, gdybym kiedyś miał w to zwątpić. Prosiłem o winogrona bez pestek. Te są z pestkami.

Marszczy czoło. Odkłada kiść na szafkę. Dłonie ma usiane brązowymi plamami wątrobowymi. Wypluwa pestki z ust na rękę i rozgląda się w poszukiwaniu kosza na śmieci.

- Nadal wierzysz w Boga, tato? - moje pytanie brzmi okrutniej, niż zamierzałam, ale gniew jest niemal nieznośny.

- Tak, wierzę, Joyce. - Jak zwykle się nie obraża. Zawija pestki w chusteczkę i wkłada ją z powrotem do kieszeni. - Niezbadane są wyroki Opatrzności. Często nie potrafimy ich zrozumieć ani wyjaśnić, tolerować czy znosić. Rozumiem, że możesz teraz podawać w wątpliwość jego istnienie. Wszyscy to czasami robią. Kiedy umarła twoja matka... - Nie kończy, jak zwykle. Im bardziej dotyka kwestii nielojalności wobec Boga, tym bardziej wdaje się w dyskusje na temat swojej żony. - Ale tym razem Bóg wysłuchał moich próśb. Usłyszał moje wołanie ostatniej nocy. Powiedział mi - przerzuca się na mocny akcent z Cavan*, który nabył jako dziecko przed przeprowadzeniem się do Dublina. - „Wszystko w porządku, Henry. Słyszę cię głośno i wyraźnie. Wszystko jest pod kontrolą więc niczym się nie martw. Zrobię to dla ciebie, nie ma sprawy”. Ocalił cię. Pozwolił mojej córeczce pozostać przy życiu i za to będę mu do zgonnie wdzięczny, mimo żalu nad odejściem innych.

Nie mam na to odpowiedzi, ale serce mi mięknie. Tata

* hrabstwo w prowincji Ulster

przysuwa krzesło bliżej łóżka z głośnym skrobaniem metalowych nóg po podłodze.

- Poza tym wierzę w życie po życiu - dodaje ciszej. - Wierzę. I w raj w niebie, wysoko, tam, nad chmurami, i w to, że wszyscy ludzie trafiają tam z naszej ziemi. Nawet grzesznicy, bo Bóg jest miłosierny. Wszystkim wybacza. W to wierzę,

- Wszystkim? - Walczę z łzami. Nie chcę, żeby zaczęły płynąć, bo wtedy nigdy nie przestaną. - Co z moim dzieckiem, tato? Czy ono też tam jest?

Spogląda na mnie z bólem. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele o mojej ciąży. Było jeszcze wcześniej i wszyscy się martwiliśmy, a tata najbardziej. Zaledwie kilka dni temu pokłóciliśmy się trochę, ponieważ poprosiłam go, żeby przechował nasze zapasowe łóżko w swoim garażu. Zaczęłam szykować pokój dla dziecka... Och, pokój dla dziecka. Łóżko i pozostałe śmieci wyniesione, łóżeczko dzieciinne zakupione, żółta farba na ścianach. „Kaczeńce”, tak się nazywała. Ze szlaczkiem w małe kaczuszki.

Jeszcze pięć miesięcy. Niektórzy ludzie, włączając w to mojego tatę, uważają, że szykowanie pokoju dzieciennego w czwartym miesiącu ciąży jest przedwczesne, ale czekaliśmy na potomka sześć długich lat. Nie było w tym nic przedwczesnego.

- Ach, kochanie, nie wiem...

- Zamierzałam je nazwać Sean, jeżeli okazałoby się chłopcem. - Słyszę, jak wypowiadam te słowa na głos. Powtarzałam je w mojej głowie przez cały dzień, bez przerwy, a teraz wreszcie wylały się ze mnie zamiast łez.

- Bardzo ładne imię, Sean.

- Grace, gdyby było dziewczynką. Po mamie. Ucieszyłaby się.

Zaciska szczęki i spogląda w bok. Ktoś, kto go nie zna, mógłby pomyśleć, że się rozgniewał. Ja wiem, że wcale tak nie jest. Zdaję sobie sprawę, że wzbierają w nim teraz emocje, które powstrzymuje, zaciskając zęby. Czekają na uwol-

nienie w jednej z tych rzadkich chwil, gdy będzie to absolutnie konieczne, kiedy susza w nim wywoła konieczność rozbicia tamy, zalania uczuciami duszy.

- Z jakiegoś powodu sądziłam, że to będzie chłopiec. Nie wiem dlaczego, po prostu tak czułam. Mogłam się mylić. Zamierzałam go nazwać Sean - powtarzam.

Tata kiwa głową.

- Tak, to bardzo dobre imię.

- Często do niego mówiłam. Śpiewałam mu. Ciekawe, czy mnie słyszał. - Mój głos dociera jakby z daleka. Czuję się, jakbym wołała do kogoś z wielkiej dziupli w drzewie, gdzie się schowałam.

Zapada cisza, kiedy wyobrażam sobie przyszłość, która nigdy nie nastąpi. Przyszłość z wymyślonym Seanem. Śpiewanie mu kołysanek na dobranoc, widok delikatnej skórki, chlapanie wodą podczas kąpieli. Kopiające nóżki, jazdę na pierwszym rowerku. Zamki z piasku i zagorzałe kłótnie na temat piłki nożnej. Gniew na to, co mnie ominęło - nie, gorzej, na stracone życie - wypełnia mnie po brzegi, zagłuszając myśli.

- Zastanawiam się, czy w ogóle wiedział.

- Co wiedział, kochanie?

- Co się dzieje. Że go nie będzie. Czy pomyślał, że to ja go odsyłam w jakieś inne miejsce? Mam nadzieję, że mnie nie wini. Miał tylko mnie, a... - Przerywam. Chwilowy koniec tortur. Czuję, że dzieli mnie zaledwie kilka sekund od wydania z siebie krzyku tak potwornego, że natychmiast muszę zamilknąć.

- Gdzie on teraz jest, tato? - pytam. - Jak można umrzeć, kiedy się jeszcze nie urodziło?

- Kochanie... - Chwyta moją dłoń i ściskają.

- Powiedz mi.

Tym razem zastanawia się nad odpowiedzią. Długo i intensywnie. Gładzi moje włosy, palcami odgarnia kosmyki z twarzy i wkłada za uszy. Nie robił tego, od kiedy byłam mała.

- Myślę, że jest w niebie, kochanie. Nie, nie myślę, ja to wiem. Jest tam, na górze, z twoją mamą, o tak. Siedzi u niej na kolanach, kiedy ona gra w remika z Pauline, ogrywa ją jak chce i chichocze radośnie. O tak, ona tam jest. - Spogląda w górę i unosi palec wskazujący. - Gracie, słońce, zadbaj o małego Seana, dobrze? Opowie mu o tobie, kochanie, wszystko, od czasu gdy byłaś niemowlakiem, poprzez dzień, kiedy postawiłaś pierwszy krok i kiedy wyrznął ci się pierwszy ząb. Opowie mu twój pierwszy i ostatni dzień w szkole, i wszystkie dni pomiędzy. Sean będzie wiedział o tobie wszystko i kiedy przekroczysz bramy raję jako stara kobieta, o wiele starsza niż ja teraz, spojrz na ciebie znad remika i powie „Ach, oto ona, moja mamusia”. Będzie wiedział od razu.

Gula w moim gardle jest tak wielka, że z trudem przełykam. Nie potrafię niczego powiedzieć, podziękować, ale tata chyba widzi to w moich oczach, bo tylko kiwa głową i spogląda w telewizor, kiedy ja zwracam się w stronę nicości za oknem.

- Mają tu przyjemną kaplicę, wiesz, kochanie? Może powinnaś tam wstąpić, kiedy już się lepiej poczujesz. Nie musisz nic mówić. Panu Bogu to nie przeszkadza. Po prostu usiądź sobie tam i pomyśl. Mnie to zawsze pomaga.

To chyba ostatnie miejsce na tej ziemi, w którym chciała-bym się znaleźć.

- To bardzo dobre miejsce - dodaje tata, jakby czytując w moich myślach. Przygląda mi się i niemal słyszę, jak modli się o to, żebym wyskoczyła z łóżka i chwyciła różaniec, który położył na szafce przy łóżku.

- To rokokowy budynek, wiesz? - rzucam nagle, nie mając pojęcia, o czym mówię.

- Jaki budynek? - Tata marszczy brwi. Jego oczy znikają pod nimi niczym dwa ślimaki chowające się w muszlach. - Szpital?

Zastanawiam się.

- O czym rozmawialiśmy?

- O maltesersach. Nie! - Milknij na chwilę, a potem zaczyna odpowiadać, jakby startował w konkursie szybkiego zgadywania. - Banany! Nie. Niebo! Nie. Kaplica! Rozmawialiśmy o kaplicy. - Uśmiecha się szeroko, szczęśliwy, ponieważ przypomniał sobie naszą konwersację zaledwie sprzed minuty. - A potem powiedziałaś, że to rozklekotany budynek. Chociaż, szczerze powiedziawszy, wydaje mi się w porządku. Może i jest trochę stary i rozklekotany, ale nie ma w tym nic złego. - Puszczając do mnie oczko.

- Kaplica jest rokokowa, a nie rozklekotana - poprawiam go, czując się jak nauczycielka. - Znana z drobiazgowej skomplikowanej dekoracji architektonicznej sufitu, wykonanej przez francuskiego sztukatora Barthelemy'ego Cramilliona.

- Naprawdę? Kiedy on to zrobił? - Tata przysuwa krzesło bliżej do łóżka. Niczego bardziej nie lubi niż stare dobre *sceal**.

- W 1762 roku. - Precyzyjne, przypadkowe, naturalne. Nie mam pojęcia, skąd to wiem.

- Tak dawno temu? Nie wiedziałem, że ten szpital jest taki stary.

- Zbudowano go w 1757 roku - odpowiadam i marszczę brwi. Skąd, do diabła, ja to wszystko wiem? Nie potrafię się jednak powstrzymać, zupełnie jakby moje usta były zdalnie sterowane, kompletnie odłączone od mózgu. - Został zaprojektowany przez tego samego architekta, który zbudował Leinster House. Nazywał się Richard Cassels. Jeden z najświetniejszych architektów swoich czasów.

- Słyszałem coś o nim - kłamie tata. - Gdybyś powiedziała Dick, od razu bym skojarzył - chichocze.

- Był to pomysł Bartholomew Mosse'a - wyjaśniam, nie wiedząc, skąd się we mnie biorą te słowa, ta wiedza.

* z galijskiego, historia, opowieść

Doznaję *deja vu*: znam to uczucie, te słowa, chociaż nigdy ich nie słyszałam ani nie wypowiadałam wcześniej w tym szpitalu. Przez chwilę wydaje mi się, że może zmyślam, ale mam głębokie przekonanie, że te informacje są poprawne. Fala ciepła oblewa moje ciało.

- W 1745 roku kupił mały teatr zwany New Booth i przekształcił go w pierwszy szpital położniczy w Dublinie.

- Stał w tym miejscu? Teatr?

- Nie, na George's Lane. Tutaj były tylko pola. W końcu jednak oryginalny budynek zrobił się za mały i Mosse kupił ten teren. Porozumiał się z Richardem Casselsem i w 1757 roku Lord Namiestnik otworzył nowy szpital położniczy, znany pod nazwą Rotunda. Było to ósmego grudnia, jeśli pamiętam.

Tata był wyraźnie zaskoczony.

- Nie wiedziałem, że interesujesz się takimi rzeczami, Joyce. Skąd ty to wszystko wiesz?

Marszczę brwi. Nie mam pojęcia. Nagle ogarnia mnie poczucie ogromnej frustracji. Potrząsam gwałtownie głową.

- Chcę pójść do fryzjera - rzucam gniewnie, zdmuchując grzywkę z czoła. - Chcę stąd wyjść.

- Dobrze kochanie - uspokaja mnie cicho tata. - Jeszcze tylko parę dni.

Idzie wreszcie do fryzjer al

Justin zdmuchuje grzywkę z oczu i spogląda z niechęcią na swoje odbicie w lustrze.

Zanim zobaczył, jak wygląda, pakował się przed powrotem do Londynu, gwizdząc radosną melodyjkę. Świeżo rozwiedziony mężczyzna, który dopiero co przespał się z pierwszą kobietą od czasów małżeństwa. No dobrze, to był drugi raz w tym roku, ale pierwszy, który będzie przypominał sobie z pewną dozą dumy. Teraz, gdy stoi przed wielkim lustrem, wyobrażenie, iż jest Fabiem*, znika niczym sen złoty.

Przestaje gwizdać. Koryguje postawę, wciąga policzki, napina mięśnie i przysięga sobie, że teraz, kiedy znad jego głowy zniknęła czarna chmura rozwodu, doprowadzi swoje ciało do należytego porządku. Ma czterdzieści trzy lata, jest przystojny i wie o tym, ale nie zrobił się z tego powodu arogancki. Ocenia swój wygląd z taką samą logiką, jaką stosuje przy kosztowaniu dobrego wina. Tak się złożyło, że winogrona, z których je zrobiono, rosły we właściwym miejscu i w optymalnych warunkach. Mieszanka troski i miłości z późniejszymi chwilami całkowitego zmiążdżenia i podeptania. Justin potrafi rozpoznać, że urodził się z dobrymi genami, należyście proporcjonalny, z wszystkim na swoim miejscu. Nie

* Fabio Lanzoni, znany włoski model

powinien zbierać za to ani pochwał, ani gromów, podobnie jak mniej atrakcyjna osoba nie powinna być postrzegana z irytacją i ironicznym uśmiechem ludzi uzależnionych od wizerunku medialnego.

Około metra osiemdziesięciu wzrostu, szeroki w ramionach, włosy nadal gęste i ciemnobrązowe, chociaż już nieco przyprószone na skroniach. Nie przeszkadza mu to. Ma siwe włosy od dwudziestego roku życia i uważa, że nadają mu szacownego wyglądu. Chociaż niektórzy, przerażeni nieuniknioną koleją życia, którym przyprószone siwizną bokobrody przypominały boleśnie, że człowiek, niestety, się starzeje, rzucali się na niego, przygarbieni i spięci, niczym szesnastowieczni bezzębni trampowie, usiłując wylać farbę do włosów, jakby była to cenna woda ze źródła wiecznego życia.

Justin oczekuje zmian w życiu jako czegoś naturalnego. Nie jest z tych, którzy przystają i tkwią w jednym punkcie, chociaż nie spodziewa się, że jego szczególna filozofia starzenia się i siwienia ma zastosowanie w jego małżeństwie. Jennifer odeszła od niego dwa lata temu, zostawiając go rozmyślającego nad tym i nad wieloma innymi ważnymi powodami tego kroku. Było ich tak wiele, że Justin czasem żałuje, że nie chwycił pióra i nie spisał ich wszystkich, kiedy żona wyrzaskiwała je z nienawiścią. Potem, w ciemne, samotne noce stawał przed lustrem z butelką farby do włosów w rękach i zastanawiał się, czy gdyby poddał się ze swoją filozofią, zmieniłby wszystko na lepsze. Czy obudziłby się rano z Jennifer we wspólnym łóżku? Czy blizna na brodzie tam, gdzie uderzyła go rzucona z wściekłością obrączka ślubna, zaleczyłaby się? Czy lista rzeczy, których Jennifer w nim nienawidziła, zmieniłaby się w listę rzeczy, które w nim kochała? Po chwili otrzeźwiał, wylał farbę do zlewu kuchennego w wynajętym pokoju. Pociemniała stal była przypomnieniem jego decyzji o pozostaniu zakotwiczonym w realiach życia, dopóki nie przeniósł się do Londynu, aby być bliżej córki, ku niezadowolenu byłej żony.

Poprzez kosmyki długiej grzywki opadającej na oczy widzi mężczyznę, którego chce zobaczyć. Szczuplejszego, młodszego, może z paroma kurzymi łapkami wokół oczu. Wszelkie wady w jego wyglądzie, takie jak poszerzająca się talia, są kombinacją starzenia się i jego zaniedbań. Po rozwodzie jego głównym sportem było picie piwa i pochłanianie jedzenia na wynos zamiast spacerów czy wieczornej przebieżki.

Powracające wspomnienia poprzedniej nocy sprawiają, że jego wzrok wędruje w kierunku łóżka, gdzie poznali się w końcu z Sarą bardziej intymnie. Przez cały dzień po tym zdarzeniu czuł się jak wspaniały samiec. Był o krok od przerwania wykładu o malarstwie holenderskim i flamandzkim, żeby opowiedzieć ze szczegółami o swoich popisach łóżkowych. Studenci pierwszego roku akurat imprezowali i na wykład przyszło tylko trzy czwarte grupy. Byli po całonocnej zabawie w pianie, Justin sądził, że w ogóle by nie zauważyli, gdyby nagle zaczął opisywać swoje zdolności jako kochanka. Mimo to postanowił nie testować swojego założenia.

Tydzień Krwiodawstwa na szczęście się już skończył i Sara powróciła z college'u do swojej bazy. Po przyjeździe do Dublina w tym miesiącu Justin przypadkowo wpadł na nią w barze, w którym często bywała. Postanowili zobaczyć, co z tego wyniknie. Justin nie był pewien, czy jeszcze kiedykolwiek ją spotka, chociaż w wewnętrznej kieszeni marynarki miał kartkę z jej numerem telefonu.

Musi przyznać, że chociaż poprzednia noc była rozkoszna - zbyt dużo butelek chateau olivier (które do zeszłego wieczoru uznawał za rozczarowujące mimo idealnej lokalizacji w Bordeaux) opróżnionych w barze na Green, a potem wycieczka do jego pokoju hotelowego - czuje, że zabrakło w niej wiele kontekstów. Znalazł w sobie odwagę (dzięki ogromnej pomocy zawartości minibarku hotelowego), zanim zdecydował się z nią spotkać w barze. Kiedy przybył na miejsce, nie był już zdolny do odbycia poważnej lub w ogóle jakiegokolwiek konwersacji. *Daj spokój, Justin, powiedz mi,*

który znany ci facet przejmuje się jakimiś cholernymi rozmowami? Mimo że ostatecznie wylądowali w łóżku, odniósł wrażenie, że konwersacje są ważne dla Sary. Czuje, że być może były rzeczy, które chciała mu powiedzieć, i może nawet to zrobiła, kiedy on wpatrywał się w jej smutne błękitne świdrujące oczy i pełne różane wargi, rozchylające się i zamykające. Niestety, whisky Jameson zagłuszyła jej słowa.

Drugi wykład w ciągu dwóch miesięcy zaliczony. Justin wrzuca ubrania do torby podróźnej, zadowolony, że wreszcie opuści ten smutny, zagrzybiony pokoik. Jest piątek po południu. Czas wracać do Londynu, do córki oraz do młodszego brata Ala i jego żony Doris, którzy przyjechali z wizytą z Chicago. Wychodzi z hotelu na brukowane ulice Tempie Bar i zdąża do czekającej na niego taksówki.

- Na lotnisko, proszę.
- Na wakacjach? - pyta natychmiast kierowca.
- Nie. - Justin wygląda przez okno z nadzieją, że to zakończy rozmowę.

- Praca? - Taksówkarz zapala silnik.
- Tak.
- Gdzie pan pracuje?
- W college'u.
- Którym?
- Trinity - wzdycha Justin.
- Jest pan sprzątaczem? - Kierowca zerka na niego żartobliwie we wstecznym lusterku.

- Nie, wykładowcą sztuki i architektury. - Justin krzyżuje ramiona w obronnym geście i zdmuchuje z oczu grzywkę.

- Architektura, co? Kiedyś byłem budowlańcem.

Justin nie odpowiada z nadzieją, że konwersacja się zakończy.

- Gdzie się pan wybiera? Na wakacje?

- Nie.

- W takim razie gdzie?

- Mieszkam w Londynie. - *A mój numer ubezpieczenia to...*
- Ale pracuje pan tutaj?
- Tak.
- Nie chciałby pan tu mieszkać?
- Nie.
- Dlaczego?
- Ponieważ wykładam tu gościnnie. Mój dawny kolega zaprosił mnie do wygłoszenia comiesięcznych wykładów.
- Aha. - Kierowca uśmiecha się do niego w lusterku, jakby Justin usiłował go oszukać. - A co pan robi w Londynie? - Przygląda się mu uważnie.

Jestem seryjnym mordercą wścibskich kierowców taksówek.

- Dużo różnych rzeczy. - Justin wzdycha i poddaje się, ponieważ taksjariusz wyraźnie czeka na więcej. - Jestem wydawcą „Przeglądu Artystycznego i Architektonicznego”, jedynego dziennika naukowego w tej dziedzinie - mówi z dumą. - Założyłem go dziesięć lat temu i nadal nie mamy konkurencji. Najlepiej sprzedający się magazyn tego rodzaju. - *Dwadzieścia tysięcy subskrybentów, ty kłamco!*

Brak reakcji.

- Jestem również kuratorem.

Kierowca się krzywi.

- Musi pan dotykać nieboszczyków?

Justin marszczy brwi zdezorientowany.

- Słucham? Nie. Poza tym regularnie uczestniczę w dyskusji w programie artystyczno-kulturalnym BBC - dodaje niepotrzebnie. *Dwa razy w ciągu pięciu lat nie równa się regularnie, Justin. Po prostu się zamknij.*

Kierowca przygląda mu się w lusterku wstecznym.

- Występuje pan w telewizji? Nie poznaję pana.
- A ogląda pan ten program?
- Nie.

Więc o co chodzi? Justin przewraca oczami. Ściąga marynarkę, rozpina kolejny guzik koszuli i otwiera okno. Włosy

przylegają mu do czoła. Nadal. Minęło kilka tygodni, a on wciąż nie poszedł do fryzjera. Zdmuchuje kosmyki z oczu.

Stają na czerwonym świetle i Justin spogląda w lewo. Salon fryzjerski.

- Czy mógłby się pan zatrzymać po lewej na kilka minut? - prosi.

- Conor, naprawdę, nie przejmuj się. Przystań przeproszać - mówię do słuchawki zmęczonym tonem. Wykańcza mnie. Każde słowo naszej rozmowy pozbawia mnie energii. - Tata jest tu ze mną i pojedziemy do domu taksówką, chociaż mogłabym to równie dobrze zrobić sama.

Na zewnątrz szpitala tata otwiera przede mną drzwi. Wdrapuję się do samochodu. Wreszcie wracam do domu, ale nie czuję ulgi, na jaką liczyłam. Tylko przerażenie. Boję się spotkać znajomych i wyjaśniać bez końca, co się wydarzyło. Boję się wejść do mieszkania i zastać w nim do połowy urządzony pokój dla dziecka. Boję się, że będę musiała go zlikwidować, wstawić tam z powrotem zapasowe łóżko i wypełnić szafy nadmiarem moich butów i toreb, których nigdy nie noszę. Zupełnie jakby osobna sypialnia tylko dla nich była wystarczająco dobrym zastępstwem za dziecko. Boję się wrócić do pracy zamiast wziąć urlop macierzyński. Boję się widoku Conora. Boję się powrotu do małżeństwa bez miłości i dziecka, które odwróciłoby naszą uwagę od braku więzi między nami. Boję się żyć z dnia na dzień, i tak do końca.

Tymczasem Conor marudzi bez przerwy o tym, jak to chciałby być tutaj dla mnie, kiedy powtarzam mu niczym mantrę, żeby nie wracał. Wiem, że na zdrowy rozsądek powinnam chcieć natychmiastowego powrotu męża, jego wsparcia. Co więcej, powinnam sobie życzyć, żeby inicjatywa wyszła od niego. W naszym małżeństwie jest jednak zbyt wiele znaków zapytania, a ten „incydent” nie jest zwyczajnym wydarzeniem. Zasługuje na dziwaczną reakcję. Stosowne, dojrzałe zachowanie wydaje mi się niewłaściwe, po-

nieważ nie chcę teraz mieć nikogo w pobliżu. Zbyt długo szturchano mnie, kłuto, dogłębnie badano fizycznie i psychicznie. Chcę być sama, żeby przejść żałobę. Chcę się móc nad sobą użalać bez wysłuchiwania słów pocieszenia i klinicznych wyjaśnień. Chcę być nielogiczna, żałosna, chcę szukać winy w sobie samej, pełna goryczy i zagubiona jeszcze przez kilka dni. I chcę przez to przejść sama. Proszę?

Chociaż w naszym małżeństwie nie jest to takie niezwykle.

Conor jest inżynierem. Podróżuje za granicę i przebywa tam całymi miesiącami, zanim wróci do domu na chwilę i znów wyruszy w podróż. Przyzwyczyłam się tak bardzo do samotności i mojej codziennej rutyny, że przez pierwszy tydzień pobytu w domu ciągle mnie drażnił, i chcę, żeby już wyjechał. Oczywiście to wszystko zmieniało się z czasem. Teraz rozdrażnienie rozciąga się na cały miesiąc jego pobytu w domu. Stało się również bardziej niż oczywiste, że nie jestem odosobniona w moim uczuciu.

Kiedy Conor podjął pracę dawno temu, ciężko nam było żyć z dala od siebie przez tak długi czas. Odwiedzałam go tak często, jak mogłam, chociaż trudno mi było ciągle brać urlop. Wizyty stawały się krótsze, rzadsze, aż w końcu ustały.

Zawsze sądziłam, że nasze małżeństwo przetrwa wszystko tak długo, jak oboje będziemy się starać. Potem jednak spostrzegłam, że muszę pracować nad tym staraniem się. Zaczęłam przekopywać się przez warstwy komplikacji, które stworzyliśmy przez lata wspólnego życia, żeby dotrzeć do początków naszej znajomości. Co takiego mieliśmy wtedy, co mogłabym teraz ożywić? Co sprawiło, że dwoje ludzi chciało przysiąc sobie, że spędzą razem resztę życia? Ach, znalazłam. To była rzecz zwana miłością. Małe proste słowo. Gdyby tylko nie znaczyło tak wiele, nasze małżeństwo byłoby bez skazy.

Rozmyślałam wiele, leżąc w szpitalnym łóżku. Czasem mój umysł zawieszał się, niczym człowiek, który wszedł do pokoju i nagle zapomniał, po co przyszedł. Stawał osłupiały.

W takich chwilach był jakby znieczulony. Wpatrując się w różowe ściany, nie myślałam o niczym innym, tylko o wpatrywaniu się w różowe ściany.

Mój umysł przerzucał się od otepienia do nadmiernego odczuwania, ale czasem oddalałam się we wspomnienia, szukałam obrazów z dzieciństwa, kiedy miałam sześć lat i dostałam ulubiony serwis do herbaty od babci Betty. Trzymała go u siebie w domu, żebym mogła się nim bawić podczas sobotnich odwiedzin. Popołudniami, kiedy „piła herbatkę” ze swoimi przyjaciółkami, ja przebierałam się w śliczne pkienki mojej mamy, które ona nosiła jako dziecko, i „piłam herbatkę” z Ciocią Jemimą domową kotką. Sukienki nigdy nie pasowały, ale i tak się w nie przebierałam. Ciocia Jemima i ja nigdy również nie skosztowałyśmy ani łyka herbaty, ale obie uprzejmie udawałyśmy, dopóki rodzice nie przyjechali wieczorem, żeby zabrać mnie do domu. Opowiedziałam tę historię Conorowi wiele lat temu. Śmiał się ze mnie. Zupełnie nie zrozumiał, o co w niej chodziło.

Nie było to zresztą trudne, więc nie zamierzam go o to winić. Niemniej jednak mój umysł krzyczał do niego, żeby pojął sedno sprawy. Im dłużej żyłam, tym bardziej przekonywałam się, że ludzi nigdy naprawdę nie nużą przebieranki i udawanie, nieważne, ile minęło lat od dzieciństwa. Nasze kłamstwa stają się po prostu bardziej wyrafinowane, oszukańcze słowa elokwentne. Od kowbojów i Indian, lekarzy i pielęgniarek do męża i żony. Nigdy nie przestajemy udawać. Siedząc w taksówce obok taty i słuchając Conora przez telefon, zdaję sobie sprawę, że skończyłam z grą.

- Gdzie jest Conor? - pyta tata, kiedy wyłączam telefon.

Rozpina górny guzik koszuli i poluźnia krawat. Za każdym razem, kiedy wychodzi z domu, wkłada koszulę i nigdy nie zapomina czapki. Szuka uchwytu na drzwiach, żeby opuścić okno.

- To elektroniczny system, tato. Tutaj jest guzik. Conor nadal jest w Japonii. Wróci do domu za kilka dni.

- Myślałem, że wczoraj przyleciał.

Tata otwiera okno do końca i atakuje go silny podmuch wiatru. Czapka zsuwa mu się z głowy i kilka kosmyków, które jeszcze rosną na głowie, unosi się do góry. Tata poprawia czapkę i walczy przez chwilę z guzikiem, zanim orientuje się, jak pozostawić jedynie małą szparkę na górze, żeby do wnętrza dusznej taksówki wpływało świeże powietrze.

- Ha! Mam cię! - Uśmiecha się triumfalnie, stukając pięścią w okno. Czekam, aż skończy walkę z szybą.

- Powiedziałaś mu, żeby został - odpowiadam.

- Powiedziałaś komu, kochanie?

- Conorowi. Pytałeś o Conora, tato.

- Ach, no tak, rzeczywiście. Niedługo wróci do domu, tak?

Kiwam głową.

Jest gorąco. Zdmuchuję kosmyki włosów z lepkiego czoła. Czuję, jak lepią się do wilgotnej szyi. Nagle wydaje mi się, że mam na głowie skorupę, tłustą brązową i postrzępioną. Cięży mi i mam niepowstrzymaną chęć zgolić to wszystko do skóry. Zaczynam się wiercić na siedzeniu i tata, znowu wyczuwając sytuację, wie, że nie powinien się odzywać.

Robiłam to przez cały tydzień: doświadczałam gniewu ponad wszelkie zrozumienie, chciałam walić pięściami w ściany i bić pielęgniarki. Potem stawałam się płacziwa i czułam w sobie pustkę tak potworną jakby nigdy nie miała zostać wypełniona.

Wolę gniew. Gniew jest lepszy. Gorący, wypełniający, daje mi coś, czego się mogę uchwycić.

Zatrzymujemy się na światłach i spoglądam w lewo. Salon fryzjerski.

- Proszę tu zjechać.

- Co ty robisz, Joyce?

- Poczekaj w samochodzie, tato. Zajmie mi to tylko dziesięć minut. Muszę sobie podciąć włosy. Nie mogę już tego znieść.

Tata spogląda na salon, a potem na taksówkarza. Obaj wiedzą, że nie powinni komentować. Taksówka przed nami włącza kierunkowskaz i również zjeżdża na pobocze. Stajemy tuż za nią.

Z wozu przed nami wysiada mężczyzna. Zastygam zjedną nogą na zewnątrz samochodu i przyglądam mu się. Wydaje się znajomy, jakbym go już gdzieś widziała. Zatrzymuje się i spogląda na mnie. Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, szukamy czegoś w naszych twarzach. Mężczyzna drapie się po lewym ramieniu. Coś mi mówi, że zbyt długo mu się przyglądam. To niezwykła chwila. Czuję gęsią skórę. Spoglądam szybko w bok. Ostatnią rzeczą, której teraz pragnę, jest spotkanie kogoś znajomego.

Mężczyzna również odwraca wzrok i rusza przed siebie.

- Co ty robisz? - pyta tata zbyt głośno.

Wreszcie wysiadam z samochodu.

Zaczynam iść w stronę salonu i po chwili staje się jasne, że nieznajomy również tam zmierza. Moje kroki stają się mechaniczne, dziwne, sztywne. Coś w tym mężczyźnie sprawia, że czuję się niepewna, zdenerwowana. Może to oczekiwanie, że będę musiała powiedzieć komuś o utracie dziecka? Tak. Miesiąc nieustannych rozmów na ten jeden temat, a teraz nie będzie żadnego maleństwa. Przykro mi, moi drodzy. Czuję się z tego powodu winna, jakbym oszukiwała przyjaciół i rodzinę. Najdłuższy żart na świecie. Dziecko, którego nigdy nie będzie. Serce ściska mi się na samą myśl.

Mężczyzna otwiera drzwi do salonu i uśmiecha się. Jest przystojny, wysoki, szeroki w barach, muskularny, ma zdrową cerę. Ideał. Promienieje? Muszę go skądś znać.

- Dziękuję - rzucam.

- Nie ma za co.

Oboje zatrzymujemy się, spoglądamy na siebie, na dwie identyczne taksówki czekające na poboczu, a potem znów na siebie. Mężczyzna chyba chce coś powiedzieć, ale szybko odwracam wzrok i wchodzę do środka.

W salonie nie ma żadnych klientów, tylko dwóch fryzjerów, którzy siedzą na krzesłach i gawędzą. Jeden ma tlenione włosy, drugi fryzurę „na łyżwę”. Dostrzegają nas i zrywają się z siedzeń.

- Którego pani wybiera? - pyta Amerykanin dyskretnie, kątem ust.

- Blondyna - odpowiadam z uśmiechem.

- Zatem facet z plerezą.

Otwieram usta, ale ostatecznie zaczynam się śmiać.

- Witam, moi drodzy. - Fryzjer z fryzurą „na łyżwę” podchodzi bliżej. - W czym mogę pomóc? Które z was przyszło się obciąć?

- Zakładam, że oboje. - Amerykanin spogląda na mnie, a ja kiwam głową.

- Och, przepraszam, myślałem, że jesteście państwo razem.

Zdaję sobie sprawę, że niemal stykamy się z Amerykaninem biodrami. Spoglądamy na przylegające do siebie boki, potem zaglądamy sobie w oczy i zgodnie wykonujemy wielki krok w przeciwnych kierunkach.

- Powinniście spróbować pływania synchronicznego - mówi ze śmiechem fryzjer, ale milknie, kiedy nie reagujemy. - Ashley, zajmij się piękną damą. Pana proszę ze mną.

Prowadzi swojego klienta ku fotelowi. Amerykanin wykrzywia się do mnie i znów zaczynam się śmiać.

- W porządku. Tylko pięć centymetrów - mówi Amerykanin. - Ostatnim razem obcięli mi pięćdziesiąt, tak przynajmniej to wyglądało. Nalegam, nie więcej niż pięć centymetrów - podkreśla. - Na zewnątrz czeka na mnie taksówka. Jadę na lotnisko, więc bardzo proszę o pośpiech.

Fryzjer śmieje się w głos.

- Jasne, nie ma problemu. Wraca pan do Ameryki?

Mężczyzna przewraca oczami.

- Nie, nie do Ameryki. Nie wybieram się również na wakacje ani nie odbieram nikogo przylatującego do Dublina. Po

prostu muszę złapać samolot. Wyjechać stąd. Wy, Irlandczycy, zadajecie dużo pytań.

- Doprawdy?

- Ta... - przerywa, mruży oczy i wpatruje się we fryzjera.

- Mam cię! - Tamten się uśmiecha, celując w Amerykani-
nina nożyczkami.

- Faktycznie. - Mężczyzna zaciska zęby. - Ma mnie pan.

Chichoczę głośno i Amerykanin natychmiast na mnie spogląda. Wydaje się nieco zdezorientowany. Może jednak się znamy? Może pracuje z Conorem. Może chodziłam z nim do szkoły albo college'u? Może zajmuje się nieruchomościami i kiedyś razem pracowaliśmy? Nie, to niemożliwe. Jest Amerykaninem. Może pokazywałam mu jakiś dom na sprzedaż? Może jest sławny i nie powinnam się na niego gapić? Zawstydziałam się i szybko odwracam wzrok.

Mój fryzjer owija mnie czarną płachtą. Spoglądam szybko w lustrze na mężczyznę za mną. Nadal mnie obserwuje. Uciekam wzrokiem w bok, a potem patrzę prosto w jego odbicie. Teraz on dezerteruje. Nasz mecz tenisowy spojrzeń trwa przez cały czas wizyty w tym salonie.

- Co dzisiaj robimy z włosami?

- Golimy - odpowiadam, unikając spoglądania na swoje odbicie, jednak czuję chłodne dłonie na (policzkach, unoszące moją głowę i jestem zmuszona stanąć ze sobą twarzą w twarz.

y

Jest coś niezwykle denerwującego w tym, jak ludzie zmuszają cię do spojrzenia na siebie, gdy nie chcesz się z czymś pogodzić. Z czymś bolesnym, niczym świeża rana, realnym, od czego nie możesz uciec. Można się okłamywać, oszukiwać umysł i logikę przez cały czas, ale kiedy spoglądasz sobie w twarz, wiesz doskonale, że to wszystko kłamstwo. Nic nie jest w porządku. Nie czuję się dobrze. Tego przed sobą nie ukrywam i teraz cała istota tej konstatacji wyziera z mojej twarzy. Zapadnięte policzki, czarne cienie pod oczami, czerwone od płaczu oczy. Poza tym jednak nadal wyglądam jak

ja. Pomimo ogromnej zmiany w moim życiu nic się nie zmieniłam. Jestem zmęczona, ale nadal taka sama. Nie wiem, czego oczekiwałam. Zupełnie odmienionej kobiety, kogoś, na kogo ludzie spojrzą i od razu będą wiedzieli, że przeżyła coś potwornego? Ale lustro mówi mi prawdę: nie można się dowiedzieć wszystkiego wyłącznie z wyglądu. Nigdy nie sposób dowiedzieć się wszystkiego po spojrzeniu w twarz człowieka.

Mam metr sześćdziesiąt cztery wzrostu i włosy w kolorze jasnego brązu długie do ramion. Jestem średniej budowy, nie gruba, nie chuda. Ćwiczę dwa razy w tygodniu, trochę biegam, trochę spaceruję, trochę pływam. Nic w nadmiarze, nic w niedomiarze. Nie jestem ogarnięta obsesją ani uzależniona od niczego. Nie jestem nadmiernie śmiała, ani też wstydliva, odrobina jednego i drugiego, w zależności od nastroju i okazji. Nigdy nie przesadzam i lubię większość rzeczy, które robię. Rzadko się nudzę i nieczęsto narzekam. Kiedy piję, nigdy nie upijam się na umór. Lubię moją pracę, ale jej nie kocham. Nie jestem piękna ani brzydka, po prostu ładna. Nie oczekuję zbyt wiele i nigdy nie jestem zbyt rozczarowana. Nic mnie nigdy nie przerasta ani nie przytłacza, zawsze potrafię znaleźć złoty środek. Jestem w porządku. Nic spektakularnego. Spoglądam w lustro i widzę tę przeciętną osobę. Nieco zmęczoną, nieco smutną, ale nie załamana. Zerkam na mężczyznę za moimi plecami i dostrzegam w jego wzroku to samo zrozumienie.

- Słucham? - Fryzjer przerywa moje zamyślenie. - Chce pani zgolić się na łyso? Jest pani pewna? Ma pani takie zdrowe włosy. - Przesuwa po nich palcami. - Czy to naturalny kolor?

- Tak. Kiedyś je farbowałam, ale przestałam ze względu na...

O mały włos nie powiedziałam „dziecko”. Do oczu nabiegają mi łzy i opuszczam głowę, ale fryzjer myśli, że kiwam w kierunku mojego brzucha, ukrytego pod fartuchem.

- Przestała pani ze względu na co? - pyta.

Nadal wpatruję się w stopy, udając, że robię coś z jedną z nich. Dziwaczny manewr. Nie jestem w stanie wymyślić żadnej odpowiedzi, więc udaję, że go nie słyszałam.

- Słucham?

- Mówiła pani, że przestała farbować włosy z jakiegoś powodu.

- Och. Em... - Nie płacz. Nie płacz. Jeżeli teraz zaczniesz, nigdy nie przestaniesz. - Och, nie wiem - mamroczę, pochylając się i bawiąc torebką stojącą na ziemi. To przejdzie. Przejdzie. Któregoś dnia w końcu przejdzie, Joyce. - Chemikalia. Przerwałam ze względu na chemikalia.

- Rozumiem. No dobrze, może coś takiego? - Chwyta moje włosy i zbiera je z tyłu. - Meg Ryan we *Francuskim pocałunku*? - Stawia mi włosy we wszystkich kierunkach. Wyglądam, jakbym wsadziła palce do kontaktu. - Seksowna fryzura „prosto z łóżka”. Albo to. - Znow mierzwi mi włosy.

- Czy możemy się pospieszyć? Czeka na mnie taksówka.

Spoglądam przez okno. Tata gawędzi z kierowcą. Obaj śmieją się z czegoś. Uspokajam się nieco.

- Ttttttttttttak. Takiej decyzji nie można przyspieszać. Ma pani dużo włosów.

- Nie szkodzi. Pozwalam się panu spieszyć. Niech pan to wszystko zgoli. - Spoglądam na samochód.

- Musimy zostawić kilka centymetrów, kochanie. - Zwraca moją twarz do lustra. - Nie chcemy wyglądać jak Sigourney Weaver w *Obcym*, co? GI Janes mają wstęp wzbroniony do tego salonu. Zrobimy pani grzywkę na bok, bardzo elegancką i modną. Będzie pani z tym bardzo do twarzy. Podkreśli linię policzków. Co pani na to?

Nie obchodzi mnie policzki. Chcę się pozbyć włosów.

- A może coś takiego? - Zabieram mu nożyczki, obcinam kucyk i oddaję mu obie rzeczy.

Fryzjer wciąga powietrze z piskiem.

- Może w takim razie... na pazia.

Amerikanin spogląda z otwartymi ustami na nożyczki i dobre dwadzieścia centymetrów włosów zwisające z dłoni mojego fryzjera. Odwraca się do swojego i chwytając jego nożyczki.

- Proszę nie robić czegoś takiego z moimi włosami! - przestrzega.

- Oczywiście, że nie, sir. - Fryzjer z plerazą wywraca oczami.

Amerikanin znów drapie się po lewym ramieniu.

- Chyba mnie coś ugryzło.

Usiłuje podwinąć rękaw. Odwracam się na siedzeniu, próbując spojrzeć na jego ramię.

- Proszę się nie ruszać!

- Proszę się nie ruszać!

Obaj fryzjerzy mówią zgodnym chórem. Spoglądają na siebie i śmieją się głośno.

- Coś dziwnego dzisiaj wisi w powietrzu - komentuje jeden z nich.

Spoglądamy na siebie z Amerikaninem. Rzeczywiście, coś dziwnego.

- Spoglądamy w lustro, bardzo proszę. - Mężczyzna odwraca głowę.

Mój fryzjer kładzie dwa palce pod moją brodą i przesuwając moją głowę z powrotem do lustra. Wręcza mi kucyk.

- Pamiątka.

- Nie chcę tego.

Odmawiam wzięcia włosów w rękę. Każdy ich centymetr należy do czasów, które minęły. Chwil pełnych myśli, życzeń, nadziei, pragnień i marzeń, które odeszły. Chcę nowego początku. Nowych włosów.

Zaczyna obcinać włosy, a ja obserwuję każdy kosmyk opadający na ziemię. Czuję, że głowa robi się lżejsza.

Włosy, które rosły w dniu, gdy kupiliśmy łóżeczko dla dziecka. Cięcie.

Włosy, które rosły, kiedy wybieraliśmy kolor farby na

ściany do pokoju dziecięcego, butelki, smoczki i ubranka. Wszystko zbyt wcześnie, ale byliśmy tacy podnieceni... Cięcie.

Włosy, które rosły w dniu, w którym wybieraliśmy imiona. Cięcie.

Włosy, które rosły w dniu, w którym ogłosiliśmy wieści rodzinie i przyjaciołom. Cięcie.

Dzień pierwszego USG. Dzień w którym dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Dzień, w którym zostało poczęte moje dziecko. Cięcie. Cięcie. Cięcie.

Co boleśniejsze wspomnienia pozostaną przez jakiś czas tuż przy skórze i pod nią w cebulkach włosów. Będę musiała poczekać, aż wykiełkują, zanim ich też się pozbędę. Wtedy wszystkie ślady przeszłości odejdą i będę mogła zacząć znowu żyć.

Docieram do kasy, kiedy Amerykanin płaci za obcięcie.

- Ładnie pani w takiej fryzurze - komentuje, przyglądając się mi.

Odruchowo usiłuję zatknąć włosy za ucho, ale niczego nie ma. Czuję się lżejsza, niemal upojona lekkością aż do zawrotu głowy.

- Panu też.

- Dziękuję. - Otwiera drzwi i przytrzymuje.

- Dziękuję. - Wychodzę na zewnątrz.

- Zbyt pani uprzejma - mówi.

- Pan też. - Uśmiecham się. - Dziękuję.

- Ja też. - Kiwa głową.

Śmiejemy się. Oboje spoglądamy na czekające na nas taksówki, a potem znowu na siebie, zaciekawienia Mężczyzna uśmiecha się do mnie.

- Pierwsza czy druga taksówka? - pyta.

- Dla mnie?

Kiwa głową.

- Mój kierowca nie przestaje gadać.

Przyglądam się obu samochodom. Tata siedzi w drugiej, pochyla się do przodu, gawędząc z kierowcą.

- Pierwsza. Mój tata nie przestaje gadać.

Amerikanin przygląda się drugiemu wozowi, w którym tata przytyka właśnie twarz do okna i wpatruje się we mnie, jakbym była zjawą.

- W takim razie druga - rzuca mężczyzna i wędruje do swojej taksówki, oglądając się za siebie dwa razy.

- Hej! - protestuję i przyglądam się mu jak zaczarowana.

Podchodzę do mojej taksówki, otwieramy i zamykamy drzwi jednocześnie. Taksówkarz i tata spoglądają na mnie, jakby zobaczyli ducha.

- Co? - Serce bije mi szybko. - Co się stało? Powiedz mi!

- Twoje włosy - odpowiada tata z przerażoną miną. - Wyglądasz jak chłopak!

Taksówka zbliża się do mojego domu w Phisboro i żołądek zaciska mi się boleśnie.

- Zabawne, że ten mężczyzna w taksówce przed nami też kazał czekać kierowcy. Prawda, Gracie?

- Joyce. I tak, to było zabawne - odpowiadam. Noga podskakuje mi ze zdenerwowania.

- Czy teraz to właśnie robią ludzie, którzy chcą obciąć włosy?

- Robią co, tato?

- Zostawiają taksówki przed salonami, żeby na nich czekały.

- Nie wiem.

Tata przesuwa się na brzeg siedzenia i pochyla do przodu, w kierunku kierowcy.

- Jack, a co ty na to? Czy w dzisiejszych czasach ludzie tak właśnie się zachowują kiedy chcą iść do fryzjera? ^

- Co takiego?

- Zostawiają taksówki przed salonem, żeby na nich czekały.

- Nigdy przedtem mnie o to nie proszono - wyjaśnia uprzejmie taksówkarz.

Tata rozsiada się wygodniej, usatysfakcjonowany.

- Tak właśnie myślałem, Gracie.

- Mam na imię Joyce! - warczę.
- Joyce. To zbieg okoliczności. Wiesz, co mówią o takich przypadkach?

- Tak. - Skręcamy w moją ulicę i czuję młodości.

- Że nie ma czegoś takiego, jak zbieg okoliczności - kończy tata, chociaż odpowiedziałam twierdząco. - Święta prawda - mówi do siebie. - Nie ma takiej rzeczy. O, to Patrick. - Macha. - Mam nadzieję, że mi nie pomacha w odpowiedzi. - Obserwuje przyjaciela z Klubu Poniedziałkowego, opierającego się na balkoniku do spacerów. - O, i David też wyszedł na spacer, z psem. - Znów macha, chociaż David zatrzymuje się, żeby jego zwierzak mógł zrobić kupę, i spogląda w zupełnie inną stronę. Mam wrażenie, że tata czuje się kimś specjalnym, siedząc w taksówce. Rzadko z nich korzysta, ponieważ go nie stać i zazwyczaj udaje się tylko do miejsc, do których można dotrzeć piechotą lub autobusem.

- Dom, kochany dom - obwieszcza. - Ile ci jestem winien, Jack? - Pochyliła się do przodu, wyciągając banknot o wartości pięciu euro.

- Obawiam się, że dwadzieścia euro.

- Słucham? - Tata spogląda na niego oszołomiony.

- Zapłać, tato. Schowaj pieniądze.

Daję kierowcy dwadzieścia pięć euro i proszę, żeby zatrzymał resztę. Tata patrzy na mnie, jakbym właśnie wyjęła mu z dłoni kufel piwa i wylała do rynsztoka.

Conor i ja mieszkamy w segmencie z czerwonej cegły w Phisboro od dziesięciu lat, kiedy się pobraliśmy. Domy w tej okolicy zbudowano w latach czterdziestych. Po trochu inwestowaliśmy w modernizację naszego mieszkania. Wreszcie wygląda tak, jak chcieliśmy, a raczej wyglądało, do zeszłego tygodnia. Czarny płotek otacza mały ogródek z przodu, gdzie mama posadziła krzewy róż. Tata mieszka w identycznym domu dwie ulice stąd. Dorastałam tam, chociaż nigdy tak naprawdę nie dorosłam. Ciągłe się uczę. Kiedy wracam do domu taty, cofam się do mojej młodości.

Drzwi do domu otwierają się, kiedy odjeżdża taksówka. Fran, sąsiadka taty, uśmiecha się do mnie z mojego własnego progu. Spogląda na nas dziwnie, nie patrząc mi w oczy. Muszę się do tego przyzwyczaić.

- Och, twoje włosy! - mówi, a potem się reflektuje. - Przepraszam, słońce. Miałam stąd wyjść przed twoim przyjazdem. - Otwiera drzwi na całą szerokość i wyprowadza kraciastą torbę na kółkach. Na prawej ręce ma żółtą lateksową rękawiczkę.

Tata wygląda na zdenerwowanego. Unika mojego wzroku.

- Co tu robiłaś, Fran? Jakim cudem dostałaś się do środka? - Usiłuję być grzeczna, ale widok obcej osoby w moim domu, bez mojego pozwolenia, zaskakuje mnie i gniewa.

Fran czerwienieje i spogląda na tatę. Tata rzuca wzrokiem na jej rękę i kaszle. Fran śmieje się nerwowo i ściąga rękawiczkę.

- Och, twój tata dał mi klucze. Pomyślałam, że... położyłam w przedpokoju ładny dywanik. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Wpatruję się w nią z kompletnym niezrozumieniem.

- Nieważne. Lepiej już pójdę. - Przechodzi obok mnie, chwyta mnie za ramię i ściska mocno. Nadal nie patrzy mi w oczy. - Dbaj o siebie, słońce.

Rusza ulicą, ciągnąc za sobą kraciasty wózek. Za duże rajstopy zwijają się wokół jej grubych kostek.

- Tato - spoglądam na niego gniewnie. - Co to ma, do diabła, oznaczać? - Wchodzę do domu, spoglądając na odrażający zakurzony dywanik leżący na beżowym dywanie. - Dlaczego dałaś obcej osobie klucze do mojego domu,¹ żeby mogła tu sobie wejść i zostawić dywanik? Nie potrzebuję takiej dobroczynności!

Tata zdejmuje czapkę i mnie ją w dłoniach.

- Fran nie jest obcą osobą, kochanie. Zna cię od dnia, w którym przywieźliśmy cię ze szpitala...

Nieodpowiednia historia i tata wie o tym doskonale.

- Nic mnie to nie obchodzi! - wypływam z siebie. - To mój dom, nie twój! Nie możesz robić takich rzeczy. Nienawidzę tego obrzydliwego dywanika!

Chwytam go za jeden róg, wywlekam na zewnątrz i z trzaskiem zamykam drzwi. Jestem wściekła i spoglądam na tatę, żeby znów na niego nakrzyczeć. Jest blady i wyraźnie wstrząśnięty. Spogląda na podłogę. Podążam za jego wzrokiem.

Na beżowym dywanie widnieją rozmaitego kształtu plamy, bladobrazowe, jakby po rozlanym winie. W niektórych miejscach zostały wyczyszczone, ale włosie dywanu sterczy w innym kierunku, odsłaniając to, co kiedyś tu było. Moją krew.

Chowam głowę w dłoniach.

- Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeżeli wrócisz do domu i tego nie zobaczysz - mówi tata cicho, zraniony.

- Och, tato.

- Fran przychodziła tu codziennie, próbowała różnych sposobów, żeby to wywabić. To ja zasugerowałem dywanik - dodaje cicho. - Nie możesz jej za to winić.

Nienawidzę siebie.

- Wiem, że lubisz te wszystkie swoje nowe rzeczy. - Rozgląda się. - Ale Fran i ja, nie chcieliśmy, żeby tak zostało.

- Przepraszam, tato. Nie wiem, co mnie napadło. Przykro mi, że na ciebie nakrzyczałam. Byłeś dla mnie taki dobry przez cały tydzień. Ja... odwiedzę Fran któregoś dnia i podziękuję jej odpowiednio.

- Dobrze. - Kiwa głową. - W takim razie zostawię cię, tak? Zabiorę dywanik. Nie chcę, żeby któryś z sąsiadów zobaczył go na dworze i powiedział jej o tym.

- Nie. Położę go tam, gdzie był. Jest za ciężki, żebyś go dźwigał przez całą drogę. Zatrzymam go, na razie. Oddam jej sama.

Otwieram drzwi wejściowe, wciągam dywanik z powrotem do domu, ze znacznie większym szacunkiem, i układam pieczołowicie tak, że zasłania miejsce, w którym straciłam moje dziecko.

- Przepraszam, tato.

- Nie martw się. - Kolebie się w moim kierunku i poklepuje mnie po ramieniu. - Przechodzisz ciężki okres, wiem to. Pamiętaj, jeśli czegokolwiek będziesz potrzebowała, jestem niedaleko.

Jednym sprawnym ruchem wkłada czapkę na głowę i rusza do domu. Jego chód jest znajomy i w pewnym sensie uspokajający, niczym falowanie morza. Znika za rogiem. Zamykam drzwi. Jestem sama. Cisza. Tylko ja i dom. Życie toczy się dalej, jakby nic się nie stało.

Pokój dziecienny wydaje się promieniować, przenikać wszystkie ściany domu i sufit. Pulsuje niczym serce, usiłuje wydostać się na zewnątrz, wypompować z siebie krew w dół, korytarzem, do wszystkich kątów i szczelin. Oddalam się od schodów, miejsca zbrodni, i zaczynam chodzić po pokojach. Wszystko jest na swoim miejscu, chociaż dostrzegam, że Fran trochę tu posprzątała. Opłukała kubek z herbatą, którą piłam przed wypadkiem. W kuchni mruczy zmywarka, którą nastawiła przed wyjściem. Krany, zlew i suszarka lśnią czystością, blaty są dokładnie wytarte. Drzwi kuchenne prowadzą do ogrodu na tyłach domu. Róże mamy rosną w równym rzędzie pod murem. Z ziemi wyzierają nieśmiało pelargonie taty.

Na górze pokój dziecienny nadal pulsuje.

Zauważam czerwone światełko na automatycznej sekretarce w przedpokoju. Cztery wiadomości. Przeglądam listę zarejestrowanych numerów i rozpoznaję „przyjaciół”. Odchodzę od maszyny. Nie jestem jeszcze w stanie wysłuchać ich kondolencji. Potem zastygam. Cofam się i jeszcze raz przeglądam listę. Poniedziałek wieczorem, 7.10, a potem Druga sposobność, żeby odebrać telefon. Telefon, do którego głupio się pospieszyłam w dół, po schodach, poświęcając przez to życie mojego dziecka.

Zostawili wiadomość. Trzęsącym się palcem włączam odgrywanie.

- Dobry wieczór, tu Xtra-vision z Phisboro. Dzwonimy w sprawie DVD z *Kolędami Muppetów*. Według naszego systemu spóźniacie się państwo ze zwrotem o tydzień. Bylibyśmy wdzięczni, gdybyście państwo zwrócili płytę jak najszybciej.

Gwałtownie wciągam powietrze. Łzy napływają mi do oczu. Czego się spodziewałam? Wiadomości wartej utraty dziecka? Czegoś tak pilnego, że usprawiedliwiłoby mój pośpiech? Czy w jakiś sposób uzasadniłoby to moją stratę?

Cała się trzęsę, poruszona i wściekła. Oddycham przerywanie. Wędruję do dużego pokoju i spoglądam na odtwarzacz DVD. Na wierzchu leży płyta, którą wypożyczyłam, kiedy niańczyłam chrześnicę. Sięgam, chwytam w dłonie i ściskam, jakbym była w stanie przerwać życie tego przedmiotu. Potem rzucam z całej siły. Płyta strąca kolekcję fotografa na pianinie, rozbijając szkło w ramie ze zdjęciem ślubnym i odszczepuje kawałek srebrnego powleczenia na drugiej.

Otwieram usta i krzyczę. Krzyczę z całych sił, tak głośno, jak potrafię. Niski, głęboki skowyt, wypełniony cierpieniem. Krzyczę, dopóki nie braknie mi tchu. I znowu, i znowu, z wnętrzości, z głębi serca. Moje wycie przypomina nieco śmiech. Jest przepełnione frustracją. Krzyczę i krzyczę, aż gardło zaczyna mnie drapać i zaczynam się dusić.

Na górze pokój dziecinny pulsuje niezmiennie. Dum-dum. Dum-dum. Wzywa mnie, przyciąga trzepoczące szaleńczo serce mojego domu. Ruszam w kierunku schodów, przestępuję nad dywanikiem i wchodzę na stopień. Chwytam się poręczy, zbyt słaba, żeby podnieść nogi. Wciągam się na górę. Pulsowanie staje się wyraźniejsze, głośniejsze z każdym krokiem, dopóki nie docieram na piętro i nie stoję przed drzwiami pokoju dziecięcego. Wtedy przestaje. Wszystko zastyga.

Przesuwam palcem po drzwiach, przykładam do nich policzek, pragnąc, żeby to wszystko się nie wydarzyło. Sięgam do klamki i otwieram drzwi.

Wita mnie do połowy pomalowana ściana w kolorze ka-

czeńców. Miękkie pastele, słodkie zapachy, łożeczko z rządkiem małych żółtych kacuszek zawieszonych w poprzek. Udekorowane ogromnymi literami pudełko na zabawki. Na małym wieszaczku wiszą dwa dziecięce pajacyki, a na komo-
dzie stoją małe buciki.

Z łożeczka spogląda na mnie entuzjastycznie pluszowy króliczek. Uśmiecha się głupawo. Zdejmuję buty i wchodzę na bosaka na miękki futrzany dywan, usiłując zakorzenić się w tym świecie. Zamykam za sobą drzwi. Cisza. Wyjmuję królika z łożeczka i zabieram go ze sobą na wycieczkę po pokoju. Przesuwam dłońmi po lśniących nowością meblach, ubrankach i zabawkach. Otwieram pozytywkę i przyglądam się małej myszy w środku, która zaczyna krążyć w pościgi za kawałkiem sera, w takt magnetyzującej melodyjki.

- Wybacz mi, Sean - szepczę. Ściska mnie w gardle. -
Tak bardzo, bardzo mi przykro.

Opadam na podłogę, podciągam nogi pod brodę i przyn>
lam radośnie nieświadomego króliczka. Spoglądam znowu na małą mysz, która biega w kółko za serem. Nigdy go nie dogo-
ni, nie wspominając o zjedzeniu.

Zamykam z trzaskiem pozytywkę. Muzyka urywa się w pół tonu. Zostaję sam na sam z ciszą.

- Nie mogę znaleźć nic do jedzenia w mieszkaniu. Idziemy kupić coś na wynos - woła z kuchni bratowa Justina, Doris, przeszukując szafki.

- Może znasz tę kobietę? - Młodszy brat Justina, Al, siedzi na plastikowym krześle ogrodowym w częściowo umeblowanym salonie.

- Nie, właśnie to usiłuję ci wyjaśnić. Tak jakbym ją znał, ale przecież w ogóle jej nie znam.

- Rozpoznałeś ją?

- Tak. To znaczy nie. - *Niezupełnie.*

- I nie wiesz, jak ma na imię?

- Nie, zdecydowanie nie wiem, jak ma na imię.

- Hej, czy ktokolwiek w tym domu mnie słucha, czy gadam do siebie? - przerywa im Doris. - Powiedziałam, że nie ma tu nic do jedzenia, więc pójdziemy kupić coś na wynos.

- Jasne, kochanie, nie ma sprawy - odpowiada automatycznie Al. - Może jest twoją studentką - mówi do Justina. - Albo pojawiła się na którymś z twoich wykładów. Zapamiętujesz uczestników twoich prezentacji?

- Mówimy o setkach ludzi naraz. - Justin wzrusza ramionami. - Poza tym, przez większość czasu siedzą w ciemnościach.

- Czyli nie. - Al pociera brodę.

- W zasadzie to zapomnijcie o jedzeniu na wynos - woła

Doris z kuchni. - Justin, nie masz talerzy ani sztućców, więc wybierzemy się do restauracji.

- Niech ci to jeszcze raz wyjaśnię, Al. Mówiąc, że ją rozpoznaję, nie miałem na myśli wyglądu.

Al marszczy brwi.

- To po prostu uczucie, jakby była mi znajoma. - *Tak, właśnie tak. Wydała mi się znajoma.*

- Może po prostu przypomina kogoś, kogo znasz.

Może.

~ Hej, czy ktoś mnie tu słucha? - Doris staje w progu salonu. Opiera na biodrach okrytych obcisłymi skórzanymi spodniami dłonie z trzycentymetrowymi paznokciami pomalowanymi w lamparcie cętki. Trzydziestopięcioletnia, szybko mówiąca Amerykanka włoskiego pochodzenia jest żoną Ala od dziesięciu lat i Justin zawsze traktował ją jak ukochaną, ale wkurzającą młodszą siostrę. Nie ma na sobie ani grama tłuszczu i wszystko, co nosi, wygląda, jakby wyciągnęła z szafy Sandy z *Grease*. >

- Tak, oczywiście kochanie - odpowiada znów Al, nie spuszczać wzroku z Justina. - Może to *deja vu*

- Tak! - Justin pstryka palcami. - A może *vecu* albo *sen-ti*. - Pociera w zamyśleniu brodę. - Albo *visite* - dodaje zamyślony.

- Co to do diaska znaczy? - pyta Al, kiedy Doris wyciąga skądś pudło z książkami i siadając na nim, przyłącza się do rozmowy.

- *Deja vu* po francusku oznacza „już widziane”. Opisuje doświadczenie uczucia, że ktoś był już wcześniej świadkiem lub uczestnikiem danej sytuacji. Termin został ukuty przez francuskiego badacza Emile'a Boiraca i stał się popularny dzięki esejowi, który napisał podczas pobytu na uniwersytecie w Chicago.

- Do boju Maroons! - wykrzykuje Al, unosząc do góry stary puchar-trofeum Justina. Wypija duszkiem piwo. Doris przygląda mu się z niesmakiem.

- Proszę, mów dalej, Justin - mówi.

- Doświadczeniu *deja vu* towarzyszy zazwyczaj nieodparte uczucie swojskości, a jednocześnie wrażenie niesamowitości i dziwności. Najczęściej przypisuje się je wspomnieniom snów, chociaż w niektórych przypadkach człowiek ma ogromne przekonanie, że dana sytuacja rzeczywiście wydarzyła się w przeszłości. *Deja vu* zostało opisane jako pamiętanie przyszłości.

- Rany! - rzuca podekscytowana Doris.

- Co chcesz przez to wszystko powiedzieć, braciszku? - Al beka.

- Nie wiem, czy to, co wydarzyło się dzisiaj, spotkanie tej kobiety, było przypadkiem *deja vu*. - Justin marszczy czoło i wzdycha.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ *deja vu* odnosi się wyłącznie do wrażeń wzrokowych, a ja czułem... och, nie wiem sam. - *Czułem*. - *Deja vecu* tłumaczone jest jako "Już przeżyte" i opisuje doświadczenia, które angażują nie tylko wzrok, a dają dziwną pewność, że wie się, co wydarzy się w niedalekiej przyszłości. *Deja senti* oznacza specyficznie "Już doświadczony uczenie" i odnosi się wyłącznie do mentalnego zdarzenia, natomiast *deja visite* opisuje nieuzasadnioną wiedzę nowych miejsc. To jednak zjawiska znacznie mniej popularne. Nie - potrzasa głową. - Zdecydowanie nie miałem wrażenia, że kiedyś już odwiedziłem ten salon fryzjerski.

Wszyscy milkną.

- W każdym razie to z całą pewnością jakieś *deja* - przerwa ciszę Al. - Jesteś pewien, że nie poszedłeś z nią kiedyś do łóżka?

- Al! - Doris uderza męża po ramieniu. - Dlaczego nie pozwoliłeś mi obciąć ci włosów, Justin, i o kim właściwie mówimy?

- Zajmujesz się stryżeniem psów. - Justin spogląda na nią z odrazą.

- Psy też mają włosy. - Wzrusza ramionami.
- Ja ci to wszystko wyjaśnię - wtrąca się Al. - Justin spotkał wczoraj kobietę w salonie fryzjerskim w Dublinie. Twierdzi, że ją rozpoznał, chociaż nie znał jej twarzy, czuł, że ją zna, chociaż jej nie zna. - Wywraca oczami melodramatycznie tak, żeby Justin tego nie widział.
- O mój Boże - wzdycha Doris. - Wiem, co to jest.
- Co takiego? - Justin upija drinka z kubka do mycia zębów.
- To oczywiście. - Unosi ręce do góry i spogląda to na jednego, to na drugiego brata, by udratyzować sytuację. - Doświadczenia z poprzedniego życia. - Rozjaśnia się. - Znałeś tę kobietę w poprzeeeeednim żyyyyciu - rozwleka słowa. - Widziałam to u Oprah. - Kiwa głową i wpatruje się szeroko rozwartymi oczami w Justina.
- Dostyc już tych bzdur, Doris. Nie mówi teraz o niczym innym - wyjaśnia Justinowi. - Zobaczysz w telewizji coś na ten temat i zaraz się zaczyna gadanie stąd do Chicago.
- Nie sądzę, żeby to była znajomość z poprzedniego życia, niemniej dziękuję, Doris.
- Obaj musicie trochę się otworzyć na tego rodzaju rzeczy - obrusza się Doris. - Nigdy nie wiadomo.
- Nie, to po prostu ty nie wiesz - odcina się Al.
- Dajcie spokój. Kobieta wydała mi się znajoma, to wszystko. Może po prostu kogoś mi przypominała, kogoś ze Stanów. To nic ważnego. - *Zapomnijmy o tym i przejdźmy do czego innego.*
- Sam zacząłeś gadkę o tym całym *deja* - burczy niezadowolona Doris. - Jak, twoim zdaniem, można to wytłumaczyć?
- Teorią opóźnienia drogi wzrokowej.
- Al i Doris wpatrują się w niego ogłupiali.
- Głosi ona, że jedno oko rejestruje obrazy odrobinę szybciej niż drugie, tworząc rodzaj wrażenia, że pamięta się to, co się zobaczyło. Poniekąd to prawda, jeżeli drugie oko rejestruje ten sam obrazek milisekundy później. Innymi sło-

wy, jest to wynik opóźnienia w dostarczaniu informacji optycznej z jednego oka w porównaniu z drugim, podczas gdy oba procesy powinny odbywać się symultanicznie. Dezorientuje to świadomość i wywołuje wrażenie swojskości sytuacji, kiedy nie powinno się takowego odczuwać.

Cisza.

Justin chrząka.

- Może mi nie uwierzysz, kochanie, ale chyba już wolę te twoje bzdury o poprzednim życiu - parska Al, zwracając się do żony, i kończy piwo.

- Dziękuję, kochanie. - Doris przykładła dłoń do serca, wyraźnie wzruszona. - W każdym razie, wracając do mojego monologu w kuchni, nie mamy jedzenia, sztućców ani talerzy, więc będziemy musieli pójść do jakiejś restauracji. Spójrz, jak ty mieszkasz, Justin. Martwię się o ciebie. - Doris rozgląda się po pokoju z niesmakiem. Jej ufarbowane na rudo, zaczesane do tyłu i utrwalone lakierem włosy podążają za nią. - Wyprowadziłeś się do tego kraju, mieszkasz sam, nie masz nic poza meblami ogrodowymi i nierozpakowanymi pudłami w suterenie, która wygląda jak lokal dla studentów. Najwyraźniej Jennifer dostała przy rozwodzie również dobry gust.

- To wiktoriańskie dzieło sztuki, Doris. Prawdziwe znalezisko, a przy okazji jedyne miejsce, jakie zdołałem znaleźć, z historią i czynszem, na który mnie stać. To bardzo kosztowne miasto.

- Jestem pewna, że setki lat temu była to perła w koronie, ale teraz wywołuje u mnie dreszcze. Założę się, że budowniczowie nadal się tu płaczą po pokojach. Czuję, jak mi się przyglądają. - Wzdryga się.

- Nie pochlebiaj sobie. - Al wywraca oczami.

- Wystarczy trochę serca i to miejsce zrobi się całkiem w porządku - mówi Justin, starając się zapomnieć o mieszkaniu, które kochał, a które niedawno sprzedał, na zamożnej historycznej Starówce w Chicago.

- I po to tu właśnie przyjechałam. - Doris klaszcze w dłonie z radością.

- Doskonale. - Justin uśmiecha się sztywno. - Chodźmy teraz na jakiś obiad. Mam ochotę na stek.

- Ale przecież ty jesteś wegetarianką, Joyce.

Conor spogląda na mnie, jakbym straciła rozum. Pewnie tak się stało. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłam czerwone mięso, ale teraz, kiedy siedzimy w restauracji, n.am nagle straszna na nie ochotę.

- Nie jestem wegetarianką, Conor. Po prostu nie lubię czerwonego mięsa.

- Ale przecież właśnie zamówiłaś średnio wysmażony stek!

- Wiem. - Wzruszam ramionami. - Taka już ze mnie dziwaczka.

Uśmiecha się, jakby przypominając sobie, że kiedyś była we mnie nuta dzikości. Jesteśmy niczym dwoje przyjaciół spotykających się po latach niewidzenia. Mamy sobie wrole do powiedzenia i nie wiemy, od czego zacząć.

- Czy wybrali już państwo wino? - pyta kelner Conora.

Szybko chwytam menu.

- Chciałabym zamówić to - wskazuję na listę.

- Sancerre 1998. Znakomity wybór.

- Dziękuję. - Nie mam pojęcia, dlaczego wybrałam to wino.

Conor śmieje się na głos.

- Zagrałaś w szybkiego marynarza? - pyta.

Uśmiecham się, ale robi mi się gorąco. Nie wiem, dlaczego zamówiłam to wino. Jest zbyt drogie, poza tym zazwyczaj pijam białe. Zachowuję się jednak naturalnie, bo nie chcę, żeby Conor uznał, że zwariowałam. Już i tak zaczął mieć podejrzenia, kiedy zobaczył, że zgoliłam włosy. Musi być przekonany, że jestem sobą, jeżeli mam mu powiedzieć dziś wieczorem to, co zaplanowałam.

Kelner wraca z butelką wina.

- Możesz sam je spróbować - mówi Al do Justina. -
Zwłaszcza że to ty wybierałeś.

Justin unosi kieliszek, przysuwa nos i wdycha głęboko.

Wdycham głęboko i obracam kieliszkiem, żeby poruszyć płyn. Przyglądam się, jak unosi się i spływa po ściankach. Upijam mały łyk, trzymam na języku, pozwalam, żeby alkohol zaczął szczypać wewnątrz policzków. Idealne.

- Wspaniałe, dziękuję. - Odstawiam kieliszek na stół.

Kelner napełnia oba nasze kieliszki.

- To cudowne wino. - Zaczynam opowiadać Conorowi pewną historię.

- Odkryłem je, kiedy kilka lat temu pojechaliśmy z Jennifer do Francji - wyjaśnia Justin. - Występowała tam na festiwalu des Cathedrales de Picardie z orkiestrą. Pamiętne wydarzenie. W Wersalu zatrzymaliśmy się w Hotel du Berry, eleganckiej rezydencji z 1634 roku, pełnym mebli z epoki. Praktycznie rzecz biorąc, to muzeum historii regionalnej. Pewnie zresztą pamiętacie, jak wam o tym opowiadałem. Któregoś wieczoru w Paryżu, gdy Jennifer miała wolne, znaleźliśmy cudowną małą restauracyjkę serwującą ryby, schowaną w jednej z brukowanych uliczek Montmartre. Zamówiliśmy danie dnia, strzępiela, ale wiecie, jakim jestem fanatykiem czerwonego wina. Nawet z rybą wolę je od białego. Dlatego kelner zasugerował sancerre. Zawsze sądziłem, że to białe wino, ponieważ ta winiarnia słynie z używania winogron sauvignon. Okazuje się jednak, że wykorzystują również pinot noir. Najlepsze jest to, że sancerre można pić schłodzone, zupełnie jak białe, w dwunastu stopniach. W normalnej temperaturze zaś jest doskonałe do mięsa. Smacznego. - Unosi kieliszek w toaście w stronę brata i bratowej.

*

Conor spogląda na mnie ze ściągniętą twarzą.

- Montmartre? Joyce, nigdy nie byłaś w Paryżu. Skąd wiesz tyle o winach i kim do diabła jest Jennifer?

Przerywam, wybita z transu i nagle słyszę słowa historii, którą właśnie opowiedziałam. Robię jedyną rzecz, jaką potrafię w tych okolicznościach. Zaczynam się śmiać.

- Mam cię!

- Mam cię? - Marszczy czoło z niezrozumieniem.

- To monolog z filmu, który oglądałam któreś nocy.

- Och. - Ulga rozlewa się na jego twarzy. Rozluźnia się. - Joyce, przestraszyłaś mnie. Przez chwilę bałem się, że ktoś opanował twoje ciało. - Uśmiecha się. - Z jakiego to filmu?

- Nie pamiętam tytułu. - Macham ręką niedbale, zastanawiając się, co się ze mną dzieje. Usiłuję przypomnieć sobie, czy w ogóle cokolwiek oglądałam w zeszłym tygodniu.

- Nie lubisz już anchois? - Conor przerywa moje zamyślenie. Spogląda na małą kupkę sardeli, które zebrałam na brzegu talerza.

- Daj mi je, braciszku. - Al podsuwa swój do talerza Justina. - Uwielbiam je. Jak można jeść sałatkę cesarską bez anchois? Wolno mi, Doris, prawda? - pyta sarkastycznie. - Lekarz nie powiedział chyba, że mnie kiedyś zabiją?

- Nie, chyba że ktoś wepchnie ci je w gardło, co jest całkiem prawdopodobne - odpowiada Doris przez zaciśnięte zęby.

- Mam trzydzieści dziewięć lat i nadal jestem traktowany jak dziecko. - Al spogląda z goryczą na stosik sardeli.

- Mam trzydzieści pięć lat i jedynym dzieckiem, które mam pod opieką jest mój mąż - odcina się Doris. Bierze anchois z wierzchu kupki i próbuje. Pociera nos i rozgląda się po pomieszczeniu. - I wy to nazywacie włoską restauracją? Moja matka i jej rodzina przewróciłaby się w grobie, gdyby to zobaczyli. - Szybko wykonuje znak krzyża. - Justin, opowiedz mi o tej kobiecie, z którą się spotykasz.

Justin marszczy brwi.

- Doris, to naprawdę nic wielkiego. Powiedziałem ci już, że tylko wydawała mi się znajoma. - / *wyglądało na to, że zareagowała na mnie bardzo podobnie.*

- Nie, nie o nią chodzi, ale o tę panienkę, którą przeleciałeś - mówi Al głośno, z ustami wypchanymi anchois.

- Al! - Jedzenie staje Justinowi w gardle.

- Joyce - rzuca Conor z niepokojem. - Dobrze się czujesz?

Oczy wypełniają mi się łzami, kiedy usiłuję złapać oddech pomiędzy atakami kaszlu.

- Proszę, napij się trochę wody - podsuwa mi szklanę.

Ludzie z sąsiednich stolików przyglądają się nam z niepokojem. Kaszlę tak bardzo, że nie mogę zaczerpnąć oddechu ani upić łyku wody.

Conor wstaje z krzesła i podchodzi. Klepie mnie po plecach, ale strząsam jego rękę, nadal kaszłąc. Po policzkach ciekną mi łzy. Wstaję w panice, przewracając przy tym krzesło.

- Al! Al! Zrób coś. Och, Madonnina Santa! - panikuje Doris. - Zaczyna sinieć.

Al wyjmuje serwetkę spod brody i odkładają spokojnie na stół. Wstaje i ustawia się za plecami brata. Obejmuje go w pasie od tyłu i mocno naciska na przeponę. Za drugim razem kęs, który utknął w tchawicy Justina, wypada.

Kiedy trzecia osoba spieszy mi na ratunek, a raczej dołącza do panicznej dyskusji o tym, jak przeprowadzić manewr Heimlicha, nagle przestaję kaszleć. Trzy pary oczu wpatrują się we mnie ze zdumieniem, kiedy pocieram szyję zdezorientowana.

- Dobrze się czujesz? - Conor znów poklepuje mnie po plecach.

- Tak - szepczę, zawstydzona uwagą jaką na siebie ściąg-

nęłam. - Już dobrze, dziękuję. Bardzo wszystkim dziękuję za pomoc.

Nie wyglądają na zbyt chętnych do odejścia.

- Bardzo proszę, wróćcie, państwo, do stolików. Życzę smacznego. Naprawdę czuję się już dobrze. Dziękuję bardzo. - Siadam szybko i wycieram rozmazany tusz, usiłując zignorować spojrzenia obcych. - Boże, ależ to było żenujące.

- Przynajmniej przed wszystkim dziwne, bo jeszcze nic nie zjadłaś. Cały czas mówiłaś, a potem nagle zaczęłaś kaszleć.

Wzruszam ramionami i pocieram gardło.

- Nie wiem, co się stało. Może kiedy oddychałam, coś mi wpadło do tchawicy.

Kelner podchodzi do stolika i zabiera nasze talerze.

- Dobrze się pani czuje, madam?

- Tak, dziękuję, dobrze.

Czuję lekkie stuknięcie w plecy. Nasz sąsiad pochyla się ku naszemu stolikowi.

- Hej, przez chwilę myśleliśmy, że będzie pani rodzic, ha, ha! Prawda, Margaret? - Spogląda na żonę i śmieje się w głos.

- Nie - odpowiada Margaret. Uśmiech znika z jej twarzy, która purpurowieje. - Nie, Pat.

- He? - Jest zdezorientowany. - Cóż, przynajmniej ja tak myślałem. Gratulacje, Conor. Pożegnaj się ze snem przez najbliższe dwadzieścia lat. Wierz mi, na pewno tak będzie. Smacznego.

Odwraca się do żony. Słyszymy stłumione mamrotanie.

Conor smutnieje. Chwyta moją dłoń.

- Wszystko w porządku?

- Zdarzyło się to już parę razy - wyjaśniam i instynktownie kładę dłoń na płaskim brzuchu.

Od kiedy wróciłam do domu, prawie nie patrzę na siebie w lustrze. Nie mogę znieść tego widoku.

Conor wydaje z siebie odpowiednie dźwięki oznaczające zmartwienie. Słyszę słowa „piękna” i „cudowna”, ale uciśmam go. Chcę, żeby mnie posłuchał, a nie próbował roz-

wiązać problemy. Chcę, żeby zrozumiał, że nie próbuję być piękna ani cudowna. Chociaż raz pragnę być taka, jaka jestem naprawdę. Chcę mu powiedzieć, jak się czuję, kiedy zmuszam się do spojrzenia w lustro i przyglądam się mojemu ciału, które wydaje mi się pustą skorupą.

- Och, Joyce.

Ściska mnie coraz mocniej za rękę, kiedy mu to wszystko mówię. Obrączka ślubna wbija mi się boleśnie w skórę.

Obrączka ślubna bez małżeństwa.

Poruszam lekko dłońią, żeby nieco poluźnił uchwyt. Zamiast tego puszcza moją rękę. Znak.

- Conor. - Nie mówię nic więcej. Spoglądam na niego i wiem, że on wie, co zamierzam powiedzieć. Widział już ten wzrok wcześniej.

- Nie, nie, nie, Joyce. Nie rozmawiajmy teraz na ten temat. - Podnosi dłonie w obronnym geście. - Przeszłaś... przeszliśmy wystarczająco dużo w tym tygodniu.

- Conor. Koniec z usprawiedliwieniami. - Pochyliłam się ku niemu niecierpliwie. - Musimy to rozwiązać teraz, inaczej, zanim się zorientujemy, za dziesięć lat będziemy się zastanawiać, jak mogło wyglądać nasze żałosne życie.

Rozmawialiśmy już o tym w ten czy inny sposób co roku przez ostatnie pięć lat. Czekam na zwykłą odpowiedź Conora, że żadne małżeństwo nie jest łatwe, nie możemy oczekiwać, żeby takie było i że jest zdeterminowany, aby pracować nad naszymi problemami. Ocalić to, co można, oto podejście mojego męża. Koncentruję się na moim odbiciu w łyżce i czekam na jego zwykłe komentarze. Chwilę później orientuję się, że nadal nie nadchodzi. Spoglądam na niego i widzę, że walczy ze łzami i kiwa głową jakby się ze mną zgadzał.

Nabieram powietrza w płuca. To koniec.

Justin przygląda się liście deserów.

- Dla ciebie nic, Al. - Doris wyciąga menu z rąk męża i zamyka je z trzaskiem.

- Dlaczego nie? Nie wolno mi się nawet przyjrzeć, co tu mają?

- Poziom cholesterolu podskakuje ci od samego czytania.

Justin odpływa, kiedy para się droczy. On też nie powinien jeść deseru. Od czasu rozwodu zapuścił się nieco, pocieszając się jedzeniem i zrzucając codzienną gimnastykę. Naprawdę nie powinien, ale jego oczy zawisają na jednej pozycji z listy niczym sępy obserwujące ofiarę.

- Życzy sobie pan coś na deser? - pyta kelner.

Czemu nie.

- Tak, wezmę...

- ...tarte banoffi - rzucam do kelnera ku swojemu zaskoczeniu.

Conor wpatruje się we mnie z otwartymi ustami.

O Boże. Moje małżeństwo właśnie się rozpadło, a ja zamawiam deser? Przygryzam wargę, żeby powstrzymać nerwowy uśmiech.

Nowe początki. Pościg... za czymś.

Głośny dzwonek do drzwi wita mnie w progu skromnego domu taty, zbyt donośny i pompatyczny jak na tak niepozornego właściciela. Znajomy dźwięk przenosi mnie w przeszłość, do czasów, gdy tu mieszkałam. Poznawałam wtedy, kto przyszedł nas odwiedzić, po sposobie, w jaki dzwonił. Krótkie, świdrujące dźwięki oznaczały moich przyjaciół zbyt niskich, żeby sięgnąć do guzika, i podskakujących, żeby na krótko go nacisnąć. Szybkie i ciche pobrzękiwania anonsowały przybycie narzeczonych, którzy czaili się na zewnątrz, przerażeni myślą o zaanonsowaniu mojemu ojcu swojego istnienia. Nierówne dźwięki późno w nocy to tata wracający bez kluczy z pubu. Radosne, zabawne rytmy to rodzina wpadająca do nas z różnych okazji, a krótkie, głośne ciągłe dzwonienie niczym seria z karabinu maszynowego ostrzegało nas przed akwizytorami.

Naciskam dzwonek jeszcze raz, ale nie dlatego, że o dziesiątej rano dom wydaje się cichy, jakby nikogo w nim nie było. Chcę się dowiedzieć, jak brzmi mój dzwonek.

Przepraszający, krótki, urywany. Zupełnie jakby nie chciał być usłyszany, chociaż musi. Mówi: „Przepraszam, tato. Przepraszam, że ci przeszkadzam. Przepraszam, że twoja trzynaścieletnia córka, której dawno temu, jak sądziłeś, pozbyłeś się z domu, wraca do ciebie, ponieważ jej małżeństwo

się rozpadło". Wreszcie słyszę w środku jakieś odgłosy i widzę kolebiący się na boki cień ojca za drzwiami z szybą z pofalowanego szkła.

- Przepraszam, kochanie. - Otwiera drzwi. - Nie słyszałem cię za pierwszym razem.

- Skoro mnie nie słyszałeś, skąd wiedziałeś, że zadzwoniłam?

Spogląda na mnie tępo, a potem przenosi wzrok na walizki u moich stóp.

- Co to jest?

- Powiedziałeś... powiedziałeś, że mogę u ciebie na trochę zostać.

- Myślałem, że masz na myśli do końca teleturnieju *Countdown*.

- Och... cóż, miałam nadzieję, że będę mogła się u ciebie zatrzymać na trochę dłużej.

- Sądząc z pakunków, o wiele dłużej. - Spogląda na podest. - Wejdz, dziecko. Gdzie jest Conor? Coś się stało? Chyba nie macie znowu myszy, co? Faktycznie, o tej porze roku wprowadzają się do domu. Powinniście zamykać okna i drzwi, zatkać wszystkie dziury. Zawsze tak robię. Pokażę ci, kiedy już się rozgościsz. Conor powinien się nauczyć.

- Tato, nie przysłałam tu zamieszkać ze względu na myszy.

- Zawsze jest pierwszy raz na wszystko. Twoja matka tak robiła. Nienawidziła myszy. Wyprowadzała się do twojej babci na kilka dni, a ja latałem po całym domu jak kot z kreskówki, usiłując wszystkie wyłapać. *Tom i Jerry*, tak się chyba nazywał ten film? - Zaciska powieki, usiłując sobie przypomnieć, a potem spogląda na mnie, wcale nie mądrzejszy. - Cholerniki, zawsze wiedziały, że na nie polują.

Unosi pięść do góry, przez chwilę niemal zadziorny we wspomnieniu. Potem nagle wraca do rzeczywistości. Chwyta moje walizki i wstawia do przedpokoju.

- Tato? - Jestem podenerwowana. - Myślałam, że mnie zrozumiałeś przez telefon. Conor i ja jesteśmy w separacji.

- W separacji od czego?
- Od siebie!
- O czym ty mówisz, Gracie?
- Joyce. Nie jesteście już ze sobą. Rozstaliśmy się.

Tata stawia walizki przy ścianie obwieszanej fotografiami, żeby każdy wchodzący tu gość mógł poznać w przyspieszonym tempie historię rodziny Conwayów. Tata jako chłopiec, mama jako mała dziewczynka, rodzice na etapie narzeczeństwa, jako małżeństwo, mój chrzest, komunია, bal debiutantek i ślub. Sfotografowane, obramowane, wywieszane na widok publiczny. Rodzice takie właśnie mieli podejście. Zabawne, jak ludzie widzą czasem swoje życie, jakie stosują wzorce, decydując, która chwila jest ważniejsza. Bo życie składa się z chwil. Lubię myśleć, że najlepsze pozostają w mojej pamięci na zawsze, płyną we krwi, zapisane bezpiecznie w moim własnym prywatnym banku pamięci.

Tata nie zatrzymuje się ani na moment. Rusza do kuchni.

- Herbaty?

Zostaję w przedpokoju. Przyglądam się zdjęciom i wdycham znajomy zapach. Zapach, który tata nosi na sobie niczym ślimak muszlę. Zawsze sądziłam, że to gotowanie mamy roznosiło się po pokojach, wciskało w każde włókno dywanu i tapety, ale minęło już wiele lat od jej śmierci. Może ten zapach to ona. Może to nadal ona.

- Dlaczego wążasz ściany?

Podsakuję, zawstydzona, że zostałam przyłapana. Ruszam do kuchni. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy tu mieszkałam. Nadal panuje taki porządek, jaki zostawiła mama. Nic nie zostało przestawione, nawet dla wygody. Obserwuję, jak tata porusza się powoli, opierając się na prawej nodze, gdy sięga do stojących na podłodze szafek, a potem, wykorzystując dodatkowe centymetry, na lewej, żeby sięgnąć na półki nad głową. Woda w czajniku gotuje się zbyt głośno, żebyśmy mogli rozmawiać. Cieszę się z tego powodu, bo tata zaciska dłoń na uchwycie tak mocno, że aż bieleją mu kostki. Druga

dłoń, w której trzyma łyżeczkę do herbaty, spoczywa na biodrze. Przypomina mi się, jak kiedyś zwykł stać z papierosem, osłaniając go złożoną w łyżeczkę dłonią, pożątkłą od nikotyny. Spogląda na nienagannie zadbany ogród i zaciska zęby. Jest zdenerwowany i znów czuję się jak nastolatka, której zaraz się oberwie.

- O czym myślisz, tato? - pytam wreszcie, kiedy czajnik przestaje podskakiwać niczym zatłoczony sektor Hill 16 na stadionie Croke Park podczas finałów irlandzkich rozgrywek futbolowych.

- O ogrodzie - odpowiada, znów zaciskając szczęki.

- O ogrodzie?

- Ten cholerny kot sąsiadki ciągle obsikuje twojej matce różę. - Potrząsa gniewnie głową. - Futrzaczek. - Wyrzuca ręce w górę. - Tak go nazywa. Kiedy go dorwę, Futrzaczek przestanie być futrzasty, a ja będę nosił czapkę uszatkę i tańczył hopaka w ogrodzie pani Henderson, kiedy ona będzie owijać w domu trzęsącego się z zimna Łysola w kocyk.

- Naprawdę o tym myślisz? - pytam z niedowierzaniem.

- Nie do końca, kochanie - wyznaje, uspokajając się. - Jeszcze o żonkilach. Już niedługo trzeba będzie zacząć je sadzić. I krokusy. Muszę kupić cebulki.

Dobrze wiedzieć, że koniec mojego małżeństwa nie jest głównym punktem w myślach taty. Ani drugim w kolejności. Mieści się dopiero za krokusami.

- I przebiśniegi - dodaje.

To nietypowe, że jestem w tej okolicy o tak wczesnej porze. Zazwyczaj w tym czasie pracuję, pokazuję ludziom domy na sprzedaż w mieście. Jest bardzo cicho, bo wszyscy poszli do pracy. Zastanawiam się, co tata robi w tej ciszy.

- Czym się zajmowałeś, zanim się pojawiłam?

- Trzydzieści trzy lata temu czy dzisiaj?

- Dzisiaj. - Usiłuję ukryć uśmiech, bo wiem, że tata jest poważny.

- Zgadywankami. - Rusza głową w kierunku stołu, gdzie

leży gazeta otwarta na stronie z krzyżówkami i quizami. Połowa z nich jest rozwiązana. - Utkwiłem na numerze szóstym. Popatrz tu. - Zanosি kubki z herbatą na stół, nie rozlewając ani kropli mimo chybotania. Zawsze pewny.

- Która z oper Mozarta nie została dobrze przyjęta przez jednego z wpływowych krytyków sztuki, określającego pracę kompozytora jako posiadającą „zbyt wiele nut”? - odczytuję pytanie na głos.

- Mozart... - Tata wzrusza ramionami. - Nie wiem nic o tym człowieku.

- Cesarz Józef Drugi - mówię.

- Co takiego? - Gąsienicowe brwi taty unoszą się do góry w zaskoczeniu. - Skąd to wiesz?

- Pewnie gdzieś o tym słyszą... czujesz dym? - Marszczę czoło.

Tata prostuje się na krześle i węższy niczym ogar.

- Tost. Zrobiłem go wcześniej, ustawiłem toster źle i spaliłem chleb. Ostatnie dwa kawałki.

- Nienawidzę, kiedy to się dzieje. - Potrząsam głową. - Gdzie jest fotografia mamy z korytarza?

- Która? Jest ich tam trzydzieści.

- Policzyłeś? - Śmieję się.

- Przecież musiałem wbić gwoździe, prawda? Czterdzieści cztery ramki. Czterdzieści cztery gwoździe. Poszedłem do sklepu i kupiłem całą paczkę. Czterdzieści sztuk. Musiałem dokupić drugą dla czterech więcej gwoździ. - Wysuwa cztery palce i potrząsa głową. - Nadal mam pozostałe trzydzieści sześć w pudełku z narzędziami. Do czego to świat doszedł.

Nieważny terroryzm ani globalne ocieplenie klimatu. Dowodem na upadek naszej cywilizacji w oczach mojego taty jest trzydzieści sześć gwoździ w pudle na narzędzia. Prawdopodobnie ma rację.

- Więc gdzie jest to zdjęcie?

- Tam, gdzie zawsze było - odpowiada nieprzekonująco.

Oboje spoglądamy na zamknięte drzwi do kuchni, w kie-

ranku stolika w przedpokoju. Wstaję, żeby wyjść i sprawdzić. Takie rzeczy robi się, kiedy ma się dużo wolnego czasu.

- Ach, ach. - Macha na mnie tata. - Usiądźże. - Podnosi się. - Pójdę zobaczyć. - Zamyka drzwi za sobą, żebym go nie widziała. - Jest tu, a jakże - woła do mnie. - Witaj, Gracie. Twoja córka się o ciebie martwiła. Myślała, że cię nie widzi, ale przecież byłaś tutaj przez cały czas, obserwowałaś, jak wacha ściany, myśląc, że tapeta się pali. Co nie jest jeszcze najbardziej zwariowanym pomysłem, zważywszy na to, że zostawiła męża i zamierza odejść z pracy.

Nie wspominałam mu nic o pracy. Oznacza to, że Conor z nim rozmawiał, czyli tata dobrze wie, dlaczego chcę z nim zostać. Wiedział to od pierwszej chwili, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Muszę przyznać, że dobrze mu wychodzi odgrywanie głupiego. Wraca do kuchni. Dostrzegam fotografię, 0 którą pytałam, na stoliku w przedpokoju.

- Ach! - Spogląda na budzik. - Dziesiąta dwadzieścia pięć! Chodź, idziemy, szybko! - Porusza się prędzej, niż kiedykolwiek to widziałam. Chwyta po drodze kubek z herbatą i gazetę z programem telewizyjnym i pędzi do pokoju z telewizorem.

- Co będziemy oglądać? - Idę za nim, przyglądając się mu z rozbawieniem.

- *Napisała: Morderstwo.* Znasz ten serial?

- Nigdy go nie oglądałam.

- Poczekaj tylko, Gracie. Ta Jessica Fletcher jest niezła w chwytaniu morderców. A potem przełączymy na *Diagnozę: morderstwo*, gdzie tancerka rozwiązuje zagadki kryminalne. - Chwyta długopis i zakreśla seriale w gazecie.

Jestem oczarowana ekscytacją taty. Nuci przewodnią melodię serialu, udając, że gra na trąbce.

- Chodź tu, połóż się na kanapie i przykryj tym. - Ściąga z zielonej aksamitnej kanapy koc i otula mnie nim delikatnie i tak ściśle, że nie mogę ruszyć ramionami. To ten sam koc, na którym bawiłam się jako małe dziecko i którym okrywał

mnie, gdy wracałam chora ze szkoły. Pozwalał mi wtedy oglądać telewizję na kanapie. Przyglądam się tacie z uczuciem, wspominając czułość, jaką zawsze mi okazywał, gdy byłam mała. Teraz, dzisiaj znów jej zaznaję.

Dopóki tata nie siada na drugim końcu kanapy, przygniatając mi stopy.

11

- Jak sądzisz, Gracie? Czy pod koniec programu Betty stanie się milionerką?

W ciągu kilku ostatnich dni obejrzelśmy niezliczoną ilość półgodzinnych programów porannych, a teraz przyszła kolej na *Objazdowy antykwariat*.

Betty ma siedemdziesiąt lat, pochodzi z Warwickshire i czeka właśnie niecierpliwie na wycenę starego czajnika, który przyniosła ze sobą do programu.

Obserwuję, jak rzeczoznawca ostrożnie obraca w dłoniach przedmiot i wraca do mnie przyjemne, znajome uczucie.

- Przykro mi, Betty - mówię w kierunku telewizora. - To replika. Francuzi używali takich w osiemnastym wieku, ale własność Betty została wykonana na początku dwudziestego. Widać to po sposobie ukształtowania uchwytu. Niezdarny rzemieślnik.

- Naprawdę? - Tata spogląda na mnie z zainteresowaniem.

Wpatrujemy się w ekran intensywnie i słuchamy, jak dealer powtarza moje uwagi. Biedna Betty jest rozczarowana, ale usiłuje udawać, że to cenna pamiątka ofiarowana jej przez babcię. I tak nie chciałaby tego sprzedać.

- Kłamczucha! - wykrzykuje tata. - Miała już zarezerwowaną wycieczkę i kupione nowe bikini. Skąd wiedziałaś

o tych czajnikach i Francuzach, Gracie? Przeczytałaś o tym w jakiejś książce?

- Może. - Nie mam pojęcia. Boli mnie głowa na samą myśl o mojej nowej wiedzy.

Tata widzi moją minę.

- Może zadzwonisz do przyjaciółki albo co? Pogadasz sobie trochę.

Nie chcę, ale wiem, że powinnam.

- Pewnie należałoby zadzwonić do Kate.

- Do tej dużej dziewczyny? Tej, która upiła cię bimbrem, gdy miałaś szesnaście lat?

- Tej samej. - Śmieję się. Tata nigdy jej tego nie wybaczył.

- Co to za dziwne imię, tak w ogóle. Zawsze szukała kłopotów, ta dziewczyna. Doszła do czegoś?

- Nie, zupełnie nie. Właśnie sprzedała swój sklep w mieście za dwa miliony, żeby zostać w domu i wychowywać dzieci.

Usiłuję nie roześmiać się na widok zaskoczenia na jego twarzy. Czerwienieją mu czubki uszu.

- Jasne, zadzwoń do niej, porozmawiaj trochę. Wy, kobiety, to lubicie. Dobrze wam robi na duszę, tak mówiła twoja matka. Uwielbiała rozmawiać. Zawsze coś terkotała o tym czy innym.

- Zastanawiam się, skąd się to u niej wzięło - mówię ci-cho do siebie, ale jakimś cudem nagle stare uszy mojego taty działają doskonale.

- Zodiakalny Bliźniak. Ciężki przypadek goniosłowomatyizmu.

- Tato!

- Co znowu? Czy to od razu musi oznaczać przyznanie się do nienawiści? Nie. Nic podobnego. Kochałem ją z całego serca, ale gadała głupoty, i to bez przerwy. Nie dosyć, że musiała się wypowiedzieć o danej rzeczy. Trzeba mi jeszcze było wysłuchać, co na ten temat myśli. Dziesięć razy.

- Przecież nie wierzysz w astrologię - drażnię go.

- Jasne, że wierzę. Jestem Wagą. - Kolebie się z boku na bok. - Doskonale wyważony.

Śmieję się i uciekam do mojej sypialni, żeby zadzwonić do Kate. Wchodzę do pokoju, w którym nic się nie zmieniło od dnia, gdy przestałam w nim mieszkać. Mimo śpiących tu od czasu do czasu gości, rodzice nigdy nie uprzątnęli moich rzeczy. Na drzwiach nadal wisiały naklejki The Cure, a część tapety była ponadrywana tam, gdzie kiedyś przymocowałam taśmą klejącą plakaty. Za karę, że zniszczyłam ściany, tata kazał mi ściąć trawę w ogrodzie na tyłach domu. Robiąc to, przejechałam przypadkiem kosiarką po krzaczku na rabatce. Tata nie odzywał się do mnie do końca dnia. Podobno to był pierwszy rok, kiedy krzak wreszcie zakwitł od czasu zasadzenia. Nie mogłam wtedy zrozumieć jego frustracji, ale po latach ciężkiej pracy w kultywowaniu małżeństwa tylko po to, żeby na końcu zwiędło i umarło, teraz rozumiem jego boleść. Założę się jednak, że nie czuł ulgi, tak jak ja teraz.

W moim malutkim pokoju mieściło się tylko łóżko i szafa, ale był całym moim światem, jedynym prywatnym miejscem, w którym mogłam myśleć, marzyć, płakać, śmiać się i czekać, aż dorosnę na tyle, żeby robić wszystko, czego wcześniej mi zabraniano. Jedyne własne miejsce na tym świecie. Teraz znowu się nim stało dla trzydziestotrzyłatkki. Kto by pomyślał, że znów tu wyląduję bez tego wszystkiego, czego pragnęłam i, co gorsza, nadal pragnę. Nie chodziło o zostanie członkiem grupy The Cure ani o poślubienie Roberta Smitha. Nie miałam męża ani dziecka.

Tapeta jest szalona, w kwiatki, zupełnie nie pasuje do miejsca odpoczynku. Miliony malutkich brązowych kwiatków tłoczą się nad smużkami bladozielonych łodyżek. Nie dziwota, że przesłoniłam je plakatami. Dywan jest brązowy z beżowymi plamkami, ubrudzony rozlanymi perfumami i makiżem. Nowymi dodatkami do wystroju są stare, wyblakłe brązowe skórzane walizki na szafie, zbierające kurz od śmierci mamy. Tata nigdy nigdzie nie wyjeżdża. Uznał, że

życie bez mamy jest dla niego wystarczająco wymagającą podróżą.

Najnowszym elementem pokoju jest narzuta na kołdrę, chociaż i tak ma dziesięć lat. Mama kupiła ją, gdy moja sypialnia zmieniła się w pokój gościnny. Wyprowadziłam się na rok przed jej śmiercią, żeby zamieszkać z Kate i od tamtej pory każdego dnia żałuję swojej decyzji. Wszystkie te cenne dni, kiedy człowiek mógł budzić się i słyszeć jej długie ziewanie, które zmieniało się w piosenki i gadanie do siebie, kiedy wygłaszała notki do werbalnego pamiętnika, z radiowym Gayem Byrne'em w tle. Uwielbiała Gaya Byrne'a. Jedyną ambicją w jej życiu było poznanie go. Najbliżej osiągnięcia celu znalazła się wtedy, gdy tata zdobył wejściówki dla publiczności *Programu Nocnego*. Mówiła o tym przez całe lata. Moim zdaniem, podkochiwała się w Byrnie. Tata go nie nawidził. Chyba zdawał sobie sprawę z jej zauroczenia.

Teraz ż kolei lubi go słuchać, kiedy tylko Byrne występuje w radiu. Pewnie przypomina mu to o cennym czasie spędzonym z mamą. Zupełnie jakby zamiast głosu Gaya Byrne'a słyszał ją. Gdy umarła, otoczył się rzeczami, które kochała. Co rano włączał radio i słuchał audycji Byrne'a, oglądał ulubione programy telewizyjne mamy, co tydzień kupował jej ulubione herbatniki, chociaż sam nigdy ich nie jadł. Lubił je widzieć na półce za każdym razem, gdy otwierał szafkę, podobnie jak ulubione magazyny mamy na stoliku z gazetami. Stawiał jej kapcie przy fotelu koło kominka. Lubił sobie przypominać w ten sposób, że jego świat wcale się nie rozpadł. Czasem potrzebujemy dużo życiowego „kleju”, żeby się nie rozsypać.

W wieku sześćdziesięciu pięciu lat był za młody, żeby stracić żonę. W wieku dwudziestu trzech lat byłam za młoda, żeby stracić matkę. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat nie powinna umrzeć, ale rak, złodziej chwil, niewykryty, aż zrobiło się za późno, odebrał nam wszystkie cenne dni. Tata ożenił się późno i miał mnie dopiero w wieku czterdziestu dwóch

lat. Zdaje się, że przedtem ktoś złamał mu serce. Nigdy o tym nie mówił, a ja nie pytałam. Wspomina jednak tamten okres jako oczekiwanie na mamę. Twierdził, że więcej dni na nią czekał, niż z nią był, ale każda sekunda spędzona na poszukiwaniu jej i wreszcie na pamiętaniu jej była warta wszystkich pozostałych chwil.

Mama nigdy nie poznała Conora, ale nie wiem, czy by się jej spodobał, chociaż nigdy by tego nie okazała. Była na to zbyt uprzejma. Mama lubiła różnych ludzi, ale zwłaszcza tych energetycznych i optymistycznych. Ludzi, którzy żyli pełnią życia, emanowali witalnością.

Conor jest sympatyczny. Zawsze po prostu sympatyczny. Nigdy się niczym przesadnie nie ekscytuje. W zasadzie to nigdy się nie ekscytuje. Jest po prostu sympatyczny, innymi słowy, miły. Poślubienie miłego człowieka oznacza miłe małżeństwo, ale nigdy nic więcej. Miłe małżeństwo jest w porządku, lecz tylko jeżeli ma się też inne rzeczy w życiu.

Tata potrafił rozmawiać ze wszystkimi ludźmi, gdziekolwiek się znalazł, i nigdy nie odnosił się do nich emocjonalnie. Jediną negatywną wypowiedzią na temat Conora było: „Co to za mężczyzna, który lubi tenisa?”. Tata, członek GAA* i fan futbolu, wypluł z siebie te słowa, jakby samo ich wypowiedzenie skaziło mu usta.

Nasza niemożność spłodzenia dziecka nie wpłynęła w najmniejszym stopniu na opinię taty o Conorze. Winił za to tenisa, a zwłaszcza skape białe szorty, które nosił czasem mój mąż. Wspominał o nich, ilekroć kolejny test ciążowy wypadł negatywnie. Wiem, że mówił to głównie, aby mnie rozśmieszyć. Czasem działało, czasem nie, ale był to bezpieczny żart, ponieważ wszyscy wiedzieliśmy, że to nie szorty ani noszący je mężczyzna był problemem.

Siadam na narzucie kupionej przez mamę, ostrożnie, żeby nie pognieść. Wybrała cały zestaw z Dunnes, dwie poduszki

i nakrycie oraz świeczką, którą postawiła na parapecie. Nigdy nie została zapalona i straciła zapach. Na wierzchu zgromadziła się warstwa kurzu - wskazówka, że tata nie wykonuje swoich obowiązków domowych. Bo też ścieranie kurzu z czego innego poza półką z fotografiami nie było dla siedemdziesięcioletka takie ważne. Kurz zasiedziało się już, więc niech tam sobie zostanie.

Włączam komórkę, której nie używałam przez wiele dni. Zaczyna pikać, kiedy docierają do niej dziesiątki wiadomości. Zadzwoiłam już do najbliższych, najbardziej wścibskich przyjaciół. Było to niczym ściągnięcie plastra z rany. Nie myśl o tym, zrób to szybko, wtedy nie będzie tak bardzo bolało. Otwórz książkę adresową i pach, pach, trzy minuty na każdego. Szybkie, zasadnicze telefony wykonane przez dziwnie optymistyczną kobietę, która na chwilę opanowała moje ciało. Niezwykłą kobietę, pozytywną, pełną energii, ale jednocześnie rozemocjonowaną i mądrą w odpowiednich momentach. Doskonałe wycucie czasu, słowa tak przejmujące, że aż chciałam je zapisać. Zdobyła się nawet na odrobinę humoru, z którym niektórzy bliscy jakoś sobie poradzili, inni zaś poczuli się niemal obrażeni. I co z tego? To było jej przyjęcie i mogła płakać, kiedy chciała. Spotkałam ją już wcześniej. Wpada od czasu do czasu przy okazji jakiejś traumy, przejmuje pałeczkę i załatwia za mnie najtrudniejsze sprawy. Z pewnością jeszcze wróci, w to nie wątpię.

Minie jeszcze dużo czasu, zanim będę mogła rozmawiać swoim własnym głosem z kimkolwiek innym, poza kobietą, do której teraz dzwonię.

Kate odbiera po czwartym dzwonku.

- Halo! - wykrzykuje.

Podskakuję na siedzeniu. W tle słyszę szalone odgłosy, jakby w pobliżu wybuchła mała wojenka.

- Joyce! - krzyczy. Orientuję się, że przełączyła telefon na głośnik. - Dzwoniłam i dzwoniłam. USIĄDŹ. MAMA JEST ZŁA! Przepraszam, jestem właśnie w szkolnym cyrku objaz-

dowym. Muszę odebrać sześcioro dzieci i zawieźć je do domu, potem szybka przekąska, zanim zabiorę Erica na trening koszykówki i Jaydę na basen. Chcesz się tam spotkać o siódmej? Jayda ma dostać dzisiaj odznakę za przepłynięcie dziesięciu metrów.

Jayda marudzi w tle coś o swojej nienawiści do odznak za przepłynięcie dziesięciu metrów.

- Jak możesz jej nienawidzić, skoro nigdy jej nie miałaś? - ucina Kate. Jayda wyje i muszę odsunąć telefon od ucha. - JAYDA! DAJ MAMIE SPOKÓJ! DEREK, ZAPNIJ PAS! Jeżeli gwałtownie zahamuję, WYLECISZ przez przednią szybę i ROZKWASISZ SOBIE TWARZ. Zaczekaj, Joyce.

Zapada cisza. Czekam.

- Gracie! - wrzeszczy tata.

Biegnę ku schodom w panice, odwykła już od krzyczącego taty.

- Tak? Tato, dobrze się czujesz?

- Mam siedem liter - wykrzykuje.

- Masz co?

- Siedem liter!

- Co to znaczy?

- W *Countdownie*.

Przestaję panikować i sfrustrowana siadam na szczycie schodów. Nagle głos Kate wraca do słuchawki. Brzmi normalnie, jakby po drugiej stronie został przywrócony spokój.

- OK, zdjęłam cię z głośnika. Pewnie aresztują mnie za rozmawianie przez telefon i wypiszą z listy rodziców odwożących dzieci do szkoły, ale gównu mnie to obchodzi.

- Powiem mamie, że powiedziała pani słowo na „gie” - słyszę cienki głosik.

- Doskonale. Sama jej to chciałam powiedzieć od lat - mruczy Kate pod nosem.

Śmieję się.

- GÓWNO, GÓWNO, GÓWNO, GÓWNO - skanduje dziecięcy chórek.

- Rany boskie, Joyce, lepiej już skończę. Spotkajmy się w centrum sportowym o siódmej. To moja jedyna przerwa. Inaczej dopiero jutro, tenis o trzeciej albo gimnastyka o szóstej. Sprawdźę, czy Frankie będzie mogła do nas dołączyć.

Frankie. Ochrzczona jako Francesca, ale odmawia reagonowania na to imię. Tata nie miał racji co do Kate. Może zdobyła skądś bimber, ale to Frankie otworzyła mi na siłę buzię i wlała go w gardło. Ta wersja historii nie ujrzała jednak nigdy światła dziennego. W rezultacie tata uważa Frankie za świętą, ku niezadowoleniu Kate.

- W takim razie gimnastyka jutro.

Uśmiecham się, kiedy skandowanie dzieci staje się coraz głośniejsze. Kate rozłącza się i zapada cisza.

- GRACIE!-krzyczy tata.

- Joyce, tato.

- Rozwiązałem zagadkę!

Wracam do mojego pokoju i nakrywam głowę poduszką. Kilka minut później w drzwiach staje tata, strasząc mnie.

- Tylko mnie się udało rozwiązać tę zagadkę. Zawodnikom się to nie udało. Tak czy inaczej, wygrał Simon. Wystąpi w jutrzejszym programie. To już trzy zwycięstwa z rzędu i jestem trochę znudzony oglądaniem go znowu. Ma zabawną twarz. Uśmiełabyś się, gdybyś ją zobaczyła. Nie sądzę, żeby Carol bardzo go lubiła. Znowu chce się odchudzać. Masz ochotę na hobnoba? Zamierzam zrobić jeszcze herbaty.

- Nie, dziękuję. - Znow nakrywam się poduszką. Tata używa zbyt wielu słów.

- W każdym razie ja sobie skubnę. Nie mogę brać leków na pusty żołądek. Miałem je wziąć w porze lunchu, ale zapomniałem.

- Wzięłeś tabletki w porze lunchu, nie pamiętasz?

- To były tabletki na serce. Te są na pamięć. Lekarstwa na pamięć krótkotrwałą.

Wysuwam głowę spod poduszki, żeby sprawdzić, czy mówi poważnie.

- Zapomniałeś je wziąć?

Kiwa głową.

- Och, tato! - Śmieję się, kiedy on przygląda mi się, jakbym dostała kolejnego ataku. - Jesteś lekiem na całe zło. Wiesz, powinienes zacząć brać mocniejsze tabletki, bo te najwyraźniej nie działają nie sądzisz?

Odwraca się i schodzi na dół.

- Działyby bardzo dobrze, gdybym pamiętał, żeby je brać - mamrocze pod nosem.

- Tato - wołam za nim. Zatrzymuje się u szczytu schodów. - Dziękuję, że nie pytałeś mnie o Conora.

- Nie ma sprawy. Zresztą nie muszę. Wiem, że niedługo do siebie wrócicie.

- Nie, nie wrócimy - odpowiadam cicho.

Tata cofa się do mojego pokoju.

- Conor spotyka się z kimś innym?

- Nie. Ja też nie. Nie kochamy się. Przestaliśmy się kochać już dawno temu.

- Ale przecież wyszłaś za niego za męża, Joyce. Prowadziłem cię do ołtarza. - Spogląda na mnie z niezrozumieniem.

- A co to ma wspólne ze sprawą?

- Oboje przyrzekaliście sobie w domu naszego Pana. Słyszałem na własne uszy. Co się dzieje z tym młodym pokoleniem. Rozstają się i powtórnie wychodzą za męża. Co z dotrzymywaniem obietnic?

Wzdycham. Jak mam na to odpowiedzieć? Tata rusza w kierunku schodów.

- Tato?

Zatrzymuje się, ale nie cofa.

- Nie myślisz o drugiej stronie medalu. Chyba nie chciałbyś, żebym dotrzymała obietnicy i spędziła resztę życia z Conorem, ale nie kochała go i była nieszczęśliwa?

- Jeżeli sądzisz, że ja i twoja matka byliśmy idealnym małżeństwem, to bardzo się mylisz. Nie ma czegoś takiego. Nikt nie jest szczęśliwy przez cały czas, moja droga.

- Rozumiem to, ale co powiesz na „zawsze nieszczęśliwy”? Zawsze.

Zastanawia się nad tym chyba po raz pierwszy w życiu. Wstrzymuję oddech. Wreszcie otwiera usta.

- Idę sobie zjeść hobnoba - mówi. - Czekoladowego - dodaje buntowniczym tonem w połowie schodów.

12

- Jestem na wakacjach, bracie. Dlaczego ciagniesz mnie na siłownię? - Al co chwilę podbiega, żeby nadążyć za swoim szczupłym, stawiającym długie kroki bratem.

- W przyszłym tygodniu mam randkę z Sarą. - Justin maszeruje żwawo. - Muszę odzyskać formę.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że w niej nie jesteś - ^dysz Al i ociera kropelki potu z czoła.

- Chmury rozwodowe sprawiły, że przestałem ćwiczyć.

- Chmury rozwodowe?

- Nigdy o tym nie słyszałeś?

Al nie jest w stanie mówić, więc tylko potrząsa głową i potrójnym podbródkiem, niczym indyk.

- Chmury nasuwają się na ciebie, przybierają kształt twojego ciała, spowijają cię szczelnie tak, że ledwie możesz się ruszyć. Albo oddychać. Albo ćwiczyć. Albo nawet umawiać się na randki, nie wspominając już o seksie z nowymi kobietami.

- Twoje chmury rozwodowe są zupełnie jak moje chmury małżeńskie.

- Tak, no cóż, moje chmury popłynęły już gdzie indziej. - Justin spogląda na szare londyńskie niebo, zamyka oczy na chwilę i oddycha głęboko. - Czas wrócić do akcji. - Otwiera oczy i wpada na lampę uliczną. - Chryste, Al! - Zatacza się do tyłu, trzymając rękami za głowę. - Dzięki za ostrzeżenie.

Al, z twarzą koloru buraczkowego, wpatruje się w niego, dysząc ciężko. Mówienie przychodzi mu z ogromnym trudem.

- Pomijając moją gimnastykę, spójrz na siebie. Lekarz powiedział ci już dawno, że powinieneś zrzucić sto kilogramów.

- Trzydzieści kilogramów... - dyszenie - to niezupełnie... - dyszenie - sto. Nie zaczynaj i ty... - Dyszenie. - Doris mi wystarczy... - Dyszenie. Kaszel. - Jej wiedza o dietach mnie zastanawia. Ta kobieta nic nie je. Boi się obgryźć paznokcie, bo a nuż ma zbyt dużo kalorii.

- Paznokcie Doris są prawdziwe?

- Paznokcie, włosy, wszystko. Muszę się czegoś trzymać. - Al rozgląda się dookoła podenerwowany.

- Za dużo informacji - odpowiada Justin, mylnie rozumiejąc wypowiedź brata. - Nie mogę uwierzyć, że włosy Doris są prawdziwe.

- Poza kolorem. Jako Włoszka jest oczywiście brunetką. Zawrót głowy.

- O tak, masz rację. To całe gadanie o poprzednim życiu, kobiecie z salonu fryzjerskiego - mówi ze śmiechem Justin. *A jak inaczej chcesz to wytłumaczyć?*

- To ja mam zawroty głowy. - Al wpatruje się w brata i wyciąga rękę, żeby oprzeć się o pobliską balustradę.

- Och, wiem, tylko sobie żartowałem. Wygląda, że jesteśmy prawie na miejscu. Dasz radę przejść jeszcze sto metrów z kawałkiem?

- Zależy, jak duży jest „kawałek” - burczy Al.

- Mniej więcej tak duży, jak tydzień z „kawałkiem”, który zamierzaliście spędzić z Doris u mnie. Wygląda na to, że jest bliższy miesiąca.

- Chcieliśmy cię zaskoczyć, a Doug potrafi doskonale zadbać o sklep podczas mojej nieobecności. Lekarz powiedział, że powinienem trochę wypocząć, Justin. Choroby serca są u nas rodzinne. Naprawdę muszę trochę poluzować.

- Powiedziałeś lekarzowi, że mamy w rodzinie choroby serca?

- Tak. Tata umarł na zawał. O kim innym miałbym niby mówić?

Justin milczy.

- Poza tym, nie pożałujesz. Doris urządzi ci mieszkanie tak elegancko, że jeszcze będziesz nam dziękował za wizytę. Wiesz, że sama zaprojektowała wnętrze swojego salonu dla psów?

Oczy Justina się rozszerzają.

- Jasne. - Al uśmiecha się z dumą. - Ile masz seminariów w Dublinie? Może kiedyś wybierzemy się z tobą. Wiesz, żeby zobaczyć miejsce urodzenia taty.

- Tata pochodzi z Cork.

- Ach. Mamy tam nadal jakąś rodzinę z jego strony? Moglibyśmy odszukać nasze korzenie, jak myślisz?

- To nie taki głupi pomysł. - Justin przypomina sobie program zajęć. - Mam jeszcze kilka wykładów, ale pewnie nie zostaniecie tu aż tak długo. - Spogląda na Alę z ukosa, testując go. - W przyszłym tygodniu nie możecie pojechać," bo mam randkę z Sarą.

- Naprawdę smalisz cholewki do tej panienki?

Słownictwo czterdziestoletniego brata nigdy nie przestaje zadziwiać Justina.

- Czy smalę cholewki? - powtarza rozbawiony i zdeorientowany jednocześnie. *Dobre pytanie. Nie, chyba nie, ale w przyjemny sposób dotrzymuje mi towarzystwa. Czy to dobra odpowiedź?*

- Zawojowała cię słowami: „Pragnę twojej krwi”? - chce Al.

- No, no, to było niesamowite. Sara okazała się wampirem z Transylwanii. Chodźmy na siłownię, na godzinkę - Justin zmienia temat. - Nie sądzę, by odpoczynek poprawił twój stan. Właśnie przez to się do niego doprowadziłeś.

- Na godzinę? - wybucha Al. - Co zamierzacie robić na tej randce? Wspinać się po skałkach?

- To tylko lunch.

Al wywraca oczami.

- Co, musisz sam upolować jedzenie? Zobaczysz, jutro rano obudzisz się zeszywniały po takiej długiej sesji po raz pierwszy od roku. Nie będziesz w stanie chodzić, nie wspominając o uprawianiu seksu.

Budzi mnie odgłos szczekania garnków i patelni na dole. Spodziewam się ocknąć we własnej sypialni i dopiero po chwili przypominam sobie. Wszystko, od początku. Moja poranna pigułka, trudna do przełknięcia. Pewnego dnia obudzę się i po prostu będę wiedzieć. Nie jestem pewna, który scenariusz wolę; chwile zapomnienia są tak cudowne.

Nie spałam zbyt dobrze w nocy. Budziły mnie własne myśli i codzienne odgłosy splukiwania toalety przez tatę. A kiedy wracał do łóżka i zasypiał ponownie, jego chrapanie trzęsło ścianami domu.

Mimo to zdołałam się kilka razy zdrzemnąć. Sny, które wtedy do mnie przychodziły, nadal pamiętam. Wydawały się niemal realne, jak wspomnienia, chociaż kto może powiedzieć, jak dalece są prawdziwe, skoro nasze umysły tak bardzo wszystko zmieniają. Pamiętam pobyt w parku, chociaż nie sądzę, żebym to była ja. Trzymałam w ramionach małą dziewczynkę z jasnymi blond lokami, obracałyśmy się dookoła. Obok rudowłosa kobieta przyglądała się nam z uśmiechem, dzierżąc w dłoni aparat fotograficzny. Park był kolorowy, rosło w nim mnóstwo kwiatów, a my przyszliśmy tam na piknik... usiłuję przypomnieć sobie piosenkę, którą słyszałam w głowie przez całą noc, ale mi się nie udaje. Zamiast tego słyszę, jak tata na dole śpiewa *Stary triangel*, tradycyjną irlandzką piosenkę, którą słyszałam przez całe życie - moje i prawdopodobnie jego - na wszystkich przyjęciach. Widzę go jak dziś, stojącego z kuflem w dłoni, z zamkniętymi oczami i szczęściem na twarzy, kiedy wyśpiewywał historyjkę o tym, jak „stary triangel brzęczy żwawo”.

Przerzucam nogi nad brzegiem łóżka i jęczę z bólu. Czuję

rwanie w obu nogach od bioder po łydki. Usiłuję się poruszyć i paraliżuje mnie ból. Wszystko mi dokucza, ramiona, bicepsy, mięśnie trójgłowe, plecy i tułów. Masuję się kompletnie dezorientowana i postanawiam zgłosić się z tym do lekarza, na wszelki wypadek, gdyby coś było nie w porządku. Jestem pewna, że to serce, albo spragnione uwagi, albo tak zboleła, że musiało wylać z siebie cierpienie na całą resztę ciała, żeby sobie ulżyć. Każdy bolący mięsień jest przedłużeniem cierpienia, które czuję w duszy, chociaż lekarz pewnie powie mi, że to wina trzydziestoletniego łóżka, na którym spędziłam noc, wykonanego zanim ludzie uznali, że dobry materac jest ich świętym prawem.

Wkładam szlafrok i ostrożnie, sztywna jak decha, schodzę na dół, usiłując nie zginać nóg.

Znów czuję w powietrzu dym i widzę, przechodząc obok stolika w przedpokoju, że nie ma tam fotografii mamy. Wiedzioną tajemniczym odruchem otwieram szufladę w stoliku i znajduję odwrócone zdjęcie. Łzy napływają mi do oczu. Jestem rozgniewana, że coś tak cennego zostało ukryte. Zawsze było czymś więcej niż tylko zdjęciem, dla nas obojga. Reprezentowało obecność mamy w tym domu, dumę tego miejsca, które witało nas jej widokiem przy każdym wejściu do środka albo schodzeniu z góry. Oddycham głęboko i postanawiam tymczasem nie poruszać tematu. Zakładam, że tata ma swoje powody, chociaż chwilowo nie potrafię wymyślić żadnej zrozumiałej przyczyny. Zamykam szufladę i zostawiam zdjęcie tam, gdzie schował je tata, czując się tak, jakbym ponownie grzebała mamę.

Kulejąc, ruszam do kuchni, gdzie wita mnie chaos. Wszędzie stoją garnki i patelnie, na blatach zalegają ściereczki, skorupki jajek i chyba cała zawartość szuflad. Tata ma na sobie sweter, koszulę i spodnie, na nogach zaś kaptcie Manchester United w kształcie piłek futbolowych. Przepasany jest fartuchem z nadrukiem przedstawiającym kobietę w czerwonej bieliźnie i pończochach na pasie.

- Dzień dobry, kochanie. - Na mój widok przesuwa się na lewą nogę i całuje mnie w czoło.

Zdaję sobie nagle sprawę, że pierwszy raz od wielu lat ktoś zrobił dla mnie śniadanie. To także pierwszy raz od wielu lat, kiedy tata miał dla kogo je przyszykować. Nagle śpiewanie, bałagan i szczękanie naczyń nabierają sensu. Tata jest podekscytowany.

- Robię gofry - rzuca z amerykańskim akcentem.

- Och, to bardzo miło.

- To chyba powiedział osioł, prawda?

- Jaki osioł?

- Ten... - Przestaje mieszać coś w garnku i zamyka oczy, zastanawiając się. - Ten z filmu z zielonym człowiekiem.

- *Niesamowity Hulk*

- Nie.

- Nie znam innych zielonych ludzi.

- Znasz. No wiesz, ten...

- *Zła Czarownica z Zachodu?*

- Nie! Występuje tam osioł. Przypomnij sobie historie o osle.

- Czy to coś z Biblii?

- Gdzie tam masz historie o osle, Gracie? Czy Jezus jadł gofry? Chryste, źle wszystko zrozumieliśmy. Wydawało się nam, że dzieliłeś się ze swoimi uczniami chlebem, a nie goframi!

- Mam na imię Joyce.

- Nie przypominam sobie, żeby Jezus kiedykolwiek jadł gofry, ale oczywiście zapytam o to chłopców z Klubu Poniedziałkowego. Może przez całe życie źle czytałem Biblię. - Śmieje się ze swojego własnego dowcipu.

Spoglądam ponad jego ramieniem.

- Tato, wcale nie robisz gofrów!

Wzdycha ze zniecierpliwieniem.

- A co to ja jestem, osioł? Wyglądam na osła? To osły robią gofry. Ja smażę śniadanie.

Przyglądam się, jak przerzuca kiełbaski, chcąc je obsmażyć równo ze wszystkich stron.

- Ja też poproszę.

- Ale ty przecież jesteś jedną z tych wegetarianistów.

- Wegetarian. Już nie.

- Jasne, oczywiście, że nie. Przestałaś jeść mięso w wieku piętnastu lat po obejrzeniu programu o fokach. Jutro się obudzę, a ty będziesz mi wmawiać, że jesteś mężczyzną. Widziałem to kiedyś w telewizji. To była kobieta, mniej więcej w twoim wieku. Przyciągnęła swojego męża do jednego z programów na żywo, żeby powiedzieć mu przy tłumie publiczności, że zamierza zmienić...

- Fotografia mamy zniknęła ze stolika - wybucham, zdenierwowana jego paplaniną.

Tata zastyga. Jego reakcja świadczy o winie. Złoszczę się jeszcze bardziej, zupełnie jakbym przedtem zdołała sobie wmówić, że jakiś tajemniczy intruz włamał się o północy i schował zdjęcie mamy do szuflady. W gruncie rzeczy wolałabym tę wersję.

- Dlaczego? - pytam.

Tata nakrywa do stołu, pozornie bardzo zajęty.

- Co dlaczego? Dlaczego tak chodzisz i co chcesz wiedzieć? - Przygląda mi się podejrzliwie.

- Nie wiem, dlaczego tak chodzę. Może to rodzinne - odwarkuję i kulejąc, ruszam w stronę krzesła przy stole.

- Ho, ho, ho. - Tata unosi oczy ku sufitowi. - Mamy tu jedną żywą, szefie! Skończ nakrywanie do stołu, jak grzeczna dziewczynka.

Złość nagle mi mija i uśmiecham się. Nakrywam do stołu, a tata kończy szykować śniadanie. Oboje kulejemy po kuchni, udając, że wszystko jest tak, jak powinno być i jak zawsze będzie. Na wieki wieków.

- Tato, co zamierzasz dzisiaj robić? Masz jakieś plany?

Widelec z porcją kiełbasy, jajka, boczku, kaszanki, pieczarki i pomidora zatrzymuje się w połowie drogi do ust. Rozbawione oczy spoglądają na mnie spod krzaczastych brwi.

- Plany, powiadasz? Zobaczmy, Gracie, niech no przejrzę w myślach plan na dzisiejszy dzień. Po śniadaniu, które skończę mniej więcej za piętnaście minut, zamierzałem zrobić sobie jeszcze jedną herbatę. Kiedy będę ją pił, może usiądę sobie na tym tutaj krześle, a może na twoim. To jeszcze nie zostało zdecydowane. Następnie zamierzam przejrzeć rozwiązania wczorajszej krzyżówki, żeby sprawdzić, co wpisałem dobrze, a co źle, oraz znaleźć odpowiedzi do tych pytań, których nie mogłem wykoncypować. Potem zrobię dusoku i grę słowną. Widzę, że dzisiaj musimy spisać dużo nautycznych słów. Żeglowanie, nadmorski, marynarze, tak, będę w stanie to zrobić. Jestem pewien, że widzę słowo wodniactwo w pierwszej linii. Potem wytnę kupony i to wypełni mi poranek. Następnie zrobię sobie kolejną herbatę i zasiądę do oglądania telewizji. Jeżeli chciałabyś się umówić na spotkanie, porozmawiaj z Maggie. - Wkłada widelec z jedzeniem do ust. Żółtko ścieka mu po brodzie, ale nie zauważa tego.

- Kto to jest Maggie? - śmieję się.

Przełyka i uśmiecha się, rozbawiony sobą samym.

- Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. - Zamyśla się,

a potem chichocze. - Był taki jeden gość, którego znałem w Cavan, prawie sześćdziesiąt lat temu. Nazywał się Brendan Brady. Kiedykolwiek usiłowaliśmy się jakoś umówić, rzucił: „Porozmawiaj z Maggie” - buczy tata niskim głosem. - Zupełnie jakby był kimś ogromnie ważnym. Maggie była jego żoną, a może sekretarką, nie mam pojęcia. „Porozmawiaj z Maggie” - powtarza. - Pewnie tak naprawdę Maggie to jego matka. - Śmieje się i wraca do jedzenia.

- Czyli wygląda na to, że będziesz robił dokładnie to samo, co wczoraj.

- O nie, to zupełnie co innego. - Przegląda program telewizyjny i stuka zatłuszczonym palcem w stronę z dzisiejszym rozkładem. Spogląda na zegarek i przesuwa palcem do dołu. Chwyta mazak i zaznacza kolejny program.

- Dzisiaj dają *Szpital zwierzęcy*, zamiast *Objazdowego antykwariatu*. Zupełnie nie to samo, co wczoraj. Dzisiaj będą pieseczki i króliczki, zamiast fałszywych kubryków Betty. Może zobaczymy ją, kiedy będzie usiłowała sprzedać psa za kilka szylingów. A nuż w końcu jednak uda ci się wykorzystać to bikini, Betty - ciągnie, rysując coś wokół zaznaczonych programów. Oblizuje kąciki ust, skoncentrowany, jakby dekorował manuskrypt.

- Księga z Kells - rzucam nagle nie wiadomo dlaczego, chociaż ostatnimi czasy nic nie wydaje mi się dziwne. Moje przypadkowe tyrady historyczne zaczynają się stawać normą.

- O czym ty mówisz? - Tata przestaje rysować i wraca do śniadania.

- Pojedźmy dzisiaj do miasta, do Trinity College. Obejrzeć Księgę z Kells.

Tata wpatruje się we mnie, przeżuając. Nie wiem, co sobie myśli. On prawdopodobnie ma to samo wrażenie na mój temat.

- Chcesz iść do Trinity College? Ty, która nigdy nie chciałaś się zbliżyć do tego miejsca czy to w ramach nauki, czy wycieczki ze swoimi rodzicami. A teraz nagle raptem chcesz

tam pojechać? Czy „nagle” i „raptem” nie oznaczają tego samego? Nie powinno się ich stosować w tym samym zdaniu, Henry - poprawia się.

- Tak, chcę tam pojechać - oświadczam. Nagle bardzo chcę odwiedzić Trinity College.

- Jeżeli nie chcesz oglądać *Szpitala zwierzęcego*, po prostu powiedz. Nie musisz od razu uciekać do miasta. Istnieje coś takiego, jak możliwość zmiany kanału.

- Masz rację, tato. Ostatnio często to robiłam.

- Doprawdy? Nie zauważyłem. Miałem na głowie rozpad twojego małżeństwa, to, że przestałaś być wegetarianką nie wspomniałaś ani słowem o pracy, przeprowadziłaś się do mnie i w ogóle. Dużo się tu działo. Skąd człowiek ma wiedzieć, że ktoś zmienił kanał albo że zaczął się nowy program?

- Muszę zrobić coś nowego - wyjaśniam. - Mam czas dla Frankie i Kate, ale wszyscy inni... nie jestem jeszcze gotowa. Potrzebujemy zmiany w życiu, tato. Mam w ręku pilota i jestem gotowa zacząć naciskać guziki.

Tata wpatruje się we mnie przez chwilę, a potem w odpowiedzi wkłada do ust kiełbasę.

- Pojedziemy do miasta taksówką, a potem wsiądziemy do autobusu turystycznego. Co o tym sądzisz? MAGGIE?! - krzyczę, aż tato podskakuje ze strachu. - MAGGIE, TATA JEDZIE ZE MNĄ DO MIASTA POZWIEDZAĆ. ZGADZASZ SIĘ? - Nadstawiam uszu, a potem zadowolona z odpowiedzi kiwam głową i wstaję. - W porządku, tato, wszystko postanowione. Maggie powiedziała, że możesz ze mną jechać do miasta. Wezmę tylko prysznic. Wyruszamy za godzinę. Ha! - Kulejąc, wychodzę z kuchni, pozostawiając wstrząśniętego ojca z jajkiem na brodzie.

- Wątpię, żeby Maggie zgodziła się na takie tempo spaceru, Gracie - mówi tato, usiłując dotrzymać mi kroku, kiedy uprawiam slalom między przechodniami na Grafton Street.

- Przepraszam. - Zwalniam i chwytam go za ramię. Po-

mimo butów ortopedycznych nadal kiwa się na boki, a ja wraz z nim. Nawet gdyby go teraz zoperowano, żeby wyrównać długość nóg, wciąż by się pewnie kołysał. Stało się to integralną częścią jego osoby.

- Tato, nigdy nie zamierzasz mnie nazywać Joyce?

- O czym ty mówisz? Przecież to twoje imię.

Spoglądam na niego zaskoczona.

- Nie zauważyłeś, że ciągle mówisz do mnie Gracie?

Wygląda na zdumionego, ale nie odpowiada, po prostu kontynuuje wędrówkę. W górę, w dół, w dół i w górę.

- Dam ci piąta za każdy raz, kiedy nazwiesz mnie Joyce.

- Umowa stoi, Joyce, Joyce, Joyce. Och, jakże ja cię kocham, Joyce - chichocze. - To już dwadzieścia! - Trąca mnie łokciem. - Tak po prawdzie nie zauważyłem, że mówię do ciebie Gracie. Postaram się uważać - dodaje serio.

- Dzięki.

- Bardzo mi ją przypominasz, wiesz?

- Ach, tato, naprawdę? - Jestem wzruszona. Czuję, że oczy szczypią mnie od łez. Nigdy przedtem tego nie mówił. - W jaki sposób?

- Macie taki sam mały zadarty noseć, jak świnka.

Wywracam oczami.

- Nie rozumiem, dlaczego się oddaliśmy od Trinity College. Czy to nie tam właśnie chciałaś pójść?

- Tak, ale autobus wycieczkowy odjeżdża z parku Stephen's Green. Wstąpimy do college'u w czasie zwiedzania. Poza tym w tej chwili nie chcę tam iść.

- Dlaczego?

- Jest pora lunchu.

- Ach, no tak. Księża z Kells robi sobie godzinną przerwę, prawda? - Tata wywraca oczami. - Bułka z szynką termos z herbatką a po zjedzeniu wskakuje z powrotem na wystawę, świeżuchna jak wiosenny deszcz. Uważasz, że tak właśnie się dzieje? Bo inaczej nie ma to dla mnie sensu.

- A dla mnie ma.

Nie wiem dlaczego, ale naprawdę czuję, że zmierzam w dobrym kierunku. Mój wewnętrzny kompas mi to podpowiada.

Justin wybiega przez bramę Trinity College i rusza w stronę Grafton Street. Lunch z Sarą. Ucisza wewnętrzny głos podpowiadający mu, żeby odwołać spotkanie. *Daj jej szansę. Daj sobie szansę.* Musi spróbować, odnaleźć twardy grunt, stanąć na nogi. Musi pamiętać, że spotkania z innymi kobietami nie będą takie, jak pierwsza chwila, kiedy dostrzegł Jennifer. Łomotanie serca, które wprawiło całe jego ciało w drżenie, łaskotanie w żołądku i pod skórą. Przypomniał sobie, jak się czuł na randce z Sarą. Nic z tych rzeczy. Nic, poza zadowolaniem, że uznała go za atrakcyjnego, i radością, że znów powrócił do świata randek. Wiele emocji a propos Sary i całej tej sytuacji, ale żadnych uczuć do niej. Już bardziej zareagował na tę kobietę w salonie fryzjerskim kilka tygodni temu. Znacząca obserwacja. *Daj jej szansę. Daj sobie szansę.*

Grafton Street jest zatłoczona w porze lunchu, zupełnie jakby otwarto bramy dublińskiego zoo i wypuszczono stamtąd wszystkie zwierzęta, szczęśliwe, że mogą się na godzinę wyrwać z klatek. Justin skończył już dzisiaj pracę. Wygłosił na seminarium wykład na temat, w którym się specjalizował: „Miedź i płótna, 1575-1775”. Prawdziwy hit wśród studentów trzeciego roku, którzy zdecydowali się słuchać właśnie jego.

Wie, że spóźni się na spotkanie z Sarą. Usiłuje przejść w trucht, ale całe ciało boli go z przetrenowania. Z niechęcią przyznaje, że ostrzeżenia Ala były słuszne. Utyka więc za dwójkiem najpowolniejszych, wydaje się, ludzi na całej ulicy. Chce ich wyminąć, ale po obu stronach przesuwają się gęste tłumy ludzi, nie pozwalając mu zmienić toru. Zwalnia zniecierpliwiony, dostosowując się do tempa dwójki przed nim. Jedno z nich śpiewa radośnie, kiwając się na boki.

Pijany o tej porze! Doprawdy!

Tata nie spieszy się, wędrując Grafton Street, zupełnie jakby miał czas. Pewnie zresztą to prawda, chociaż młodsza osoba postrzeżałaby to zupełnie inaczej. Czasem zatrzymuje się, wskazuje na różne rzeczy, przyłącza się do gapiów oglądających występy uliczne, a kiedy ruszamy dalej, powoduje zamieszanie niczym kamień w strumieniu. Ludzie muszą go omijać. Jest przeszkodą zupełnie tego nieświadomą. Śpiewa, kiedy poruszamy się w górę i w dół, w dół i w górę:

*Grafton Street to baśniowy świat
Tu w powietrzu wisi czas
Oczy kobiet lśnią diamentami
W ich włosach złoty pył się czai
Jeżeli mi nie wierzysz
Spotkajmy się przy wieży
W słoneczny dubliński dzień*

I

Spogląda na mnie i uśmiecha się radośnie. Śpiewa piosenkę od początku, zapominając części słów, wypełniając pustkę mruzeniem.

Podczas najpracowitszych dni w mojej agencji dwadzieścia cztery godziny zdawały się nie wystarczać. Teraz mam odruch, żeby wyciągnąć ręce w górę, aby złapać sekundy i minuty, powstrzymać ich przemijanie. Niczym mała dziewczynka chwytająca bańki mydlane. Nie można zatrzymać czasu, ale tacie jakoś się to udaje. Zawsze się zastanawiałam, jakim cudem wypełnia swoje chwile. Zupełnie jakby moje otwieranie drzwi i rozmowy o słonecznych kątach, centralnym ogrzewaniu oraz przepastnych szafach były warte znacznie więcej niż jego krzątania. Tak naprawdę wszyscy kręcimy się bez celu, wypełniając czas, który nam przeznaczono tu, na ziemi. Po prostu lubimy się czuć lepsi, tworząc listy ważnych spraw.

A więc to właśnie robi człowiek, kiedy życie zwalnia tempo i kolejne minuty wydają się dłuższe, niż były wcześniej? Przestaje się spieszyć. Oddycha powoli. Otwiera oczy nieco

szerzej i spogląda na świat, poznaje go. Przypomina sobie stare historie, ludzi, czasy i chwile, które już odeszły. Pozwala, aby to, co widzi, przypomniało mu o czymś. Rozmawia o tych sprawach. Zatrzymuje się i zwraca uwagę na różne rzeczy, które zaczynają dla niego nabierać ważności. Znajduje odpowiedzi do wczorajszych krzyżówek. Zwalnia tempo. Przestaje dążyć do zrobienia wszystkiego teraz, natychmiast. Spowalnia ludzi idących za tobą, czuje, jak niecierpliwie następują mu na pięty, ale utrzymuje swoją prędkość. Nie pozwala nikomu dyktować, jak szybko ma iść przez życie.

Chociaż z drugiej strony, jeżeli ten człowiek za mną jeszcze raz kopnie mnie w piętę...

Słońce świeci tak jasno, że trudno mi patrzeć przed siebie. Zupełnie jakby przysiadło na krańcu Grafton Street, kula do gry w kręgle, gotowa przewrócić nas wszystkich. Wreszcie zbliżamy się do końca ulicy. Nadchodzi moment wyrwania się z ludzkiego strumienia. Tata zatrzymuje się nagle, oczarowany występem ulicznego mima. Ponieważ trzymam go za rękę, sama również muszę nagle stanąć. Człowiek idący tuż za mną wpada na mnie. Czuję ból. Ostatnie mocne nastąpienie na pięty. Dość tego.

- Hej! - odwracam się. - Proszę uważać.

Mężczyzna mruczy coś i oddala się szybkim krokiem.

- Niech pani sama uważa - rzuca przez ramię z amerykańskim akcentem.

Chcę znowu coś do niego krzyknąć, ale powstrzymuje mnie dźwięk jego głosu.

- Spójrz na to - zachwyca się tata, obserwując mima uwięzionego w niewidzialnej klatce. - Czy powinienem mu dać niewidzialny klucz, żeby mógł się wydostać z tego pudła? - Śmieje się. - To by było zabawne, nie uważasz, kochanie?

- Nie, tato. - Spoglądam za moją uliczną nemezis, usiłując sobie przypomnieć, skąd znam ten głos.

- Wiesz, że De Valera uciekł z więzienia za pomocą klucza, który przemyciono w torcie urodzinowym? Ktoś powi-

nien opowiedzieć tę historię temu artyście. No dobrze, gdzie teraz? - Rozgląda się. Odchodzi w innym kierunku, przez sam środek parady Hare Krishna, oczywiście zupełnie tego nie zauważając.

Mężczyzna w piaskowej budrysówce odwraca się i rzuca mi ostatnie nieprzyjazne spojrzenie, zanim rusza dalej w pośpiechu.

Nadal się na niego gapię. Gdyby tak odwrócić to skrzywienie ust. Uśmiech. Znajomy.

- Gracie, tutaj się kupuje bilety. Znalazłem kasę! - krzyczy tata.

- Zaczekaj chwilę. - Spoglądam na oddalającego się mężczyznę w budrysówce. *Odwróć się jeszcze raz, pokaż mi swoją twarz*, błagam.

- Kupię nam bilety, dobrze?

- Dobrze, tato. - Nie spuszczam wzroku z nieznanego. Nie mogę, nie potrafię oderwać od niego wzroku. Rzucam mentalne lasso, chwytam go w pętlę i zaczynam przyciągać do siebie. Stawia coraz mniejsze kroki i stopniowo zwalnia.

Nagle się zatrzymuje. Ha!

Proszę, odwróć się. Pociągam za linę.

Odwraca się i szuka kogoś w tłumie. Mnie?

- Kim jesteś? - szepczę.

- To ja. - Tata staje obok mnie. - Tkwisz na środku ulicy.

- Wiem, co robię - rzucam niecierpliwie. - Masz, tutaj, kup nam bilety. - Wręczam mu pieniądze.

Odsuwam się od grupy krisznowców, nie spuszczać wzroku z mężczyzny w budrysówce. Mam nadzieję, że mnie dostrzeże. Jasna wełna jego kurtki niemal emanuje światłem pośród ponurych ciemnych kolorów mijającego go tłumu. Wygląda jak jesienny Święty Mikołaj. Chrząkam i przyglądam obcięte na krótko włosy.

Nadal przygląda się tłumowi i przez chwilę jego wzrok pada na mnie. W tym momencie sobie przypominam. To on - nieznanomy z salonu fryzjerskiego.

Co teraz? Może mnie nie rozpozna. Może nadal jest po prostu zły, że na niego nakrzyczałam. Nie wiem, co robić. Mam się uśmiechnąć? Pomachać? Żadne z nas się nie porusza.

Wreszcie mężczyzna unosi dłoń i macha. Spoglądam za siebie, upewniając się, że to do mnie. Chociaż jestem tego pewna, tak pewna, że dałabym uciąć za to głowę własnemu ojcu. Nagle Grafton Street pustoszeje i cichnie. Jesteśmy tylko my dwoje. Zabawne. Jak to się stało? Ludzie czasem są tacy domyślni. Macham do niego. Widzę, że coś do mnie mówi bezgłośnie.

Przewracam? Nie. Przepraszam. Jest mu przykro. Nie wiem, co odpowiedzieć, i uśmiecham się. Trudno cokolwiek odpowiedzieć bezgłośnie poprzez uśmiech. Tak samo, jak nie da się zagwizdać.

- Mam bilety! - wykrzykuje tata. - Dwadzieścia euro za sztukę. Złodziejstwo, daję słowo. Patrzenie jest za darmo. Nie wiem, dlaczego każą nam płacić za używanie własnych oczu. Zamierzam napisać bardzo ostry list do kogoś w tej sprawie. Następnym razem, kiedy zapytasz mnie, dlaczego siedzę w domu i oglądam telewizję, będę pamiętał, żeby przypomnieć ci, że robię to za darmo. Dwa euro za gazetę i sto pięćdziesiąt rocznie opłaty to tańsze niż jeden dzień z tobą - marudzi. - Kosztowne taksówki do miasta i zwiedzanie ulic, na których mieszkałem i które widywałem za darmo przez sześćdziesiąt lat.

Nagle wraca do mnie hałas ruchu ulicznego, znowu widzę przesuających się obok mnie ludzi, czuję słońce i wiatr na mojej twarzy. Serce trzepocze mi szaleńczo w piersi, pompując w ciało krew przesyconą podnieceniem. Tata ciągnie mnie za ramię.

- Gracie, chodźże już. Autobus odjeżdża. Musimy jeszcze do niego dojść. Szybko. To w pobliżu hotelu Shelbourne. Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Tylko mi nie mów, że tak właśnie było. Na dzisiaj mam już dość kłopotów. Czterdzieści euro - mruczy do siebie.

Gęsty tłum przechodniów gromadzi się na końcu Grafton Street, czekając na zielone światło. Przesłaniają mi widok mężczyzny w budrysówce. Tata odciąga mnie do tyłu. Idę za nim, tyłem, wzdłuż Merrion Row, usiłując nie stracić nieznajomego z oczu.

- Cholera!

- Co się stało, kochanie? Już blisko. Co ty robisz? Dlaczego idziesz tyłem?

- Nie widzę go.

- Kogo, kochanie?

- Mężczyzny, którego, jak mi się wydaje, znam. - Zatrzymuję się i staję obok taty, nadal wpatrując się w tłumy płynące Grafton Street.

- Na twoim miejscu nie zatrzymywałbym się na pogawędkę z kimś, kogo być może znam - rzuca tata. - Co to za autobus, spójrz tylko Gracie. Wygląda dziwnie. Nie wiem, nie wiem. Nie było mnie w mieście kilka lat i zobacz, co narobili ci z CIE*.

Ignoruję go i pozwalam się zaciągnąć do autobusu. Już w środku przysuwam głowę do plastikowej szyby i spoglądam w przeciwnym kierunku, przeszukując panicznie tłum zgromadzony na skrzyżowaniu. Wreszcie zielone światło. Ludzie ruszają, odsłaniając miejsce, gdzie stał nieznajomy. Nie ma go.

- Nie ma go.

- Tak? Skoro sobie poszedł, to znaczy, że się tak dobrze nie znaliście.

Spoglądam na tatę.

- To było naprawdę dziwne - mówię.

- Nie ma nic dziwniejszego niż to.

Tato rozgląda się dookoła zdumiony. Robię to samo i wreszcie dociera do mnie, gdzie jesteśmy. Wszyscy pasażer-

* Córás Iompair Síreann, irlandzki zarząd transportu miejskiego

rowie mają na głowach hełmy wikingów i kamizelki ratunkowe na kolanach.

- W porządku - mówi przewodnik wycieczki do mikrofonu. - Wreszcie jesteśmy w komplecie. Pokażmy nowo przybyłym, co robić. Na mój znak wszyscy ryczą, jak wikingowie. Trzy cztery!

Podskakujemy na siedzeniach i tata chwyta się mnie kurczowo, kiedy cały autobus wrzeszczy zgodnym chórem.

- Jestem Olaf Biały. Witam wszystkich na pokładzie Wikingowej Amfibii, historycznie znanej jako DUKW lub, jak się ją czule nazywa, Kaczka. Siedzimy w amfibii wyprodukowanej przez General Motors na potrzeby wojska podczas drugiej wojny światowej. Jest to pojazd zaprojektowany z myślą o transportowaniu ładunków lub oddziałów wojskowych, do jazdy po rozmaitych typach nabrzeża i pływaniu po wodach przybrzeżnych. Obecnie używa się ich jako pojazdów ratunkowych w Stanach, Anglii i innych krajach.

- Możemy wysiąść? - szepczę tacie do ucha.

Odpycha mnie, zafascynowany.

- Nasz pojazd waży siedem ton, ma dziewięć metrów długości i prawie trzy szerokości. Jak widzicie, został przebudowany i wyposażony w wygodne siedzenia, dach oraz opuszczane boki, żeby chronić was przed żywiołami. Jak bowiem doskonale wiecie, po zwiedzaniu miasta czeka nas wodowanie i fantastyczna wycieczka Wielkim Kanałem w dzielnicy portowej.

Wszyscy wiwatują a tata spogląda na mnie wielkimi oczami, jak mały chłopiec.

- Nie dziwię się, że bilet kosztuje dwadzieścia euro. Autobus, który pływa? Autobus? Pływający autobus? Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Niech no tylko opowiem o tym

kolegom z Klubu Poniedziałkowego. Ten gaduła Donal wreszcie nie będzie w stanie przebić mojej historii.

Spogląda na operatora, który jak wszyscy inni w autobusie ma na głowie hełm z rogami. Tata chwyta dwa, wkłada jeden na głowę, a drugi, z doczepionymi po bokach dwoma blond warkoczami, wręcza mnie.

- Olaf, poznaj Heidi.

Wkładam hełm na głowę i spoglądam na tatę, który wydaje z siebie cichą namiastkę ryku wojownika.

- Dzisiaj w programie mamy nasze słynne dublińskie katedry Świętego Patryka i Christchurch, dalej Trinity College, budynki rządowe, Dublin georgiański...

- Oooo, to ci się spodoba. - Tata trąca mnie łokciem.

- ...i oczywiście Dublin wikingów!

Wszyscy ryczą zgodnym chórem, włączając w to tatę. Nie mogą się powstrzymać od śmiechu.

- Nie rozumiem, dlaczego mamy świętować fakt, że banda prostaków najechała nasz kraj, gwałcąc i rabując.

- Czy ty w końcu się rozchmurzysz i zaczniesz dobrze bawić?

- A co zrobimy, kiedy na drodze pojawi się konkurencyjna Kaczka? - pyta przewodnik.

W amfibii rozlega się chór okrzyków dezaprobaty.

- W porządku. Ruszamy! - ogłasza entuzjastycznie Olaf.

Justin panicznie spogląda ponad ogolonymi głowami krisznówców, którzy zaczęli paradować tuż przed nim, zasłaniając mu widok kobiety w czerwonym płaszczu. Morze pomarańczowych tog, radosne uśmiechy, brzęczenie dzwoneczków i łomotanie bębnów. Justin podskakuje w miejscu, usiłując spojrzeć w dół Merrion Row.

Tuż przed nim wyrasta nagle mim ubrany w czarny obcisły strój, z pomalowaną na biało twarzą i czerwonymi ustami. Na głowie ma pasiasty kapelusz. Stają naprzeciwko siebie, czekając na to, żeby ten drugi uczynił jakiś gest. Justin

modli się, aby mim znudził się i odszedł. Bezskutecznie. Zamiast tego artysta prostuje się, staje w rozkroku z groźną miną i przebiera palcami nad niewidoczną kaburą rewolweru.

- Naprawdę nie jestem dziś w nastroju - mówi cichym i uprzejmym głosem Justin. - Czy mógłby pan pójść gdzie indziej?

Mim robi żalostną minę i udaje, że gra na skrzypcach. Justin słyszy śmiech i zdaje sobie sprawę, że ma publiczność.

Doskonale.

- Tak, cudownie, to bardzo śmieszne. Wystarczy.

Ignorując aktora, Justin oddala się od zbierającego się tłum gapiów i szuka kobiety w czerwonym płaszczu, która zniknęła na Merrion Row.

Mim wyrasta przed nim znowu, przykłada dłoń do czoła i rozgląda się, jakby popatrywał na morze. Tłumek fanów podąża za nim, gadając i chichocząc. Starsze małżeństwo Japończyków robi zdjęcie.

Justin zaciska zęby.

- Hej, dupku - rzuca cicho, mając nadzieję, że słyszy go tylko mim. - Czy ja wyglądam na kogoś, kto dobrze się bawi?

- Hej, dupku - odpowiada mim niczym bruchomówca, nie ruszając ustami. - Czyja wyglądam na kogoś, kogo to obchodzi?

- Chcesz się bawić w ten sposób? W porządku. Nie wiem, kim usiłujesz być, Marcelem Marceau czy klaunem Coco, ale twoja mała uliczna pantomima obraża ich obu. Być może ten tłum uważa twoje rutyny skradzione Marceau za zabawne, ale nie ja. W odróżnieniu ode mnie, ci ludzie nie wiedzą, że nie zauważyłeś pewnego faktu. Otóż Marceau używał swoich układów mimicznych, żeby opowiedzieć jakąś historię lub naszkicować portret jakiejś osoby. Nie stawał przypadkowo na ulicy, usiłując wydostać się z klatki, której nikt nie widzi. Twój brak wyobraźni i techniki przynosi wstyd instytucji mimów całego świata.

Artysta uliczny mruga raz i udaje, że odchodzi, walcząc z silnym wiatrem.

- Jestem tutaj! - krzyczy kobieta spoza tłumu.

Jest! Poznała mnie!

Justin przestępuje z nogi na nogę, usiłując dojrzeć czerwony płaszcz. Tłum rozstępuje się, ukazując Sarę, najwyraźniej podekscytowaną całą sceną.

Mim naśladuje wyraźne rozczarowanie Justina, przylepiając na twarzy wyraz rozpacz, garbiąc się i zwieszając ramiona tak nisko, że niemal dotykają ziemi.

- Ooooooo - wyje tłum.

Sara smutnieje.

Justin nerwowo usiłuje zastąpić rozczarowanie uśmiechem. Przeciska się przez tłum w kierunku Sary, wita ją szybko i prowadzi z dala od całej sceny, podczas gdy gapie klaszczą i wrzucają drobne do specjalnego pojemnika.

- Nie sądzisz, że to było trochę niegrzeczne? Może powinienś mu dać kilka euro.

Spogląda przepaszająco na mima, który zasłania twarz i porusza gwałtownie ramionami, udając, że płacze.

- Myślę, że to ten pan w trykotach był niegrzeczny.

Justin nadal rozgląda się w poszukiwaniu czerwonego płaszcza. Powoli zmierzają do restauracji na lunch, który teraz zdecydowanie ma ochotę odwołać.

Powiedz jej, że źle się czujesz. Nie. Jest lekarzem, zacznij ci zadawać podchwytliwe pytania. Powiedz jej, że się pomyliliś, że za chwilę masz wykład. Powiedz jej! Powiedz!

Zamiast tego nadal idzie u boku Sary. Wezuwiusz w jego głowie szykuje się do wybuchu. Rozgląda się dookoła jak narkoman na głodzie. W restauracji urządzonej w piwnicy kelner prowadzi ich w kierunku cichego stolika w rogu. Justin spogląda na drzwi.

Krzyknij POŻAR i uciekaj!

Sara zrzuca płaszcz z ramion, odstaniając sporo ciała i przysuwa krzesło bliżej Justina.

Jaki to dziwny zbieg okoliczności, że wpadł - i to całkiem dosłownie - na kobietę z salonu fryzjerskiego. Chociaż może nie było to aż takie niezwykłe. Dublin jest niewielkim miastem. Od kiedy zaczął się tu pojawiać, zorientował się, że wszyscy znają wszystkich - czy to krewnych, czy starych znajomych. Ale ta kobieta... stanowczo musi przestać ją tak nazywać. Powinien nadać jej imię. *Angelina*.

- O czym myślisz? - Sara pochyła się nad stolikiem i wpatruje w niego.

Albo Lucille.

- O kawie. Myślę o kawie. Można prosić czarną kawę? - mówi do kelnerki sprzątającej z ich stołu. Spogląda na jej etykietkę z imieniem. Jessica. Nie, ta kobieta to nie Jessica.

- Nie będziesz jadł? - pyta Sara, rozczarowana i zdezorientowana.

- Nie. Nie mogę zostać tak długo, jak miałem nadzieję. Muszę wrócić do college'u wcześniej, niż planowałem. - Noga podskakuje mu pod stołem, uderzając w blat. Sztuńce brzęczą głośno, a kelnerka i Sara spoglądają na niego podejrzliwie.

- Och. W porządku... cóż. - Sara spogląda na kartę dań. - Wezmę sałatkę szefa i kieliszek białego wina - zwraca się do kelnerki, a potem patrzy na Justina. - Muszę coś zjeść, inaczej zemdleję. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Absolutnie - odpowiada z uśmiechem. *Skądże, nie przeszkadza, chociaż zamówiłaś największą cholerną sałatkę z menu. A może Susan? Czy moja kobieta wygląda jak Susan? Moja kobieta? Co się z tobą, do diabła, dzieje?!!*

- Skręcamy teraz w Dawson Street, nazwaną na cześć Joshui Dawsona, który zaprojektował również ulice Grafton, Anne i Henry. Po prawej stronie zobaczycie Mansion House, w którym mieszka burmistrz Dublina.

Wszystkie rogate hełmy wikingów odwracają się na prawo i w otwartych oknach pojawiają się kamery, komórki i aparaty fotograficzne.

- Sądziś, że to właśnie robili wikingowie w dawnych czasach, tato? Klikali, fotografując budynki, które jeszcze wtedy nie istniały? - szepczę.

- Zamknij się - odpowiada głośno.

Pilot wycieczki przerywa tyradę zaskoczony.

- Nie pan. - Tata macha na niego ręką. - Mówiłem do niej.

Wskazuje mnie palcem. Wszyscy turyści spoglądają na mnie.

- Po prawej kościół Świętej Anny, zaprojektowany przez Isaaca Wella w 1707 roku. Wnętrza datuje się na osiemnaste stulecie - wyjaśnia Olaf ponad trzydziestoosobowej grupie wikingów.

- Tak naprawdę fasada romańska została dodana dopiero w 1868 roku i wykonał ją Thomas Newenham Deane - szepczę do taty.

- Och. - Jego oczy rozszerzają się powoli. - Nie wiedziałem o tym.

- Ja też nie - odpowiadam równie zdziwiona.

Tata chichocze.

- Teraz znajdujemy się na Nassau Street i za chwilę po lewej miniemy Grafton Street.

- „Grafton Street to baśniowy świat” - zaczyna śpiewać tata. Głośno, dodajmy.

Amerykanka siedząca przed nami odwraca się do nas.

- Och, zna pan tę piosenkę? - Uśmiecha się promiennie. - Mój tata zwykł ją śpiewać. Pochodził z Irlandii. Chciałabym ją usłyszeć jeszcze raz. Może nam pan zaśpiewać?

- O tak, bardzo prosimy... - rozlega się chór wokół nas.

Publiczne śpiewanie to dla taty nie pierwszozna. Robi to regularnie na poniedziałkowych spotkaniach. Intonuje pierwsze dźwięki i cały autobus przyłącza się do niego, kiwając się zgodnie na boki. Głos taty unosi się nad plastikowe okna „Kaczki”, docierając do uszu przechodniów na ulicy.

Robię kolejne mentalne zdjęcie taty siedzącego obok mnie

z zamkniętymi oczami i dwoma rogami przyczepionymi na czubku głowy.

Justin z rosnącą niecierpliwością obserwuje, jak Sara pozwoli skubie sałatkę. Nabija kawałek piersi kurczaka na widelec, mięso zawisa na samym brzegu, spada, Sara nabija go znowu i biedny kurczak usiłuje utrzymać się na sztuccu, którego kobieta używa jak grabek, odgarniając liście sałaty i zagładając pod spód. Wreszcie nabija na widelec kawałek pomidora i podnosi wszystko do ust. Kurczak nie wytrzymuje i spada. To już trzeci raz.

- Na pewno nie jesteś głodny, Justin? Tak uważnie przyglądasz się mojemu talerzowi. - Uśmiecha się, wymachując przy tym widelcem, z którego spada tym razem cebula i kawałek sera. Krok do przodu, dwa kroki do tyłu.

- Właściwie to mógłbym skosztować. - Zdążyłby już zamówić i zjeść zupę w czasie, gdy Sara zjadła pięć kęsów sałatki.

- Mam cię nakarmić? - pyta zalotnie, wykonując koliste ruchy widelcem w kierunku jego ust.

- Po pierwsze, chcę więcej niż to, co masz na widelcu.

Sara nabija kilka kolejnych kawałków jedzenia.

- Jeszcze. - Nie spuszcza wzroku z zegarka. Im więcej jedzenia wciśnie do ust, tym szybciej skończy się to frustrujące spotkanie. Wiedział, że jego kobieta, *Yeronica*, prawdopodobnie już zniknęła, ale siedzenie tutaj i obserwowanie, jak Sara spala więcej kalorii, bawiąc się jedzeniem, niż przeżuwanie je, nie pomoże mu tego potwierdzić.

- OK, leci samolocik - intonuje Sara.

- Jeszcze. - Przynajmniej połowa jedzenia spada podczas „startu”.

- Jeszcze? Jak można więcej zmieścić na widelcu, nie wspominając o twoich ustach.

- Daj to, pokażę ci. - Justin odbiera jej sztuciec i zaczyna na niego nabijać tyle jedzenia, ile tylko się da. Kurczak, ku-

kurydza, sałata, burak, cebula, pomidor, ser. Udaje mu się. - A teraz, gdyby pani pilot zechciała sprowadzić samolot na lądowisko...

Sara chichocze.

- To wszystko się nie zmieści w twoich ustach.

- Mam duże usta.

Sara wciska mu jedzenie, które wypycha mu policzki. Przez cały czas śmieje się radośnie. Justin przełyka wszystko, spogląda na zegarek i na talerz.

- W porządku, teraz twoja kolej. - *Kawał z ciebie drania, Justin.*

- Nie ma mowy - śmieje się Sara.

- Dalej. - Nabija na widelec tyle jedzenia, ile potrafi, wraz z tym samym kawałkiem kurczaka, który „porzuciła” już cztery razy, i „leci” w kierunku jej ust.

Sara śmieje się, usiłując zmieścić wszystko na raz. Ledwie może oddychać, przeżuwać, przełykać, ale nadal usiłuje wyglądać ładnie. Przez niemal minutę nic nie mówi, usiłując poradzić sobie z jedzeniem jak dama. Sok, sos i kawałki jedzenia ściekają jej po twarzy. Kiedy wreszcie przełyka, uśmiecha się do niego przez rozmazaną szminkę, odsłaniając zęby, między którymi utkwiał duży kawałek sałaty.

- To było zabawne.

Helena. Jak Helena Trojańska, tak piękna, że spowodowała wybuch wojny.

- Skończyliście państwo? Mogę zabrać talerz? - pyta kelnerka.

- N... - zaczyna Sara, ale Justin pospiesznie jej przerywa.

- Tak, dziękuję. - Unika jej wzroku.

- Bardzo przepraszam, ale jeszcze nie skończyłam - mówi Sara twardo.

Talerz ląduje z powrotem na stole.

Noga Justina podskakuje pod stołem. Jest coraz bardziej zniecierpliwiony. *Sałma. Seksowna Salma.* Zapada niewygodna cisza.

- Przepraszam, Salma, nie chciałem być niegrzeczny...
- Sara.
- Słucham?
- Mam na imię Sara.
- Wiem przecież. Chciałem powiedzieć...
- Nazwałeś mnie Salma.
- Och. Słucham? Kim jest Salma? Boże drogi, przepraszam. Naprawdę nie znam żadnej Salmy.

Sara przyspiesza jedzenie, najwyraźniej chcąc jak najszybciej się od niego uwolnić.

- Po prostu naprawdę muszę wrócić do college'u... - mówi Justin łagodniej.

- Wcześniej, niż planowałeś. Tak, wiem.

Sara uśmiecha się szybko i spogląda ze smutkiem na talerz. Nabija systematycznie jedzenie na widelec. Koniec zabawy, czas na konsumpcję. Zamiast słów jej¹ usta wypełnia sałatka szefa.

Justin kurczy się w środku, wiedząc, że zachowuje się skandalicznie niegrzecznie. *Powiedz to z uczuciem, palancie.* Przygląda się siedzącej obok kobiecie: piękna twarz, cudowne ciało, inteligencja. Sara jest ubrana elegancko w spódniem. Długie nogi, pełne usta, smukłe palce z ładnie wypięlęgowanymi paznokciami, u jej stóp spoczywa torebka pasująca kolorem do butów. Profesjonalna, pewna siebie, inteligentna kobieta. Nie, to nie ona stanowi problem. To Justin, jego rozproszenie, uczucie, że część jego jestestwa znajduje się w zupełnie innym miejscu - tak blisko, że aż czuje nieprzemogłą chęć, aby się zerwać z miejsca, wybiec na zewnątrz i złapać. Idea biegu wydaje się słuszna, problem w tym, że Justin nie wie, kogo lub co ma złapać. W mieście miliona ludzi nie można się spodziewać, że człowiek wyjdzie na zewnątrz i zobaczy stojącą na chodniku tę samą kobietę. Czy warto porzucić piękną damę siedzącą z nim teraz w restauracji tylko po to, aby spróbować uchwycić ulotną ideę?

Powstrzymuje drganie nogi, siada wygodniej na krześle.

Nie czuje już zdenerwowania i nie myśli o tym, żeby wyrwać się stąd, gdy tylko Sara odłoży sztucę na stół.

- Sara - wzdycha. - Naprawdę bardzo cię przepraszam. - Tym razem rzeczywiście mówi to, co czuje.

Sara przestaje wpychać jedzenie do ust i spogląda na niego, przeżuując szybko. Wyciera usta serwetką i przełyka.

- Nie ma sprawy. - Jej twarz łagodnieje. Ona zbiera resztki sałatki rozrzucone po talerzu. Wzrusza ramionami. - Nie chcę cię zaobrączkować, Justin.

- Wiem, wiem.

- To tylko lunch, nic więcej.

- Wiem o tym.

- Może raczej powinniśmy powiedzieć: tylko kawa, na wypadek, gdyby słowo „lunch” budziło w tobie chęć zakrzyknięcia „pożar” i ucieczki? - Kiwa głową w kierunku pustej filiżanki po kawie i zaczyna bawić się niewidzialnymi okruszkami.

Justin chwytają za rękę, powstrzymując nerwowe ruchy.

- Przykro mi.

- W porządku - powtarza Sara.

Atmosfera rozluźnia się nieco, znika napięcie. Talerz po sałatce zostaje zabrany.

- Pewnie powinniśmy poprosić o rachunek...

- Zawsze chciałaś zostać lekarzem?

- Ho, ho. - Sara przerywa otwieranie portmonetki. - Z tobą człowiek zawsze pisze się na sporty ekstremalne. - Uśmiecha się.

- Przepraszam. - Justin potrząsa głową. - Napijmy się kawy, zanim wyjdziemy. Mam nadzieję, że zyskam trochę czasu, aby nasze spotkanie nie stało się najgorszą randką, na której kiedykolwiek byłaś.

- Nie jest. - Potrząsa głową z uśmiechem. - Spadło na drugie miejsce w chwili, kiedy zadałeś mi pytanie, czy chciałam zostać lekarzem. - Uśmiecha się ponownie.

- No więc? Jak to było?

Sara kiwa głową.

- Tak, zawsze chciałam być lekarzem, od kiedy James Goldin mnie zoperował. Miałam pięć lat i uratował mi życie.

- No, no. To bardzo młody wiek, jak na poważną operację. Pewnie miało to na ciebie ogromny wpływ.

- Niesamowity. Byłam na dworze podczas przerwy na lunch. Upadłam, grając w klasy, i rozbiłam sobie kolano. Moi przyjaciele dyskutowali o amputacji, ale James Goldin podbiegł i od razu zrobił mi usta-usta. Natychmiast ból zniknął. Wtedy właśnie wiedziałam.

- Że chcesz być lekarzem?

- Że chcę wyjść za Jamesa Goldina.

Justin się uśmiecha.

- Zrobiłaś to?

- Nie. Zamiast tego zostałam lekarzem.

- Jesteś w tym dobra.

- No tak, z pewnością byłeś to w stanie ocenić po sposobie wbicia igły, gdy oddawałeś krew. - Uśmiecha się. - Wszystko w porządku, skoro już jesteśmy przy tym temacie?

- Ramię trochę mnie swędzi, ale poza tym czuję się dobrze.

- Swędzi? Nie powinno. Pokaż.

Justin zaczyna podwijać rękaw i nagle przerywa.

- Mogę cię o coś spytać? - Poprawia się nerwowo na krześle. - Czy istnieje jakiś sposób, żeby dowiedzieć się, gdzie poszła moja krew?

- Gdzie? Masz na myśli, do którego szpitala?

- Albo jeszcze lepiej, kto ją dostał?

Sara potrząsa głową.

- Całe piękno oddawania krwi polega na anonimowości.

- Ale ktoś musi to przecież wiedzieć, prawda? Musi to być gdzieś zapisane, w dokumentacji szpitalnej lub w twoich papierach.

- Oczywiście. Produkty z banku krwi zawsze można wyśledzić indywidualnie. Ich historia jest dokumentowana przez

cały proces krwiodawstwa, testowania, separacji na poszczególne składniki, przechowywania i podania jej biorcy, ale...

- Nienawidzę tego słowa.

- Niestety, nie możesz się dowiedzieć, kto otrzymał twoją krew.

- Ale przecież powiedziałaś, że wszystko jest udokumentowane.

- Nie możemy udostępnić tej informacji. Dane są przechowywane w zabezpieczonej komputerowej bazie danych. Legalnie możesz tylko uzyskać dostęp do twoich danych, jako dawcy krwi.

- Czy w tych danych jest napisane, kto dostał moją krew?

- Nie.

- W takim razie nie chcę ich zobaczyć.

- Justin, twoja krew nie została przelana bezpośrednio do czyjegoś ciała. Została odwirowana, rozdzielona na poszczególne frakcje...

- Wiem, wiem. Wiem to wszystko.

- Przykro mi, ale nie mogę nic zrobić. Dlaczego tak bardzo chcesz się tego dowiedzieć?

Justin zastanawia się nad tym przez chwilę. Wrzuca kostkę brązowego cukru do filiżanki z kawą i miesza płyn.

- Po prostu jestem ciekawy, komu pomogłem, jeżeli w ogóle komuś pomogłem, i jak się miewa ta osoba. Czuję się... nie, to zabrzmia głupio, pomyślisz, że oszalałem. Nieważne.

- Hej, nie bądź głupi - odpowiada kojąco. - I tak już myślę, że jesteś wariatem.

- Mam nadzieję, że to nie profesjonalna opinia.

- Powiedz mi. - Intensywnie mu się przygląda błękitnymi oczami znad filiżanki kawy. Upija łyk.

- To pierwszy raz, kiedy wypowiadam te myśli na głos, więc wybac, jeżeli trochę to potrwa. Najpierw była to dla mnie idiotyczna reakcja macho. Chciałem wiedzieć, czyje życie ocaliłem, dla jakiego szczęściarza poświęciłem swoją cenną krew.

Sara się uśmiecha.

- Ostatnimi czasy jednak nie mogę przestać o tym myśleć. Czuję się inaczej, naprawdę zmieniony. Jakbym oddał kawałek siebie. Coś cennego.

- To bardzo cenna rzecz, Justin. Zawsze potrzebujemy dawców.

- Wiem, ale nie... nie tak, nie w ten sposób. Po prostu czuję, jakby ktoś, gdzieś tam chodził teraz, nosząc w sobie kawałek mnie. Coś, czego ja nie mam, czego mi teraz brakuje...

- Ciało odtwarza płyny ustrojowe pobrane podczas oddawania krwi w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Nie o to chodzi. Czuję się, jakbym oddał naprawdę część siebie i w ten sposób ktoś inny został dopełniony... Boże, to brzmi obłądnie. Po prostu chciałbym wiedzieć, kim jest ta osoba. Czuję, jakby brakowało mi czegoś, i muszę to coś odzyskać.

- Wiesz, że nie można dostać z powrotem swojej krwi - żartuje Sara słabo.

Oboje zamyślają się głęboko. Sara spogląda smutno na kawę, Justin usiłuje zrozumieć sens swoich własnych słów.

- Nie powinienem pewnie rozmawiać o czymś tak nielogicznym z lekarzem - mówi.

- Słyszałam to od wielu facetów, Justin. Po prostu jesteś pierwszym człowiekiem, który obwinia za to krwiodawstwo.

Milczenie.

- Cóż. - Sara sięga w kierunku oparcia po płaszcz. - Podobno się spieszysz, więc powinniśmy już iść.

Ruszają Grafton Street, milcząc w zakłopotaniu i tylko od czasu do czasu rzucając parę słów. Automatycznie zatrzymują się przy pomniku Molly Malone naprzeciwko wejścia do Trinity College.

- Spóźnisz się na wykład.

- Nie, mam jeszcze chwilę, zanim... - Spogląda na zegarek i przypomina sobie swoją wcześniejszą wymówkę. Czerwienieje. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy.
- Wygląda na to, że cała nasza randka upłynęła na moim przepraszaniu cię i twoim odpowiadaniu, że nie ma sprawy.
- Naprawdę nie ma sprawy - śmieje się.
- A ja naprawdę prze...
- Przestań! - Zasłania mu usta dłonią, uciszając go. - Wystarczy.

- Naprawdę dobrze się bawiłem - rzuca zakłopotany. - Może powinniśmy... wiesz, czuję się bardzo dziwnie, kiedy ona nas obserwuje.

Spoglądają w prawo na Molly wpatrującą się w nich oczami z brązu.

Sara chichocze.

- Wiesz, może powinniśmy zaaranżować...
- Aaaaaarrrrrrrrrrg!

Justin niemal wyskakuje ze skóry przestraszony potwornym rykiem dochodzącym z autobusu, który zatrzymał się na światłach tuż obok nich. Sara piszczy z przerażenia i przyciska dłonie do piersi. Obok nich ponad tuzin mężczyzn, kobiet i dzieci w hełmach wikingów wymachuje pięściami w powietrzu, śmiejąc się i rycząc w kierunku przechodniów. Sara i część tłumu zgromadzonego na chodniku zaczyna się śmiać. Większość ludzi jednak ich ignoruje.

Justin stoi z zapartym tchem, nie mogąc oderwać wzroku od kobiety siedzącej obok starszego pana i zaśmiewającej się do rozpuku. Ma na głowie hełm z długimi blond warkoczami zwisającymi po bokach.

- Na pewno ich przestraszyliśmy, Joyce - chichocze starszy mężczyzna i ryczy cicho do jej ucha, wymachując pięścią.

Kobieta spogląda na niego zdziwiona, a potem ku jego radości wręcza mu banknot wartości pięciu euro. Oboje wybuchają śmiechem.

Spojrzyj na mnie, prosi w myślach Justin. Kobieta wpatruje się w starego człowieka, który podnosi banknot do światła, sprawdzając jego autentyczność. Justin zerka na światła, na-

dal czerwone. Jeszcze ma czas, jeszcze może go zobaczyć. *Odwróć się! Spójrz na mnie chociaż raz!* Światła dla pieszych mrugają. Nie zostało już wiele czasu.

Kobieta nadal na niego nie patrzy, pochłonięta rozmową. Światła zmieniają się i autobus powoli toczy się w kierunku Nassau Street. Justin rusza wraz z nim, z całej siły pragnąc, żeby kobieta spojrzała na niego.

- Justin?! - woła Sara. - Co ty robisz?

Justin nadal maszeruje u boku autobusu, przyspieszając wraz z nim aż do biegu. Słyszy za plecami krzyk Sary, ale nie może się zatrzymać.

- Hej! - wykrzykuje.

Niewystarczająco głośno. Kobieta go nie słyszy. Autobus przyspiesza i Justin przerzuca się na sprint. Adrenalina płynie w jego żyłach. Autobus wyprzedza go, coraz bardziej przyspieszając. Traci ją.

- Joyce! - wykrzykuje. Dziwne brzmienie własnego krzyku zatrzymuje go w miejscu. Co on, do diabła, wyrabia? Pochyla się i opiera dłońmi o kolana, usiłując odzyskać oddech i sprowadzić na ziemię rozchybotane, oszalałe myśli. Spogląda na autobus po raz ostatni. W oknie pojawia się hełm wikinga z blond warkoczykami. Przesuwa się z boku na bok niczym wahadło. Justin nie widzi twarzy, ale tylko jedna osoba spogląda za nim z autobusu, i wie, że to ona.

Wir myśli gwałtownie ustaje. Justin prostuje się i unosi dłoń w geście pozdrowienia.

W oknie pojawia się dłoń, a potem autobus znika za rogiem Kildare Street. Justin obserwuje, jak jego kobieta znika mu po raz kolejny z oczu. Serce bije szaleńczo w piersi, tak mocno, że wydaje się, iż cały chodnik pod jego nogami pulsuje. Nie ma pojęcia, co się dzieje, ale jedno wie na pewno.

Joyce. Ma na imię Joyce.

Spogląda na opustoszałą ulicę.

Kim jesteś, Joyce?

★

- Dlaczego wystawiasz głowę za okno? - Tata wciąga mnie do środka autobusu, wyraźnie zmartwiony. - Może uważasz, że nie masz po co żyć, ale na litość boską, zastanów się!

- Słyszałeś, jak ktoś wołał mnie po imieniu? - szepczę. Kręci mi się w głowie.

- Aha, teraz zaczyna słyszeć głosy - mruczy tata. - To ja cię zawołałem po imieniu. Dałaś mi za to piątaka, nie pamiętasz? - Macha jej banknotem przed nosem, a potem spogląda na Olafa.

- Po lewej widzicie Leinster House, budynek, w którym obecnie urzęduje parlament.

Klik, klik, trzask, trzask, błysk, błysk.

- Leinster House początkowo znany był pod nazwą Kildare House, ponieważ to hrabia Kildare zlecił jego budowę. Kiedy został mianowany diukiem Leinsteru, dom został przemianowany. Jego część, uprzednio goszcząca Królewski College Chirurgów...

- Nauk Ścisłych - mówię głośno, nadal zamyślona.

- Słucham? - Przewodnik przestaje mówić. Wszyscy spoglądają na mnie. Czerwienię się.

- Powiedziałam, że to był Królewski College Nauk Ścisłych.

- To właśnie powiedziałem.

- Nie, powiedział pan „Chirurgów” - wyjaśnia siedząca przed nami Amerykanka.

- Och... - Olaf jest wyraźnie zakłopotany. - Przepraszam, pomyliłem się. Część budynku, goszcząca uprzednio Królewski College... - spogląda na mnie znacząco - Nauk Ścisłych, służyła od 1922 roku jako miejsce spotkań irlandzkiego rządu...

- Pamiętasz, jak opowiadałam ci o tym człowieku, który zaprojektował Rotundę? - szepczę do taty.

- Tak. Dick Jakiśtam.

- Richard Cassels. Ten budynek to również jego projekt. Wedle niektórych miał być matrycą Białego Domu.

- Naprawdę? - pyta tata.

- Naprawdę? - Amerykanka obraca się do nas. Mówi głośno. Bardzo głośno. Za głośno. - Kochanie, słyszałeś to? Ta pani mówi, że projektant tego budynku zbudował Biały Dom.

- Nie, nie powiedziałam...

Nagle zauważam, że przewodnik przestał mówić i wpatruje się we mnie z taką samą dawką miłości, jaką mógł czuć Smok Wikingów do Kota Morskiego. Wszystkie oczy, uszy i rogi kierują się na nas.

- Powiedziałam, że wedle niektórych miała to być matryca Białego Domu. To nic pewnego - mówię cicho. Tak naprawdę chcę jakoś wyjść z tej sytuacji. - Niektórzy mówią tak dlatego, że James Hoban, który wygrał konkurs na projekt Białego Domu w 1792 roku, był Irlandczykiem.

Turyści wpatrują się we mnie wyczekująco.

- Tak się składa, że studiował architekturę w Dublinie i jest bardziej niż prawdopodobne, że przerabiał między innymi projekt Leinster House - kończę szybko.

Ludzie dookoła mnie wzdychają i dyskutują o tej informacji.

- Nie słyszymy pani! - krzyczy ktoś z początku autobusu.

- Wstań, Gracie. - Tata próbuje mnie podnieść.

- Tato! - Uderzam go lekko.

- Hej, Olaf, daj jej mikrofon! - krzyczy jakaś kobieta do przewodnika, który z naburmuszoną miną oddaje swoje „berło” i krzyżuje ramiona na piersiach.

- Em, halo. - Stukam palcem w mikrofon i dmucham.

- Powinnaś powiedzieć „test jeden, dwa, trzy”, Gracie.

- Em... test jeden, dwa...

- Słyszemy panią - warczy Olaf Biały.

- OK, w porządku - powtarzam swój komentarz i ludzie z przodu autobusu kiwają głową z zainteresowaniem.

- I to wszystko też jest częścią budynków rządowych? - Amerykanka wskazuje na zabudowania po drugiej stronie.

Spoglądam niepewnie na tatę, który kiwa głową zachęcająco.

- Właściwie to nie. Budynek po lewej stronie to Biblioteka Narodowa, a po prawej Muzeum Narodowe.

Siadam, ale tata z powrotem popycha mnie do góry. Ludzie wpatrują się we mnie wyczekująco. Przewodnik wygląda na onieśmiałonego.

- Cóż, być może zainteresuje państwa informacja, że Biblioteka i Muzeum Narodowe początkowo stanowiły siedzibę Dublińskiego Muzeum Nauki i Sztuki, otworzonego w 1890 roku. Oba zostały zaprojektowane przez Thomasa Newenham Deane'a i jego syna, Thomasa Manly'ego Deane'a po konkursie w 1885 roku i wybudowane przez dublińskich przedsiębiorców J. i W. Beckettów, którzy zademonstrowali podczas tej budowy najlepsze irlandzkie umiejętności rzemieślnicze. Muzeum jest jednym z najlepiej zachowanych przykładów irlandzkiej sztuki dekoracyjnej w kamieniu, drewnie i ceramice. W budynku Biblioteki Narodowej najbardziej imponującą częścią jest rotunda, w której mieści się wejście. Wewnątrz wyróżnia się klatka schodowa, która prowadzi w górę do stylowej czytelnicy z przepięknym sklepieniem. Jak sami się państwo przekonają, z zewnątrz budynek posiada charakterystyczny układ kolumn i pilastrów porządku korynckiego oraz rotundę z otwartą werandą i narożne pawilony obramowujące całą kompozycję. W...

Przerywa mi głośne klaskanie jednej osoby: mojego taty. Reszta turystów milczy. Jakieś dziecko pyta mamę, czy znowu mogą sobie ryknąć. Przerywa tym ciszę. Niewidoczny kłęb pustynnego szarłatu przetacza się przez autobus, lądując u stóp uśmiechniętego od ucha do ucha Olafa Białego.

- Em... jeszcze nie skończyłam - mówię cicho.

Tata klaszcze w odpowiedzi jeszcze głośniej. Dołącza do niego nerwowo samotny mężczyzna siedzący w pierwszym rzędzie.

- I... to wszystko, co wiem - rzucam szybko, siadając.

- Skąd pani to wszystko wie? - pyta kobieta z przodu.

- Jest agentką nieruchomości - odpowiada z dumą tata.

Kobieta marszczy brwi, układa usta w literę „O” i odwraca się w kierunku niezwykle usatysfakcjonowanego Olafa, który wrywa mi mikrofon.

- A teraz wszyscy razem krzyczą „aaaaaaaarrrrrrrrg!”.

Autobus ożywa, kiedy we mnie wszystko kurczy się i zwija.

Tata pochyla się w moim kierunku i przyciska do szyby. Przysuwa głowę bliżej do mojego ucha i dwa hełmy stukają o siebie.

- Skąd ty to wszystko wiesz, kochanie?

Otwieram usta i zaraz zamykam je bezgłośnie, jakbym zużyła wszystkie słowa w mojej niedawnej tyradzie. Skąd, do diabła, ja to wszystko wiem?

Uszy zaczynają mnie szczypać, gdy wieczorem przekraczam próg szkolnej sali gimnastycznej i widzę Kate przycupniętą na trybunach z Frankie. Obie pograżone są w rozmowie. Na ich twarzach widzę troskę. Kate wygląda, jakby Frankie właśnie powiedziała jej, że jej ojciec odszedł z tego świata. Wiem doskonale, bo sama widziałam taką minę, kiedy przekazałam jej taką informację pięć lat temu w hali przyłotów dublińskiego lotniska. Kate specjalnie skróciła wakacje, żeby być u boku umierającego rodzica. Teraz z kolei Kate coś mówi i Frankie wygląda, jakby przed chwilą ktoś potracił jej psa. I znów, dobrze znam tę minę. Widziałam ją gdy przekazałam jej te wieści. Notabene, to ja potraçałam jej ulubionego jamnika, łamiąc mu trzy nogi. Kate ma minę człowieka przyłapanego na gorącym uczynku i spogląda w moim kierunku. Frankie zastyga. Zaskoczone spojrzenia, wina wypisana na twarzach, a potem uśmiech. Mam pomyśleć, że rozmawiały o pogodzie, a nie o ostatnich wydarzeniach mojego życia, zmiennego jak nasz klimat.

Czekam na pojawienie się znajomej Dziwnie Optymistycznej Kobiety. Pozwoli mi się odciąć, gdy sama zajmie się wygłaszaniem głębokich komentarzy, utrzymujących inkwizytorów w ryzach, wyjaśnianiem niedawnej straty jako etapu podróży, a nie czarnego końca, nieocenioną sposobnością do

stania się silniejszą osobą, do lepszego zrozumienia siebie. Dzięki Dziwnie Optymistycznej Kobiecie moja osobista tragedia zmieni się w coś niezwykle pozytywnego. Niestety, nie pojawia się. Wie, że to niełatwa konfrontacja. Zdaje sobie sprawę, że dwie kobiety, które teraz mnie ściskają, potrafią przejrzeć jej słowa i dotrzeć do najgłębszych pokładów mojej duszy.

Moje przyjaciółki przytulają mnie dłużej i mocniej niż zwykle. Kilka dodatkowych uścisków, klepanie po plecach na przemian z ich masowaniem. Ku mojemu zdziwieniu, przynosi mi to ulgę. Żal na ich twarzach puka do drzwi mojego smutku i straty. Czuję ściskanie w żołądku i ból głowy. Zdaję sobie sprawę, że schowanie się w wygodnym domowym gnieździe taty nie wyleczy mnie z mojej dolegliwości. Za każdym razem, wychodząc z domu i spotykając kogoś nowego, będę przechodzić przez to wszystko jeszcze raz, od nowa. Nie chodzi o same słowa, o procedurę. Będę musiała czuć to wszystko raz po raz, a to męczy o wiele bardziej niż słowa. Wtulona w ramiona Kate i Frankie mogłabym z łatwością przemienić się w dziecko, które chciałyby pokochać. Nie robię tego. Jeżeli teraz zacznę, nigdy nie przestanę.

Siadamy na trybunach z daleka od pozostałych rodziców. Kilkoro z nich siedzi w grupie, ale większość wybiera samotność, żeby poczytać, pomyśleć albo przyglądać się swoim dzieciom, wywijającym nieciekawe hołubce na niebieskich gumowych matach. Dostrzegam pociechy Kate, sześciolatniego Erica i moją pięcioletnią chrześnicę Jaydę, fankę filmu *Muppet Christmas Carol*. Postanowiłam, że nie będę mieć do niej żadnych pretensji. Skaczą entuzjastycznie po całej sali, świergoczą jak świerszcze, wyciągają sobie majtki spomiędzy pośladków i potykają się o rozwiązane sznurowadła. Jedenastomiesięczny Sam śpi obok nas w wózku, puszcżając bąbelki pełnymi usteczkami. Przyglądam się mu z lubością, a potem przypominam sobie i odwracam wzrok. Tak, pamięć. Znamy to.

- Jak tam praca, Frankie? - Pragnę, żeby wszystko było tak, jak przedtem.

- Dużo zajęć, jak zwykle - odpowiada z poczuciem winy, może nawet zakłopotaniem.

Zazdroszczę jej normalności, a nawet nudy jej życia. Zazdroszczę jej, że dzisiejszy dzień jest dla niej taki sam, jak wczorajszy.

- Nadal kupujesz tanio i sprzedajesz po zawyżonej cenie? - pyta Kate.

Frankie wywraca oczami.

- Dwanaście lat, Kate.

- Wiem, wiem. - Kate przygryza wargę, żeby się nie roześmiać.

- Dwanaście lat pracuję i dwanaście lat powtarzasz to samo. To już przestało być śmieszne. Właściwie to nie pamiętam, kiedy w ogóle było. Mimo to nadal nie dajesz za wygraną.

Kate śmieje się w głos.

- Bo widzisz, nie mam pojęcia, co ty tak naprawdę robisz. Transakcje na giełdzie?

- Menedżer, zastępca dyrektora do spraw finansów i inwestycji.

Kate wpatruje się przed siebie tępo i wzdycha.

- Tyle wielkich słów, żeby opisać pracę za biurkiem.

- Och, bardzo przepraszam. A co ty robisz codziennie, przypomnij mi? Podcierasz obsrane tyłki i szykujesz kanapki z organicznych bananów?

- Bycie matką to nie tylko to, Frankie - naburmuszą się Kate. - Jestem odpowiedzialna za przygotowanie do życia trzech ludzkich istnień, żeby, jeśli, nie daj Boże, coś mi się stanie albo gdy już dorosną, mogły funkcjonować odpowiedzialnie, samodzielnie i osiągnąć sukces.

- A poza tym przerabiasz na puree banany organiczne - dodaje Frankie. - Nie, nie, zaraz, chwileczkę? Robisz to przed czy po przygotowaniu trzech ludzkich istnień? Przed. - Kiwa

głową do siebie samej. - Tak, zdecydowanie najpierw bananowa papka, a potem przygotowania trzech ludzkich istnień. Rozumiem.

- W odróżnieniu od twojej pracy papierkowej, do której opisu potrzebujesz aż siedmiu słów.

- Ośmiu.

- Ja mam jedno. Jedno.

- No nie wiem. „Prywatna taksówka dziecięca” to aż trzy słowa, nie sądzisz, Joyce?

Nie wtrącam się do rozmowy.

- Miałam na myśli słowo „mama” - rzuca zirytowana Kate. - Małe słówko, które określa każdą kobietę z dzieckiem, a które nie jest w stanie wyliczyć spełnianych przez nią obowiązków. Gdybym robiła w twojej firmie tyle, ile pracuję codziennie w domu, już dawno byłabym właścicielką tego pieprzonego miejsca.

Frankie wzrusza nonszalancko ramionami.

- Wybacz, ale nie sądzę, żeby mnie to wzruszało. Poza tym, nie mogę się wypowiadać za swoich kolegów, ale oświadczyć wolę sama sobie przygotowywać kanapki z bananami i podcierać własny tyłek.

- Naprawdę? - Kate unosi brwi. - Jestem zaskoczona, że nie kazałaś się w tym wyręczyć jakiemuś biednemu facetowi, którego poderwałaś gdzieś po drodze.

- Nie, bo nadal szukam tego jedyne. - Frankie uśmiecha się słodko.

Robią to zawsze. Mówią o sobie, ale nigdy do siebie. To stary rytuał, który zdaje się zbliżać, kiedy inne osoby by od siebie oddalił. W ciszy, która zapada, obie mają czas zrozumieć, o czym przed chwilą rozmawiały w moim towarzystwie. Dziesięć sekund później Kate kopie Frankie. Ach, no tak. Wspomniała o dzieciach.

Kiedy zdarzy ci się coś tragicznego, przekonasz się, że jako podmiot tragedii jesteś osobą, która musi wszystkich pocieszać i uspokajać.

- Jak tam Crapper? - Wypełniam niewygodną ciszę, pytając o psa Frankie.

- Dobrze. Nogi goją mu się całkiem nieźle. Nadal wyje, kiedy widzi twoją fotografię. Przepraszam, ale musiałam ją zdjąć z kominka.

- Nieważne. Właściwie miałam cię poprosić, żebyś ją stamtąd zabrała. Kate, ciebie też. Czy mogłabyś się pozbyć mojej fotografii ślubnej?

Wreszcie. Rozmowy o rozwodzie.

- Ach, Joyce. - Kate potrząsa głową i spogląda na mnie ze smutkiem. - To moje ulubione zdjęcie. Wyglądałam tak świetnie na twoim ślubie. Nie mogłabym po prostu wyciąć Conora?

- Albo dorysować mu mały wąsik - dodaje Frankie. - Albo jeszcze lepiej, doprawić mu osobowość. Ciekawe, w jakim kolorze by była.

Przygryzam wargę z poczuciem winy, usiłując powstrzymać uśmiech, który ma niezwykłą ochotę wypełznąć mi na twarz. Nie jestem przyzwyczajona do tego rodzaju rozmów o moim byłym mężu. To pozbawione szacunku i nie jestem przekonana, czy dobrze się z tym czuję, ale jednocześnie wydaje mi się zabawne. Spoglądam na szalejące na matach dzieci.

- Moi drodzy. - Instruktor klaszcze w dłonie. Świergotanie i podskakiwanie świerszczyków natychmiast ustaje. - Rozstawcie się. Będziemy teraz robić przewroty do tyłu. Połóżcie dłonie płasko na ziemi i przetoczcie się do stójki. W ten sposób.

- Popatrzcie no tylko na naszego giętkiego przyjaciela - rzuca Frankie.

Jedno po drugim dzieci turlają się do tyłu do przepięknej stójki. Dopóki nie przychodzi czas na Jaydę, która wykonuje fikołka w przedziwny sposób na boku głowy, kopie sąsiednie dziecko w piszczele, a potem przekręca się na kolana, zanim wreszcie zrywa się do stójki. Przybiera pozę Spice Girl, cała w różowej błyszczącej glorii, z palcami ułożonymi w li-

terę V, myśląc, że nikt nie zauważył jej błędu. Instruktor ją ignoruje.

- Przygotowanie ludzkiej istoty do życia - powtarza Frankie. - Tiaaa. Z pewnością dawno byś została właścicielką mojej firmy. - Spogląda na mnie i jej głos łagodnieje. - Joyce, jak się czujesz?

Zastanawiałam się, czy im powiedzieć, czy podzielić się tą informacją z kimkolwiek. Nie mam pojęcia, jak ludzie zareagują na to, co się ze mną dzieje. Nie wiem nawet, jak powinni zareagować - oprócz odholowania mnie do psychiatryka. Jednak po dzisiejszym doświadczeniu biorę stronę tej części mojego umysłu, która chce wyjawić mój dziwny sekret.

- To zabrzmi bardzo dziwacznie, więc proszę, bądźcie cierpliwe i wysłuchajcie mnie.

- Niczym się nie przejmuj. - Kate chwyta mnie za rękę. - Możesz powiedzieć, co tylko chcesz. Uwolnij się od tego.

Frankie wyraca oczami.

- Dzięki. - Powoli wysuwam dłoń z jej dłoni. - Widuję ciągle pewnego mężczyznę.

Kate usiłuje zrozumieć. Widzę, jak stara się połączyć tę informację z utratą dziecka i z wiszącym nade mną rozwodem, lecz nie potrafi.

- Wydaje mi się, że go znam, ale jednocześnie wiem, że to nieprawda. Widziałam go dokładnie trzy razy w życiu. Ostatnio dzisiaj, kiedy gonił za moim autobusem wikingów. Myślę, że zawołał mnie po imieniu, chociaż mogłam to sobie wyobrazić, bo przecież skąd niby miał znać moje imię? Chyba że mnie zna, ale tu powracamy do mojej pewności, że to nieprawda. Co o tym sądzicie?

- Zaraz, chwileczkę. Zgubiłam się przy autobusie wikingów. - Frankie usiłuje spowolnić gonitwę moich myśli. - Powiedziałaś, że masz autobus wikingów?

- Nie mam, tylko siedziałam w nim z tatą. Potrafi też pływać. Nosi się tam hełmy z rogami i ryczy na przechodniów. - Przysuwam się do nich i wymachuję pięścią.

Spoglądają na mnie w osłupieniu.

Wzdycham i sadowię się z powrotem na ławce.

- W każdym razie, co rusz go widuję.

- Jasne - mówi Kate powoli i spogląda na Frankie.

Zapada niewygodna cisza, kiedy obie martwią się o moje zdrowie psychiczne. Popieram je w całej rozciągłości.

Frankie chrząka.

- A ten mężczyzna, Joyce, jest młody czy stary? A może jest wikiniem z twojego magicznego autobusu, który podróżuje po wodzie?

- Późna trzydziestka lub wczesna czterdziestka. Jest Amerykaninem. Obcinaliśmy sobie razem włosy. Wtedy spotkałam go po raz pierwszy.

- Tak przy okazji, wyglądasz słodko. - Kate odgarnia delikatnie kilka kosmyków z mojego czoła.

- Tata uważa, że wyglądam jak Piotruś Pan. - Uśmiecham się do niej.

- Może w takim razie pamięta cię z salonu fryzjerskiego - mówi Frankie.

- Nawet wtedy dziwnie się czułam. Jakbym... jakbym go rozpoznała albo co...

- Witam w świecie samotnych ludzi. - Frankie spogląda na Kate, która wykrzywia się z niechęcią. - Kiedy ostatnim razem Joyce pozwoliła sobie na niewinny flirt? Tak długo była mężatką.

- Daj spokój, Frankie - mówi Kate protekcyjnie. - Jeżeli sądzisz, że to właśnie się dzieje, kiedy kobieta wychodzi za mąż, to bardzo się mylisz. Nie dziwota, że boisz się zmienić stan cywilny.

- Nie boję się, po prostu odrzucam go ideowo. Wiesz, dzisiaj właśnie przyglądałam się pokazowi makijażu...

- Och, znowu się zaczyna.

- Zamknij się i posłuchaj. Wizażystka powiedziała, że ponieważ skóra wokół oczu jest bardzo delikatna, należy rozprowadzać krem palcem serdecznym, ponieważ jest on najśłabszy.

- No, no - odpowiada Kate sucho. - Widzę, że wyjaśniłaś mężatkom, jakie są głupie.

Pocieram oczy zmęczonym gestem.

- Wiem, że to brzmi jak idiotyzm. Jestem zmęczona i pewnie wyobrażam sobie różne rzeczy. Powinnam myśleć o Connorze, ale to nie on zawładnął moim umysłem. Jest ktoś inny. Nie wiem, czy to opóźniona reakcja, czy co? Może w przyszłym miesiącu kompletnie się załamie, zacznę pić i ubierać się na czarno...

- Jak Frankie - wtrąca Kate.

- Ale teraz czuję ulgę - ciągnę dalej. - Czy to nie okropne?

- A czyja też mogę czuć ulgę? - pyta Kate.

- Nie lubiłaś go? - Spoglądam na nią ze smutkiem.

- Nie. Był w porządku. Miły gość. Nie podobało mi się tylko, że nie byłaś szczęśliwa.

- Ja go nie znosiłam - rzuca Frankie.

- Wczoraj krótko rozmawialiśmy. To było dziwne. Pytał, czy może zabrać ekspres do kawy.

- Drań! - prycha z pogardą Frankie.

- Nie obchodzi mnie ekspres do kawy. Może go sobie wziąć.

- To wszystko gra, Joyce. Bądź ostrożna. Najpierw ekspres do kawy, potem dom, a na końcu twoja dusza. Ani się obejrzyś, oskarży cię o kradzież należącego do jego babki pierścionka ze szmaragdem, chociaż doskonale będziesz pamiętać, że kiedy przyszłaś do jego domu na pierwszy lunch, sam ci go dał - tokuje Frankie.

Spoglądam na Kate, błagając o ratunek.

- Wspomina rozstanie z Lee.

- Ach. Cóż, to nie będzie wyglądało jak twoje rozstanie z Lee.

Frankie mruczy coś niezrozumiałego pod nosem.

- Christian poszedł wczoraj wieczorem na piwo z Conorem - mówi Kate. - Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Oczywiście że nie. Są przyjaciółmi. Dobrze się czuje?

- Tak, dobrze. Jest smutny z powodu... no wiesz...
- Dziecka. Nie bój się tego powiedzieć. Nie rozpadnę się na kawałki.

- Jest smutny z powodu dziecka i rozczarowany, że wasze małżeństwo się nie udało, ale uważa, że to była właściwa decyzja. Za kilka dni wraca do Japonii. Powiedział też, że wystawicie dom na sprzedaż.

- Nie chcę tam już mieszkać, a ponieważ kupiliśmy go razem, to jedyne sprawiedliwe rozwiązanie.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Gdzie będziesz mieszkać? Tata nie doprowadza cię do szału?

Jako bohaterka tragedii i przyszła rozwódka dowiaduję się, że inni mają tendencję do kwestionowania najważniejszej decyzji w moim życiu, uważając pewnie, że jej w ogóle nie przemyślałam. Zupełnie jakby ich dwadzieścia pytań i pełne zwątpienia spojrzenia miały rzucić światło na coś, czego nie zauważyłam za pierwszym i za setnym razem w czarnej godzinie swojego życia.

- Może to zabawne, ale nie. - Uśmiecham się, myśląc o tacie. - Właściwie działa na mnie bardzo dobrze, chociaż w ciągu tygodnia tylko raz mu się udało nazwać mnie Joyce. Zamierzam z nim zostać, dopóki nie sprzedamy domu, a potem znajdę sobie jakiś własny kąt.

- Ta historia o nieznanym mężczyźnie... poza tym, jak się czujesz, tak naprawdę? Nie widziałyśmy cię od pobytu w szpitalu i bardzo się martwiłyśmy.

- Wiem, przepraszam. - Nie chciałam się z nimi widzieć i wysłałam tatę, żeby odprawił je do domu. Oczywiście tego nie zrobił, więc spędziły kilka minut, siedząc przy mnie na łóżku, podczas gdy ja wpatrywałam się w różową ścianę. Potem wyszły. - Cieszę się, że mnie odwiedziłyście.

- Nieprawda.

- W porządku, wtedy się nie cieszyłam, ale teraz tak.

Zastanawiam się nad tym. Naprawdę teraz się tym cieszę.

- Zaczęłam jeść mięso i pić czerwone wino. Nie znoszę

anchois i słucham muzyki klasycznej. Szczególnie upodobałam sobie program *Zestaw JK* z Johnem Kellym w Radiu Klasycznym. Nie puszcza piosenek Kylie, co zupełnie mi nie przeszkadza. Wczoraj wieczorem słuchałam *Mi restano le lagrime* Haendla z pierwszej sceny trzeciego aktu *Alciny*. Okazało się, że znam słowa tej arii, chociaż nie mam pojęcia skąd. Wiem bardzo dużo o irlandzkiej architekturze, ale nie tyle, ile o francuskiej i włoskiej. Znam na pamięć *Ulyssesa* i potrafię rzucać cytatami z tej powieści *ad nauseam*, chociaż wcześniej nie potrafiłam nawet wysłuchać do końca audio-książki. Dzisiaj napisałam list do urzędu miejskiego, w którym zwracam uwagę, że kolejny nowy blok mieszkalny w okolicy, w której większość budynków stanowią starsze i mniej współczesne konstrukcje, oznacza, że zagrożone jest nie tylko dziedzictwo historyczne mieszkańców, ale również ich zdrowie psychiczne. Myślałam, że mój ojciec był jedyną osobą, która pisała takie mocne w słowach listy. Samo w sobie to nic takiego, tyle że dwa tygodnie temu nie mogłam się doczekać, kiedy będę mogła pokazać klientom mieszkania w nowym bloku. Dzisiaj dręczy mnie perspektywa zrównania z ziemią stuletniego budynku na starym mieście w Chicago i planuję napisać w tej sprawie kolejny list. Pewnie zastanawiacie się, skąd to wiem. Otóż przeczytałam o tym w ostatnim wydaniu „Przeglądu Artystycznego i Architektonicznego”, jedynego prawdziwie naukowego żurnala specjalizującego się w sztukach pięknych i architekturze. Zaprenumerowałam je. - Oddycham głęboko. - Zapytajcie mnie o cokolwiek. Zapewne znam odpowiedź, chociaż nie mam pojęcia skąd.

Kate i Frankie spoglądają na siebie zdumione.

- Może to stres spowodowany nieustannym zamartwianiem się rozwodem spowodował, że zaczęłaś się lepiej koncentrować? - zasugerowała Frankie.

Rozważam tę możliwość, ale niezbyt długo.

- Niemal co noc śnię o małej dziewczynce z jasnymi włosami, starszej w każdym śnie. Słyszę też melodię, której nie

znam. Kiedy zaś nie śnię o niej, przenoszę się w miejsca, w których nigdy nie byłam, spożywam jedzenie, którego nigdy nie kosztowałam, i jestem otoczona ludźmi, których wcale nie znam. Piknik w parku z rudowłosą kobietą. Mężczyzna z zielonymi stopami. I jeszcze zraszacz trawy. - Chwilę myślę intensywnie. - Coś się z nimi wiązało. W każdym razie kiedy się budzę, muszę tłumaczyć sobie, że sny są nierealne, a moja rzeczywistość nie jest snem. Jest mi bardzo trudno, ale na szczęście mam tatę, z jego uśmiechem i smażonymi kiełbaskami, toczącego wojnę z kotem zwanym Futrzaczek, nachodzącym nasz ogród. Z jakiegoś powodu ojciec chowa zdjęcie mamy w szufladzie w przedpokoju. Po kilku pierwszych chwilach poranka, kiedy wszystko wydaje się bez nadziejne, wszystkie te rzeczy bez reszty wypełniają mój umysł. To i mężczyzna, o którym nie mogę przestać myśleć, ale nie jest to wbrew pozorom Conor, miłość mojego życia, z którą właśnie się rozstałam. Zamiast niego myślę o Amerykaninie, którego wcale nie znam.

Dziewczęta spoglądają na mnie poważnie, z wyrazem współczucia, zmartwienia i dezorientacji na twarzy.

Nie spodziewam się od nich komentarza. Pewnie myślą, że oszalałam. Spoglądam znowu na dzieci w sali gimnastycznej i przyglądam się Ericowi, który przesuwa się po obitej skórą równoważni. Instruktor zachęca go do rozłożenia rąk. Na twarzy Erica maluje się nerwowe skupienie. Przestaje iść i powoli unosi ramiona. Instruktor chwali go i na twarzy chłopca pojawia się słaby uśmiech dumy. Spogląda szybko w górę, sprawdzając, czy patrzy na niego mama, traci równowagę i ześlizguje się. Łąduje okrakiem na równoważni. Na jego twarzy malują się strach i ból.

Frankie prycha, Erie zawodzi, Kate biegnie na ratunek dziecku, Sam nadal wypuszcza bąbelki ustami.

Wychodzę.

W drodze powrotnej do domu taty staram się nie patrzeć na mój własny dom, obok którego przejeżdżam. Przegrywam jednak walkę z umysłem i widzę samochód Conora zaparkowany przed wejściem. Od czasu naszego pożegnalnego obiadu w restauracji rozmawialiśmy tylko kilka razy, z różną dawką wzajemnych uczuć. Ostatnia rozmowa była niemal pozbawiona emocji. Po raz pierwszy Conor zadzwonił do mnie tej samej nocy po naszej „ostatniej wieczerzy”. Spytał, czy na pewno robimy właściwą rzecz. Jego miękki głos i niewyraźne słowa płynęły do mojego ucha, kiedy leżałam w swoim starym łóżku, jak kiedyś, podczas naszych nocnych rozmów telefonicznych zaraz po tym, gdy się poznaliśmy. Oto ja, trzydziestotrzylatka mieszkająca z ojcem po rozpadzie małżeństwa, słuchająca nieszczęśliwego męża przez telefon... tak łatwo było w tej chwili przypomnieć sobie wszystkie najlepsze dni naszego wspólnego życia i zmienić decyzję. Jednak bardzo często łatwe postanowienia okazują się błędem, czasem nam się wydaje, że się cofamy, gdy tak naprawdę posuwamy się do przodu.

Następny telefon był trochę bardziej surowy. Pełne zażenowania przeprosiny i wzmianka o sposobie załatwienia naszych spraw. W kolejnym sfrustrowany Conor pytał, dlaczego mój prawnik nie skontaktował się jeszcze z jego prawnikiem.

Następny telefon dotyczył siostry Conora, która właśnie zaszła w ciążę i chciała wziąć łożeczek dla dziecka. Wywołało to u mnie atak dzikiej zazdrości. Po skończeniu rozmowy wyrzuciłam telefon do śmieci. Podczas ostatniej rozmowy Conor poinformował mnie, że spakował wszystko do kartonów i wyjeżdża za kilka dni do Japonii. Spytał też, czy może zabrać ekspres do kawy.

Za każdym razem, kiedy odkładałam słuchawkę, czułam, że moje słabe pożegnanie nie było pożegnaniem. Już bardziej „do zobaczenia”. Wiedziałam, że zawsze istniała szansa powrotu, że Conor będzie tu jeszcze przez chwilę, że nasze słowa nie były ostateczne.

Zatrzymuję samochód i wpatruję się w dom, w którym spędziliśmy razem niemal dziesięć lat. Czy nie zasłużył na kilka więcej słabych pożegnań?

Dzwonię do drzwi. Nikt nie otwiera. Przez okno widzę kartony na podłodze w salonie, nagie ściany, puste powierzchnie, scena przygotowana na wprowadzenie się nowej rodziny. Przekręcam klucz w zamku i wchodzę do środka, hałasując, żeby nie zaskoczyć Conora. Słyszę delikatne dźwięki muzyki dochodzące z góry. Idę do na poły urządzonego pokoju dziecięcego i zastaję tam Conora, siedzącego na dywanie i płaczącego nad myszą, która ugania się za serem. Wchodzę do środka i zbliżam się do niego. Siadam obok, obejmuję go i łagodnie kołyszę. Zamykam oczy i odpływam.

Conor przestaje płakać i spogląda na mnie.

- Co takiego?
- Hmm? - Wybudzam się z transu.
- Powiedziałaś coś. Po łacinie.
- Nic nie mówiłam.
- Owszem, tak. Przed chwilą. - Ociera łzy. - Od kiedy znasz łacinę?
- Nie znam.
- Jasne! - rzuca ostro. - W takim razie co oznacza to jedno zdanie, które znasz?

- Nie wiem.
- Musisz wiedzieć, skoro je wypowiedziałaś.
- Conor, nie pamiętam, żebym cokolwiek mówiła.

Wpatruje się we mnie niemal z nienawiścią. Przełykam głośno.

Obcy człowiek spogląda na mnie w pełnej napięcia ciszy.

- OK. - W końcu wstaje z podłogi i rusza do wyjścia. Nie będzie więcej pytań ani prób zrozumienia mnie. Już go to nie obchodzi. - Patrick zostanie moim prawnikiem.

Fantastycznie. Jego gnojkwaty braciszek.

- Dobrze - szepczę.

Conor w drzwiach zatrzymuje się i odwraca, zaciskając zęby, kiedy po raz ostatni spogląda na pokój i na mnie. Potem odchodzi.

Ostatnie pożegnanie.

Spędzam bezsenną noc w domu taty. Obrazy pojawiają się przed moimi oczami jak błyskawice, tak szybko i tak wyraźne, że rozjaśniają na chwilę umysł, a potem znikają i zapada ciemność.

Kościół. Dzwony. Zraszacze. Fala czerwonego wina. Stare budynki, w których na parterze mieszczą się sklepy. Barwione szkło.

Przez szczelinki poręczy widzę mężczyznę z zielonymi stopami, zamykającego za sobą drzwi. W ramionach trzymam małe dziecko, dziewczynkę z jasnymi włosami. Słyszę znajomą melodię.

Trumna. Łzy. Rodzina ubrana na czarno.

Huśtawki. Unoszą się wyżej i wyżej. Moje dłonie popychają jedną z nich, na której siedzi dziecko. Jestem huśtającym się dzieckiem. Pozioma huśtawka. Pulchny młody chłopak unosi mnie wysoko, sam opada w dół po drugiej stronie deski. Znowu zraszacze. Śmiech. Ja i ten sam chłopiec w kostiumach kąpielowych. Przedmieścia. Muzyka. Dzwony. Kobieta w białej sukni. Ulice wyłożone brukiem. Ka-

tedry. Konfetti. Dłonie, palce, obrączki. Krzyki. Trzaskanie drzwiami.

Mężczyzna z zielonymi stopami zamyka drzwi.

Znów zraszacze. Pulchny chłopiec mnie goni, śmiejąc się. Drink w mojej dłoni. Głowa nad miską klozetową. Auditorium na uniwersytecie. Słońce i zielona trawa. Muzyka.

Człowiek z zielonymi stopami jest w ogrodzie, trzyma w rękę wąż gumowy. Dziewczynka z jasnymi włosami bawi się w piasku. Dziewczynka śmieje się, siedząc na huśtawce. Znowu dzwony.

Przez barierki widzę mężczyznę z zielonymi stopami, który zamyka drzwi. W dłoni ma butelkę.

Pizzeria. Lody z automatu.

W dłoni ma również pigułki. Spogląda na mnie, zanim zamkną się drzwi. Moja ręka na klamce. Drzwi się otwierają. Pusta butelka na ziemi. Nagie stopy z zielonymi podeszwami. Trumna.

Zraszacze. Bujanie się w przód i w tył. Cicha mruczanka. Długie blond włosy okrywają moją twarz. Chwytam je w małą dłoń. Szept, znajome słowa...

Otwieram oczy, gwałtownie nabierając powietrza. Serce łomocze mi w piersi. Pościel i całe ciało są mokre od potu. Szukam po omacku włącznika lampki nocnej. Ze łzami w oczach, z którymi walczę, sięgam po komórkę i drżącymi palcami wystukuję numer.

- Conor? - Głos mi drży.

Mamrocze coś niezrozumiale, budząc się.

- Joyce, jest trzecia nad ranem - chrypi.

- Wiem, przepraszam.

- Co się stało? Dobrze się czujesz?

- Tak, tak, dobrze. Tylko... cóż, miałam sen, a może raczej koszmar. W zasadzie to ani jedno, ani drugie. Przebłyски wspomnień o... o różnych miejscach, ludziach, wydarzeniach i... - przerywam, usiłuję się skoncentrować. - *Prefer et obdura; dolor hic tibi proderit olim!*

- Co takiego? - pyta zaspany.
- To łacińskie zdanie, które powiedziałam wcześniej. Czy tak właśnie brzmiało?
- Chyba tak. Chryste, Joyce...
- Znoś i wytrwaj. Ból ten przyda ci się kiedyś - wyrzucam z siebie. - Tak się to tłumaczy.
- Milczy przez chwilę, a potem wzdycha.
- W porządku, dziękuję.
- Ktoś mi to powiedział, jeżeli nie w dzieciństwie, to dzisiaj w nocy.
- Nie musisz się tłumaczyć.
- Milczę.
- A teraz chcę spać.
- Jasne.
- Dobrze się czujesz, Joyce? Chcesz, żebym zadzwonił dla ciebie do kogoś, albo... - ,
- Nie, wszystko jest dobrze. Doskonale - głos więźnie mi w gardle. - Dobranoc.
- Odkłada słuchawkę.
- Pojedyncza łza toczy się po moim policzku. Ocieram ją, zanim dociera do brody. Nie zaczynaj, Joyce. Nie wolno ci teraz zacząć.

Kiedy następnego poranka schodzę na dół, przyłapuję tatę na wystawianiu zdjęcia mamy z powrotem na szafkę w przedpokoju. Słyszy moje kroki, wyjmuję chusteczkę z kieszeni i udaje, że je odkurza.

- Ach, oto i ona. Burmoch wreszcie powstał z martwych.

- Tak, rzeczywiście. Po tym, jak spuszczenie wody w toalecie co piętnaście minut przez całą noc nie pozwoliło mi zasnąć. - Całuję go w czubek niemal łysej głowy i idę do kuchni. Znowu czuję dym.

- Bardzo mi przykro, że moja prostata nie daje ci spać. - Przygląda mi się uważnie. - Co się stało z twoimi oczami?

- Moje małżeństwo jest skończone, więc postanowiłam, że przepłaczę całą noc - wyjaśniam jakby nigdy nic, opierając dłonie na biodrach i wężąc.

Tata łagodnieje, ale nie do końca.

- Myślałem, że tego właśnie chciałaś?

- Tak, tato. Masz absolutną rację. Ostatnie kilka tygodni były absolutnym spełnieniem marzeń każdej kobiety.

Podchodzi do stołu kołyszącym się krokiem, siada tam, gdzie zwykle, w promieniach słońca, poprawia okulary na nosie i wraca do rozwiązywania sudoku. Obserwuję go przez chwilę, oczarowana prostotą jego życia, a potem wracam do węszenia.

- Znowu spaliłeś tost?

Tata nie słyszy. Nadal coś bazgrali na kartce. Sprawdzam toster. Jest dobrze nastawiony. Nie rozumiem dlaczego ciągle przypala grzanki - zaglądam do środka. Nie ma okruszków. Sprawdzam kosz na śmieci. Ani śladu przypalonych tostów. Znow węższę, coraz bardziej podejrzliwa i przyglądam się tacie kątem oka. Nie może usiedzieć spokojnie.

- Jesteś jak ta pani Fletcher albo Monk. Ciągłe za czymś węższysz. Nie znajdziesz tu żadnych trapów - mówi, nie podnosząc wzroku znad łąmigłówki.

- Tak, ale coś na pewno znajdę, prawda?

Szybko podnosi głowę. Nerwowo. Aha! Przyglądam się mu zwężonymi oczami.

- Co się z tobą dzieje, tak w ogóle? - pyta.

Ignoruję tatę i krążę po kuchni, systematycznie otwierając wszystkie szafki i przyrządy, sprawdzając co jest w środku. Tata wygląda na zaniepokojonego.

- Oszalałeś? Co ty wyrabiasz?!

- Wziąłeś już lekarstwa? - pytam, podchodząc do apteczki.

- Jakie lekarstwa?

Taka odpowiedź oznacza tylko jedno: coś tu się dzieje.

- Lekarstwa na serce, na pamięć i witaminy.

- Nie, nie i... - Zastanawia się przez chwilę. - Nie.

Podaję mu je, układam w rzędki na stole. Tata rozluźnia się nieco. Wracam do poszukiwań i widzę, że tężeje. Otwieram szafkę z płatkami śniadaniowymi...

- Woda! - krzyczy tata. Zaskoczona podskakuję i zamykam drzwiczki z trzaskiem.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - odpowiada spokojnie. - Po prostu potrzebuję wody, żeby popić lekarstwa. Szklanki są w tamtej szafce. - Pokazuje na drągi koniec kuchni.

Podejrzliwa, napełniam szklankę wodą, i podaję mu, a potem wracam do szafki z płatkami.

- Herbata! - wykrzykuje ojciec. - Musimy się napić her-

baty. Usiądź sobie, ja przygotuję. Przeszłaś wiele ciężkich chwil i bardzo dzielnie sobie poradziłaś. Bardzo dzielnie. Niesamowicie, jak to się mówi. Usiądź sobie tutaj, a ja ci zrobię herbaty. Do tego kawałek ciasta. Battenburg. Jak byłaś mała, bardzo je lubiłaś. Zawsze usiłowałaś wyjść cały marcepan z wierzchu, kiedy nikt nie patrzył. Taka byłaś łakomczucha. - Usiłuje mnie odciągnąć od szafki.

- Tato - rzucam ostrzegawczo.

Przestaje gadać i wzdycha z rezygnacją.

Otwieram szafkę i zaglądam do środka. Nic niezwykłego, tylko płatki owsiane, które jem codziennie, i cukrowe groszki kukurydziane, których nie tykam. Tata wygląda na usatysfakcjonowanego. Wydaje z siebie głośne chrząknięcie i wraca do stołu. Zaraz, chwileczkę. Otwieram szafkę jeszcze raz i sięgam po groszki cukrowe, których nie jadam ani ja, ani tata. Gdy biorę pudełko do ręki, wyczuwam, że nie ma w nim ani jednego ziarenka kukurydzianego. Zaglądam do środka.

- Tato!

- Co takiego, kochanie?

- Tato, obiecałeś! - Podtykam mu pod nos paczkę papierosów.

- Zapaliłem tylko jednego, kochanie.

- Nie zapaliłeś tylko jednego. Ten dym, który czuję co rano, to nie spalone tosty. Okłamałeś mnie!

- Jeden papieros dziennie mnie nie zabije.

- Właśnie że tak. Masz założony by-pass i w ogóle nie powinieneś palić! Przymykam oczy na te twoje smażone śniadania, ale to, to jest nie do przyjęcia!

Tata wywraca oczami, podnosi dłoń w kierunku ust i zaczyna udawać gadającą kukiełkę.

- Dosyć tego dobrego. Dzwonię do twojego lekarza.

Tata przestaje się wygłupiać i zrywa się z krzesła.

- Nie, kochanie, nie rób tego.

Maszeruję do przedpokoju, tata pędzi za mną, w górę

i w dół, w dół i w górę, w górę i w dół. Podnosi się na lewej nodze, opuszcza na prawej.

- Nie zrobisz mi chyba czegoś takiego. Jeżeli papierosy mnie nie zabiją, ona na pewno to zrobi. To siekiera, nie kobieta.

Chwytam słuchawkę telefonu stojącego obok fotografii mamy i wykręcam numer, który zawsze pamiętam, kiedy potrzebuję pomoc najważniejszej osobie w moim życiu.

- Jeżeli mama wiedziałaby, co robisz, wpadłaby w szal. Och... - Zastygam. - Dlatego chowasz fotografię, tak?

Tata spogląda na swoje dłonie i kiwa smutno głową.

- Kazała mi obiecać, że przestanę. Nie dla siebie, dla niej. Nie chciałem, żeby widziała - dodaje szeptem, jakby mama mogła nas usłyszeć.

- Halo? - odzywa się ktoś po drugiej stronie. - Halo, tato? To ty? - pyta jakaś młoda dziewczyna z amerykańskim akcentem.

- Och. - Schodzę na ziemię. Tata spogląda na mnie błagalnie. - Bardzo przepraszam - mówię do słuchawki. - Halo?

- Och, przepraszam. Zobaczyłam, że dzwoni ktoś z Irlandii i pomyślałam, że to mój tata - wyjaśnia dziewczyna.

- Nic nie szkodzi - odpowiadam zdezorientowana.

Tata stoi obok mnie, składając ręce jak do modlitwy.

- Chciałam... - Tata potrząsa głową i znów zastygam w pół słowa.

- Bilety na występ? - pyta dziewczyna.

Marszczę brwi.

- Na jaki występ?

- W Operze Królewskiej.

- Słucham? Przepraszam bardzo, kto mówi? Chyba czegoś nie rozumiem.

Tata wywraca oczami i siada na najniższym schodku.

- Bea.

- Bea? - Spoglądam na tatę pytająco. Potrząsa głową. - Jaka Bea?

- A kto mówi? - pyta dziewczyna twardo.

- Joyce. Bardzo mi przykro, Bea. Zdaje się, że wykreśliłam zły numer. Powiedziałaś, że zobaczyłaś na wyświetlaczu kierunkowy z Irlandii. Czy dodzwoniłam się do Ameryki?

- Nie, proszę się nie martwić - odpowiada przyjaźnie dziewczyna, zadowolona, że nie jestem prześladowcą. - Tylko do Londynu - wyjaśnia. - Zobaczyłam numer irlandzki i myślałam, że to dzwoni mój tata. Miał dzisiaj wrócić na mój jutrzejszy występ i martwiłam się, bo ja jeszcze jestem studentką, a to taki ważny moment i pomyślałam, że tata nie... przepraszam. Nie mam pojęcia, dlaczego to wszystko pani mówię, ale jestem taka zdenerwowana. - Śmieje się i oddycha głęboko. - Technicznie rzecz biorąc, to numer telefonu, którego używamy w nagłych wypadkach.

- To zabawne, bo ja też zamierzałam zadzwonić pod numer, którego używam w nagłych wypadkach - odpowiadam słabo.

Śmiejemy się obie.

- To dziwne - mówi dziewczyna.

- Twój głos wydaje mi się znajomy, Bea. Czy myśmy się kiedyś spotkały?

- Nie sądzę. Nie znam nikogo z Irlandii poza moim tatą, który jest mężczyzną i Amerykaninem, więc nie. No, chyba że jest pani moim tatą, który usiłuje zrobić mi dowcip.

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. - Czuję słabość w kolanach. - To może zabrzmieć bardzo głupio, ale czy jesteś blondynką?

Tata chowa twarz w dłoniach i jęczy.

- Tak! A co, zachowuję się jak blondynka? To chyba nie-
zbyt dobrze. - Śmieje się.

W moim gardle rośnie wielka gula. Muszę przestać mówić.

- To tylko łut szczęścia. Zgadywałam - udaje mi się wy-
krztusić.

- Udało się pani - odpowiada zaciekawiona. - Cóż, mam nadzieję, że wszystko u pani w porządku. Powiedziała pani, że zadzwoniła pani w nagłej sprawie.

- Tak, tak, wszystko jest w porządku.
Tata wygląda, jakby kamień spadł mu z serca.
Dziewczyna śmieje się lekko.
- Ale dziwna sytuacja. Lepiej już będę kończyć. Miło się z panią rozmawiało.
- Z tobą też, Bea. Powodzenia na balecie.
- Och, dziękuję, to takie miłe z pani strony.
Żegnamy się i odkładam słuchawkę drżącą ręką.
- Ty głuptasie, zadzwoniłaś do Ameryki? - pyta tata, zakładając okulary i wciskając przycisk na telefonie. - Joseph, nasz sąsiad pokazał mi to, kiedy dzwonił do mnie jakiś wariatuńcio. Jak się tu naciśnie, można zobaczyć, kto dzwonił i do kogo się dzwoniło. Okazało się, że to Fran niechcący włączyła telefon komórkowy. Wnuki jej go kupiły na Gwiazdkę i chociaż z niego nie korzystała, budziła mnie o każdej porze dnia i nocy. O proszę, mamy tutaj pierwsze cyfry 0044. Gdzie to jest?
- Wielka Brytania.
- Dlaczego zadzwoniłaś do Wielkiej Brytanii? Chciałaś mnie nabrać? Chryste Panie, już to przyprawiło mnie prawie o atak serca.
- Przepraszam, tato. - Opadam na schodek, roztrzęsiona. - Nie wiem, skąd wzięłam ten numer.
- W każdym razie dałaś mi niezłą nauczkę - mówi poważnie. - Nigdy więcej papierosów, daję słowo. Daj mi tę paczkę. Wyrzucę ją.
- Wyciągam dłoń, nadal ogłuszona.
- Tata chwyta papierosy i wkłada do kieszeni spodni.
- Mam nadzieję, że zapłacisz za tę rozmowę, bo moja emerytura jest na to za mała. - Przygląda mi się uważnie. - Co ci się stało?
- Jadę do Londynu - wypluwam z siebie.
- Co takiego? - Wybałusza na mnie oczy. - Chryste Najświętszy, Gracie, z tobą to zawsze coś.
- Muszę zrozumieć... parę rzeczy. Dowiedzieć się. Muszę

pojechać do Londynu. Zabierz się ze mną - proszę, podnosząc się i podchodząc bliżej.

Tata cofa się, ochraniając dłonią kieszeń z papierosami.

- Nie mogę - rzuca nerwowo.

- Dlaczego?

- Nigdy stąd nie wyjeżdżałem, przez całe życie!

- Tym bardziej pora na ten pierwszy raz - naciskam. - Jeżeli zamierzasz nadal palić, powinieneś zobaczyć coś poza Irlandią, zanim się zabijesz.

- Istnieje parę numerów telefonu, pod które mogę zadzwonić za takie twoje gadanie. Nie myśl sobie, że nie słyszałem o znęcaniu się dzieci nad starszymi rodzicami!

- Nie odgrywaj nagle ofiary. Wiesz, że się tobą zajmuję. Pojedź ze mną do Londynu, tato. Proszę.

- Ale... ale... - Nadal się cofa, wpatrując się we mnie szeroko rozwartymi oczami. - Nie mogę opuścić poniedziałkowego spotkania.

- Pojedziemy jutro rano. Wrócimy przed poniedziałkiem, obiecuję.

- Ale ja nie mam paszportu.

- Wystarczy jakikolwiek dokument ze zdjęciem.

Docieramy do kuchni.

- Ale nie mamy się przecież gdzie zatrzymać.

- Zarezerwujemy hotel.

- To za drogie.

- Będziemy mieszkać w jednym pokoju.

- Ale ja nie wiem, gdzie co jest w Londynie.

- Ale ja wiem. Byłam tam wiele razy.

- Ale... ale... - Wpada tyłem na stół i nie może już przede mną uciec. Na jego twarzy maluje się absolutne przerażenie. - Ja nigdy nie leciałem samolotem.

- To nic wielkiego. Najpewniej będziesz się dobrze bawił. Zresztą będę siedziała tuż obok ciebie i ani na chwilę nie przestanę z tobą rozmawiać.

Wygląda na nieprzekonanego.

- O co chodzi? - pytam łagodnie.

- Co mam ze sobą zabrać? Czego będę tam potrzebować?
Twoja matka zazwyczaj pakowała mnie na podróż.

- Pomogą ci, tato. - Uśmiecham się, podekscytowana. -
Będzie wspaniale. Ty i ja na wakacjach za morzem!

Tata również wydaje się przez chwilę uradowany, ale szybko mu przechodzi.

- Nie, nie jadą. Nie umiem pływać. Jeżeli samolot spadnie, nie dopłyną do brzegu. Nie chcą lecieć za morze. Gdziekolwiek indziej, ale nie za morze.

- Tato, mieszkamy na wyspie. Wszystkie inne kraje są za morzem. Poza tym w samolocie są kamizelki ratunkowe.

- Naprawdę?

- Tak. Nic ci się nie stanie - zapewniam go. - Pokazują ci, co robić w razie niebezpieczeństwa, ale uwierz mi, nic się nie stanie. Latałam już dziesiątki razy i nic się nigdy nie zdarzyło. Spodoba ci się, zobaczysz. Pomyśl tylko, ile będziesz miał do opowiadania chłopakom z Klubu Poniedziałkowego! Nie uwierzą własnym uszom. Będą cię chcieli słuchać bez końca.

Na twarzy taty pojawia się z wolna uśmiech.

- Ten gaduła Donal będzie musiał dla odmiany wysłuchać czyjeś historii. Myślę, że Maggie znajdzie wolną chwilę na tę wycieczkę w moim grafiku.

- Fran czeka na zewnątrz, tato. Musimy iść!
- Chwileczkę, kochanie. Muszę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Jest - mówię. - Sprawdziłeś pięć razy.

- Nigdy za wiele pewności. Słyszysz różne historie o telewizorach powodujących spięcie, wybuchających tosterach i ludziach wracających z wakacji do kupki dymiących ruin zamiast domu. - Tato kolejny raz sprawdza wyłączniki prądu.

Fran trąbi.

- Przysięgam, że któregoś dnia uduszę tę kobietę. Natrąb sobie sama, wiesz gdzie! - woła.

- Tato! - Śmieję się i chwytam go za rękę. - Naprawdę musimy iść. Domowi nic się nie stanie. Wszyscy twoi przyjaciele mieszkają w pobliżu i będą go pilnować. Najmniejszy ruch lub hałas, a oni już stoją przy oknie. Wiesz o tym dobrze.

Tata kiwa głową i rozgląda się zażawionymi oczami.

- Będziemy się świetnie bawić, zobaczysz. Czym się martwisz?

- Tym cholernym Futrzakiem, który wchodzi do ogrodu i sika na moje rośliny. Martwię się, że morenie zaduszą mi moje biedne petunie i lwie paszcze. Martwię się, że nikt nie będzie dbał o chryzantemy. A jeśli nadejdzie deszcz i wiatr? Nie przywiązałem ich jeszcze do tyczek, a kwiaty robią się ciężkie. Może im się złamać łodyga. A wiesz, ile czasu minęło,

zanim przyjęła się magnolia? Zasadziłem ją, jak byłaś malutka, kiedy twoja matka leżała w ogródku, opalała nogi i śmiała się z pana Hendersona, niech Bóg czuwa nad jego duszą, który obserwował ją zza firanek z okien sąsiedniego domu.

Ponaglające dźwięki klaksonu. Fran dociska go do końca.

- To tylko kilka dni, tato. Ogród sobie poradzi. Gdy tylko wrócimy, zajmiesz się nim porządnie.

- No dobrze. - Rozgląda się po raz ostatni i rusza do drzwi.

Przyglądam się jego rozchwianej postaci odzianej w najlepszy, odświętny garnitur z kamizelką, koszulę i krawat, do tego wypolerowane buty i tweedową czapkę. Oczywiście. Zawsze ją nosi poza domem. Wygląda jak wyjęty żywcem z fotografii na ścianie tuż za nim. Zatrzymuje się przy stoliku w przedpokoju i sięga po zdjęcie mamy.

- Wiesz, twoja matka zawsze chciała, żebyśmy pojechali do Londynu. - Udaje, że wyciera niewidoczną smugę na szkle, ale tak naprawdę dotyka twarzy mamy.

- Zabierz ją ze sobą tato.

- O nie, to byłoby dziecinne - mówi stanowczo, ale spogląda na mnie niepewnie. - Prawda?

- Uważam, że to doskonały pomysł. Pojedziemy do Londynu we trójkę i będziemy się świetnie bawić.

Łzy napływają mu do oczu. Z prostym skinieniem głowy chowa zdjęcie do kieszeni płaszcza i wychodzi z domu przy akompaniamencie trąbienia Fran.

- Ach, jesteś, Fran! - woła do niej, maszerując chwiejnym krokiem przez ogród. - Spóźniłaś się. Czekamy od wieków.

- Trąbiłam na was, Henry, nie słyszałeś?

- Doprawdy? - Wsiada do samochodu. - Następnym razem naciskaj klakson mocniej. Nic nie słyszeliśmy.

Wsuwam klucz do zamka w drzwiach i w tym momencie zaczyna dzwonić telefon w przedpokoju. Spoglądam na zegarek. Siódma rano. Kto do diabła dzwoni o tej porze?

Fran znowu trąbi. Oglądam się zagniewana i widzę tatę pochylającego się nad jej ramieniem i wciskającego klakson.

- O, tak się to robi, Fran. Następnym razem na pewno cię usłyszymy. Dalej, kochanie, bo spóźnimy się na samolot! - Śmieje się głośno.

Ignoruję dzwonek telefonu i biegnę do samochodu z walizkami.

- Nikt nie odbiera. - Justin przemierza pokój w panice. Wykręca numer jeszcze raz. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wczoraj, Bea?

Dziewczyna wywraca oczami.

- Bo nie sądziłam, że to coś poważnego. Ludzie co rusz dzwonią pod zły numer.

- Ale to nie był zły numer. - Justin zatrzymuje się i stuka stopą niecierpliwie w takt kolejnych dzwonek.

- Owszem, był.

Do diabła! Automatyczna sekretarka. Zostawić wiadomość czy nie?

Rozłącza się i natychmiast dzwoni znowu.

Bea znudzona jego szaleństwem siedzi na krześle ogrodowym w dużym pokoju, przyglądając się podłodze pokrytej folią ochronną i próbkom farb na ścianach.

- Kiedy Doris skończy wreszcie dekorować to miejsce?

- Zaraz po tym, jak zacznie - rzuca oschle Justin, wykręcając numer jeszcze raz.

- Uszy mnie pieką - śpiewa Doris, pojawiając się w drzwiach odziana w ogrodniczki z nadrukiem lamparcich cętek. Jak zwykle jest mocno umalowana. - Znalazłam je wczoraj. Czyż nie są cudowne? - Śmieje się w głos. - Bebe-Bea, tak się cieszę, że cię widzę! - Podchodzi do bratanicy i obejmuje ją. - Wszyscy jesteśmy bardzo podekscytowani twoim występem dziś wieczór. Nie masz pojęcia jak. Nasza mała Bebe jest już taka dorosła! Będzie tańczyć w Operze Królewskiej. - Jej głos przechodzi w pisk. - Och, jesteśmy tacy dumni, prawda, Al?

Jej mąż wchodzi do pokoju z udkiem kurczaka w dłoni.

- Mmmrnhmrm - mamrocze.

Doris spogląda na niego z odrazą, a potem przenosi uwagę z powrotem na Beę.

- Wczoraj rano przywieźli łożko do pokoju gościnnego, więc będziesz miała na czym spać, jeżeli zdecydujesz się zostać na noc. Cudownie, prawda? - Spogląda z lekką pretensją na Justina. - Poza tym zamówiłam próbki farb i dywanów, więc możemy zacząć planować wewnątrz twojego pokoju. Pamiętaj tylko, że ja posługuję się wyłącznie regułami feng shui. Nie chcę słyszeć o niczym innym.

Bea zastyga.

- O rany, super.

- Wiem! To będzie świetna zabawa!

Justin spogląda wściekły na córkę.

- Tak się to właśnie kończy, kiedy zatrzymuje się dla siebie ważne informacje.

- Jakie informacje? Co się tu dzieje? - Doris zbiera włosy w kok na czubku głowy, podwiązując je jasnoróżową chustką.

- Tata dostał napadu szału - wyjaśnia Bea.

- Już mu powiedziałam, żeby poszedł do dentysty. Anichybi to ropniak, jestem tego pewna - oznajmia Doris jakby nigdy nic.

- Ja też mu powiedziałam - zgadza się z nią Bea.

- Nie, nie to. Ta kobieta - mówi Justin z napięciem w głosie. - Pamiętajcie tę kobietę, o której wam opowiadałem?

- Sara? - pyta Al.

- Nie! - Justin odpowiada, jakby było to najgłupsze pytanie pod słońcem.

- A kto tam za tobą nadaży. - Al wzrusza ramionami. - Z pewnością nie Sara, zwłaszcza gdy zaczniesz biec jak szalony za autobusem, zostawiając ją bez pożegnania.

Justin się krzywi.

- Przeprosiłem ją.

- W wiadomości poczty głosowej - chichocze Al. - Nigdy więcej nie odbierze od ciebie telefonu.

Nie winiłbym jej za to.

- Ta kobieta od *deja vul* - Doris zachłystuje się nagłym olśnieniem.

- Tak - odpowiada podekscytowany Justin. - Ma na imię Joyce i zadzwoniła wczoraj do Bei.

- Albo nie zadzwoniła - protestuje Bea bez większego skutku. - Wczoraj odebrałam telefon od jakiejś Joyce. Osobiście jednak uważam, że na świecie jest więcej niż jedna kobieta o tym imieniu.

Doris zachłystuje się znowu, ignorując bratanicę.

- Jak to możliwe? Skąd znasz jej imię?

- Słyszałem, jak ktoś do niej zawołał w autobusie wikingów. A wczoraj Bea odebrała od niej telefon. Dzwoniła na numer od nagłych wypadków, którego nie zna nikt poza mną. Kobieta z Irlandii - Justin przerywa dla większej dramatyzacji chwili - zwana Joyce.

Zapada cisza. Justin kiwa głową ze zrozumieniem.

- Tak, wiem, Doris. Dziwne, prawda?

Oczy Doris przybierają rozmiary spodków.

- Jeszcze jak. No i ten autobus wikingów. - Spogląda na Beę. - Masz osiemnaście lat i dałaś ojcu swój numer w razie nagłego wypadku?

Justin aż jęczy z frustracji i któryś już raz zaczyna wybierać numer.

Bea się rumieni.

- Zanim tata się tu przeprowadził, mama nie pozwalała mu dzwonić w pewnych godzinach ze względu na różnice w czasie. Dlatego załatwiłam sobie nowy telefon, nowy numer. Niezupełnie w razie nagłych wypadków, ale tylko tata go zna i za każdym razem, kiedy dzwoni, mam wrażenie, że zrobił coś złego.

- Nieprawda - protestuje Justin.

- Właśnie, że tak - Bea zaczyna przeglądać magazyn. - Poza tym, nie przeprowadzam się do Petera.

- Racja. Zdecydowanie nie przeprowadzasz się do Pete-

ra - wymawia jego imię z nienawiścią. - Ten chłopak utrzymuje się ze zbierania truskawek.

- Uwielbiam truskawki. - Al spieszy z pomocą. - Gdyby nie Pete, nie miałbym co jeść.

- Peter jest konsultantem komputerowym. - Bea wyrzuca w górę ręce, poirytowana.

Doris wybiera ten moment na wtrącenie się w rozmowę.

- Słuchaj, wiesz, że jestem całkowicie za teorią *deja vu* z tą kobietą.

- Joyce. Ma na imię Joyce.

- Cokolwiek. Niemniej jednak, to nic więcej niż zbieg okoliczności. I nie ma w tym nic złego, ale... to idiotyczny zbieg okoliczności.

- To coś więcej, Doris. Bardzo grubo się mylisz, i to z paskudnym akcentem. Mam jej imię i numer telefonu. - Justin kłęka przed**Doris*, chwyta jej twarz w dłonie i ścisną tak, że jej usta wydymają się niczym u karpia. - A to, *Doris Hitchcock*, oznacza, że coś mam.

- Przy okazji czyni z ciebie prześladowcę - rzuca pod nosem *Bea*.

„Opuszczacie miasto *Dublin*. Do zobaczenia ponownie”.

Mięsiste uszy taty kładą się płasko przy głowie, a krzaczaste brwi podjeżdżają do góry.

- Powiesz reszcie rodziny, że o nich pytałem, prawda, *Fran*? - pyta nerwowo.

- Oczywiście, że powiem, *Henry*. Baw się dobrze. - *Fran* uśmiecha się do rrinie oczami w lusterku *Wstecznym*.

- Zobaczą się z nimi po powrocie - dodaje tata, przyglądając się uważnie samolotowi, który właśnie wzbija się w powietrze. - Schował się za chmurami. - Spogląda na mnie niepewnie.

- To najlepsza część podróży - mówię z uśmiechem.

Tata rozluźnia się nieco.

Fran zatrzymuje się przed wejściem na miejscu pełnym

ludzi, którzy wiedzą, że nie mogą się tu zatrzymać samochodem na dłużej niż minutę. Szybko wyciągają bagaże, ściskają bliskich na pożegnanie albo płacą taksówkarzom. Na miejsce odjeżdżających wozów wciskają się kolejne. Tata stoi nieruchomo niczym kamień wrzucony do strumienia, obserwuje wszystko, kiedy ja wyciągam torby z bagażnika. Wreszcie wraca do rzeczywistości i spogląda na Fran, nagle pełen ciepłych uczuć do kobiety, na którą bez przerwy narzeka. Potem zaskakuje nas obie, ściskając ją niezręcznie.

Już w budynku terminalu, w zgiełku i zamęcie jednego z najbardziej ruchliwych lotnisk Europy, chwytam mnie kurczowo za ramię, drugą ręką ciągnąc za sobą małą walizkę, którą mu pożyczyłam. Niemal cały dzień i noc przekonywałam go, że nie ma ona nic wspólnego z torbami na kółkach, używanych na zakupy przez Fran i pozostałe starsze panie. Tata rozgląda się i dostrzega mężczyzn z podobnymi walizkami. Wygląda na uszczęśliwionego, chociaż nieco zdezorientowanego. Ruszamy w stronę komputerów, do elektronicznej odprawy.

- Co ty robisz? Chcesz wyciągnąć pieniądze?
- Nie, tato. To nie bankomat, tylko elektroniczna odprawa.
- Nie będziemy rozmawiać z urzędnikiem?
- Nie. Komputer wszystko za nas zrobi.
- Nie ufałbym tej maszynie. - Spogląda przez ramię na mężczyznę stojącego tuż obok. - Przepraszam, czy ten pan dynks działa?

- 'Scusi?

Tata śmieje się w.głos.

- Skuzi-łuzi - rzuca i spogląda na mnie rozradowany. - Skuzi.To dopiero zabawne.

- *Mi dispiace tanto, signore, La prego di ignorarlo, e un vecchio sciocco e non sa cosa dice** - przepraszam Włocha,

* Bardzo pana przepraszam, proszę nie zwracać na niego uwagi. To stary głupiec i nie wie, co mówi (wł.).

który najwyraźniej jest bardziej niż zaskoczony głupawym komentarzem taty. Nie mam pojęcia, co powiedziałam, ale mężczyzna odwzajemnia mój uśmiech i wraca do poprzedniego zajęcia.

- Mówisz po włosku? - Tata wygląda na zaskoczonego.

Nie mam czasu odpowiedzieć. Tata ucisza mnie, ponieważ z głośnika płynie komunikat.

- Cicho, Gracie, to może być po nas. Lepiej się pospieszmy.

- Mamy dwie godziny do odlotu.

- To dlaczego przyjechaliśmy tak wcześnie?

- Musieliśmy. - Zaczynam być już zmęczona i udzielam mu coraz bardziej zdawkowych odpowiedzi.

- Kto tak powiedział?

- Ochrona.

- Jaka ochrona?

- Lotniska. Tędy. - Kiwam głową w kierunku detektorów metalu.

- Gdzie teraz idziemy? - pyta, kiedy wyciągam karty pokładowe z maszyny.

- Nadać bagaże.

- Nie możemy ich wziąć ze sobą?

- Nie.

- Witam. - Kobieta ze stanowiska odpraw uśmiecha się do nas i bierze nasze dokumenty.

- Witam - odpowiada tata, zmuszając się do ociekającego słodyczą uśmiechu.

Wywracam oczami. Wieczny flirciarz z niego.

- Ile sztuk bagażu państwo nadają?

- Dwie.

- Spakowali je państwo sami?

- Tak.

- Nie. - Tata szturcha mnie i marszczy brwi. - To ty spakowałaś moją walizkę, Gracie.

Wzdycham.

- Tak, ale jesteśmy razem, tato. Spakowaliśmy się razem.

- Ale ta pani nie o to pytała. - Spogląda na urzędniczkę. - Czy to w porządku?

- Tak. Czy ktoś prosił państwa o przewiezienie czegoś samolotem?

- N...

- Tak - przerywa mi tata. - Gracie włożyła swoje buty do mojej walizki, bo nie chciały się u niej zmieścić. Wyjeżdżamy tylko na parę dni, ale i tak zabrała trzy pary. Trzy.

- Czy mają państwo jakieś ostre lub niebezpieczne przedmioty w bagażu podręcznym? Nożyczki, pesety, zapalniczki i tym podobne?

- Nie - odpowiadam.

Tata krzywi się, ale milczy.

- Tato - szturcham go. - Odpowiedz, że niczego nie masz.

- Nie - mówi wreszcie.

- Dobra robota - warczę.

- Życzę miłej podróży. - Urzędniczka oddaje nam dokumenty.

- Dziękuję. Ma pani bardzo ładny kolor szminki - dodaje tata, zanim jestem w stanie odciągnąć go od stanowiska odpraw.

Oddycham głęboko, kiedy zbliżamy się do bramek z detektorami. Staram się pamiętać, że to pierwszy pobyt taty na lotnisku i nigdy przedtem nie słyszał tych wszystkich pytań. Kiedy ma się siedemdziesiąt pięć lat, mogą się one wydać nieco dziwne.

- Cieszysz się na tę podróż? - pytam, usiłując rozjaśnić nieco nastrój.

- Wręcz niemożliwie, kochanie.

Poddaję się. Wyjmuję przezroczystą kosmetyczkę z przyborami do makijażu i lekarstwami taty. Przesuwamy się wzdłuż pozakręcanych barierek prowadzących do kontroli bagażu.

- Czuję się jak mała myszka - mówi tata. - Dostanę na końcu kawałek sera?

Śmieje się chrapliwie. Podchodzimy do bramek.

- Rób to, co ci mówią - nakazuję, zdejmując kurtkę i pasek od spodni. - Nie będziesz sprawiał kłopotów, prawda?

- Kłopotów? Dlaczego miałbym sprawiać kłopoty? Co ty robisz? Dlaczego się rozbierasz, Gracie?

Jęcę cicho.

- Proszę pana o zdjęcie butów, paska, kurtki i czapki - żąda urzędnik.

- Co takiego? - Tata śmieje się mu w twarz.

- Proszę zdjąć buty, pasek, kurtkę i czapkę.

- Nic z tego. Chce pan, żebym chodził w samych skarpetkach?

- Tato, zrób to - mówię.

- Jeżeli zdejmę pasek, spadną mi spodnie - rzuca gniewnie.

- Możesz je przytrzymać - mówię ostro.

- Chryste Przenajświętszy - woła.

Młody ochroniarz rozgląda się za swoimi kolegami.

- Tato, zrób to i koniec - mówię bardziej zdecydowanym głosem.

Za naszymi plecami formuje się długa kolejka coraz bardziej zagniewanych podróżników, którzy już zdążyli zdjąć obuwie, kurtki i paski.

- Proszę wyciągnąć wszystko z kieszeni. - Pojawia się przy nas gniewnie wyglądający, starszy ochroniarz.

Tata spogląda na mnie niepewnie.

- O mój Boże, tato, to nie są żarty. Zrób to, o co cię proszą.

- Czy mogę wyjąć te rzeczy z dala od niej?

- Nie. Proszę to zrobić tutaj.

- Nie patrzę. - Odwracam się skonsternowana.

Słyszę brzęczenie, kiedy tata opróżnia kieszenie.

- Proszę pana, powiedziano panu, że nie może pan wnosić takich rzeczy na pokład.

Odwracam się. Ochroniarz trzyma w dłoni zapalniczkę

i obcinacz do paznokci. Na tacce leży paczka papierosów i fotografia mamy. Do tego banan.

- Tato! - wykrzykuję.

- Proszę się nie wtrącać.

- Niech pan nie mówi do mojej córki w ten sposób. Nie wiedziałem, że nie mogę mieć tych rzeczy ze sobą. Pani urzędniczka pytała o nożyczki, pesety, wodę i...

- W porządku, rozumiem, proszę pana, ale będziemy musieli to zarekwirować.

- Ale to moja dobra zapalniczka. Nie może mi pan jej zabrać! A poza tym, co ja zrobię bez obcinaczki?

- Kupimy ci nową - syczę przez zaciśnięte zęby. - Rób, co ci mówią.

- W porządku. - Macha niegrzecznie ręką na ochroniarza. - Niech sobie pan to weźmie.

- Proszę zdjąć czapkę, kurtkę, buty i pasek.

- To starszy człowiek - mówię do ochroniarza cicho, żeby pozostali pasażerowie mnie nie słyszeli. - Musi usiąść, żeby ściągnąć buty. Poza tym nie powinien ich zdejmować, bo są ortopedyczne. Nie może go pan po prostu przepuścić?

- Ze względu na budowę jego prawego buta musimy je sprawdzić - wyjaśnia mężczyzna.

Tata słyszy go i wybucha.

- Sądzi pan, że mam BOMBĘ W BUCIE? Jasne! Jaki kompletny głupek by zrobił coś takiego?! A może schowałem BOMBĘ pod czapkę lub pod paskiem. Jasne, a banan to tak naprawdę PISTOLET, prawda? - Macha owocem w kierunku obsługi, udając, że do nich strzela. - Wszyscyście tutaj powariowali, czy co? - Sięga po czapkę. - A może schowałem GRANAT pod...

Nie udaje mu się skończyć. Nagle wokół nas wybucha szaleństwo. Ochroniarze chwytają go i odprowadzają gdzieś. Zostają zabrana do ciasnego pokoiku, gdzie każą mi czekać.

Po piętnastu minutach siedzenia w towarzystwie stołu i krzesła słyszę, jak w sąsiednim pokoju otwierają się i zamykają drzwi. Rozlega się skrzypnięcie krzesła, a potem dobiega mnie głos taty, donośniejszy niż wszystkich innych, jak zwykle.

- Z kim pan podróżuje?

- Z Gracie.

- Jest pan tego pewien, panie Conway?

- Oczywiście! To moja córka, niech ją pan sam zapyta!

- W jej paszporcie napisane jest, że ma na imię Joyce.

Czy ona kłamie, panie Conway? A może to pan nas oszukuje?

- Nie oszukuję. Miałem na myśli Joyce. Chciałem powiedzieć, Joyce.

- Zmienia pan swoje zeznanie?

- Jakie zeznanie? Pomyliły mi się imiona. Gracie to moja żona, często mi się płaczą imiona.

- Gdzie teraz jest pana żona?

- Nie ma jej wśród nas. Mam ją w kieszeni. To znaczy, jej zdjęcie. A przynajmniej było tam, dopóki pana koledzy nie wyciągnęli go na tackę. Dostanę z powrotem mój obcinacz do paznokci? Jak pan sądzi? Trochę mnie kosztował.

- Panie Conway, został pan uprzedzony, że nie może pan

zabrać na pokład samolotu żadnych ostrych przedmiotów ani ciekłego paliwa.

- Wiem, ale moja córka Gracie, to znaczy Joyce, strasznie się na mnie wczoraj rozzłościła, kiedy znalazła paczkę papierosów w opakowaniu groszków cukrowych i nie chciałem wy ciągać zapalniczki z kieszeni, żeby znowu się nie zdenerwo wała. Bardzo przepraszam. Nie zamierzałem wcale wysadzić samolotu ani nic z tych rzeczy.

- Panie Conway, proszę się powstrzymać od tego typu komentarzy. Dlaczego odmówił pan zdjęcia butów?

- Bo mam dziurawe skarpetki!

Milczenie.

- Młody człowieku, skończyłem siedemdziesiąt pięć lat. Dlaczego, na wszystkie świętości, muszę zdejmować buty? Sądziliście, że wysadzę samolot za pomocą gumowej pode szwy? A może martwicie się o wkładki. Faktycznie, nigdy nie wiadomo, ile zamieszania może wyrządzić człowiek z do brą wkładką...

- Panie Conway, jeszcze raz proszę się powstrzymać od tego typu komentarzy i nie mówić o wysadzaniu niczego w po wietrze, inaczej możemy panu zabronić wejścia na pokład. Dlaczego odmówił pan zdjęcia paska?

- Przecież spadłyby mi spodnie! Nie jestem jak te dzisiej sze dzieciaki. Nie noszę paska dla ozdoby. Tam, skąd pocho dzę, paski służyły do przytrzymywania portek na miejscu. I gdyby tego nie robiły, aresztowalibyście mnie za znacznie więcej, niech mi pan wierzy.

- Nie jest pan aresztowany, panie Conway. Musimy po prostu zadać panu kilka pytań. Takie zachowanie jak pańskie jest zabronione na lotnisku, musieliśmy więc się upewnić, że nie stanowi pan zagrożenia dla pasażerów.

- Jak to zagrożenia?

Oficer ochrony chrząka głośno.

- Innymi słowy, musieliśmy się przekonać, czy nie jest pan członkiem gangu lub organizacji terrorystycznej.

Tata zanosi się śmiechem.

- Musi pan zrozumieć, że samoloty to zamknięte, stosunkowo małe wehikuły i nie możemy do nich wpuszczać nikogo, kto wzbudza podejrzenia. Mamy prawo decydować, komu pozwolimy wejść na pokład.

- Jedyne zagrożenie, jakie stanowiłbym w małym, zamkniętym pomieszczeniu, byłoby wtedy, gdybym zjadł dobre curry z lokalnej restauracji. A co do organizacji terrorystycznych to jasne, a jakże, jestem członkiem Klubu Poniedziałkowego. Spotykamy się co poniedziałek, z wyjątkiem świąt państwowych, wtedy spotykamy się we wtorek. Grupa mężczyzn i kobiet zbierająca się, żeby wypić kilka piw i poplotkować. Chociaż, jeżeli szukacie dziury w całym, to rodzina Donala była zaangażowana w działalność IRA.

Przesłuchujący go mężczyzna znów głośno chrząka.

- Donal?

- Donal McCarthy. Ach, zostawcie go w spokoju. Ma dziewięćdziesiąt siedem lat, a to z IRA było za czasów, kiedy jego tata jeszcze walczył o wyzwolenie. Jediną buntowniczą rzeczą, którą Donal potrafi zrobić, jest walenie po szachownicy laską, i to tylko dlatego, że nie może grać. Artretyzm w obu dłoniach. Chociaż jak dla mnie mógłby dostać artretyzmu w szczęce. Gada i gada, nic innego nie robi. Strasznie wkurza Petera, ale nigdy im się nie układało, od kiedy zalecał się do jego córki, a potem złamał jej serce. Dziewczyna ma siedemdziesiąt dwa lata. Słyszał pan kiedyś o podobnej bzdurze? Podobno ciągle oglądał się za kobietami, ale jak dla mnie, po prostu ma zeza. Oczy mu latają bez jego wiedzy. Kto by go za to winił? Chociaż, niestety, to on nadaje ton konwersacji co tydzień. Nie mogę się doczekać, żeby wysłuchał mnie dla odmiany. - Tata śmieje się i wzdycha. Zapada dłuższe milczenie. - Czy mógłbym dostać herbaty?

- Niedługo będzie pan wolny, panie Conway. W jakim celu jedzie pan do Londynu?

- Jadę, ponieważ moja córka mnie wyciągnęła, w ostat-

niej chwili. Wczoraj rano zadzwoniła do kogoś, a potem spojrzęła na mnie blada, jakby ducha zobaczyła. Jadę do Londynu, mówi do mnie, jakby to było coś, o czym można zdecydować w ostatniej chwili. Ach, może i młodzi teraz tak robią, ale to nie dla mnie. Nie jestem przyzwyczajony do takich rzeczy, zupełnie nie. Nigdy wcześniej nie leciałem samolotem, wie pan? Ale córka mówi, że będziemy się dobrze bawić, jeżeli na trochę wyjedziemy. Normalnie powiedziałbym nie, bo mam dużo roboty w ogrodzie. Muszę posadzić lilie, tulipany, żonkile i hiacynty. Ale córka mówi do mnie, tato, pożycz trochę. Chciałem ją popędzić, bo mam więcej życia niż ona. Ale z powodu ostatnich, no, kłopotów, powiedzmy sobie, postanowiłem z nią polecieć. To chyba nie zbrodnia, co?

- Jakiego rodzaju kłopotów, panie Conway?

- Ach, moja Gracie...

- Joyce.

- Tak, dziękuję. Moja Joyce miała ostatnio niełatwe życie. Straciła dziecko kilka tygodni temu, wie pan? Całymi latami się o nie starała z gościem, który gra w tenisa ubrany w małe ciasne białe portki. W końcu wyglądało na to, że się im udało, ale potem miała wypadek. Spadła ze schodów i poroniła. Do tego w zeszłym tygodniu straciła męża. Siebie też, jeśli mam być szczerzy, ale niech się pan nad nią nie użala z tego powodu. Straciła coś, to prawda, ale też zyskała coś, czego nie miała przedtem. Nie wiem dokładnie, co to jest, ale nie sądzę, żeby to była zła rzecz. Generalnie rzecz biorąc, nie układa jej się ostatnio i sam pan powie, jaki ojciec by mógł zawieść swoje dziecko w takiej chwili? Nie ma pracy, potomka, męża, matki, a niedługo straci dom. Jeżeli chce pojechać do Londynu, zrobić sobie małe wakacje, nawet jeśli zdecydowała o tym w ostatniej chwili, to ma do tego pełne prawo i nikt nie powinien jej przed tym powstrzymywać. Proszę bardzo, możecie sobie wziąć moją czapkę. Jeżeli moja Joyce chce pojechać do Londynu, to powinniście ją tam puścić. To dobra dziewczyna, nigdy nie zrobiła niczego złego w życiu.

Teraz mają już tylko mnie i tę wycieczką, o ile wiem. No więc proszę, zabierzcie sobie to wszystko. Jeżeli mam jechać bez czapki, butów, kurtki i paska, to trudno, bo moja Joyce nie pojedzie sama do Londynu.

Czy po czymś takim ktoś by się nie rozczulił?

- Panie Conway, chyba pan wie, że dostanie pan swoje części garderoby z powrotem, gdy tylko przejdzie pan przez bramkę z detektorem metali?

- Co takiego?! - wykrzykuje tata. - Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziała? Cały ten nonsens na próżno. Naprawdę, czasem sobie myślę, że Joyce specjalnie szuka kłopotów. W porządku, panowie, możecie wziąć te rzeczy. Zdamy jeszcze na samolot, prawda?

Łzy, które zdążyły napłynąć mi do oczu, gwałtownie wysychają.

Wreszcie drzwi mojej celi otwierają się i za sprawą pojedynczego skinienia głową jestem znowu wolną kobietą.

- Doris, nie możesz przestawić piekarnika. Al, powiedz jej-

- Dlaczego? - dziwi się Doris.

- Kochanie, po pierwsze, jest zbyt ciężki, a po drugie, podłączony do gazu. Nie jesteś uprawniona do przestawiania tego typu urządzeń kuchennych - wyjaśnia Al, przygotowując się do skonsumowania pączka.

Doris wyjmuje mu go z ręki. Pozostają mu jedynie zacieki dżemu na palcach, które oblizuje ze smakiem.

- Zdaje się, że żaden z was nie rozumie, że kuchenka naprzeciwko drzwi to zła energia feng shui. Osoba stojąca przy nim może instynktownie chcieć spojrzeć na drzwi, co wywołuje uczucie niepokoju i może doprowadzić do wypadku.

- Może najbezpieczniejsze dla taty byłoby całkowite pozbycie się kuchenki.

- Dajcie mi spokój, co? - Justin wzdycha i siada przy nowym stole kuchennym, na nowym krześle. - Trzeba tu tylko

niecio odmalować i wstawić nowe meble. Nie musisz restrukturyzować całej przestrzeni zgodnie z nauką yody.

- Żadnego yody - naburmuszą się Doris. - Donald Trump też wierzy w feng shui.

- No, w takim razie... - odpowiadają Al i Justin unisono.

- Właśnie. W takim razie. Może gdybyś ty zrobił to samo, co on, byłbyś teraz w stanie wspiąć się po schodach bez przerwy na lunch w połowie drogi - rzuca ostro Doris do męża. - To, że sprzedajesz opony, nie oznacza, że musisz je nosić na brzuchu, kochanie.

Bea spogląda na nią z otwartymi ustami, a Justin usiłuje powstrzymać śmiech.

- Chodź, dziecko. Wyjdźmy stąd, zanim dojdzie do aktów przemocy.

- Gdzie idziecie? Mogę się zabrać z wami? - pyta Al.

- Ja idę do dentysty, a Bea na próbę przed występem dziś wieczór.

- Powodzenia, Blondie. - Al mierzi jej fryzurę. - Będziemy ci kibicować.

- Dzięki. - Bea zaciska zęby i przygląda włosy. - Ach, to mi przypomina jeszcze jedno o tej kobiecie z telefonu. Joyce?

Co? Co? Co?

- Co ci przypomina?

- Joyce wie, że jestem blondynką.

- Skąd ona to wie? - pyta zaskoczona Doris.

- Twierdzi, że zgadywała, ale to nie tak. Przed pożegnaniem powiedziała: „Powodzenia na balecie”.

- Więc jest nie tylko domyślna, ale również miła. - Al wzrusza ramionami.

- Zastanawiałam się potem nad tym i nie przypominam sobie, że bym podczas rozmowy wspomniała o tym, że mój występ to balet.

Justin spogląda na Alę, trochę zaniepokojony, że w całą sprawę wplątana jest także jego córka. Niemniej jednak czuje uderzenie adrenaliny.

- Co o tym sądzisz?
- Myślę, że powinieneś być ostrożny. Ta kobieta to jakiś dziwoląg. - Al wstaje i rusza do kuchni, masując się z apetytem po brzuchu. - Właśnie, to dobry pomysł. Wezmę sobie kawałek tego dziwoląga, którego upiekła Doris.

Zniechęcony Justin spogląda z nadzieją na córkę.

- Czy mówiła jak dziwadło?
- Nie wiem. - Bea wzrusza ramionami. - A jak mówi dziwadło?

Wszyscy odwracają się zgodnie i spoglądają na Doris.

- Co? - skrzeczy.
- Nie. - Bea potrząsa głową, spoglądając na ojca. - Zupełnie nie tak.

- Do czego to służy, Gracie? .
- To torebka na wymioty.
- A co to?
- Tutaj wiesz się płaszcz.
- A do czego jest to tutaj?
- To jest stolik.
- Jak się go otwiera?
- Przesuwając blokadę, o tutaj.
- Proszę pana o złożenie stolika na czas startu samolotu.
Na chwilę zapada cisza.
- Co oni tam robią na zewnątrz?
- Ładują bagaże.
- A co to za dynks?
- Przycisk katapuły dla ludzi, którzy zadają trzy miliony pytań.

- A tak naprawdę co to jest?
- Przycisk do opuszczania fotela.
- Proszę pana o ustawienie fotela w pozycji pionowej na czas startu samolotu.

Na chwilę zapada cisza.

- Co to robi?

- To jest klimatyzacja.
- A to?
- Lampka.
- A tamto?
- Tak, proszę pana? Czy mogę w czymś pomóc?
- Em... nie, dziękuję.
- Nacisnął pan przycisk wzywający obsługę.
- Ach, to do tego służy ten przycisk z małą kobietką? Nie wiedziałem. Czy mogę dostać wody do picia?

- Niestety, nie możemy serwować drinków, dopóki samolot nie wejdzie na wysokość przelotową.

- Och. W porządku. Tak przy okazji, bardzo dobra demonstracja. Kiedy włożyła pani maskę tlenową, przypomniała mi pani moją przyjaciółkę Ednę. Kiedyś paliła sześćdziesiąt papierosów dziennie.

Stewardesa otwiera usta ze zdziwienia.

- Czuję się teraz bardzo bezpiecznie, ale co będzie, jeżeli spadniemy nad lądem? - pyta tata głośno. Pasażerowie obok spoglądają w naszym kierunku. - Kamizelki ratunkowe się nam wtedy nie przydadzą, chyba że zaczniemy gwizdać w powietrzu z nadzieją, że ktoś nas usłyszy i przechwyci, zanim spadniemy. Nie ma tu spadochronów?

- Nie ma potrzeby się denerwować, proszę pana. Nie spadniemy nad lądem.

- Och, to bardzo pokrzepiające, ale jeżeli jednak się nam to przydarzy, proszę powiedzieć pilotowi, żeby celował w stóg siana albo w coś w tym rodzaju.

Oddycham głęboko i udaję, że nie znam taty. Wracam do lektury książki *Złoty wiek holenderskiego malarstwa: Vermeer, Metsu i Terborch* i usiłuję wmówić sobie, że mimo wszystko to wcale nie był zły pomysł.

- Gdzie są toalety? - pyta tata stewardesę.

- Z przodu po lewej, ale może pan z nich skorzystać dopiero po starcie.

Tata spogląda na nią rozszerzonymi oczami.

- A kiedy to będzie?
- Za kilka minut.
- Za kilka minut to - sięga po torebkę na wymioty - zostawiając użyte nie do tego, do czego jest przeznaczone.
- Za chwilę będziemy w powietrzu, zapewniam pana - mówi stewardesa i szybko odchodzi, zanim tata zdąży zadać kolejne pytanie.

Wzdycham.

- Nie wolno wzdychać w czasie startu samolotu - mówi tata.

Mężczyzna siedzący obok mnie wybucha śmiechem i usiłuje zatuszować to, udając atak kaszlu.

Tata wygląda przez okno, a ja upajam się chwilą ciszy i spokoju.

- Och, och, och! - woła. - Ruszamy się, Gracie!

Wzbijamy się w powietrze, koła jęczą, wsuwając się z podwozem i jesteśmy już wysoko. Tata cichnie. Odwrócony do okna patrzy na oddalający się ląd i zbliżające się chmury. Najpierw pojawiają się tylko kłaczki. Samolot podskakuje jak na nierównej drodze, przebijając się przez warstwę chmur. Tata jest zelektryzowany widokiem mlecznej mgły otaczającej nas ze wszystkich stron. Rozgląda się, zaglądając w każde okno, do którego może sięgnąć wzrokiem. Nagle robi się błękitnie i spokojnie ponad chmurami. Tata czyni znak krzyża. Przytyka nos do szyby, z twarzą oświetloną słońcem. Zapamiętuję go takim - nowa fotografia na ścianie wspomnień.

Głośne piknięcie, gaśnie sygnał nakazujący zapięcie pasów i załoga oznajmia, że można już korzystać z urządzeń elektronicznych oraz toalety. Niedługo rozpoczną serwowanie jedzenia i picia. Tata opuszcza stolik, sięga do kieszeni i wyjmuje fotografię mamy. Stawia ją na stoliku, zwróconą w stronę okna. Opuszcza lekko fotel i oboje przyglądają się, jak nieskończone morze chmur znika pod naszymi stopami. Nie mówi już ani słowa przez cały czas trwania lotu.

- Muszę powiedzieć, że to było absolutnie wspaniałe. Naprawdę wspaniałe. - Tata potrząsa entuzjastycznie dłonią pilota.

Stoimy w wyjściu, z setką podenerwowanych pasażerów tłoczących się za naszymi plecami. Są niczym stado ogarów, którym otworzono właśnie klatkę, wypuszczono królika do pogoni, a jedyną przeszkodą na ich drodze jest tata. Jak zwykle, kamień w strumieniu.

- No i jedzenie. - Tata zwraca się do stewardes. - Naprawdę wyśmienite, wyśmienite. - Zjadł kanapkę z szynką i wypił herbatę.

- Nie mogę uwierzyć, że jadłem w niebie. - Śmieje się. - Dobra robota, jeszcze raz gratuluję. To istny cud, dzięki Bogu. - Jeszcze raz potrząsa dłonią pilota, jakby ten był, nie przymierzając, JFK.

- Dobrze już, tato, powinniśmy iść. Blokujemy przejście innym.

- Och, doprawdy? Dziękuję raz jeszcze. Do zobaczenia. Może spotkamy się w drodze powrotnej - wykrzykuje przez ramię, kiedy ciągnę go na zewnątrz.

Wędrujemy przez rękaw przystawiony do samolotu i wychodzimy do sali przylotów. Tata wita się z każdą mijaną osobą, uchylając przy tym kapelusza.

- Tato, nie musisz się kłaniać wszystkim dookoła, wiesz?
- To miło być kimś ważnym, Gracie, ale jeszcze ważniejsze, żeby być miłym. Zwłaszcza kiedy się jest w innym kraju - odpowiada mi ten, który przez dziesięć lat nie wyjechał nawet z prowincji Leinster.

- Może przestałbyś krzyczeć?
- Nic na to nie poradzę-. Mam zablokowane uszy.
- Ziewnij albo zatkaaj nos i dmuchnij. Powinny się odezwać.

Tata stoi przy podajniku bagażów, czerwony, z wydętymi policzkami i palcami zaciśniętymi na nosie. Nabiera powietrza, dmucha i puszcza bąka.

Podajnik ożywa i ludzie roją się nagle wokół niego niczym muchy nad padliną, zasłaniając nam widok. Zupełnie jakby ich życie zależało od chwycenia walizek w tej sekundzie.

- Jest twoja walizka. - Podchodzę bliżej.
- Ściągnę ją, kochanie.
- Nie, ja to zrobię. Nadwyrężysz sobie plecy.
- Odsuń się, kochanie, sam to zrobię.

Przekracza żółtą linię i chwytając rączkę walizki. Nagle zdaje sobie sprawę, że opuściła go już niegdysiejsza siła. Rusza wzdłuż podajnika, wraz z przesuwającą się walizką, usiłując ją wyszarpać i postawić na podłodze. Normalnie pospieszyłabym mu na pomoc, ale nie mogę, złożona w pół ze śmiechu. Słyszę tylko, jak tata powtarza „przepraszam, przepraszam” do ludzi stojących za żółtą linią, usiłując nadążyć za swoim uciekającym bagażem. Robi pełne okrażenie i zanim dociera do mnie (nadal złożonej ze śmiechu), ktoś lituje się nad starym człowiekiem i pomaga mu. Tata przyciąga walizkę, cały czerwony i zadyszany.

- Swoją walizkę to chyba sama zdejmiesz. - Naciąga głębiej kapelusz, zażenowany.

Kiedy czekam na odbiór bagażu, tata spaceruje po całym pomieszczeniu, „zapoznając się z Londynem”. Po wydarzeniach na lotnisku w Dublinie głos pilota z wewnętrznej nawi-

gacji satelitarnej mówi mi, żebym natychmiast zawróciła, ale inna część mnie posłusznie prze do przodu, przekonana, że ta wycieczka to właściwy krok. Zastanawiam się, dlaczego i co to tak właściwie jest. Zdejmując walizkę z podajnika, uświadomiam sobie, że ta podróż nie ma jasno zdefiniowanego celu. Szukanie wiatru w polu, to wszystko. Czysty instykt obudzony dziwaczną rozmową z dziewczyną o imieniu Bea przywiódł mnie do innego kraju z moim siedemdziesięcioletnim ojcem, który nigdy w życiu nie wyjechał z Irlandii. Nagle to, co do tej pory wydawało mi się Jedynym słusznym krokiem", objawia się jako zupełnie nieracjonalne zachowanie.

Co to znaczy śnić o kimś, kogo nigdy się nie spotkało, a potem nagle przez przypadek nawiązać z tą osobą rozmowę przez telefon? Zadzwoiłam pod numer używany przez tatę w nagłych wypadkach. Bea odebrała telefon, na który jej tata miał dzwonić w nagłych wypadkach. Co to oznacza? Czego mam się w ten sposób nauczyć? Czy to zwykły zbieg okoliczności, który rozsądna osoba powinna zignorować, czy mam rację, czując, że kryje się za tym coś więcej? Mam nadzieję, że ta wycieczka przyniesie mi jakieś odpowiedzi. Obserwuję tatę czytającego plakat po drugiej stronie sali i zaczyna we mnie wzbierać panika. Nie wiem, co mam z nim zrobić.

Nagle tata chwyta się za głowę, a potem za serce. Rusza w moim kierunku z szaleństwem w oczach. Chwytam butelkę z jego lekarstwami.

- Gracie - jęczy.
- Masz, szybko, połknij to. - Podaję mu trzęsącą się ręką pigułki i butelkę wody.
- Co ty robisz, na wszystkie świętości?
- No... wyglądałeś, jakbyś...
- Jakbym co?
- Jakbyś miał atak serca!
- I dostanę go, jeżeli natychmiast stąd nie wyjdziemy! - Chwyta mnie za ramię i ciągnie przed siebie.

- Co się stało? Gdzie idziemy?
- Do Westminsteru.
- Co takiego? Dlaczego? Nie! Najpierw musimy iść do hotelu, zostawić bagaże.

Tata staje, odwraca się i niemal agresywnie przybliża twarz do mojej. Jego głos trzęsie się od nadmiaru adrenaliny.

- *Objazdowy antykwariat* nagrywa dzisiaj w jakimś Pawilonie Bankietowym, od wpół do dziesiątej do wpół do piątej. Jeżeli wyjdziemy teraz, możemy się ustawić w kolejce do wejścia. Nie mam ochoty opuścić emisji programu po to tylko, żeby przejechać szmat drogi do Londynu i przepuścić okazję zobaczenia tego na żywo. Może nawet uda się nam spotkać Michaela Aspela. Michaela Aspela, Gracie! Chryste przenajświętszy, chodźmy stąd.

Jest cały rozpalony i ma rozszerzone źrenice. Rusza w kierunku rozsuwanych drzwi, nie mając do zadeklarowania nic poza chwilową niepoczytalnością. Z pewnością siebie skręca w lewo.

Stoję w sali przylotów. Wokół kręcą się z małymi transparentami mężczyźni w garniturach. Wzdycham i czekam. Po chwili pojawia się tata, chybocząc się i ciągnąc za sobą walizkę jak najszybciej potrafi.

- Mogłaś mi powiedzieć, że poszedłem w złą stronę - rzuca, mijając mnie i zdążając w przeciwnym kierunku.

Tata pędzi przez Trafalgar Square, ciągnąc za sobą walizkę i strasząc stado gołębi, które wzbijają się w niebo. Nie interesuje go już poznawanie Londynu. Widzi tylko Michaela Aspela i skarby starszych pań. Wreszcie po kilkakrotnym skręceniu w niewłaściwym kierunku od wyjścia ze stacji metra widzimy Pawilon Bankietowy, siedemnastowieczny pałac i niegdysiejszą siedzibę rodziny królewskiej. Chociaż wiem, że nigdy przedtem tu nie byłem, widok wydaje mi się nader znajomy.

Już w kolejce przyglądam się szufladzie trzymanej przez

starszego pana przed nami. Z tyłu jakaś kobieta odwija z gazet filiżankę do herbaty, żeby pokazać ją komuś obok. Wokół panuje nieustanny, podniecony, dość niewinny i nader uprzejmy gwar. Słońce świeci, kiedy czekamy przed recepcją budynku. W pobliżu zaparkowały półciężarówki ze sprzętem telewizyjnym, kamerzyści i dźwiękowcy wchodzą i wychodzą z pałacu, kamery filmują długą kolejkę, a kobieta z mikrofonem wybiera różnych ludzi do wywiadu. Wiele osób ma ze sobą składane krzeselka, koszyki piknikowe pełne bułeczek i małych kanapek oraz termosy z herbatą i kawą. Tata rozgląda się i burczy mu w brzuchu z głodu. Czuję się jak niedobra matka, która nieodpowiednio wyposażyła swoje dziecko. Boję się również, ze względu na tatę, że nie dostaniemy się do środka.

- Tato, nie chcę cię martwić, ale myślę, że powinniśmy coś ze sobą mieć.

- Co dokładnie masz na myśli?

- Jakiś przedmiot. Wszyscy coś ze sobą przynieśli do wyceny.

Tata rozgląda się, jakby zauważył to po raz pierwszy. Smutnieje.

- Może zrobią dla nas wyjątek - dodaję szybko, chociaż szczerze w to wątpię.

- A co z tymi walizkami? - Spogląda na nasze bagaże.

Usiłuję zachować powagę.

- Kupiłam je w TK Maxx. Nie sądzę, żeby byli zainteresowani ich wyceną.

Tata śmieje się w głos.

- Może powinienem dać im moje majtki, Gracie, co o tym sądzisz? Mają za sobą kawał historii.

Krzywię się i tata macha niedbale ręką.

Przesuwamy się powoli w kolejce. Tata doskonale się bawi, gawędząc ze wszystkimi o swoim życiu i ekscytującej wycieczce z córką. Po półtorej godziny jesteśmy zaproszeni do dwóch domów na podwieczorek, a tata dostaje od dzentelme-

na za nami poradę, jak powstrzymać miętę od zagłuszenia rozmarynu. Przed nami, tuż przy drzwiach, widzę starszą parę, którą odsyłają, ponieważ nie przynieśli ze sobą niczego do wyceny. Tata również to dostrzega i spogląda na mnie zmartwiony. Nas też to czeka.

- Hm... - Rozglądam się szybko w poszukiwaniu ratunku.

Oba wejścia są otwarte dla publiczności. Tuż przy drzwiach stoi drewniany koszyk, w którym tkwi kilka starych, zapomnianych i połamanych parasolek. Kiedy nikt nie patrzy, przewracam go, wysypując na ziemię parasolki i kilka zmiętych kawałków papieru. Przesuwam je nogą za drzwi w ostatnim momencie.

- Następna osoba, proszę - słyszymy.

Zabieram ze sobą koszyk do recepcji. Tata spogląda na mnie wybałuszonymi oczami.

- Witam w Pawilonie Bankietowym - mówi młoda kobieta.

- Dziękuję, bardzo mi miło. - Uśmiecham się niewinnie.

- Ile przedmiotów przynieśli państwo dzisiaj ze sobą?

- Och, tylko jeden. - Podnoszę koszyk do góry.

- Och, fantastyczny! - Kobieta przesuwając palcami po jego powierzchni. Tata spogląda na mnie znacząco, jakbym przez chwilę zapomniała o tym, kto tu jest rodzicem, i postanowił mi o tym przypomnieć. - Byliście już państwo na wycenie?

- Nie. - Tata potrząsa gwałtownie głową. - Ale oglądam wasz program w telewizji. Zawsze. Jestem wielkim fanem, o tak. Nawet jeszcze za czasów, kiedy prowadził go Hugh Scully.

- Cudownie - mówi z uśmiechem kobieta. - Po wejściu do holu zobaczycie kilka kolejek. Proszę stanąć w odpowiedniej, w zależności od kategorii przedmiotu.

- To znaczy, w której? - Tata spogląda na koszyk, jakby wydzielał z siebie nieprzyjemny zapach.

- A co to jest? - Kobieta znów się uśmiecha.

Tata spogląda na mnie zdezorientowany.

- Mieliliśmy nadzieję, że pani nam podpowie - odpowiadam uprzejmie.

- Sugerowałabym „Przedmioty różne”. To zawsze najbardziej zajęty stolik, ale robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby wycenić wszystkie przedmioty. Będzie tam aż czterech ekspertów. Proszę pokazać im ten przedmiot.

- Przy którym stoliku siedzi Michael Aspel?

- Niestety, Michael Aspel nie jest ekspertem, tylko gospodarzem programu, więc nie ma własnego stolika. Mamy jednak dwudziestu innych specjalistów, którzy będą w stanie odpowiedzieć na wasze pytania.

Tata wygląda na załamane.

- Istnieje szansa, że wasz przedmiot zostanie wybrany do sfilmowania do programu - dodaje szybko kobieta, widząc rozczarowanie na twarzy taty. - Eksperci prezentują obiekty ekipie telewizyjnej i podejmują decyzję, czy należy go sfilmować, w zależności od jakości, niecodziennej natury przedmiotu, tego, jak wiele ekspert może o nim powiedzieć, i oczywiście wartości. Jeżeli wasz koszyk zostanie wytypowany, zaprowadzą państwa do poczekalni i przygotowują do wystąpienia przed kamerami. W czasie występu około pięciu minut będą państwo rozmawiać ze specjalistą na temat waszego skarbu. W takim przypadku z całą pewnością spotkacie się państwo z Michaelem Aspelem. Najbardziej ekscytujące jest to, że po raz pierwszy będziemy nadawać nasz program na żywo. - Spogląda na zegarek. - Zaczynamy za mniej więcej godzinę.

Tata spogląda na nią z rozszerzonymi oczami.

- Pięć minut? - wybucha. - Żeby porozmawiać o tej rzeczy?!

Kobieta uśmiecha się uprzejmie.

- Proszę pamiętać, że eksperci muszą przejrzeć dwa tysiące przedmiotów przed rozpoczęciem programu. - Spogląda na mnie znacząco.

- Oczywiście, rozumiemy. Przyszliśmy tu, żeby spędzić mile czas, prawda, tato?

Nie słyszy mnie. Jest zbyt zajęty rozglądaniem się za Michaelem Aspelem.

- Miłego dnia - mówi wreszcie kobieta i przywołuje kolejną osobę.

Gdy tylko wkraczamy do zatłoczonego holu, natychmiast spoglądam na sufit pomieszczenia w kształcie zdwojonego sześciąnu, wiedząc, czego oczekiwać: dziewięć ogromnych płócien zamówionych przez Karola Pierwszego wypełnia panele.

- Masz, weź to. - Wręczam tacie koszyk. - Rozejrzę się po tym pięknym budynku, a ty popatrz sobie na śmieci, jakie przynieśli tutaj ludzie.

- To nie są śmieci, Gracie. Kiedyś widziałem w programie, jak kolekcja lasek spacerowych jednego mężczyzny została wyceniona na sześćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów.

- No, no! W takim razie powinieneś pokazać im swój but. Tata usiłuje się nie roześmiać.

- Idźże już, rozejrzyj się, a potem spotkamy się tutaj. - Rusza, zanim skończy zdanie. Nie może się doczekać, żeby zostać sam.

- Baw się dobrze. - Puszczam do niego oko.

Uśmiecha się szeroko i rozgląda wokoło z taką radością, że robię w myślach kolejną fotografię tej chwili.

Spaceruję po pokojach jedynej części pałacu Whitehall, który przetrwał pożar. Czuję, jakbym była tu już wcześniej. Znajduję cichy kąt i dyskretnie wyciągam telefon komórkowy.

- Halo, mówi zastępca dyrektora do spraw finansów i inwestycji, Frankie.

- Mój Boże, wcale nie kłamałaś. To idiotyczny tytuł.

- Joyce! Hej! - przycisza głos. W tle słychać szalony harmonider Centrum Irlandzkich Usług Finansowych.

- Możesz rozmawiać?

- Nie za długo, ale tak. Jak się czujesz?

- Dobrze. Jestem w Londynie. Z tatą.

- Co? Z twoim tatą? Joyce, mówiłam ci już wcześniej, że to nieładnie wiązać i kneblować własnego rodzica. Co wy tam robicie?

- Postanowiłam tu przyjechać w ostatnim momencie. - Dlaczego, nie mam pojęcia. - Właśnie jesteśmy na sesji *Objazdowego antykwariatu*. Nie pytaj.

Wychodzę z cichych pokojów na galerię nad głównym holem. W dole widzę tatę przechadzającego się po zatłoczonym pomieszczeniu, z koszykiem w ramionach. Uśmiecham się, obserwując go.

- Czy myśmy kiedykolwiek odwiedziły razem Pawilon Bankietowy?

- Odśwież mi pamięć. Gdzie to jest, co to jest i jak wygląda.

- Jest na Trafalgar Square, stanowi część pałacu Whitehall. Siedemnastowieczna była siedziba królewska zaprojektowana przez Inigo Jonesa w 1619 roku. Karol Pierwszy został stracony przed wejściem do budynku. Jestem teraz w pomieszczeniu, w którym panele sufitu przykrywa dziewięć płócien. - Jak wygląda z zewnątrz? Zamykam oczy. - Na brzegu dachu jest balustrada. Fasada od strony ulicy ma dwa przeplatające się rzędy kolumn korynckich i jońskich tworzące harmonijną całość.

- Joyce?

- Co? - wybudzam się z transu.

- Czytałaś to z przewodnika?

- Nie.

- Podczas naszej ostatniej wycieczki odwiedziłyśmy Madame Tussaud, klub G-A-Y i poszłyśmy na przyjęcie w mieszkaniu Glorii. Znowu ci się to przytrafiło, tak? To, o czym opowiadałaś nam wcześniej?

- Tak. - Opadam na krzesło w rogu, czuję pod sobą linę i natychmiast zrywam się na równe nogi. Odchodzę szybko od zabytkowego krzesła, rozglądając się niepewnie za ukrytymi kamerami.

- Czy twój pobyt w Londynie ma coś wspólnego z tym Amerykaninem?

- Tak - szepczę.

- Och, Joyce...

- Nie, Frankie, posłuchaj. Posłuchaj, a zrozumiesz, przynajmniej taką mam nadzieję. Wczoraj spanikowałam i zadzwoniłam do lekarza taty, pod numer, który przecież mam wyryty w pamięci. Nie mogłam pomylić go z innym, prawda?

- Prawda.

- Otóż nie. Okazało się, że zadzwoniłam pod brytyjski numer telefonu. Odebrała dziewczyna o imieniu Bea. Zobaczyła kierunkowy z Irlandii i pomyślała, że dzwoni jej tata. Z naszej krótkiej rozmowy zrozumiałam, że jej tata jest Amerykaninem, ale przebywa w Dublinie, z którego miał przyjechać do Londynu wczoraj w nocy specjalnie na dzisiejszy występ córki. Bea ma blond włosy. Myślę, że to o niej śnię nocami, widzę ją na huśtawkach, bawiącą się w piaskownicy, w różnym wieku.

Frankie milczy.

- Wiem, że to brzmi jak gadanie wariata, Frankie, ale to właśnie się dzieje. Nie mam na to wytłumaczenia.

- Wiem, wiem - odpowiada szybko. - Znam cię prawie przez całe życie i to nie jest coś, co byłabyś skłonna zmyślić. Mimo wszystko, nawet jeśli biorę to wszystko poważnie, pamiętaj o tym, że przeszłaś przez bardzo traumatyczne wydarzenie i to, czego obecnie doświadczasz, może być wywołane stresem.

- Sama na to wpadłam - jęczę i chwytam się za głowę. - Potrzebuję pomocy.

- Niepoczytalność potraktujemy jako ostateczność. Niech pomyślę. - Frankie chyba zaczyna sobie zapisywać. - Więc mówisz, że widziałaś tę dziewczynę, Beę...

- Może Beę.

- Tak, tak, załóżmy, że to ona. Widziałaś, jak dorasta?

- Tak.

- Do jakiego wieku?
- Od urodzenia do... nie wiem...
- Do kiedy była nastolatką, dwudziestolatką, trzydziestolatką?

- Nastolatką.
- W porządku. Kto jeszcze pojawia się w scenach z Beą?
- Inna kobieta. Z aparatem fotograficznym.
- Ale nigdy nie widzisz Amerykanina?
- Nie. Pewnie nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.
- Nie wykluczajmy jeszcze niczego. Kiedy widzisz Beę i kobietę z aparatem fotograficznym, jesteś częścią całej sceny czy też przyglądasz się wszystkiemu z zewnątrz?

Zamykam oczy i myślę intensywnie. Widzę swoje dłonie popychające huśtawkę, trzymające inne dłonie, fotografujące dziewczynkę z jej matką w parku, czuję kropelki wody ze zraszacza spadające na moją skórę...

- Nie, jestem częścią sceny. Widzą mnie.
- OK. - Milknij.
- O czym myślisz, Frankie? Powiedz mi.
- Usiłuję to zrozumieć. Poczekaj chwilę. No dobrze, zatem widzisz dziecko, matkę, a one obie widzą ciebie, tak?
- Tak.
- Czy nie sądzisz, że w takim razie w twoich snach widzisz dorastającą dziewczynkę oczami jej ojca?

Dostają gęsiej skórki.

- O mój Boże - szepczę. Amerykanin?
- Rozumiem, że się zgadzasz - ciągnie Frankie. - No dobrze, chyba jesteśmy na dobrej drodze. Nie wiem jeszcze do czego, ale to bardzo dziwna rzecz i nie mogę uwierzyć, że w ogóle o tym myślę. Ale co tam, w końcu mam tylko milion rzeczy do zrobienia w pracy. O czym jeszcze śnisz?

- Wszystko odbywa się bardzo szybko, obrazy migają mi przed oczami.
- Spróbuj sobie przypomnieć.
- Zraszacze w ogrodzie. Pulchny mały chłopiec. Kobieta

z długimi rudymi włosami. Słyszę dzwony. Widzę stare budynki ze sklepami na parterze. Kościół. Plaża. Jestem na pogrzebie. Potem w college'u. Potem z kobietą i małą dziewczynką. Czasem kobieta uśmiecha się i trzyma mnie za rękę, czasem krzyczy i trzaska drzwiami.

- Hmm... to pewnie twoja żona.

Chowam twarz w dłoniach.

- Frankie, to brzmi idiotycznie.

- I co z tego? Czy życie kiedykolwiek ma jakiś sens?

Kontynuujemy.

- Nie wiem... obrazy są bardzo zamglone. Nie rozumiem, co oznaczają.

- Wiem, co powinnaś zrobić. Za każdym razem, kiedy coś zobaczysz albo przypomni ci się coś, o czym nigdy przedtem nie wiedziałaś, zapisz to i zadzwoń. Pomogę ci zrozumieć.

- Dzięki.

- Poza miejscem, w którym teraz jesteś, co jeszcze nagle sobie przypominasz?

- Em... zazwyczaj budynki. - Rozglądam się dookoła, a potem spoglądam na sufit. - I fakty dotyczące sztuk pięknych. Na lotnisku w Dublinie rozmawiałam z jakimś mężczyzną po włosku. Znam także łacinę. Kiedyś powiedziałam coś po łacinie do Conora.

- O Boże.

- Wiem. Chyba chce mnie wsadzić do wariatkowa.

- Nie pozwolimy mu na to. Jeszcze nie. No dobrze, więc budynki, sztuka, języki. O rany, Joyce, to zupełnie jakbyś odbyła błyskawiczny kurs uniwersytecki z czegoś, czego nigdy nie studiowałaś. Gdzie się podziała ta niedouczone dziewczyna, którą znałam i kochałam?

Uśmiecham się.

- Jest ciągle tutaj.

- No dobrze, jeszcze jedno. Mój szef zaprosił mnie dzisiaj po południu na spotkanie służbowe. W jakiej sprawie?

- Frankie, nie jestem jasnowidzem!

/

Drzwi do galerii otwierają się i wbiega przez nie wyraźnie podenerwowana młoda dziewczyna ze słuchawkami na uszach. Podchodzi do każdej kobiety i pyta o mnie.

- Joyce Conway? - rzuca niemal bez tchu.

- Tak. - Serce bije mi w szaleńczym tempie. Niech tylko z tatą wszystko będzie w porządku, proszę cię, Panie Boże.

- Czy pani ojciec to Henry?

- Tak.

- Chciałby, żeby dołączyła pani do niego w zielonym pokoju.

- Chciałby co? I gdzie?

- Jest w zielonym pokoju. Wystąpi na żywo przed kamerami już za kilka minut, z Michaeliem Aspelem, i chce, żeby pani do niego dołączyła, bo podobno lepiej się pani na wszystkim zna. Naprawdę musimy iść. Nie zostało zbyt wiele czasu, a musimy jeszcze panią przygotować.

- Na żywo z Michaeliem Aspelem... - Zamieram. Zdaję sobie sprawę, że nadal trzymam włączony telefon. - Frankie - rzucam otumaniona. - Włącz BBC, szybko. Będziesz mogła zobaczyć, jak pakuję się w ogromne kłopoty.

Niemal biegnę za dziewczyną ze słuchawkami. Pojawiam się w pokoju dla aktorów zadyszana i zdenerwowana. Widzę tatę na krześle do makijażu, siedzącego przed lustrem oświetlonym szeregiem żarówek, z serwetką zatkniętą za kołnierz, filiżanką i spodeczkiem w ręku. Wizażystka pudruje mu właśnie kartoflowaty nos.

- Ach, jesteś, kochanie - woła tata. - Moi drodzy, oto moja córka. Opowie nam o tym cudownym antyku, który wpadł w oko Michaelowi Aspelowi. - Chichocze i upija nieco herbaty. - Na stoliku są delicje, jeżeli chcesz.

Złośliwy mały człowieczek.

Rozglądam się po pokoju, widząc zainteresowane spojrzenia i skinięcia głową na przywitanie. Zdobywam się na uśmiech.

Justin kręci się nerwowo na krześle w poczekalni dentystry, ze spuchniętym z bólu policzkiem, ściśnięty między dwoma starszymi paniami rozmawiającymi ze sobą o jakiejś Rebecce, która powinna odejść od niejakiego Timothy'ego.

Cisza! Cisza! Cisza!

W rogu stoi odbiornik telewizyjny jeszcze z lat siedemdziesiątych, przykryty ceratą, a na nim sztuczne kwiaty. Lektor zapowiada właśnie rozpoczęcie programu *Objazdowy antykwariat*. Justin jęczy.

- Czy ktoś będzie miał coś przeciwko zmianie kanału?
- Ja oglądam ten program - odpowiada młody chłopiec, nie więcej niż siedmioletni.

- Czarujące. - Justin uśmiecha się do niego z nienawiścią, a potem spogląda na jego matkę, oczekując wsparcia. Kobieta jednak wzrusza tylko ramionami.

- Ogląda ten program - mówi.

Justin prycha sfrustrowany.

- Bardzo przepraszam - przerywa dwóm kobietom siedzącym po obu jego bokach. - Czy któraś z pań nie zechciałaby się zamienić ze mną na miejsca, żebyście mogły kontynuować rozmowę bardziej prywatnie?

- Niech się pan nie martwi, nie ma w niej nic prywatnego, proszę mi wierzyć. Może pan słuchać, ile chce.

Zapach jej oddechu zakrada się znowu do jego nozdrzy, drażni je, a potem ucieka niczym mały, złośliwy duszek.

- Nie podsłuchuję. Pani usta są dosłownie w moim uchu i nie jestem pewien, czy Charliemu, Grahamowi lub Rebecce by się to spodobało. - Odwraca od niej nos.

- Och, Ethel - mówi ze śmiechem jedna z nich. - On myśli, że rozmawiamy o prawdziwych osobach.

Ależ ze mnie głupiec.

Justin spogląda na telewizor, przyłączając się do sześciuosobowej grupki widzów.

- ...witamy w naszym pierwszym wydaniu specjalnym *Objazdowego antykwariatu* nadawanym na żywo...

Justin wzdycha głośno. Mały chłopiec spogląda na niego nieprzyjaźnie i za pomocą pilota, którego nie wypuszcza z dłoni, zwiększa głośność.

- ...z Pawilonu Bankietowego w Londynie.

O, byłem tam. Dobry przykład przepłatających się kolumn korynckich ijońskich tworzących harmonijną całość.

- Od wpół do dziesiątej rano przez drzwi tego pałacyku przewinęło się ponad dwa tysiące ludzi. Zaledwie kilka minut temu zakończono rejestrację, pozostawiając nam zaprezen-

wanie państwu najciekawszych przedmiotów. Nasi pierwsi goście pochodzą z...

Ethel pochyła się ku swojej towarzyszce, opierając łokcie na udzie Justina.

- W każdym razie, Margaret... - zaczyna.

Justin koncentruje się na programie, walcząc z chęcią chwycenia obu kobiet za głowy i roztrzaskania ich jedną 0 drugą.

- Co my tu mamy? - pyta Michael Aspel. - Wygląda jak ciekawy egzemplarz kosza na śmieci - tłumaczy, kiedy kamera robi zbliżenie przedmiotu stojącego na stole.

Serce Justina zaczyna walić jak szalone.

- Chce pan, żebym zmienił program? - pyta chłopiec, przeskakując z kanału na kanał w szaleńczym tempie.

- Nie! - wykrzykuje Justin, przerywając rozmowę Ethel i Margaret i sięgając przed siebie dramatycznie, jakby tym sposobem mógł powstrzymać zmianę kanału. Opada na dywan, klękając przed telewizorem. Margaret i Ethel podskakują i cichną.

- Z powrotem! Cofnij! Cofnij! - krzyczy Justin do chłopca, którego dolna warga zaczyna drżeć niebezpiecznie.

Chłopiec spogląda na mamę.

- Nie musi pan na niego krzyczeć. - Kobieta przytula syna do piersi.

Justin wyrывa pilota chłopcu i przeskakuje przez programy z prędkością nadświatlną. Zatrzymuje się na widok zbliżenia twarzy Joyce, która rozgląda się niepewnie na boki, jakby właśnie została zamknięta w klatce z tygrysem bengalskim w porze karmienia.

W Irlandzkim Centrum Usług Finansowych Frankie pędzi przez biura, szukając telewizora. Wreszcie znajduje, otoczony tuzinem urzędników w garniturach, obserwujących zmieniające się co sekundę wartości akcji.

- Przepraszam! Proszę mnie przepuścić! - krzyczy, prze-

psychając się w stronę ekranu. Zaczyna majstrować przy przyciskach w akompaniamencie oburzonych okrzyków ze strony zgromadzonej wokół grupki mężczyzn i kobiet.

- Zajmę tylko chwileczkę. Przez dwie minuty rynek się nie załamie. - Szuka odpowiedniego kanału z Joyce i Henrym na żywo w BBC.

Sapie z wrażenia i przykładą dłoń do ust. Potem śmieje się i wyrzuca pięść w powietrze.

- Dalej, Joyce! - wykrzykuje.

Ludzie zgromadzeni wokół szybko odchodzą, żeby znaleźć nowy telewizor. Zostaje tylko jeden mężczyzna, najwyraźniej zadowolony ze zmiany programu.

- O, ładna rzecz - mówi, opierając się o pobliskie biurko i krzyżując ramiona na piersi.

- Em... - zaczyna Joyce. - Cóż... znaleźliśmy to... to znaczy wystawiliśmy to... ten piękny... niesamowity... em... drewniany koszyk przed domem. To znaczy nie na zewnątrz - wycofuje się szybko, widząc reakcję fachowca. - W środku. Postawiliśmy go na ganku, tak że był chroniony przed zmianami pogody. Trzymaliśmy w nim parasolki.

- Tak, do tego również mógł być używany - mówi specjalista. - Skąd go państwo macie?

Joyce otwiera usta i zamyka je przez kilka sekund. Pałeczkę przejmuje Henry. Stoi z dłońmi złożonymi na podołku, z uniesioną dumnie głową i błyskiem w oku. Ignoruje eksperta i przybierając elegancki akcent, zwraca się do Michaela Aspela, którego traktuje niczym samego papieża.

- Cóż, Michael, dostałem ten koszyk od mojego prapradziadka Josepha Conwaya, który był farmerem w Tipperary. Przekazał go w spadku mojemu dziadkowi Shayowi, również rolnikowi. Ten z kolei oddał go mojemu ojcu Paddy-Joemu, farmerowi w Cavan, a po śmierci ojca dostałem goja.

- Rozumiem. Czy wie pan może, skąd wziął ten koszyk pański prapradziadek?

- Pewnie ukradł go Angolom - żartuje Henry i śmieje się

jako jedyny w całej grupie. Joyce trąca ojca łokciem, Frankie parska śmiechem, a na podłodze w poczekalni dentystycznej w Londynie Justin odrzuca głowę w tył i śmieje się głośno.

- Powodem, dla którego pytam, jest fakt, że ten wspaniały przedmiot jest rzadkim okazem dziewiętnastowiecznej wiktoriańskiej pionowej żardyniery, rozumie pan, do sadzenia...

- Uwielbiam pracę w ogrodzie, Michael. - Henry przerywa ekspertowi. - A ty?

Michael uśmiecha się do niego uprzejmie.

- Na wszystkich bokach ma piękne ręcznie rzeźbione płytki w stylu szwarzwaldzkim, w poczernianych wiktoriańskich drewnianych ramach.

- Zdobnictwo francuskie czy regionalne angielskie, jak sądzisz? - pyta kolega Frankie.

Ale ona ignoruje go, koncentrując się na Joyce.

- Wewnątrz ma coś, co wygląda na oryginalną wkładkę ręcznie malowaną we wzory folklorystyczne. Doskonały stan, zdobne wzory wyrzeźbione w drewnianych panelach. Widzimy tutaj, że na dwóch bokach dominują formy roślinne, na pozostałych zaś widnieją figury, z jednej strony głowa lwa, z drugiej gryfy. Uderzające, doprawdy. Cudowny przedmiot do prezentowania przy drzwiach wejściowych.

- Pewnie jest wart kilka funtów, co? - pyta Henry, porzucając wykwintny akcent.

- Za chwilę do tego dojdziemy - odpowiada ekspert. - Jest w dobrym stanie, ale wygląda na to, że brakuje mu nóżek, prawdopodobnie również drewnianych. Nie widzę żadnych wypaczeń ani pęknięć, wymienna wkładka jest oryginalna, a oba uchwyty nietknięte. Biorąc to wszystko pod uwagę, jak pan sądzi, ile jest wart ten koszt?

- Frankie! - Szef krzyczy do niej ze swojego gabinetu. - Co to za zabawianie się z monitorami?

Frankie wstaje i odwraca się plecami do telewizora, usiłując jednocześnie przestawić kanał.

- Ach! - wykrzykuje kolega. - Mieli właśnie oznajmić wartość. To najlepsza część.

- Odsuń się, Frankie. - Szef marszczy srogo brwi.

Frankie wykonuje posłusznie polecenie, odsłaniając przesuwające się na ekranie wartości rynkowe. Uśmiecha się radośnie, pokazując wszystkie zęby, a potem biegnie z powrotem do swojego biurka.

W poczekalni dentystycznej Justin klęczy ze wzrokiem wlepionym w ekran, w twarz Joyce.

- To twoja przyjaciółka, kochany? - pyta Ethel.

Justin przygląda się twarzy Joyce i uśmiecha się.

- Tak. Ma na imię Joyce.

Margaret i Ethel wydają z siebie serię ochów i achów.

Na ekranie ojciec Joyce, a przynajmniej tak zakłada Justin, odwraca się do córki i wzrusza ramionami.

- Co powiesz, kochanie? Ile kasy za te frykasy?

Joyce uśmiecha się nerwowo.

- Naprawdę, nie mam zielonego pojęcia.

- Co państwo powiedzą na sumę od tysiąca pięciuset do tysiąca siedmiuset funtów? - pyta ekspert.

- Funtów szterlingów? - upewnia się ojciec, kompletnie zaskoczony.

Justin śmieje się w głos. Kamera robi zbliżenie twarzy Joyce i jej ojca. Oboje są wstrząśnięci, widać, że brakuje im słów.

- To dopiero reakcja - śmieje się Michael. - Dobrze wieści z tego stolika. Przejdźmy teraz do stoiska z porcelaną, dowiedzmy się, czy inni zbieracze w Londynie mają równe szczęście.

- Justin Hitchcock - anonsuje recepcjonistka.

W poczekalni zapada cisza. Wszyscy patrzą po sobie.

- Justin - powtarza recepcjonistka, nieco głośniej.

- To pewnie on, tam, na podłodze - domyśla się Ethel. -

Juuuuhu! - krzyczy i trąca Justina lekko czubkiem buta. -
Masz na imię Justin?

- Ktoś tutaj się zakochał, o la la - wyśpiewuje Margaret,
podczas gdy Ethel całuje powietrze.

- Louise - zwraca się do recepcjonistki. - Może ja wejść,
podczas gdy ten chłopiec pobiegnie do Pawilonu Bankieto-
wego, żeby zobaczyć swoją damę? Jestem zmęczona tym
czekaniem. - Wyciąga lewą nogę i robi bolesną minę.

Justin wstaje i strzepuje ze spodni włosie dywanu.

- Nie mam pojęcia, po co w ogóle tutaj siedzicie w wa-
szym wieku - rzuca. - Powinnyście po prostu zostawić swoje
zęby i wrócić później po odbiór, kiedy dentysta się z nimi
upora.

Wychodzi z poczekalni, w kierunku jego głowy leci eg-
zemplarz „Domu i Ogrodu”.

- Właściwie to wcale nie jest taki zły pomysł. - Justin zatrzymuje się w połowie drogi do gabinetu. - To właśnie zrobię.

- Zostawi pan tu swoje zęby? - pyta zgryźliwie recepcjonistka z silnym liverpoolskim akcentem.

- Nie, pojedę do Pawilonu Bankietowego - odpowiada, podskakując z podniecenia.

- Doskonale, Dick. Czy Anne też może pojechać? Tylko zapytajmy najpierw o pozwolenie ciocię Fanny*. - Recepcjonistka spogląda na niego groźnie, co działa niczym kubeł zimnej wody. - Nie obchodzi mnie, co się z panem dzieje. Nie ucieknie pan tym razem. Proszę iść ze mną. Doktor Montgomery nie będzie zachwycony, jeżeli znów nie pojawi się pan na umówionej wizycie.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Już mnie nie boli ząb. - Justin rozkłada ręce i wzrusza ramionami, jakby nic się nie stało. - Minęło. Zero bólu. Proszę bardzo - szczeka zębami. - O, widzi pani, zupełnie nic. Co ja tu w ogóle robię? Nic nie czuję.

- Oczy panu łzawią.

- To z emocji.

* z *Niezwykłej piątki*, serii książek dla dzieci autorstwa Enid Blyton

- Oszukuje się pan. Proszę za mną. - Prowadzi go do gabinetu.

Doktor Montgomery wita go z wiertłem w dłoni.

- Witaj, Clarisse - rzuca i śmieje się do rozpuku. - Tylko żartuję. Znowu usiłowałeś uciec, Justin?

- Nie. To znaczy tak. To znaczy nie, niedokładnie uciec, ale właśnie zdałem sobie sprawę, że powinienem być gdzie indziej i...

W czasie jego wyjaśnień doktor Montgomery i jego silna asystentka sadzają Justina na fotelu i zanim kończy płać się w zeznaniach, jest już przykryty fartuchem ochronnym, a dentysta zaczyna opuszczać oparcie fotela.

- Tralalala - odpowiada radośnie Montgomery. - Obawiam się, że to wszystko już słyszałem.

Justin wdycha.

- Nie będziesz chyba dzisiaj ze mną walczył? - pyta Montgomery, wkładając rękawiczki.

- Nie, jeżeli nie każe mi pan kaszleć.

Doktor Montgomery śmieje się, a Justin niechętnie otwiera usta.

Czerwone światło kamery gaśnie. Chwytam tatę za ramię.

- Musimy iść - rzucam nagłoco.

- Nie teraz - odpowiada scenicznym szeptem w stylu Davida Attenborough. - Michael Aspel jest przy stoliku z porcelaną. Widzę go. Wysoki, czarujący i bardziej przystojny, niż sądziłem. Rozgląda się za kimś, z kim mógłby porozmawiać.

- Michael Aspel jest bardzo zajęty prezentacją programu. - Wbijam paznokcie w ramię taty. - Nie sądzę, żeby rozmowa z tobą była jego priorytetem.

Tata wygląda na lekko zranionego, chociaż nie z powodu moich paznokci. Unosi w górę brodę, do której, wiem to od lat, przytwierdzona jest niewidzialna nić dumy. Zamierza podejść do Michaela Aspela, stojącego samotnie przy stoliku z porcelaną i trzymającego palec w uchu.

- Pewnie ma za dużo wosku - szepcze tata. - Powinien użyć tego, co mi kupiłaś. Puf i wszystko wylatuje.

- To słuchawka wewnętrzna, tato. Słucha ludzi z pokoju kontroli.

- Nie, to aparat słuchowy. Chodźmy i pamiętaj, żeby mówić głośno i wyraźnie. Mam z czymś takim doświadczenie.

Zastępuję mu drogę i łypię na niego okiem w najbardziej złowrogi sposób, w jaki potrafię. Tata przestępuje na lewą nogę i natychmiast rośnie, niemal równając się ze mną.

- Tato, jeżeli nie wyjdziemy stąd natychmiast, zamkną nas w celi. Znowu.

- Nie przesadzaj, Gracie. - Śmieje się.

- Mam na imię Joyce, do cholery - syczę.

- W porządku, Joyce do cholery. Nie musisz się tak gotować.

- Nie sędzę, żebyś rozumiał powagę naszej sytuacji. Przed chwilą ukradliśmy wiktoriański kosz wart tysiąc siedemset funtów, część wyposażenia byłego pałacu królewskiego, i mówiliśmy o nim na żywo przed kamerami.

Tata spogląda na mnie szybko, z uniesionymi brwiami. Po raz pierwszy od dłuższego czasu widzę jego oczy. Są zaniepokojone. Przy okazji załzawione i pożółkłe w kącikach. Zapamiętuję to, żeby porozmawiać z nim o tym później, kiedy nie będziemy uciekać przed prawem albo BBC.

Asystentka producenta, która przyprowadziła mnie do taty, spogląda na mnie szeroko rozwartymi oczami. Serce wali mi w piersi panicznie. Rozglądam się szybko. Kilka głów odwraca się w naszym kierunku. Wiedzą już.

- OK, musimy iść. Oni chyba już wiedzą.

- To nie takiego. Odstawimy to na miejsce - mówi tata poważnie. - W końcu nie zabraliśmy tego kosza z pałacu. To nie jest żadne przestępstwo.

- Teraz albo nigdy. Bierz kosz, żeby go odstawić, i wyśmy się stąd.

Spoglądam uważnie na tłum, upewniając się, że nikt umięs-

niony i masywny nie zbliża się w naszą stronę, wyłamując palce i wymachując kijem bejsbolowym. Nic. Tylko dziewczyna ze słuchawkami. Jestem pewna, że dam sobie z nią radę, a jeśli nawet nie, tata może ją walnąć na odlew w głowę swoim butem ortopedycznym.

Tata chwyta koszyk ze stołu i usiłuje go ukryć pod płaszczem. Osłania zaledwie jedną trzecią. Spoglądam na niego z politowaniem, jak wyciąga kosz na zewnątrz. Przeciskamy się przez tłum, ignorując gratulacje i życzenia powodzenia od tych, którym wydaje się, że wygraliśmy los na loterii. Widzę dziewczynę ze słuchawkami przedzierającą się przez tłum.

- Szybko, tato. Szybko.
- Szybciej już nie mogę.

Docieramy do drzwi prowadzących do holu, zostawiając tłum za plecami. Ruszamy w stronę wyjścia z pałacu. Spoglądam za siebie, zamykając drzwi, i widzę dziewczynę ze słuchawkami, mówiącą coś szybko do mikrofonu. Zaczyna biec, ale blokuje ją dwóch mężczyzn w brązowych kombinezonach, dźwigających szafę. Wyrwam tacie koszyk i natychmiast przyspieszamy. Na dole chwytny nasze walizki pozo-
stawione w szatni, a potem w górę i w dół, w dół i w górę, biegniemy po marmurowej posadzce do wyjścia.

- Tata sięga do pozłacanej klamki przy głównych drzwiach.
- Stop! - słyszymy. - Proszę zaczekać!

Zatrzymujemy się gwałtownie i powoli odwracamy, spoglądając na siebie z obawą. „Uciekaj” - mówię bezgłośnie do taty. Wzdycha dramatycznie, przewraca oczami i przestępuje na prawą nogę, uginając lewą, jakby chciał mi przypomnieć, że ma trudności z chodzeniem, nie wspominając o bieganiu.

- Gdzie się tak państwo spieszycie? - pyta jakiś mężczyzna, podchodząc do nas.

Spoglądamy na niego. Jestem gotowa bronić naszego honoru do końca.

- To ona - rzuca natychmiast tata, wskazując na mnie kciukiem.

Otwieram usta zaskoczona.

- Obawiam się, że oboje państwo jesteście winni - mówi z uśmiechem mężczyzna. - Nie zdjęliście mikrofonów i zasilaczy. Kosztowne zabawki. - Sięga do paska spodni taty i odczepia czarne pudełko z bateriami. - Mielibyście kłopoty, gdybyście uciekli z tym sprzętem. - Śmieje się.

Tata wygląda na uspokojonego, dopóki nie pytam nerwowo:

- Czy były przez cały czas włączone?

- Em... - Mężczyzna przygląda się zasilaczowi i wyłącza go. - Tak.

T Kto nas mógł usłyszeć?

- Proszę się nie martwić. Nie nadawaliby państwa rozmów, nagrywając jednocześnie następny kawałek programu.

Oddycham z ulgą.

- Pomiedzy obsługą wszyscy, którzy nosili słuchawki, z pewnością was słyszeli - wyjaśnia mężczyzna, usuwając mikrofon z koszuli taty. - No i oczywiście ludzie w pokoju kontroli - dodaje, zabierając się do mnie.

Czerwienię się, kiedy sięga do paska moich spodni i zdejmując zasilacz, pociąga w górę tasiemkę stringów, za które pomyłkowo zaczepiono baterię mikrofonu.

- Auuuuuuu! - wyję. Mój krzyk odbija się echem w pustym korytarzu.

- Przepraszam. - Mężczyzna pąsowieje. Poprawiam majtki. - Wada tego zawodu.

- Zaleta, mój przyjacielu, zaleta - uśmiecha się tata.

Mężczyzna odchodzi, zabierając mikrofony ze sobą. Stawiamy koszyk na dawnym miejscu, a gdy nikt nie patrzy, wypełniamy go parasolkami i uchodzimy z miejsca zbrodni.

- No dobrze, powiedz mi, Justin, zdarzyło się u ciebie coś nowego? - pyta doktor Montgomery.

Justin, leżący w fotelu, z dwoma odzianymi w rękawiczki lateksowe dłońmi i aparatem w ustach nie ma pojęcia, jak od-

powiedzieć. Decyduje się mrugnąć raz, pamiętając to z telewizji. Potem, niepewny, co właściwie oznacza ten sygnał, mruga dwa razy.

Doktor Montgomery nie zauważa kodu.

- Mowę ci odjęło? - chichocze.

Justin wywraca oczami.

- Chyba zacznę się obrażać, jeżeli ludzie będą mnie nadal ignorować, kiedy zadaję im pytania. - Dentysta znów chichocze i pochyła się nad Justinem, ukazując wnętrze swojego nosa w całej okazałości.

- Aaaaa - jęczy Justin, kiedy zimna metalowa końcówka dotyka bolesnego miejsca.

- Obawiam się, że ostrzegałem - ciągnie doktor Montgomery. - Nie pozwoliłeś mi się zająć tą dziurą podczas ostatniej wizyty, wdała się próchnica, a potem zapalenie. - Puka w ząb.

- Aaaaaa - gulgocze z bólu Justin.

- Powinienem napisać książkę o słownictwie dentystycznym. Wszyscy wydają z siebie odgłosy, które tylko ja rozumiem. Co o tym sądzisz, Rita?

Rita z błyszczkiem na ustach nie dba o to.

Justin gulgocze kilka niezrozumiałych przekleństw.

- No, no, spokojnie. - Doktor Montgomery przestaje się na chwilę uśmiechać. - Nie ma potrzeby być niegrzecznym.

Zaskoczony Justin koncentruje się na telewizorze zawieszonym pod sufitem w rogu pokoju. Na dole ekranu widnieje czerwony pasek Sky News, po którym przesuwają się najnowsze wiadomości. Chociaż odbiornik jest wyciszony i wisi zbyt daleko, żeby odczytać dokładnie nagłówki, dostarcza miłej odmiany od fatalnych dowcipów dentysty i uspokaja Justina na tyle, że nie ma przemożnej chęci wyskoczyć z fotela, złapać pierwszą lepszą taksówkę i pojechać prosto do Pałacu Bankietowego.

Reporter stoi przed pałacem Westminster, ale ponieważ Justin go nie słyszy, nie ma pojęcia, o czym tamten mówi. Przygląda się twarzy dziennikarza i usiłuje odgadnąć słowa

z poruszenia ust. Doktor Montgomery atakuje go czymś, co wygląda jak igła ze strzykawką. Oczy Justina rozszerzają się, kiedy dostrzega coś w telewizji. Źrenice robią się ogromne. Doktor Montgomery uśmiecha się, trzymając strzykawkę przed twarzą Justina.

- Spokojnie, nie martw się, Justin. Wiem, jak nie cierpisz zastrzyków, ale to konieczne, żeby cię znieczulić. Będę musiał zaplombować drugi ząb, zanim tam też zrobi się stan zapalny. Nie będziesz czuł bólu, tylko dotyk.

Oczy Justina rozszerzają się, kiedy spogląda na telewizor. Usiłuje usiąść. Po raz pierwszy nie obchodzi go igła i strzykawką. Chce to przekazać lekarzowi najlepiej jak potrafi. Niezdolny do poruszenia ustami, zaczyna wydawać głębokie gardłowe odgłosy.

- W porządku, nie panikuj. Jeszcze chwileczkę. Już prawie skończyłem. - Dentysta pochyla się nad Justinem, zaskaniamyjąc mu widok telewizora. Justin wierci się na fotelu, usiłując nie stracić z oczu ekranu.

- Na wszystkie świętości, Justin, uspokój się. Jeden zastrzyk cię nie zabije, ale ja mogę, jeżeli nie przestaniesz się wyrywać. - Chichot.

- Ted, może powinniśmy przerwać - mówi jego asystentka.

Justin spogląda na nią z wdzięcznością.

- Sądysz, że dostał jakiegoś ataku? - pyta Montgomery. - Dostałeś ataku? - pyta bardzo głośno, jakby Justin ogłuchł.

Justin przewraca oczami i gulgotuje.

- Telewizor? O co ci chodzi? - doktor Montgomery spogląda na Sky News, wyjmując wreszcie palec z ust Justina.

Wszyscy troje skupiają się na ekranie. Doktor i jego asystentka odczytują wiadomości, podczas gdy Justin obserwuje Joyce i jej ojca, którzy pojawili się w polu filmowania. Za sobą mają Big Bena. Najwyraźniej nieświadomi, że są w telewizji, prowadzą ze sobą zaciekłą rozmowę, gestykulując przy tym szaleńczo.

- Popatrz na tych dwoje idiotów z tyłu - śmieje się Montgomery.

Nagle ojciec Joyce popycha swoją walizkę w stronę córki i odchodzi w przeciwnym kierunku, pozostawiając ją z dwoma bagażami, wymachującą rękami.

- Jasne, dzięki. Bardzo dojrzała reakcja! - krzyczę za tatą który oddala się, pozostawiając mi swoją walizkę. Oczywiście znowu idzie w złym kierunku. Robi to od chwili, kiedy wyszliśmy z Pawilonu Bankietowego, i nie chce się do tego przyznać. Nie pozwala mi również przywołać taksówki, która zabrałaby nas do hotelu. Oszczędza pieniądze.

Nadal go widzę. Siadam na walizkach i czekam, aż spostrzeże swój błąd i wróci. Jest już wieczór, pragnę tylko pojechać do hotelu i wykapać się. Dzwoni telefon.

- Hej, Kate.

Moja przyjaciółka śmieje się histerycznie.

- Co się z tobą dzieje? - Uśmiecham się. - Miło, że ktoś jest w dobrym humorze.

- Och, Joyce. - Kate chwyta oddech i wyobrażam sobie, że ociera zażawione oczy. - Jesteś najlepszym lekarstwem na smutki, naprawdę!

- O czym ty mówisz? - Słyszę w tle śmiech dzieci.

- Wyświadcz mi przysługę i podnieś prawą rękę.

- Poco?

- Zrób to. To taka gra, której nauczyły mnie dzieci - chce.

- No dobrze - wzdycham i podnoszę prawą rękę.

Słyszę, jak dzieci Kate wyją ze śmiechu.

- Powiedz jej, żeby pomachała prawą stopą - krzyczy Jayda.

- Dobrze. - Śmieję się. Wprowadza mnie to w lepszy nastrój. Macham prawą stopą i znów słyszę wybuch śmiechu. Nawet mąż Kate dobrze się bawi. Nagle czuję się niepewnie. - Kate, o co właściwie chodzi?

Kate nie odpowiada. Za bardzo się śmieje.

- Powiedz jej, żeby podskoczyła w górę i w dół - krzyczy Erie.

- Nie. - Teraz jestem zirytowana.

- Ale zrobiła to, co kazała Jayda - zaczyna kwękać Erie.

Wyczuwam bliskość łez. Szybko podskakuję.

Znów zanoszą się śmiechem.

- Czy przypadkiem jest obok ciebie ktoś, kto ma zegarek? - sapie Kate zmęczona śmiechem.

- O czym ty mówisz? - Marszczę czoło i rozglądam się dookoła. Widzę za plecami Big Bena. Nadal nie rozumiem dowcipu, ale kiedy odwracam się dalej, dostrzegam w oddali kamerzystów i reportera. Przystaję podskakiwać.

- Co ta kobieta robi, do diaska? - Doktor Montgomery podchodzi bliżej do telewizora. - Tańczy?

- Oooo! Wiii ja paaa - mamrocze Justin, czując rozlewające się w jego ustach odrętwienie.

- Oczywiście, że ją widzę. Chyba ma trochę kuku na mu-
niu. Widzisz? Tańczy Hockey Pockey albo co. - Doktor zaczyna ją naśladować, nucąc jakąś melodię. Rita wywraca oczami.

Justin uradowany, że widok Joyce to nie produkt jego osza-
lałego umysłu, zaczyna niecierpliwie podskakiwać w fotelu.
Szybko! Muszą do niejjechać!

Doktor Montgomery patrzy na niego zaciekawiony, popy-
cha z powrotem na fotel i wsadza do ust narzędzia. Justin gul-
gocze i pojękuje gardłowo.

- Nic ci nie pomogą tłumaczenia, Justin. Nigdzie się nie
ruszysz, dopóki nie założę ci plomby. Będiesz musiał wziąć
antybiotyki na stan zapalny, a kiedy wrócisz na kolejną wizy-
tę, albo wyrwę ci ząb, albo zaleczę kanałowo, w zależności
od nastroju. - Chichocze radośnie. - Kimkolwiek jest ta ko-
bieta, Joyce, możesz jej podziękować za uleczenie twojej fo-
bii do igieł. Nawet nie zauważyłeś, jak zrobiłem ci zastrzyk.

- Aaa oaaaaeee eeee.

- Och, to miło z twojej strony, staruszk. Ja też kiedyś oddałem krew. Satysfakcjonujący gest, nie sądzisz?

- Aaa. Oooo aaa oooooaa?

Doktor Montgomery odrzuca głowę w tył i śmieje się.

- Och, nie bądź niemądry. Nigdy nie mówią kto dostał twoją krew. Poza tym najpierw separują poszczególne frakcje, płytki krwi, erytrocyty i co tam jeszcze.

Justin znowu gulgocze i dentysta śmieje się ponownie.

- Jakiego smaku bułeczki lubisz najbardziej?

- Aaaa.

- Bananowe. - Zastanawia się przez chwilę. - Ja osobiście wolę czekoladowe. Rita, powietrze proszę.

Zdziwiona Rita wkłada rurkę do ust Justina.

Udaje mi się zatrzymać taksówkę i wysłać kierowcę za elegancko ubranym starszym panem, którego łatwo można rozpoznać po wahadłowym chodzie. Wygląda niczym pijany marynarz pośród rzeki przechodniów. Jak łosoś płynący w górę strumienia przepycha się przez tłum pod prąd. Nie zauważa nawet, że odróżnia się od tłumu.

Jego widok przypomina mi opowieść, którą słyszałam od niego, gdy byłam tak mała, że ojciec wydawał mi się gigantem, niczym dąb rosnący u sąsiadów, pochylający się nad naszym płotem i zrzucający żołądź na trawę w naszym ogrodzie. Było to w porze roku, gdy zabawa na dworze była przerywana popołudniami spędzonymi w oknie na wpatrywaniu się w szary świat, na zewnątrz zaś trzeba było nosić rękawiczki przyczepione na gumce do rękawów kurtki. Silny wiatr szarpał gałęziami dębu na wszystkie strony, miotał liśćmi z lewej na prawą. Zupełnie jak chód taty. Żadne z nich jednak nie poddało się podmuchom wiatru, oprócz żołądźi, które spadały z gałęzi niczym wystraszeni spadochroniarze albo uszczęśliwieni wielbiciele wiatru, opadający przed nim na kolana.

Kiedy tata był mocny niczym dąb i kiedy w szkole przeдрzeźniano mnie za to, że ssałam kciuk, opowiadał mi irlandzką baśń o łososiu, który zjadł orzechy laskowe i wpadł do Fontanny Mądrości. Dzięki temu zyskał całą wiedzę świa-

ta. Pierwszy człowiek, który skosztowałby jego mięsa, otrzymałby ją w spadku. Poeta Finneces kilka długich lat polował na mądrego łososia, a kiedy w końcu go złapał, poinstruował swojego pomocnika Fionna, jak ma przygotować potrawę. Podczas gotowania Fionn sparzył się gorącym tłuszczem i natychmiast zaczął ssać kciuk, żeby ulżyć sobie w bólu. W ten sposób zyskał niezwykłą wiedzę i mądrość. Przez resztę życia kiedy nie wiedział, co robić, musiał tylko posać kciuk i natychmiast znajdował rozwiązanie.

Tata opowiedział mi tę historię wtedy, kiedy ssałam kciuk, a on był wielki niczym dąb. Kiedy ziewnięcia mamy brzmiąły niczym piosenka. Kiedy wszyscy byliśmy razem. Kiedy nie miałam pojęcia, że przyjdzie czas, gdy wszystko się zmieni. Kiedy często gawędziliśmy sobie w ogrodzie, pod płaczącą wierzba, gdzie zawsze się chowałam, a tata zawsze mnie znajdował. Kiedy wszystko było możliwe i na zawsze razem całej naszej trójki wydawało się pewnikiem.

Uśmiecham się teraz, patrząc na mojego wielkiego łososia mądrości poruszającego się w górę strumienia, kołyszącego się na boki, wynurzającego raz po raz nad głowami przechodniów, wybijających miarowo stopami rytm na chodniku.

Tata spogląda na mnie, pokazuje mi środkowy palec i idzie dalej.

Ach.

- Tato - wołam przez otwarte okno taksówki. - Wsiadaj do samochodu.

Ignoruje mnie. Wkłada papierosa do ust, zaciąga się głęboko, tak bardzo, że aż zapadają mu się policzki.

- Tato, nie bądź taki. Wsiadaj do samochodu, pojedziemy do hotelu.

Tata maszeruje dalej, wpatrzony przed siebie, uparty jak osioł. Widziałam tę minę wiele razy, kiedy kłócił się z mamą, która wyrzucała mu zbyt długie siedzenie w pubie, kiedy dyskutował zażarcie z paczką z Klubu Poniedziałkowego o stanie polityki w naszym kraju i kiedy w restauracji podawano

mu stek nieprzypominający kawałka węgla, jak to sobie zaży-
czył. Mina w stylu „to ja mam rację, nie ty”, uniesiona wyso-
ko broda, stercząca niczym linia brzegowa Cork i Kerry, wci-
nająca się w morze z reszty ładu. Dumna broda, pomieszane
w głowie.

- Tato, nie musimy ze sobą rozmawiać. Równie dobrze
możesz mnie ignorować w taksówce. I w hotelu. Możesz nie
powiedzieć do mnie ani słowa przez całą noc, jeżeli sprawi ci
to przyjemność.

- Chciałabyś, prawda? - burczy.

- Szczerze?

Spogląda na mnie.

- Tak.

Usiłuje się nie uśmiechać. Drapie kącik ust poślótką od
nikotyny palcem, ukrywając złagodnienie rysów. Dym wpada
mu do oczu, a ja myślę o nich, o tym, jakie są żółte, ale kie-
dyś, gdy byłam małą dziewczynką, machając nogami i ob-
serwując go przy stole kuchennym naprawiającego radio,
zegarek albo wtyczkę, wtedy jego oczy były bardzo niebie-
skie. Bardzo. Czujne, ruchliwe, niczym tomograf poszuku-
jący nowotworu. Papieros w kąciku ust, jak u Popeye, dym
unoszący się w kierunku zwężonych w szparki oczu. Może to
on zabarwił je na żółto? Kolor starości, jak w wiekowych ga-
zetach.

Wpatruję się w niego niczym porażona, boję się odezwać,
odetchnąć, przerwać urok, który rzuca na naprawiane właś-
nie urządzenie. Zupełnie jak chirurg, który dziesięć lat temu
przeprowadził operację na sercu taty, zakładając mu by-pass.
Widzę tatę młodego, łączącego druty, czyszczącego zator-
ry, z rękawami podwiniętymi do łokci, opalonymi od pracy
w ogrodzie muskularnymi ramionami. Mięśnie prężą się
i wiotczeją, kiedy tata diagnozuje problem. Paznokcie ma
zawsze ubrudzone ziemią. Palec wskazujący i środkowy pra-
wej ręki są pokryte żółtym nalotem z nikotyny. Żółte, spokoj-
ne palce. Nierówne, ale spokojne i silne.

Wreszcie przystaje. Rzuca papierosa na ziemię i przygnia-
ta grubą podeszwą. Taksówka się zatrzymuje. Rzucam koło
ratunkowe, chwytając w nie tatę i wyciągam go ze strumie-
nia przekory do łodzi. Zawsze ryzykant, zawsze szczęściarz,
gdyby wpadł do wody, wyszedłby suchy, z rybami w kiesze-
niach. Siedzi w samochodzie, nie odzywając się do mnie ani
słowem. Jego oddech i palce pachną papierosami. Przygry-
zam wargę, powstrzymując się od komentarza i szykuję się
do wysłuchania przemowy.

Tata milczy przez rekordowy czas. Dziesięć, może piętna-
ście minut. Wreszcie słowa zaczynają wylewać się z jego ust,
jakby tłoczyły się niecierpliwie za zaciśniętymi wargami pod-
czas rzadkiej chwili milczenia. Wystrzelone jak zwykle z ser-
ca, nie z głowy prosto do ust, tym razem mogły się jedynie
odbijać o wnętrze policzków. Nie pozwolono im wyjść na
świat i zbierały się, puchnąc jak paranoidalne komórki tłuszcz-
czowe. Wreszcie jednak usta się otworzyły i słowa wyleciały
z nich w różnych kierunkach niczym pocisk wymiocin.

- Może i masz skuwkę, ale ja nie mam korony. - Unosi
dumnie brodę. Wydaje się zadowolony z doboru słów, które
wypłynęły z jego ust na jego życzenie.

- Co takiego?

- Słyszałaś.

- Tak, ale...

- Okrągła skuwka, taksówka. Złota korona, mamona -
wyjaśnia. - To stary dobry Chitty Chitty.

Usiłuję zrozumieć, co ma na myśli tym razem.

- Bang Bang, rymowany slang - kończy. - On wie dosko-
nale, o czym mówię. - Kiwa głową w kierunku taksówkarza.

- On cię nie słyszy.

- Dlaczego? Ma w uszach muchy?

- Słucham?

- Czy jest głuchy?

- Nie - mówię, zdumiona i zmęczona. - Kiedy czerwona
lampka gaśnie, nie mogą nas usłyszeć.

- Zupełnie jak w aparacie słuchowym Joego - mówi tata.
Pochyla się i wciska przełącznik.

- Słyszysz mnie pan? - krzyczy.

- Tak, kolego. - Kierowca spogląda na niego w lusterku wstecznym. - Głośno i wyraźnie.

Tata uśmiecha się i wyłącza komunikator.

- A teraz, słyszysz mnie pan? - pyta.

Nie uzyskuje odpowiedzi. Kierowca rzuca na niego wzrokiem w lusterku wstecznym, marszcząc czoło i jednocześnie usiłując nie spuszczać oka z drogi.

Tata chichocze.

Chowam twarz w dłoniach.

- To właśnie robimy Joemu - mówi sprytnie. - Czasem przez cały dzień nie zdaje sobie sprawy, że wyłączyliśmy mu aparat słuchowy. Po prostu wydaje mu się, że nikt nic nie mówi. Co pół godziny wykrzykuje „JEZUSICZKU! ALEŻ TU CICHO!”. - Tata śmieje się i włącza komunikator. - Czołem, szefie.

- W porządku, Paddy*.

Oczekuję, że za chwilę sękata pięść taty wystrzeli przez szparę w szybce działowej, ale nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego tata śmieje się radośnie.

- Mam ochotę na wieczór w swoim własnym towarzystwie. Może mi pan poleci jakiś przyzwoity słup w pobliżu mojego hotelu? Mam ochotę na małe dziwo bez kurki.

Młody kierowca przygląda się w milczeniu niewinnej twarzy taty, zawsze dobrotliwego, nigdy niemającego nic złego na myśli. Nie odpowiada.

Spoglądam w bok, żeby tata nie poczuł się zażenowany, ale czuję się lepsza i nienawidzę siebie za to. Chwilę później, kiedy stajemy na światłach, szybka działowa otwiera się i kierowca podaje tacie kartkę.

- Tutaj jest kilka adresów, koleś. Sugeruję pierwszy, to

* pogardliwe określenie Irlandczyków

mój ulubiony. Mają tam dobre świnki i kaszę, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. - Uśmiecha się i puszcza oczko.

- Dzięki. - Twarz taty się rozjaśnia. Przygląda się kartce papieru, jakby była najcenniejszą rzeczą na świecie, a potem składa ją ostrożnie i chowa do kieszeni na piersi. - Po prostu ten mój przednówek to istne okamgnienie, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Dopilnuj, żeby dała ci odpowiednią kasę.

Kierowca śmieje się i zatrzymuje samochód przed naszym hotelem. Przyglądam się budynkowi z okna taksówki, przyjemnie zaskoczona. Trzygwiazdkowy hotel stoi w samym centrum miasta, zaledwie dziesięć minut od największych teatrów, Oxford Street, Piccadilly i Soho. Wystarczy, żeby nie wplątać się w kłopoty. Lub wręcz przeciwnie.

Tata wysiada z taksówki i ciągnie za sobą walizkę przez obrotowe drzwi do hotelu. Obserwuję go, czekając na wydanie reszty. Drzwi obracają się tak szybko, że tata zatrzymuje się, usiłując uchwycić odpowiedni moment na wejście. Wygląda jak pies, który boi się wskoczyć do zimnej wody. Pochyla się do przodu, zatrzymuje się, skacze do przodu i znów zamiera. Wreszcie rusza odważnie i walizka utyka między skrzydłami drzwi, więżąc go w środku.

Nie spieszę się z wysiadaniem z taksówki. Słyszę, że tata puka do drzwi hotelu, ale pochylam się do przedniego okna od strony pasażera.

- Pomocy! Pomocy! - woła tata.

- Tak przy okazji, co on o mnie powiedział? - pytam kierowcę, spokojnie ignorując wrzaski taty.

- Okamgnienie? - pyta z szerokim uśmiechem. - Na pewno chce pani wiedzieć?

- Niech mi pan powie. - Ja też się uśmiecham.

- To znaczy utrapienie. - Odjeżdża ze śmiechem, pozostawiając mnie na chodniku z otwartymi ustami.

Zauważam, że pukanie ucichło. Odwracam się i widzę, że tata został wreszcie uwolniony. Szybko wchodzę do środka.

- Nie mogę pani dać karty kredytowej, ale za to mogę

pani dać słowo honoru - mówi tata powoli i głośno do recepcjonistki. - Lepsze niż karta.

- Wszystko w porządku, proszę. - Kładę moją kartę na ladzie.

- Dlaczego ludzie nie mogą już płacić normalnymi pieniędzmi? - pyta tata, pochylając się bardziej ku recepcjonistce. - Wystarczy, że dzisiejsza młodzież pakuje się przez to w kłopoty, dług za długiem, bo chcą sobie kupić to i tamto, ale nie zamierzają na te rzeczy zapracować, więc używają tych plastikowych rzeczy. Jedno, co mogę powiedzieć, że te pieniądze nie są za darmo. - Kiwa głową stanowczo. - Tylko się na tym traci.

Nikt nie odpowiada. Recepcjonistka uśmiecha się do niego uprzejmie, stukając w klawiaturę.

- Życzą sobie państwo wspólny pokój? - pyta.

- Tak - odpowiadam z dreszczem strachu.

- Dwa rumiane jabłuszka, mam nadzieję? - rzuca tata.

Recepcjonistka marszczy brwi.

- Łóżka - wyjaśniam cicho. - Miał na myśli łóżka.

- Tak, to pokój z dwoma łózkami.

- I łazienką? - Tata pochyla się i spogląda na jej identyfikator. - Breda, prawda?

- Tak, proszę pana, wszystkie nasze pokoje wyposażone są w łazienki - odpowiada uprzejmie.

- Och. - Tata jest pod wrażeniem. - Mam nadzieję, że działają wam windy, po wodach nie dam rady, strup mnie boli.

Zaciskam powieki.

- Wysokie wody, schody. Sztwywny strup, kręgosłup - mówi tata tym samym tonem, jakiego używał przy dziecięcych wyliczankach, kiedy byłam mała.

- Rozumiem. Doskonale, panie Conway.

Biorę klucz i ruszam w kierunku windy, słysząc, jak powtarza cienkim głosem pytanie, idąc za mną korytarzem. Naciskam na guzik trzeciego piętra i drzwi windy zamykają się za nami.

Pokój jest dość standardowy i czysty. Jak dla mnie wystarczy. Nasze łóżka stoją dość daleko od siebie, mamy telewizor i minibarek, który przyciąga uwagę taty. Ja tymczasem nalewam wody do wanny.

- Mam ochotę na kropelkę kina - rzuca tata, zaglądając do barku.

- Masz na myśli wino.

- Kino z Mandy, brandy.

Wreszcie wchodzę do ciepłej, kojącej kąpieli. Piana unosi się na powierzchni wody niczym lody waniliowe. Łaskocze mnie w nos i pokrywa ciało, wylewając się za wannę i znikając na podłodze z leciutkim pykaniem pękających bąbelków. Zamykam oczy i układam się wygodnie, czując jak małutkie pęcherzyki powietrza rozpadają się po zetknięciu ze skórą... Słyszę pukanie do drzwi. Ignoruję je.

Znowu, nieco głośniejsze.

Nie reaguję.

ŁUP! ŁUP!

- O co chodzi?! - krzyczę.

- Och, przepraszam. Myślałem, że zasnąłaś albo co, kochanie.

- Jestem w wannie.

- Wiem. Trzeba być wtedy ostrożnym. Nie daj Boże, żebyś zasnąła i się utopiła, jak jedna z kuzynek Amelii. Znasz Amelię. Czasem odwiedza naszego sąsiada Josepha. Ale ostatnio nie tak często, właśnie przez ten wypadek w łazience.

- Tato, dziękuję za troskę, ale wszystko jest w porządku.

- To dobrze.

Milczenie.

- Właściwie nie o to mi chodziło, Gracie. Zastanawiałem się, jak długo tam będziesz.

Chwytam małą żółtą kaczkę siedzącą na brzegu wanny i ukრęc mam jej łeb.

- Kochanie? - rzuca tata pytająco.

Trzymam kaczkę pod wodą usiłując ją utopić. A kiedy ją

puszczam, wypływa znowu, wpatrując się we mnie tymi samymi głupawymi oczkami. Biorę głęboki oddech i wydycham powoli powietrze.

- Około dwudziestu minut, tato.

Milczenie.

Znów zamykam oczy.

- Em... widzisz, tylko że siedzisz tu już dwadzieścia minut, a wiesz, jaka jest moja prostata...

Nie słyszę nic więcej. Wychodzę z wanny z gracją piranii w czasie karmienia. Bose stopy lądują z piskiem na podłodze, woda rozlewa się na wszystkie strony.

- Wszystko w porządku, Shamu? - Tata śmieje się głośno ze swojego własnego dowcipu. Owijam się ręcznikiem i otwieram drzwi.

- Ach, orka została uwolniona. - Uśmiecha się.

Kłaniam się i wskazuję na klozet.

- Twój rydwan jest gotowy, mój panie.

Zakłopotany, wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Słyszę szczęk zapadki zamka.

Cała mokra, trzęsąc się z zimna, przeglądam małe butelczki z czerwonym winem stojące w barku. Biorę jedną z nich i patrzę na naklejkę. Natychmiast w myślach pojawia się obraz tak wyraźny, jakby moje ciało zostało przetransportowane w tamto miejsce i tamtą chwilę.

Koszyk piknikowy z butelką tego samego wina, identyczna nalepka, koc w biało-czerwona szachownicę rozłożony na trawie, mała dziewczynka z kręconymi blond włosami, wirująca w różowej sukience baletnicy. Wino omywa ścianki kieliszka. Słyszę śmiech dziecka. Śpiew ptaków. Śmiech w oddali, szczekanie psa. Leżę na kocu, bosa, spodnie mam podwinięte do kolan. Mam owłosione nogi. Czuję ciepło promieni słonecznych na skórze. Mała dziewczynka tańczy, wiruje w słońcu, czasem zasłaniając mnie przed nim, innym znów razem odskakując nagle w bok, tak że światło razi mnie w oczy. Tuż obok pojawia się dłoń z kieliszkiem czerwonego

wina. Spoglądałam na twarz kobiety. Lekko rude włosy, piegowata cera. Uśmiecha się z uwielbieniem. Do mnie.

- Justin - woła. - Ziemia do Justina!

Mała dziewczynka śmieje się i wiruje, wino omywa ścianki kieliszka, długie rude włosy rozwiewają się na wietrze...

Obraz znika. Jestem znowu w pokoju hotelowym, stoję przed minibarkiem, woda kapie mi z włosów na dywan. Tata przygląda mi się ciekawie, z dłonią zawieszoną w powietrzu, jakby nie był pewny, czy mnie dotknąć, czy nie.

- Ziemia do Joyce - woła.

Chrząkam.

- Skończyłeś już?

Kiwa głową i odprowadza mnie wzrokiem do łazienki. Zatrzymuję się w połowie drogi.

- Tak przy okazji, zarezerwowałam bilety na balet dziś wieczór, jeśli masz ochotę się ze mną wybrać. Musimy wyjść za godzinę.

- Dobrze, kochanie. - Kiwa głową lekko i przygląda mi się ze znajomym cieniem zmartwienia w oczach. Widziałam to spojrzenie jako dziecko, jako osoba dorosła i milion razy po drodze. Zupełnie jakbym po raz pierwszy zdjęła stabilizatory z roweru i tata biegł obok czujny, trzymając mnie kurczowo, bojąc się mnie puścić.

Zbliżamy się do Covent Garden. Tata oddycha ciężko, marszerując tuż obok mnie. Wolną dłonią klepię się po kieszeniach, szukając jego leków nasercowych.

- Z powrotem bierzemy taksówkę. Nie chcę słuchać żadnych sprzeciwów.

Tata zatrzymuje się i wpatruje przed siebie, oddychając spazmatycznie.

- Dobrze się czujesz? Czy to serce? Może usiądziemy? Zatrzymamy się, żebyś odpoczął. A może chcesz wrócić do hotelu?

- Zamknij się i odwróć, Gracie. Serce nie jest jedyną przyczyną moich duszności.

Odwracam się i widzę gmach Opery Królewskiej, z kolumnami podświetlonymi przed wieczornym występem, czerwonym dywanem rozwiniętym na chodniku i tłumami wlewającymi się przez drzwi.

- Trzeba czasem się zatrzymać, kochanie - mówi tata, wpatrując się w budynek. - Nie atakuj zawsze na oślep, jak byk, któremu krew zalała oczy.

Ponieważ zarezerwowałam bilety w ostatniej chwili, nasze miejsca są na samym szczycie niesamowitego teatru. Nie najlepsza lokalizacja, ale i tak mamy szczęście, że udało nam się dostać do środka. Nie widzimy całej sceny, za to mamy

doskonałą panoramą łóż naprzeciwko. Przez lornetkę stojącą obok fotela obserwują ludzi wypełniających balkony. Ani śladu mojego Amerykanina. *Ziemia do Justina?* Słyszą znowu głos kobiety w głowie i zastanawiam się, czy teoria Frankie o tym, że obserwują świat oczami Justina nie jest przypadkiem prawdziwa.

Tata zachwyca się widokiem.

- Mamy najlepsze miejsca w całym teatrze, kochanie. Zobacz!

Wychyla się z balkonu i niemal traci przy tym czapkę. Chwytam go za ramię i ciągną w stronę fotela. Tata wyjmując fotografią mamy i stawiają na obitej aksamitem poręczy.

- Naprawdę, najlepsze miejsce - powtarza z oczami pełnymi łez.

Głośniki nawołują ostatnich przybyszów do zajęcia miejsc. Wreszcie cichnie kakofonia orkiestry, gasną światła i zapada cisza przed magiczną chwilą rozpoczęcia spektaklu. Dyrygent stuka w partyturę i orkiestra gra pierwsze takty muzyki do baletu Czajkowskiego. Poza parsknięciem taty, kiedy na scenie pojawia się główny tancerz w obcisłych rajtuzach, wszystko idzie gładko. Oboje wczuwamy się w historię *Jeziora łabędziego*. Spoglądam w bok na pobliskie łoża. Rozmarzone twarze, oczy podążają za tańczącymi postaciami na scenie. Zupełnie jakby otworzyła się pozytywka, rozlewając na wszystkich dookoła muzyką i światło, oczarowując ich, chwytając w sidła swej magii. Nadal przyglądam się balkonom przez lornetkę, od lewej do prawej. Przed oczami przesuwa mi się rząd nieznanymi twarzami, aż... widzą mężczyznę z salonu fryzjerskiego. Z biografii Bei spisanej w programie wiem, że nazywa się Hitchcock. *Justin Hitchcock?* Wpatruje się w scenę jak zaczarowany, wychylając się z balkonu tak bardzo, jakby za chwilę chciał wyskoczyć.

Tata trąca mnie łokciem.

- Przestań się rozglądać i spojrzysz na scenę. Zaraz ją zabije.

Przenoszę wzrok w dół i usiłuję go utrzymać na księciu, który podskakuje dookoła z łukiem. Ale nie mogę. Potężny magnes przyciąga moje spojrzenie z powrotem do łoża, w której siedzi Hitchcock. Chcę zobaczyć, w jakim towarzystwie. Serce wali mi tak głośno, że jego dudnienie przebija się ponad dźwięki muzyki. Obok Amerykanina siedzi kobieta z długimi rudymi włosami i lekko piegowatą cerą, trzymająca w moich snach aparat fotograficzny. Obok niej widzę uroczego dżentelmena, za nimi zaś, w drugim rzędzie, młodzieńca, który wyraźnie źle się czuje w krawacie, kobietę z szopą kręconych rudych włosów i dużego, okrągłego mężczyznę. Przerzucam wspomnienia, jakbym oglądała zdjęcia z polaroidu. Pulchny chłopiec ze sceny ze zraszczem i huśtawką? Może. Pozostałej dwójki nie znam. Przenoszę wzrok na Justina Hitchcocka i uśmiecham się. Jego twarz jest dla mnie bardziej interesująca niż rozgrywające się na scenie wydarzenia.

Nagle muzyka się zmienia, światło odbijające się na jego twarzy migocze i widzę po minie, że na scenie pojawiła się Bea. Spoglądam w dół. Jest tam, pomiędzy stadem łabędzi, poruszających się z gracją w idealnej synchronii, ubrana w biały gorset i długą, postrzępioną białą spódnicę. Długie jasne włosy związane ma w kok i okryte stroikiem. Przypominam ją sobie z parku jako małą dziewczynkę wirującą w różowej krynolinie. Wypełnia mnie duma. Bea zaszła tak daleko. Jest już taka dorosła. Do oczu napływają mi łzy.

- Och, spójrz, Justin - wzdycha Jennifer.

Justin patrzy. Nie może oderwać wzroku od córki, zjawiska w bieli, tańczącego w idealnej harmonii ze stadem łabędzi. Każdy ruch to perfekcja. Wygląda tak dorosłe, tak... jak to się stało? Zdawać by się mogło, że zaledwie wczoraj w parku naprzeciwko domu tańczyła dla niego i Jennifer, mała dziewczynka w różowej sukieneczce, z głową pełną marzeń, a teraz... Łzy napływają mu do oczu. Spogląda na Jennifer, chcąc podzielić się z nią tą chwilą, ale w tej samej sekundzie

ona sięga po dłoń Laurence'a. Justin szybko odwraca wzrok i wpatruje się w córkę. Po policzku spływa mu łza. Jego ręka sięga do przedniej kieszeni marynarki po chusteczkę.

Unoszę chusteczkę do twarzy i ocieram łzę, zanim zdąży spłynąć na brodę.

- Dlaczego płaczesz? - pyta głośno tata, ocierając mi niezgrabnie łzy, kiedy na scenie opada kurtyna.

- Jestem taka dumna z Bei.

- Kogo?

- Och, nikogo... po prostu to taka piękna historia. Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że ci chłopcy z całą pewnością powkładali sobie skarpetki do majtek.

Śmieję się i ocieram oczy.

- Myślisz, że mamie się podobało?

Uśmiecha się i spogląda na fotografię.

- Na pewno. Nie spuściła wzroku ze sceny. W odróżnieniu od ciebie. Wierciłaś się, jakbyś miała robaki. Gdybym wiedział, że tak lubisz lornetki, już dawno zabrałbym cię na podglądanie ptaków. - Wzdycha i rozgląda się dookoła. - Chłopcy z Klubu Poniedziałkowego mi nie uwierzą. Donalu McCarthy, pilnuj się - chichocze.

- Tęsknisz za nią?

- Minęło dziesięć lat, kochanie.

Boli mnie, że potrafi mówić o tym z takim lekceważeniem. Krzyżuję ramiona na piersi i odwracam wzrok, złościąc się wewnątrz. Tata przysuwa się bliżej i trąca mnie.

- I każdego dnia tęsknię za nią bardziej niż poprzedniego.

Och. Natychmiast odzywa się we mnie poczucie winy.

- To zupełnie jak mój ogród, słońce. Wszystko rośnie. Włączając w to miłość. A jeżeli i ona rośnie każdego dnia, jak możesz oczekiwać, że tęsknota kiedykolwiek cię opuści? Wszystko wzrasta, nasza zdolność do radzenia sobie z tym również. Dzięki temu jakoś żyjemy.

Potrząsam głową zdumiona. Czasem mój tata mówi takie mądre rzeczy. Filozoficzne przemyślenia z ust człowieka, który nazywał mnie swoim przednówkiem (mały przednówek, przychówek), od kiedy wylądowaliśmy w Londynie.

- A ja myślałam, że po prostu lubisz pielenie - mówię z uśmiechem.

- Ach, o pieleniu można wiele powiedzieć. Thomas Berry twierdzi, że ogrodnictwo jest aktywną formą udziału w najgłębszych tajemnicach wszechświata. Podczas pielenia można się wiele nauczyć.

- Na przykład czego? - Staram się zachować powagę.

- Nawet w najpiękniejszym ogrodzie rosną powoje. Naturalnie, same z siebie. Rosną, pełzną i duszą rośliny, które korzystają z tej samej ziemi, co one. Wszyscy - i wszystko - mają swoje demony, swoje przyciski autodestrukcji. Nawet ogrody, chociażby najpiękniejsze. Bez pielenia nie można ich dostrzec.

Spogląda na mnie. Odwracam głowę i chrząkam.

Czasami chciałabym, żeby poprzestał na naigrywaniu się z mężczyzn w rajtuzach.

- Justin, idziemy do baru. Przyłączysz się? - pyta Doris.

- Nie - odpowiada naburmuszony jak dziecko, krzyżując ramiona na piersi.

- Dlaczego nie? - Al przeciska się na krzesło obok.

- Po prostu nie chcę. - Chwyta lornetkę i zaczyna się nią bawić.

- Ale zostaniesz tu sam.

- I co z tego?

- Panie Hitchcock, może przynieść panu coś do picia? - pyta Peter, chłopak Bei.

- Pan Hitchcock był moim ojcem. Możesz do mnie mówić Al. Jak w piosence. - Al trąca go żartobliwie w ramię. Chłopak zatacza się nieco do tyłu.

- W porządku, Al, tylko że ja pytałem Justina.

- Mnie możesz nazywać panem Hitchcockiem. - Justin spogląda na niego jak na śmierdziela.

- Nie musimy tu siedzieć z Laurence'em i Jennifer, wiesz? *Laurence. Laurence z Ahernii, który ma słoniowatość...*

- Owszem, musimy, Al. Nie bądź głupi - wtrąca się Doris. Al wzdycha.

- W takim razie odpowiedz Peterowi. Chcesz, żeby przynieść ci coś do picia?

Tak. Ale Justin nie może się zmusić do wypowiedzenia tego głośno. Zamiast tego potrząsa ponuro głową.

Al klepie go pocieszająco po plecach i wszyscy wychodzą, zostaje sam z myślami o Laurensie, Jennifer, Bei, Chicago, Londynie, Dublinie, a teraz jeszcze Peterze i o tym, jak skończyło się jego życie.

Dwie minuty później, zmęczony i użalający się nad sobą, chwytając lornetkę i zaczyna podglądać ludzi na dole, którzy nie wyszli na przerwę. Dostrzega skłóconą parę, warczącą na siebie, drugą całującą się, sięgającą po okrycia wierzchnie i znikającą w wyjściu. Matka podkarmiająca syna, grupka śmiejących się kobiet, kolejna para, która akurat nic do siebie nie mówi. A może nie mają sobie nic do powiedzenia. Justin wolałyby to pierwsze. Nic ciekawego. Przenosi się na łożo naprzeciwko. Są puste. Wszyscy udali się na drinka do baru. Unosi głowę i spogląda wyżej.

Jakim cudem można stamtąd cokolwiek zobaczyć?

Dostrzega małą grupkę ludzi, gawędzącą jak wszyscy. Przesuwa wzrok od prawej do lewej i zatrzymuje się. Przeciera oczy. Z pewnością sobie to wyobraża. Mruży oczy i wpatruje się w okulary lornetki. Nie, na pewno tam jest, ze starszym mężczyzną. Każda scena jego życia zaczyna coraz bardziej przypominać grę „Gdzie jest Wally?”.

Ona też spogląda przez lornetkę, przygląda się tłumowi pod nimi. Unosi ją, przesuwając powoli w prawo i... oboje zastygają, wpatrując się w siebie przez soczewki. Justin powoli podnosi rękę i macha.

Kobieta robi to samo. Starszy człowiek obok niej wkłada okulary i mrużąc oczy, patrzy w kierunku Justina, zamykając i otwierając usta.

Justin trzyma dłoń w górze. Pokazuje, żeby kobieta zaczekała. *Zaraz do ciebie przyjdę.* Wystawia palec wskazujący. *Jedną chwilę. Zaczekaj. Będę tam za chwilę,* sygnalizuje.

Kobieta unosi kciuki w górę na zachętę. Justin się uśmiecha. Odkłada lornetkę i szybko wstaje, zapamiętując, gdzie siedzi nieznajoma. Drzwi do jego łoża otwierają się i pojawia się Laurence.

- Justin, pomyślałem, że moglibyśmy zamienić słówko - zaczyna uprzejmie, stukając palcami w oddzielające ich krzesło.

- Nie, Laurence, nie teraz. Przepraszam. - Justin usiłuje się precyzyjnie koło niego.

- Obiecuję, że nie zajmę ci dużo czasu. Tylko kilka minut, korzystając z tego, że jesteśmy sami. Żeby oczyścić atmosferę, rozumiesz? - Rozpina guzik blezera, wygładza krawat i znów zapina kamizelkę.

- Tak, doceniam to, stary, naprawdę, ale teraz akurat bardzo się spieszę. - Próbuje wyjść, ale Laurence blokuje mu drogę.

- Spieszysz się? - pyta, unosząc brwi. - Ale antrakt zaraz się skończy i... ach - przerywa, nagle rozumiejąc. - Rozumiem. Cóż, pomyślałem, że spróbuję. Skoro nie jesteś jeszcze gotowy na rozmowę, nie ma sprawy.

- Nie, nie o to chodzi. - Justin spogląda przez lornetkę na Joyce, czując rosnącą w nim panikę. Nadal jest na miejscu. - Po prostu naprawdę się spieszę, żeby porozmawiać z pewną osobą. Muszę iść, Laurence.

W tej dokładnie chwili do łoża wchodzi Jennifer z zimnym gniewem wypisanym na twarzy.

- Doprawdy, Justin. Laurence usiłował zachować się jak dżentelmen i porozmawiać z tobą jak dorosły z dorosłym. Najwyraźniej zapomniałeś, jak nim być, chociaż osobiście nie wiem, dlaczego jestem tym zaskoczona.

- Nie, nie, to nie tak, Jennifer. - *Kiedyś nazywałem cię Jen. Teraz zrobiło się tak formalnie. Wieki od tego pamiętnego dnia w parku, kiedy byliśmy tacy szczęśliwi, tacy zakochani.* - Naprawdę nie mam teraz czasu. Nie rozumiesz. Muszę iść.

- Nie możesz iść. Balet zaczyna się za kilka minut i twoja córka pojawi się na scenie. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że od niej też zamierzasz uciec przez jakąś głupią męską dumę?

Do środka wchodzi Doris i Al, który kompletnie blokuje wyjście z łoża. W rękę trzyma półlitrowy kubek coca-coli i zbyt dużą paczkę chipsów.

- Powiedz mi, Justin. - Doris krzyżuje ręce na piersi i stuka sztucznymi różowymi szponami o kościste ramiona.

Justin jęczy.

- Co mam mu powiedzieć?

- Przypomnij mi o historii chorób serca w twojej rodzinie, żeby dwa razy się zastanowił, zanim zje i wypije to świętstwo.

- Jaka historia chorób serca? - Justin chwyta się za głowę. Po drugiej stronie Jennifer nadal tokuje tonem nauczyciela Charliego Browna. Słyszy tylko „la, la, la”.

- Twój ojciec umarł na atak serca - mówi Doris niecierpliwie.

Justin zastyga.

- Doktor wcale nie powiedział, że i mnie się to przytrafi - mamrocze Al do żony.

- Uznał, że istnieje duże prawdopodobieństwo. Ze względu na historię chorób serca w rodzinie.

- Nie, nie. Naprawdę nie musisz się tym martwić, Al. - Justin słyszy swój głos, jakby dochodził go gdzieś z boku.

- Widzisz? - Jego brat spogląda na Doris.

- Doktor powiedział coś zupełnie innego, kochanie. Musimy być ostrożni. To rodzinne.

- Nie, to nie jest... - Justin zastyga. - Słuchajcie, naprawdę muszę iść. - Usiłuje przedostać się do wyjścia.

- Nigdzie nie pójdziesz - Jennifer blokuje mu przejście. - Nie ruszysz się stąd, dopóki nie przeprosisz Laurence'a.

- Naprawdę nie ma sprawy, Jen - mówi zakłopotany Laurence.

To ja nazywam ją Jen, nie ty!

- Właśnie, że jest, kochanie.

To ja jestem jej kochaniem, nie ty!

Głosy atakują go ze wszystkich stron, la, la, la, nie rozumie słów. Czuje uderzenie gorąca, pot spływający po czole i zawroty głowy.

Nagle światła gasną i rozlega się muzyka. Nie ma wyboru, musi zająć miejsce obok wściekłej Jennifer i obrażonego Laurence'a, milczącego Petera, zmartwionej Doris i głodnego Ala, który głośno chrupie chipsy tuż nad jego lewym uchem.

Wzdycha i spogląda na Joyce.

Pomocy

Sprzeczką w łoży pana Hitchcocka już się skończyła, ale po zgaśnięciu świateł wszyscy nadal tam stoją. Kiedy rozbłyskają reflektory, siedzą już z kamiennymi twarzami, nieruchomi, poza okrągłym mężczyzną z tyłu, który z zadowoloną miną zajada chipsy. Przez kilka ostatnich chwil ignorowałam tatę, woląc zainwestować mój czas w szybki kurs nauki czytania z ruchów warg. Jeżeli udało mi się go ukończyć z wyróżnieniem, rozmawiali o Marchewie i bananach z grilla.

Serce wali mi w piersi. Basowe pomruki i stukotanie wprowadzają mnie w drżenie. Czuję pulsowanie w gardle. Wszystko to, ponieważ mnie widział, ponieważ chciał się ze mną spotkać. Odczuwam ulgę, że podążanie za instynktami, jakkolwiek szalonymi, jednak się opłaciło. Zabiera mi kilka minut, żeby skoncentrować się na czymkolwiek innym niż Jus-

tin. Wreszcie uspokajam nieco nerwy i spoglądam na sceną. Taniec Bei zapiera mi oddech w piersiach i przez cały jej występ popłakuję wzruszona niczym dumna ciotka. Przychodzi mi do głowy, że jedynymi ludźmi, którzy dostąpili zaszczytu posiadania tych wspaniałych wspomnień z parku, są Bea, jej matka, ojciec... i ja.

- Tato? Czy mogę cię o coś zapytać? - Pochyliam się do jego ucha.

- Za chwilę ma powiedzieć tej dziewczynie, że ją kocha, ale to niewłaściwa kobieta. - Tata wywraca oczami. - Głupek jakiś. Przecież jego łabędzica była biała, a ta jest czarna. Zupełnie nie są podobne.

- Mogła się przebrać na bal. Nikt nie nosi tych samych rzeczy każdego dnia.

Spogląda na mnie.

- W zeszłym tygodniu zdjęłaś szlafrok tylko raz. O co chciałaś zapytać?

- Wiesz, zdarzyło się coś i... cóż...

- Szybciej, zanim przegapię coś więcej.

Przestaję szeptać mu na ucho i spoglądam w oczy. .

- Podarowano mi coś, coś bardzo niezwykłego. A raczej podzielono się tym ze mną. Jest to zupełnie niewytłumaczalne i nie ma sensu, w stylu Świętej Panny z Knock. - Śmieję się nerwowo i szybko przestaję, widząc jego minę.

Nie rozumie mnie. Wygląda na rozgniewanego, że użyłam objawienia Maryi Panny w hrabstwie Mayo w 1870 roku jako ilustrację nonsensu.

- No dobrze, może to niezbyt dobry przykład. Chodziło mi o to, że sprzeciwia się wszystkim zasadom, które znam. Nie rozumiem tylko dlaczego.

- Gracie. - Tata unosi brodę. - Knock, podobnie jak reszta Irlandii, cierpiało przez całe stulecia z powodu najazdów, wysiedleń i głodu. Nasz Pan zesłał swoją Matkę, Błogosławioną Dziewicę, żeby pocieszyła swoje umęczone dzieci.

- Nie. - Chwytam się za głowę. - Nie chodziło mi o obja-

wienie w Knock. Dlaczego to mi się przytrafiło? Dlaczego otrzymałam to... coś?

- Och, cóż, czy komuś to szkodzi? Bo jeżeli nie i jeżeli je otrzymałaś, na twoim miejscu przestałbym nazywać to „czymś” i przerzucił się na „dar”. Spójrz na tancerzy. Ten chłopak myśli, że panienka w czerni jest jego łabędzią. Z pewnością widzi jej twarz. A może to jak w *Supermanie*. Zdejmuje okulary i nagle jest zupełnie inny, chociaż widać wyraźnie, że to jedna i ta sama osoba?

Dar. Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób. Spoglądam na promieniejących z dumy rodziców Bei i wspominam jej taniec przed antraktem, lekkie unoszenie się w idealnej harmonii z resztą łabędziego stada. Potrząsam głową. Nie. Nikt tu nie został skrzywdzony.

- W takim razie... - Tata wzrusza ramionami.
- Ale nie rozumiem dlaczego, jak i...
- Co z wami jest w tych dzisiejszych czasach - syczy.

Mężczyzna obok mnie spogląda na nas niezadowolony. Mamrocze przeprosiny.

- Za moich czasów rzeczy po prostu się zdarzały. Nie analizowaliśmy niczego po sto razy. Nie było żadnych kursów uniwersyteckich, w których ludzie zdobywali tytuły naukowe z analizy „dlaczego, jak i ponieważ”. Czasem, moja droga, trzeba zapomnieć o tych wszystkich słowach i zapisać się na krótką lekcję zwaną „podziękowanie”. Spójrz na tę historię. - Wskazuje na scenę. - Czy widzisz tu kogoś, kto przejmuje się faktem, że kobieta została zmieniona w łabędzia? Słyszałaś coś równie idiotycznego w życiu?

Potrząsam głową, uśmiechając się.

- A może spotkałaś ostatnio kogoś, kto stał się łabędziem?
- Nie - szepczę.
- A mimo to ten balet jest sławny na całym świecie od wielu wieków. Mamy tu ateistów, niedowiarków, intelektualistów, cyników, jego. - Wskazuje głową na mężczyznę, który wcześniej nas uciszał. - Wszelkiego rodzaju problemy egzy-

stencjalne. Ale wszyscy przyszli tu dziś wieczór, żeby zobaczyć, jak ten koleś spikuje się z tą łabędzią, żeby mogła wreszcie wydostać się z jeziora. Tylko miłość kogoś, kto nigdy przedtem naprawdę nie kochał, może przerwać zaklęcie. Dlaczego? A kogo to, do diabła, obchodzi?! Czy sądzisz, że ta upierzona kobieta będzie się dopytywać dlaczego? Nie. Zamiast tego powie dziękuję, ponieważ dzięki temu będzie mogła chodzić na spacer w ładnych sukienkach, zamiast przez resztę życia skubać zatęchły chleb i mieszkać w śmierdzącym jeziorze.

Milczę, zaskoczona.

- A teraz ciiiiii. Ucieka nam przedstawienie. Zobacz, ona chce się zabić. Widzisz? To dopiero dramatyczny gest. - Tata opiera łokcie o balustradę i pochyla się w kierunku sceny, nadstawiając lewe ucho.

Podczas owacji na stojąco Justin dostrzega, że ojciec Joyce pomaga jej włożyć czerwony płaszcz, ten sam, który widział podczas ich spotkania na Grafton Street. Joyce przesuwa się do pobliskiego wyjścia, ciągnąc za sobą tatę.

- Justin. - Jennifer patrzy gniewnie na byłego męża, który jest bardziej zajęty przyglądaniem się przez lornetkę sufitowi niż własnej córce, kłaniającej się na scenie.

Justin odkłada lornetkę i głośno klaszcze.

- Zamierzam skoczyć do baru i złapać dla nas jakieś dobre miejsca - mówi, ruszając w kierunku drzwi.

- Mamy już zarezerwowane miejsca - Jennifer usiłuje przekrzyczeć oklaski.

Justin przykłada dłoń do ucha i potrząsa głową.

- Nie słyszę.

Ucieka z łoży i biegnie korytarzami, usiłując odnaleźć drogę na górę. Kurtyna opadła już chyba ostatecznie, ponieważ ludzie zaczynają wysypywać się z balkonów, wypełniając korytarze i uniemożliwiając mu płynne przemieszczanie się.

Zmienia plan: pobiegnie do wyjścia i tam na nią zaczeka. W ten sposób na pewno ją zobaczy.

- Pójdźmy się czegoś napić, słonko - mówi tata, kiedy powoli przesuujemy się wraz z tłumem do wyjścia. - Widziałem bar na tym poziomie.

Zatrzymujemy się przy planie teatru i sprawdzamy, gdzie jesteśmy.

- Jest tu bar „Amfiteatr”, w tamtą stronę. - Nie przestaję się rozglądać za Justinem Hitchcockiem.

Bileterka przed wejściem oznajmia, że jest on otwarty jedynie dla obsługi przedstawienia, aktorów i członków rodzin.

- To wspaniale, będziemy mieć trochę ciszy i spokoju - mówi tata, uchylając kapelusza, kiedy przechodzi koło kobiety. - Och, powinna pani widzieć moją wnuczkę na scenie. Nigdy nie czułem się bardziej dumny. - Przykłada dłoń do serca.

Kobieta uśmiecha się i wpuszcza nas do środka.

- Chodź, tato. - Po kupieniu drinków ciągnę go na sam koniec do stolika w rogu, z dala od rosnącego tłumu gości.

- Jeżeli nas stąd wyproszą, Gracie, zabieram piwo ze sobą. Dopiero co usiadłem.

Wykręcam nerwowo ręce, przysiadając na brzegu krzesła i rozglądając się za nim. *Justin*. Jego imię krąży mi po głowie i łaskocze w język jak oranżada w proszku. Ludzie stopniowo wychodzą z baru, aż pozostają tylko rodziny, obsługa i tancerze. Nikt nie podchodzi do nas, każąc nam wyjść. Może to dzięki temu, że tata jest stary. Do środka wchodzi matka Bei z dwoma obcymi ludźmi, którzy siedzieli razem z nią w łoży oraz z pulchnym mężczyzną, który wydaje mi się znajomy. Nie widzę pana Hitchcocka. Rozglądam się po barze.

- Jest - szepczę.

- Kto?

- Tancerka. Była jedną z łabędzic.

- Skąd wiesz? Wszystkie wyglądały tak samo. Nawet ten lalulę książkę tak sądził, inaczej nie wyznałby miłości niewłaściwej kobiecie, prawda? Głupek.

Nigdzie nie widzę Justina i zaczynam się martwić, że to kolejna stracona szansa. Może wyszedł wcześniej i nigdy nie przyjdzie do baru.

- Tato - mówię zdenerwowana. - Rozejrzę się tutaj szybko za kimś. Proszę cię, nie ruszaj się z miejsca. Zaraz wrócę.

- Jedyne ruchy, jakie zamierzam wykonać, to te - podnosi szklanek piwa do ust i upija duży łyk guinnessa.

Zamyka oczy, smakując. Piwo pozostawia białe wąsy z piany nad jego górną wargą.

Wychodzę szybko z baru i ruszam na obchód ogromnego teatru, nie wiedząc, gdzie powinnam zacząć poszukiwania. Spędzam kilka chwil przed toaletami męskimi, ale nikt stamtąd nie wychodzi. Spoglądam na łóżę Justina, jest pusta.

Kiedy z teatru wychodzą ostatni widzowie, Justin rezygnuje z czekania przy drzwiach. Pewnie jednak ją przegapił. To naiwność, myśleć, że to jedyne wyjście. Wzdycha z frustracją. Chciałby bardzo przenieść się w czasie do tamtego spotkania w salonie fryzjerskim i przeżyć je odpowiednio. W kieszeni wibruje komórka, wybijając ze snu na jawie.

- Braciszku, gdzie ty się, do diabła, podziewasz?

- Hej, Al. Widziałem znowu tę kobietę.

- Tę ze Sky News?

- Tak!

- Kobietę z hełmem wikingów?

- Tak, tak, ją.

- Kobietę z *Objazdowego anty...*

- TAK! Na litość boską, czy musimy przez to wszystko przechodzić jeszcze raz?

- Hej, przyszło ci kiedyś do głowy, że ona cię prześladowuje?

- Jeżeli tak, to dlaczego zawsze ja ją gonię?

- No tak. W takim razie może ty jesteś prześladowcą tylko jeszcze sobie tego nie uświadomiłeś.

- Al... - Justin zgrzyta zębami.

- Tak czy inaczej, lepiej się pospiesz, zanim Jennifer dostanie ataku szału. Kolejnego.

Justin wzdycha.

- Już idę.

Zamyka klapkę telefonu i rzuca ostatnie spojrzenie na

ulicę. Pośród tłumu coś przyciąga jego uwagę. Czerwony płaszcz. Czuje przypływ adrenaliny. Wybiega na zewnątrz, przepycha się przez tłum z bijącym mocno sercem, nie spuszczać wzroku z płaszcza.

- Joyce! - woła. - Joyce, zaczekaj! - krzyczy głośniej.

Kobieta idzie przed siebie, nie słyszy go.

Justin rozpycha się łokciami, potrąca ludzi, ignoruje przekleństwa i popchnięcia, aż wreszcie znajduje się obok niej.

- Joyce - rzuca bez tchu, sięgając ręką i chwytając za ramię. Kobieta odwraca się z zaskoczeniem wypisanym na twarzy. Obcej twarzy.

Uderza go w głowę skórzaną torebką.

- Au! Hej! Chryste!

Przepraszając, Justin powoli wraca do teatru, łapiąc oddech, masując obolałą głowę, przeklinając i mamrocząc pod nosem. Pociąga za drzwi wejściowe, które ani drgną. Próbuje jeszcze raz, najpierw lekko, a potem łomocze nimi kilka razy. Ciągnie i pcha z całej siły, kopiąc w nie ze złością.

- Hej, hej! Teatr jest zamknięty! Nie wpuszczamy już do środka - informuje go portier zza szyby.

Kiedy wracam do baru, tata na szczęście siedzi w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłam. Tyle że nie jest sam. Obok, przycupnięta na krześle, z głową pochyloną ku tacie, jak w interesującej rozmowie siedzi Bea. Panikuję. Podbiegam do nich.

- Hej - rzucam, przerażona myślą, co też tata mógł do tej pory powiedzieć.

- Ach, tutaj jesteś, słońce. Myślałem, że mnie porzuciłaś. Ta miła dziewczyna przyszła się dowiedzieć, czy wszystko jest w porządku, bo ktoś znowu usiłował mnie stąd usunąć.

- Jestem Bea.

Dziewczyna uśmiecha się, a ja nie mogę się powstrzymać od myśli, że jest już taka dorosła, pewna siebie. Mam ochotę powiedzieć jej, że kiedy widziałam ją ostatnim razem, była

„taka małańka”, ale powstrzymuję się od zachwyty nad jej niezwykłą transformacją w dorosłą kobietę.

- Miło mi, Bea.

- Czyja panią skądś znam? - Na jej porcelanowym czole pojawiają się cienkie linie zmarszczek.

- Em...

- To moja córka, Gracie - wtrąca się tata i po raz pierwszy nie usiłuję go poprawić.

- Och, Gracie. - Bea potrząsa głową. - Nie. Myślałam o kimś innym. Miło mi panią poznać.

Ściskamy sobie ręce i przytrzymuję jej dłoń może nieco dłużej, niż powinnam, oczarowana wrażeniem rzeczywistego dotyku jej skóry, a nie tylko jego wspomnieniem. Zaraz jednak puszczam jej dłoń.

- Cudownie pani dziś tańczyła. Byłam taka dumna - mówię cicho.

- Dumna? Ach, no tak, pani ojciec powiedział mi, że zaprojektowała pani kostiumy. - Uśmiecha się. - Były przepiękne. Jestem zaskoczona, że dopiero dzisiaj panią spotykam. Do tej pory wszystkie przymiarki robiła Linda.

Otwieram usta ze zdziwienia. Tata wzrusza nerwowo ramionami i upija piwo z nowej szklanki. Świeże kłamstwo do świeżej porcji piwa. Cena za jego duszę.

- Och, nie, nie zaprojektowałam ich, ja tylko... - *Tylko co, Joyce?* - Tylko nadzorowałam - odpowiadam głupawo. - Co jeszcze mój ojciec pani naopowiadał? - pytam nerwowo. Przysiadam i rozglądam się za ojcem Bei, z nadzieją, że nie wybierze sobie tej właśnie chwili, żeby wejść i przywitać mnie w samym środku mojego idiotycznego kłamstwa.

- Kiedy się pani pojawiła, opowiadał mi właśnie, jak uratował życie łabędzia - uśmiecha się.

- W pojedynkę - dodają oboje zgodnym chórem i wybuchają śmiechem.

- Cha, cha. - Udują, że też się śmieję. - To prawda? - Spoglądam na niego ze zwątpieniem.

- Ach, niedowiarku.

Tata znów upija guinnessa. Siedemdziesiąt pięć lat na karaku i już zdążył wlać w siebie brandy oraz kufel piwa. Niedługo będzie chodził na rżęsach i Bóg jeden wie, jakie historie się wtedy posypią. Niedługo trzeba będzie się zbierać.

- Wiecie co, dziewczynki, to wspaniałe, kiedy ocali się życie. Naprawdę wspaniałe - mówi tata z pijacką odwagą. - Człowiek nie ma o tym pojęcia, dopóki tego nie zrobi.

- Mój ojciec, bohater. - Uśmiecham się do niego.

Bea wybucha śmiechem.

- Mówi pan zupełnie jak mój tata.

Nadstawiam uszu.

- Jest tu?

Bea się rozgląda.

- Nie, jeszcze nie. Nie wiem, gdzie jest. Pewnie chowa się przed moją mamą i jej nowym chłopakiem, nie wspominając o moim. - Śmieje się. - Ale to zupełnie inna historia. W każdym razie mój tata uważa się za Supermana...

- Dlaczego? - przerywam i usiłuję się opanować.

- Mniej więcej miesiąc temu oddał krew. - Bea się uśmiecha i unosi dłonie w górę. - Tadam! Otóż to! - Wybucha śmiechem. - Uważa jednak, że jest superbohaterem, który ocalił komuś życie. Może zresztą i to zrobił, ale nie mówi o niczym innym. Oddał krew w ruchomej jednostce w college[^], gdzie uczył. Pewnie znacie to miejsce, bo jest w Dublinie. Trinity College? W każdym razie nie przeszkadzałoby mi to, ale zrobił to tylko dlatego, że lekarka mu się podobała, poza tym myślał o tej chińskiej teorii, jak to się nazywa? No, wiecie, kiedy ktoś ocali komuś życie i ten ocalony potem ma dług do końca życia czy coś w tym stylu.

Tata wzrusza ramionami.

- Nie mówię po chińsku ani nie wiem nic o takich rzeczach. Ale ona cały czas się obżera ich jedzeniem. - Kiwa głową w moim kierunku. - Ryż z jajkiem czy takie tam. - Marszczy nos z obrzydzeniem.

Bea się śmieje.

- W każdym razie wymyślił sobie, że skoro ocalał komuś życie, ten ktoś powinien mu dziękować do końca swych dni.

- A jak ta osoba miałyby to zrobić? - pyta tata.

- Dostarczając mu koszyki ze świeżymi słodkimi bułeczkami, odbierając jego rzeczy z pralni, przynosząc co rano gazety i świeżą kawę, załatwiając limuzynę z szoferem, bilety na najlepsze miejsca do opery... - Wywraca oczami i marszczy czoło. - Nie pamiętam, co jeszcze, ale były to tym podobne bzdury. W każdym razie powiedziałam mu, że skoro pragnie tego rodzaju traktowania, powinien kupić sobie niewolnika, a nie ratować komuś życie. - Śmieje się wraz z tatą.

Otwieram usta, ale nie wypływa z nich żaden dźwięk.

- Nie zrozumcie mnie źle, tata jest naprawdę dobrym człowiekiem - dodaje szybko Bea, źle rozumiejąc moje milczenie. - Bardzo byłam dumna z jego gestu, zwłaszcza że potwornie boi się igieł. To prawdziwa fobia - wyjaśnia tacie, który kiwa głową na znak, że rozumie. - To on - otwiera medalion, który nosi na szyi. Nawet jeżeli zdołałam odzyskać do tej pory zdolność mowy, znów ją straciłam.

Po jednej stronie medalionu widzę zdjęcie Bei z mamą, po drugiej zdjęcie Bei z tatą, jeszcze z czasów dziecięcych. Pamiętam tę fotografię, zrobioną tamtego letniego dnia w parku. Na zawsze pozostanie w moich wspomnieniach. Pamiętam, jak mała Bea wierciła się podekscytowana i jak trudno ją było usadzić na chwilę nieruchomo. Pamiętam zapach jej włosów, kiedy usiadła mi na kolanach, przytuliła się i krzyknęła „UŚMIECH” tak gromko, że niemal mnie ogłuszyła. Oczywiście nie mnie się to przydarzyło, ale wspominam tę chwilę z równą czułością, jak dzień spędzony na wędkowaniu z tatą, kiedy byłam dzieckiem. Nadal pamiętam wszystkie wrażenia, czuję je tak wyraźnie, jak smak drinka, który teraz pijam. Chłód lodu, cierpkość wody sodowej. Wszystko jest tak samo realne, jak chwile spędzone z Beą w parku.

- Muszę włożyć okulary, żeby to zobaczyć - mówi tata,

przysuwając się bliżej i biorąc złoty medalion w stare dłonie. - Gdzie je zrobiliście?

- W parku obok naszego domu. W Chicago. Na tym zdjęciu z tatą mam pięć lat, ale uwielbiam je. To był taki szczególny dzień. - Przygląda się fotografii z czułością. - Jeden z najlepszych.

Uśmiecham się, przypominając go sobie.

- Zdjęcia! - krzyczy ktoś z obsługi baru.

- Tato, chodźmy stąd - szepczę mu do ucha, kiedy Bea przenosi uwagę na zebranych.

- Dobrze, słońce, jak tylko skończę to piwo...

- Nie! Teraz! - syczę.

- Zdjęcie grupowe! Chodźcie. - Bea chwyta tatę za ramię.

- Och! - Tata wydaje się zadowolony.

- Nie, nie, nie. - Usiłuję uśmiechem zamaskować panikę. - Naprawdę musimy już iść.

- Tylko jedno zdjęcie, Gracie - prosi dziewczyna. - Musimy na nim mieć osobę, dzięki której mieliśmy te cudowne kostiumy.

- Nie, ja nie...

- Kierowniczkę projektu kostiumów - poprawia się Bea przepraszająco.

Słyszając te słowa, kobieta po drugiej stronie grupy rzuca mi pełne zgrozy spojrzenie. Tata śmieje się głośno, a ja staję zeszywniała koło Bei, która jednym ramieniem otacza mnie, a drugim swoją mamę.

- Wszyscy mówią głośno Czajkowski! - wykrzykuje tata.

- Czajkowski! - podejmują goście ze śmiechem.

Wywracam oczami.

Błyska flesz.

Justin wchodzi do baru.

Tłum się rozprasza.

Chwytam tatę i uciekam.

Po powrocie do hotelu tata idzie spać, odziany w brązową piżamę w turecki wzorek. Ja kładę się w ubraniu.

Gasimy światła. Pokój jest pogrążony w mroku, pełen cieni. Wszystko jest nieruchome oprócz czerwonych cyferek na zegarze telewizora. Leżę na wznak i usiłuję przemyśleć wydarzenia dzisiejszego dnia. Po raz kolejny serce przyspiesza mi w piersi i ciało zmienia się w zuluski bęben. Czuję, jak jego łomotanie niemal wprawia w ruch sprężyny łóżka. Puls na szyi szaleje, miarowe łupanie dociera do uszu. Serce pod żebrami wali jak pięści uderzające w ścianę. Chce się wydostać. Spoglądam na drzwi do pokoju, jakbym naprawdę oczekiwała przybycia afrykańskiego plemienia, szykując się do uczestnictwa w tańcu rytualnym.

Skąd te bębny? Raz po raz przypominam sobie to, co zaledwie kilka godzin temu powiedziała Bea. Słowa wydobyły się z jej ust niczym młody ptak, który teraz, zmęczony lotem, opadł na ziemię z hukiem, uciszając afrykańską orkiestrę. Wciąż myślę o tym, że tata Bei, Justin, oddał krew miesiąc temu w Dublinie. Akurat w tym czasie spadłam ze schodów i to zmieniło na zawsze moje życie. Zbieg okoliczności? Zdecydowanie. Coś więcej? Małe prawdopodobieństwo, duża nadzieja.

Kiedy zbieg okoliczności jest tylko zbiegiem okoliczno-

ści? I kiedy, jeżeli w ogóle, można go uznać za coś więcej? W chwili takiej jak ta, kiedy jestem zagubiona i zdesperowana, rozpaczam po utracie nienarodzonego dziecka i liżę rany po rozpadzie nieudanego małżeństwa? Przekonuję się, że jest to moment, w którym to, co kiedyś zdawało się jasne, robi się mętne, a dziwaczne rzeczy i zdarzenia stają się prawdopodobne.

W takich trudnych chwilach zaczyna się wreszcie rozumieć, chociaż inni spoglądają na ciebie z niepokojem i usiłują cię przekonać, że wcale nie pojmujesz. Umysły obciąża nawal nowych myśli. Kiedy ci, którzy poradzili sobie ze swoimi problemami, przedostają się na drugą stronę i nagle całym sercem przyjmują nową wiarę, są postrzegani przez ludzi z dużą dawką cynizmu. Dlaczego? Ponieważ gdy jest się w kłopotcie, szuka się odpowiedzi z większą determinacją, niż kiedy takiej potrzeby nie ma. Właśnie to nowe zrozumienie pomaga poradzić sobie z najgorszym.

Czy transfuzja krwi jest odpowiedzią absolutną, czy jedynie taką, której szukam? Zazwyczaj rozwiązania pojawiają się same. Nie chowają się pod kamieniami albo za krzakiem. Są na widoku. Jeżeli jednak nie ma się powodu, żeby je dostrzec, prawdopodobnie nigdy się ich nie znajdzie.

Wyjaśnienie nagłego pojawienia się cudzych wspomnień, powód odczuwania tak głębokiej więzi z Justinem płynie w moich żyłach. Czy to właśnie jest odpowiedź, którą moje serce usiłuje mi przekazać serią szaleńczych uderzeń? Podskakuje niczym kangurzyca Skippy, chcąc przyciągnąć moją uwagę, pokazać w czym tkwi problem, sprawić, że zrozumie. Wdycham powietrze powoli przez nos i wypuszczam. Zamykam oczy i kładę dłonie na piersi, czując łomotanie rozemocjonowanego serca. Czas, żeby zwolnić, znaleźć odpowiedź.

Biorąc dziwactwo za pewnik (jak to czynią ludzie mający problemy), myślę, że jeżeli rzeczywiście dostałam krew Justina podczas transfuzji, to teraz moje serce rozsyła ją po całym

ciele. Część tej samej krwi, która kiedyś płynęła w jego żyłach, utrzymując go przy życiu, teraz płynie we mnie, pozwalając mi żyć. Istota serca, wewnętrzny rytm, który uczynił Justina tym, kim jest, pulsuje teraz i we mnie.

Początkowo ta myśl wprawia mnie w drżenie. Gęsia skórka pokrywa całe ciało. Potem jednak moszczę się wygodniej w łóżku. Nagle nie czuję się już tak samotna. Cieszę się z towarzystwa w swoim wnętrzu. Czy to powód więzi, jaką czuję z Justinem? Czy przelanie części krwi z jego żył do moich umożliwiło mi dostosowanie się do jego częstotliwości, jego doświadczeń, prywatnych wspomnień i pasji?

Wzdycham zmęczona. Nic w moim życiu nie ma sensu i to nie tylko od dnia, w którym zleciałam ze schodów. Mój upadek zaczął się o wiele wcześniej. Tego dnia... tego dnia się skończył. Pierwszy dzień reszty mojego życia. Możliwe, że dzięki Justinowi Hitchcockowi.

To był długi dzień. Zamieszanie na lotnisku, występ w *Objazdowym antykwariacie*, wreszcie akcja w Operze Królewskiej. Podczas tych dwudziestu czterech godzin tsunami wspomnień uderzyło we mnie kilka razy, wciągnęło mnie w głębię i obezwładniło. Uśmiecham się teraz, przypominając sobie wszystko: cenne chwile z tatą, od picia herbaty przy stole kuchennym w jego domu, do londyńskiej mini-przypadki. Wyszczierzam radośnie zęby do sufitu i ślę podziękowania daleko w górę nad nami.

W ciemnościach słyszę rżenie, krótkie chrapliwe oddechy.

- Tato? - szepczę. - Dobrze się czujesz?

Charkotanie staje się coraz głośniejsze. Zastygam.

- Tato?

Nagle słyszę parsknięcie i głośny chichot.

- Michael Aspel - wykrztusza z siebie tata. - Chryste Przenajświętszy, Gracie!

Uśmiecham się z ulgą. Tata chichocze coraz bardziej. Śmiech rośnie w nim, aż i ja zaczynam chichotać, a to pobu-

dza tatę jeszcze bardziej. Napędzamy się wzajemnie. Sprężyny materaca skrzypią pode mną, kiedy trzęsę się ze śmiechu, a to sprawia, że tata rechocze jeszcze głośniej. Wspomnienie kosza na parasolki, występu na żywo z Michałem Aspelem, grupki w barze Opery Królewskiej wykrzykującej „Czajkowski!” do kamery - z każdą sceną całe to zamieszanie robi się coraz zabawniejsze.

- Och, mój brzuch! - wyje tata.

Przewracam się na bok, trzymając się za żołądek.

Tata rzezi i świszczy, waląc dłońią w oddzielającą nasze łóżka szafkę nocną. Usiłuję przestać. Ból ściśniętego ze śmiechu brzucha jest taki zabawny. Nie mogę przerwać. Rzęzenie taty coraz bardziej mnie rozśmiesza. Nigdy nie słyszałam, żeby śmiał się tak bardzo, tak od serca. W słabym świetle latarni przesączającym się do pokoju przez okno widzę, jak tata unosi nogi i kopie nimi powietrze z rozbawieniem.

- Och, rany. Nie... mogę... przestać.

Sapiemy, ryczymy i śmiejemy się, na siedząco, na leżąco, turlając się i usiłując złapać oddech. Na chwilę przestajemy, starając się jakoś pozbierać, ale głupawka dopada nas znowu i śmiejemy się, śmiejemy w ciemności, ze wszystkiego i z niczego.

Kiedy wreszcie się uspokajamy, zapada cisza. Tata puszcza bąka i znów wybuchamy śmiechem.

Gorące łzy wypływają mi z oczu i toczą się po bolących ze śmiechu policzkach. Ściskam twarz dłońmi, żeby przynieść sobie nieco ulgi. Przychodzi mi do głowy, że szczęście i smutek są w gruncie rzeczy bardzo podobne. Oddziela je tylko cienka niczym włos linia, która drga pośrodku emocji, zamazując granicę między skrajnymi przeciwieństwami. Wibruje lekko, niczym sieć pajęcza, na którą spadła kropla deszczu. W tej jednej chwili niepowstrzymanego śmiechu, od którego boli mnie brzuch i policzki, kiedy turlam się po łóżku z dłońmi przyciśniętymi do żołądka, napiętymi mięśniami, trzęsąc się od chichotu, moje ciało ogarniają różne emocje.

Przesuwają równowagę nieznacznie poza granicę radości, prosto w smutek. Po moich policzkach spływają łzy smutku, chociaż ciało trzęsie się nadal ze śmiechu.

Myślę o Conorze i o tym, jak szybko chwila miłości zmieniła się w chwilę nienawiści. Wystarczyło jedno zdanie, żeby odebrać nam to wszystko. Myślę o tym, że miłość i wojna są zbudowane na tych samych fundamentach, i o tym, że najtrudniejsze, najbardziej przerażające chwile, jeżeli człowiekowi uda się stawić im czoło, zmieniają się w najbardziej odważne. Kiedy czujemy się najsłabsi, częstokroć okazujemy najwięcej siły. Kiedy sięgamy dna, niejednokrotnie potrafimy unieść się wyżej niż kiedykolwiek. Przeciwności zawsze ze sobą graniczą. Tak szybko jedno zmienia się w drugie. Rozpacz można pokonać jednym uśmiechem obcego człowieka, pewność siebie może zostać zmiażdżona obecnością kogoś, kto wzbudza w nas strach. Tak jak syn Kate tamtego dnia na równoważni: w jednej chwili jego radość zmieniła się w ból. Wszystko zawsze balansuje na granicy, tuż pod powierzchnią. Lekkie potrząśnięcie zmienia równowagę. Emocje są takie do siebie podobne.

Tata przestaje się śmiać tak nagle, że ogarnia mnie niepokój. Zapalam lampkę.

Gęsta ciemność staje się światłością.

Tata spogląda na mnie, jakby coś przeszkobał, ale boi się do tego przyznać. Odrzuca kołdrę i wędruje do łazienki, chwytając po drodze torbę podróżną i potykając się o wszystko. Nie chce spojrzeć mi w oczy. Odwracam wzrok. Jak szybko chwila dobrego samopoczucia i komfortu psychicznego może zmienić się w nieprzyjemną sytuację. Kiedy człowiek dociera do celu, kiedy jest przekonany, że dokładnie wie, dokąd zmierza, wszystko potrafi się nagle zmienić. Zabiera to tylko chwilę. Okamgnienie.

Tata wraca do łóżka ubrany w inny dół od piżamy, z ręcznikiem zatkniętym pod pachę. Wyłączam światło. Oboje milczymy. Spowija nas ciemność. Wpatruję się w sufit, znów

zagubiona, chociaż kilka minut temu czułam, że się odnalazłam. Odpowiedzi z tamtej chwili zmieniają się ponownie w pytania.

- Nie mogę zasnąć, tato. - Mój głos brzmi bardzo dziecinnie.

- Zamknij oczy i wpatrz się w ciemność, słońce - odpowiada zaspanym głosem.

Jego głos również wydaje się trzydzieści lat młodszy.

Kilka minut później słyszę jego chrapanie. W jednej sekundzie rozbudzony, w drugiej pogrążony we śnie.

Między dwoma skrajnościami wisi cienka zasłona. Delikatna, przezroczysta, żeby nas ostrzec lub pocieszyć. Czujesz nienawiść, ale gdy spojrzysz przez zasłonę, dostrzeżesz możliwość miłości. Jesteś smutny, ale po drugiej stronie możesz zobaczyć radość. Idealny porządek i kompletny bałagan - wszystko zmienia się tak szybko, w mgnieniu oka.

- Zgromadziliśmy się tu wszyscy, ponieważ...
- Ktoś umarł.
- Nie, Kate - wzdycham.
- Tak to zabrzmiało, jakby... auuu! - wyje, kiedy Frankie karze ją cieleśnie (jak rozumiem) za jej brak taktu.
- Nazwiedzaliście się już? - pyta Frankie.

Siedzę przy stole w hotelowym pokoju i prowadzę konferencję telefoniczną z moimi przyjaciółkami, które pochylają się nad przełączonym na głośnik telefonem domowym Kate. Cały poranek spędziłam na zwiedzaniu Londynu z tatą, robieniu mu zdjęć z wszystkim, co wyglądało na choćby trochę angielskie: czerwone piętrowe autobusy, skrzynki na listy, konna policja, puby, pałac Buckingham i zupełnie niczego nieświadomy transwestyta (tata był bardzo podekscytowany widokiem „prawdziwego odmieńca”), który zupełnie nie przypominał miejscowego księdza w Cavan, co to w czasach młodości taty oszalał i zaczął się włóczyć po ulicach w sukience.

Kiedy ja rozmawiam z Kate i Frankie, tata leży na łóżku i ogląda jakąś powtórkę w telewizji. Popija brandy i oblizuje pringlesy o smaku śmietany i cebulki, nim wyrzuci je do kosza.

- WITAMY SERDECZNIE! - wykrzykuje w kierunku te-

lewizora, reagując wraz z publicznością na typowe przywitanie.

Zarządziłam konferencję z przyjaciółkami, żeby podzielić się z nimi najnowszymi wieściami, ale przede wszystkim prosić o pomoc i wsparcie moralne. Może zbyt wiele sobie obiecywałam, ale zawsze trzeba mieć nadzieję. W końcu udało się je obie ściągnąć w tym celu do domu Kate.

- Jedno z twoich dzieci właśnie na mnie zwymiotowało - mówi Frankie. - Twój dzieciak na mnie zwymiotował.

- To nie są wymioty, tylko trochę śliny.

- Nie, to jest ślina...

Cisza.

- Frankie, jesteś obrzydliwa.

- Dziewczyno, proszę was, możecie przestać, chociaż ten jeden raz?

- Przepraszam, Joyce, ale nie mogę kontynuować rozmowy, dopóki nie pójdziemy gdzie indziej. Pełno tu pełzających gryzoni, wspinających się na ciebie i obśliniających cię. To bardzo mnie rozprasza. Czy Christian nie mógłby tego popilnować?

Usiłuję się nie roześmiać.

- Nie nazywaj mojego dziecka „to” i nie, Christian nie może go popilnować. Jest zajęty.

- Ogląda mecz.

- Nie lubi, jak mu się przeszkadza, zwłaszcza jeśli robisz to ty. Nigdy.

- Cóż, tak się składa, że ty również jesteś zajęta. Co zrobić, żeby to ze mną poszło?

Milczenie.

- Chodź tu, chłopczyku - rzuca Frankie niepewnie.

- Ma na imię Sam. Jesteś jego matką chrzestną, jeżeli pamiętasz.

- To akurat pamiętam. Zapomniałam tylko imienia - mówi Frankie z napięciem, jakby podnosiła ciężary. - Rany gościa, czym ty to karmisz?

Sam kwiczy jak prosiaczek.

Frankie parska.

- Frankie, daj mi go. Zaniosę go do Christiana.

- W porządku, Joyce - zaczyna Frankie pod nieobecność Kate. - Poszukałam trochę na temat tego, co powiedziałaś mi wczoraj, i przyniosłam ze sobą papiery. Poczekaj.

Słyszę szelest kartek.

- O co chodzi? - pyta Kate, która właśnie wróciła do pokoju.

- O Joyce, która wskakuje do umysłu Amerykanina, przejmując jego wspomnienia, umiejętności i intelekt - wyjaśnia Frankie.

- Co takiego? - piszczy Kate.

- Dowiedziałam się, że Amerykanin nazywa się Justin Hitchcock - rzucam podekscytowana.

- Jak? - pyta Kate.

- Nazwisko znalazłam wczoraj wieczorem w biografii jego córki, w programie baletowym. Jego imię, cóż, usłyszałam we śnie.

Zapada milczenie. Wyobrażam sobie, że Frankie i Kate spoglądają na siebie znacząco.

- Co tam się, do diabła, dzieje? - pyta zdezorientowana Kate.

- Sprawdź go w Googlach, Kate - zarządza Frankie. - Zobaczmy, czy w ogóle istnieje.

- Istnieje, zapewniam cię.

- Widzisz, słońce, problem w tym, że na początku powinniśmy założyć, że straciłaś rozum, a dopiero potem ci uwierzyć. Pozwól nam go sprawdzić i zobaczymy, co będzie dalej.

Opieram brodę na dłoni i czekam.

- Kate sprawdza tożsamość Amerykanina, a w tym czasie porozmawiamy o wspólnych wspomnieniach...

- Co takiego? - skrzeczy Kate. - Wspólne wspomnienia? Czy wy obie oszalałyście?

- Nie, tylko ja - odpowiadam zmęczona, kładąc głowę na blacie.

- Zaraz się zdziwicie, bo to wcale nie oznacza, że jesteś klinicznie obłąkana. A przynajmniej nie z tego powodu. Zajrzałam do internetu i okazuje się, że nie jesteś odosobnionym przypadkiem w tej kwestii.

Prostuje się na krześle, nagle zaintrygowana.

- Znalazłam kilka stron wywiadów z ludźmi, którzy podobno doświadczyli tego, co ty: dzielili czyjeś wspomnienia, a także przejęli zdolności i gusta tej osoby.

- Chyba sobie ze mnie żartujecie. Wiedziałam, że to ukarowane - rzuca Kate. - To nie w twoim stylu, Frankie, tak nagle mnie odwiedzić.

- Niczego nie ukartowałyśmy - zapewniam ją.

- Naprawdę usiłujesz mi wmówić, że w magiczny sposób nabyłaś czyichś umiejętności?

- Mówi po łacinie, francusku i włosku - wyjaśnia Frankie. - Nie powiedziałyśmy jednak, że za sprawą magii. To akurat jest niedorzecznością.

- A co z gustami? - Kate nie jest przekonana.

- Joyce je teraz czerwone mięso.

- Dlaczego jednak uważasz, że to umiejętności innej osoby? Może nauczyła się tych języków sama i również sama zdecydowała, że lubi mięso, jak każda normalna osoba? Ja, na przykład, nabawiłam się nagłej awersji do sera i polubiłam oliwki. Czy to oznacza, że moje ciało zostało opętane przez drzewo oliwne?

Milczenie.

- Posłuchaj, Kate, zgadzam się z tobą, że zmiana diety nie jest czymś niezwykłym, ale zauważ, że Joyce nauczyła się trzech języków obcych w jedną noc, w dodatku nic w tym kierunku nie robiąc.

- Och.

- Poza tym mam sny, w których pojawiają się sceny z dzieciństwa Justina Hitchcocka.

- Gdzie ja do diabła byłam, kiedy to wszystko się wydarzyło?

- Kazałaś mi się wtedy wygłupiać na żywo przed kamerami Sky News - burczę. Przełączam telefon na głośnik i przez kilka następnych minut przemierzam cierpliwie pokój. Spoglądam na zegar na panelu kontrolnym telewizora, czekając, aż Frankie i Kate przestaną się śmiać.

Tata zamiera z połowicznie oblizanym pringlesem i obserwuje mnie ciekawie.

- Co to za hałas? - pyta wreszcie.

- Kate i Frankie w dobrych humorach - wyjaśniam.

Tata się krzywi. Oblizuje chipsy i obserwuje prezentera, który wywija na ekranie rumbę. Po trzech minutach dziewczyny przestają się śmiać i zdejmują je z głośnika.

- Jak już mówiłam - zaczyna Frankie jakby nigdy nic. - To, czego doświadczasz, jest zupełnie normalne... to znaczy może niezupełnie normalne, ale są inni... em...

- Wariaci? - sugeruje Kate.

- Osoby, które doświadczyły czegoś podobnego. Tyle że wszyscy mieli przeszczep serca, a to nie ma nic wspólnego z twoim przypadkiem. Dlatego ta teoria odpada.

Dum-dum. Dum-dum. Serce znów podchodzi mi do gardła.

- Zaraz, chwileczkę - wtrąca się Kate. - Jedna z tych osób twierdzi, że została uprowadzona przez Obcych.

- Przestań czytać moje notatki, Kate - syczy Frankie. - Nie zamierzałam o niej wspominać.

- Posłuchajcie - przerywam im. - Justin oddał krew. Tego samego miesiąca, którego poszłam do szpitala.

- I?-pyta Kate.

- I to, że Joyce miała wtedy transfuzję krwi - wyjaśnia Frankie. - Czyli że trochę to pasuje do teorii z przeszczepem serca.

Wszystkie cichniemy.

- No dobrze. - Kate przerywa milczenie. - Ale ja nadal tego nie rozumiem. Niech mi ktoś wyjaśni.

- Właściwie to ta sama rzecz - mówię. - Krew jest rozprowadzana prosto z serca, prawda?

- Prosto z serca - wzdycha Kate rozmarzona.

- Od kiedy to transfuzje krwi są romantyczne? - komentuje Frankie. - Opowiem ci, co znalazłam w necie. Ze względu na doniesienia o dziwnych „efektach ubocznych” u ludzi z przeszczepionym sercem Channel 4 zrobił film dokumentalny o tym, czy jest możliwe, że wraz z przeszczepianym narządem można odziedziczyć część wspomnień, gustów, pragnień i przyzwyczajzeń dawców. Film opowiada o biorcach, którzy usiłują się skontaktować z rodzinami dawców, żeby lepiej zrozumieć swoje nowe, odmienione życie. Kwestionuje naukowe wyjaśnienie zasad funkcjonowania pamięci. Wypowiadają się w nim również badacze, którzy zajmują się studiami nad inteligencją serca i biochemicznymi podstawami pamięci komórkowej.

- Czyli skoro, ich zdaniem, serce jest bardziej inteligentne, niż sądzimy, to pompowana przez nie krew mogłaby przenosić lub przejmować część tej inteligencji? - pyta Kate. - Zatem transfuzja krwi spowodowałaby jednoczesne przekazanie wspomnień? Oraz uwielbienie dla mięsa i języków obcych - dodaje nieco zgryźliwie.

Żadna z nich nie chce odpowiedzieć twierdząco. Obie pragną powiedzieć „nie”. Poza mną. Ja zdążyłam się już przez noc przyzwyczaić do tej myśli.

- Czy w *Star Treku* nie mieli przypadkiem o tym jakiegoś odcinka? - pyta Frankie. - Bo jeśli nie, zdecydowanie powinni.

- Można łatwo rozwiązać tą sprawą - rzuca podekscytowana Kate. - Wystarczy odnaleźć twój dawca.

- Nie da rady. - Frankie jak zwykle sprowadza ją na ziemią. - Te informacje są utajnione. Poza tym, przecież nie dostała całej jego krwi. Jednokrotnie mógł oddać najwyżej pół litra. Potem krew separuje się na poszczególne frakcje, plazmą, krwinki czerwone i białe oraz płytki krwi. To, co dostała Joyce, zawierało tylko część jego krwi, jeżeli w ogóle. Pewnie była pomieszana z czyjąś inną.

- Tak czy inaczej, jego krew płynie w moich żyłach - mówię. - Nieważne, ile jej jest. Poza tym pamiętam, że kiedy po raz pierwszy otworzyłam oczy w szpitalu, już wtedy poczułam się dziwnie.

Odpowiedzią na moje szalone oświadczenie jest cisza, kiedy moje przyjaciółki i ja zaczynamy zastanawiać się nad faktem, iż moje samopoczucie „dziwnie” nie miało nic wspólnego z transfuzją, za to wszystko z niewymowną tragedią utraty dziecka.

- Google znalazły Justina Hitchcocka. - Głos Kate wypełnia cichą przestrzeń.

Serce zaczyna mi bić gwałtownie. Proszę, powiedzcie mi, że sobie tego wszystkiego nie wyobraziłam, że on istnieje, że nie jest wytworem mojego sfiksowanego umysłu, że plany, które już zaczęłam realizować, nie doprowadzą jedynie do wystraszenia obcej, Bogu ducha winnej osoby.

- Justin Hitchcock, kapelusznik z Massachusetts. Hmm, cóż, przynajmniej jest Amerykaninem. Wiesz coś o nakryciach głowy, Joyce?

Zastanawiam się.

- Berety, kapelusze wędkarskie, fedory, kapelusze turystyczne, czapki bejsbolowe, kapelusze z szerokim rondem, czapki tweedowe - recytuję.

Tata przestaje oblizywać chipsa i spogląda na mnie.

- Panamy.

- Panamy - powtarzam do telefonu.

- Czapki gazeciarskie, żeglarskie - dodaje Kate.

- Cylindry - mówi tata i znowu przekazuję jego podpowiedź dziewczynom.

- Kapelusze kowbojskie - rzuca zamyślona Frankie. - Zaraz, chwileczkę, co my robimy? - reflektuje się. - Każdy potrafi wymienić kilka rodzajów nakryć głowy.

- Masz rację, to nie to. Czytaj dalej, proszę.

- Justin Hitchcock przeprowadził się do Deerfield w 1774 roku, gdzie służył jako żołnierz w czasach Rewolucji... chyba

powinnam przestać to czytać. Dwieście lat to za dużo jak na starszego kochanka.

- Chwileczkę. - Frankie przejmuję pałeczkę, nie chcąc, żebym straciła nadzieję. - Jest jeszcze jeden Justin Hitchcock. Nowojorski wydział oczyszczalni...

- Nie - mówię sfrustrowana - Wiem, że on istnieje. To idiotyczne. Dodaj w wyszukiwaniu Trinity College. Miał tam jakieś wykłady.

Stukanie klawiatury.

- Nie. Nic pod tym hasłem.

- Jesteś pewna, że rozmawiałaś z jego córką? - pyta Kate.

- Tak - odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

- A czy ktokolwiek widział cię, kiedy z nią rozmawiałaś? - pyta słodko.

Ignoruję ją.

- Dodaję do wyszukiwania słowa „sztuka”, „architektura”, „francuski”, „łacina” i „włoski” - rzuca Frankie, stukając w klawiaturę. - Aha! Mam cię! Justin Hitchcock. Gościnnie wykłada w Trinity College w Dublinie. Wydział Sztuk Pięknych i Nauk Humanistycznych, szkoła Sztuki i Architektury. Licencjat z Chicago, tytuł magistra z Chicago, doktorat z Sorbony. Szczególne zainteresowania to historia renesansu włoskiego i rzeźba barokowa, malarstwo europejskie z lat 1600-1900. Jest między innymi założycielem i edytorem „Przeglądu malarstwa i architektury”. Współautor *Złotego wieku holenderskiego malarstwa: Yermeer, Metsu i Terborch*, autor *Miedzi i płótna: obrazów na miedzi w latach 1575-1775*. Napisał ponad pięćdziesiąt artykułów do książek, periodyków, słowników i publikacji konferencyjnych.

- Zatem on istnieje - mówi Kate, jakby właśnie odnalazła Świętego Graala.

Czuję się już nieco pewniej.

- Spróbuj wyszukać jego nazwisko w połączeniu z londyńską Galerią Narodową.

- Dlaczego?

- Mam przeczucie.
- Ty i te twoje przeczucia. Jest kuratorem Działu Sztuki Europejskiej w Galerii Narodowej w Londynie. O mój Boże, Joyce, on pracuje w Londynie! Powinnaś go odwiedzić.
- Wstrzymaj konia, Kate. Może go przestraszyć i skończyć w wyłożonej materacami celi. Poza tym, wcale nie musiał być dawcą - protestuje Frankie. - A nawet jeżeli był, to jeszcze niczego nie wyjaśnia.
- To on - mówię z przekonaniem. - A jeżeli był moim dawcą, to dla mnie dużo znaczy.
- Musimy znaleźć sposób, żeby się dowiedzieć - mówi Kate.
- To on - powtarzam.
- I co zamierzasz w związku z tym zrobić? - pyta Kate. Uśmiecham się lekko i spoglądam na zegarek.
- A skąd wiesz, że już czegoś nie zrobiłam?

Justin trzyma słuchawkę przy uchu. Spaceruje po małym gabinecie w Galerii Narodowej, rozciągając przy tym maksymalnie sznur od słuchawki. Trzy kroki w jedną pięć kroków w drugą.

- Nie, nie, Simon, powiedziałem holenderskie portrety, chociaż masz rację, ponieważ istnieje wiele holenderskich portretów - śmieje się. - „Epoka Rembrandta i Fransa Halsa” - ciągnie. - Napisałem o tym książkę, więc znam się trochę na rzeczy. - *Napisałeś do połowy i porzuciłeś pracę nad nią dwa lata temu, kłamczuchu.* - Wystawa obejmie sześćdziesiąt prac namalowanych między 1600 a 1680 rokiem.

Rozlega się pukanie do drzwi.

- Jedną chwileczkę - woła.

Drzwi otwierają się mimo to i do środka wchodzi jego współpracownica Roberta. Chociaż jest młodą trzydziestoletnią kobietą, chodzi zgarbiona, z brodą wciśniętą w klatkę piersiową, jakby była całe dekady starsza. Oczy, zazwyczaj spuszczone, od czasu do czasu się unoszą i patrzą na niego,

nim znów uciekną w dół. Jak zwykle Roberta przeprosza za wszystko cały świat, jakby jej istnienie było czymś obraźliwym. Usiłuje precyzyjnie się przez ciasne, zagracone wnętrza pokoju do biurka Justina. Robi to tak, jak porusza się przez życie; cicho i niezauważalnie. Gdyby nie było to takie smutne, Justin mógłby nawet ją za to podziwiać.

- Przepraszam, Justin - szepcze. W rękach niesie mały koszyk. - Nie wiedziałam, że rozmawiasz przez telefon. Przepraszam. Dostarczono to do recepcji dla ciebie. Połóżę tutaj. Przepraszam.

Wycofuje się ledwo słyszalnie, na paluszkach, i zamyka za sobą po cichu drzwi. Milczący wir, obracający się tak powoli i z taką gracją że wydaje się prawie nie poruszać. Niczego nie uszkadza, niczego nie wyrывa z korzeniami.

Justin kiwa głową w jej kierunku i usiłuje się skoncentrować na rozmowie.

- Będą to różnorakie portrety, od małych, przeznaczonych dla odbiorców prywatnych do dużych portretów grupowych przedstawiających członków instytucji charytatywnych i urzędników miejskich. - Przestaje spacerować po pokoju i przygląda się koszykowi podejrzliwie, jakby za chwilę coś miało z niego wyskoczyć. - Tak, Simon, w Skrzydle Sainsbury'ego. Jeżeli będziesz potrzebował więcej informacji, skontaktuj się ze mną pod numerem biurowym.

Pospiesznie żegna kolegę i rozłącza się. Przez chwilę nadal trzyma rękę na słuchawce, nie wiedząc, czy ma zadzwonić po ochronę. Mały koszyk wydaje się obcy i zbyt uroczy w jego zakurzonym biurze, niczym nowo narodzone dziecko w kołysce, porzucone na brudnych schodach sierocińca. Zawartość koszyka jest schowana pod kraciastą ściereczką. Justin staje na odległość wyciągniętej ręki i powoli podnosi materiał, w każdej chwili gotowy odskoczyć.

Z koszyka wpatruje się w niego tuzin słodkich bułeczek.

Serce podskakuje mu do gardła. Szybko rozgląda się po malutkim biurze, choć wie, że nikogo tu nie ma. Ale zasko-

czenie, że otrzymał ten dziwny podarunek sprawia, że czuje obecność ducha. Szuka w koszyku kartki. Znajduje przyklejoną taśmą białą kopertę. Odrywa ją niezgrabnie drżącymi (z czego nagle zdaje sobie sprawę) dłońmi. Nie została zaklejona, więc wyjmuje umieszczoną wewnątrz kartkę. Na niej, na samym środku wykaligrafowano jedno słowo:

Dziękuję

Justin przemierza szybkim krokiem korytarze Galerii Narodowej. Częściowo podporządkowuje się zakazowi biegania po korytarzach, a częściowo go ignoruje, wbiegając po trzy stopnie naraz. Porządniki i Łobuz walczą w nim na całego.

Dostrzega Robertę drepczącą cichutko korytarzem w kierunku prywatnej biblioteki muzealnej, w której pracuje od pięciu lat.

- Roberta!

Łobuz wyzwała się i ignoruje zakaz hałasowania. Głos odbija się echem od ścian i wysokiego sufitu, ogłuszając wszystkie postacie na portretach, wystarczająco donośny, żeby zwiędły od niego słoneczniki van Gogha i pękło lustro na portrecie Arnolfiniego.

Jest na tyle donośny, że Roberta zastyga i odwraca się powoli z oczami rozszerzonymi z przerażenia, niczym spłoszona sarna schwytna w światła reflektorów samochodu. Czerwieni się, kiedy kilkoro zwiedzających wpatruje się w nią. Justin dostrzega jej przerażenie i natychmiast żałuje, że złamał jej kod, wskazał ją ludziom, podczas gdy ona chciała pozostać niewidoczna. Zwalnia kroku i przesuwają się po posadzce tak cicho, jak ona, usiłując zniwelować jakoś hałas, którego narobił. Roberta stoi sztywna, jakby kij połknęła, jak najbliżej ściany, niczym urokliwe pnącze przywierające do

murów i płotów, nieświadome własnego piękna. Justin zastanawia się, czy zachowanie Roberty jest konsekwencją jej kariery, czy też profesja bibliotekarki w Galerii Narodowej spodobała jej się ze względu na usposobienie. Pewnie to drugie.

- Tak? - szepcze przerażona.

- Przepraszam, że krzyczałem - mówi Justin najciszej jak potrafi. Twarz Roberty wygładza się nieco, a jej ramiona się rozluźniają. - Skąd wzięłaś ten koszyk?

- Z recepcji. Wracałam z przerwy i Charlie poprosił mnie, żebym go panu przekazała. Czy coś jest nie tak?

- Charlie. - Justin zastanawia się przez chwilę. - Stoi przy wejściu sir Paula Getty'ego?

Roberta kiwa głową.

- Dziękuję i jeszcze raz przepraszam, że krzyczałem. - Rusza w kierunku skrzydła wschodniego. Anioł i diabeł znów się w nim biją o dominację, w rezultacie czego na wpół biegnie, na wpół idzie z koszykiem kiwającym się w dłoni.

- Na dziś skończone, Czerwony Kapturku? - słyszy chrapliwy śmiech. Zauważa, że podskakiwał z koszykiem w dłoni. Zatrzymuje się gwałtownie i staje twarzą w twarz z Charliem, strażnikiem ochrony, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Babciu, babciu, ale masz brzydką głowę.

- Czego pan chce?

- Chciałbym wiedzieć, kto dał ci ten koszyk.

- Dostarczyciel z... - Charlie podchodzi do małego biurka i przewraca papiery. Wyciąga podkładkę z klipsem. - Harrodsa. Zhang Wei. Dlaczego pan pyta? Coś nie tak z bułeczkami? - Przesuwa językiem po zębach i chrząka.

Justin spogląda na niego podejrzliwie.

- Skąd wiesz, że w koszyku są bułeczki?

- Musiałem sprawdzić, prawda? - Charlie unika jego wzroku. - To jest Galeria Narodowa. Nie spodziewa się pan chyba, że przyjmę paczkę, nie wiedząc, co w niej jest.

Justin przygląda się zarumienionemu Charliemu i dostrze-

ga okruszki w kącikach ust oraz na uniformie. Zdejmuje ściereczkę z koszyka i liczy. Jedenaście.

- Nie sądzisz, że to dziwne, wysłać komuś jedenaście bułeczek?

- Dziwne? - Wzrok ucieka w bok, ramiona podskakują. - Nie wiem. Nigdy do nikogo nie wysyłałem bułeczek.

- Nie sądzisz, że bardziej oczywistym wyborem byłby tuzin bułeczek?

Wzruszenie ramionami, przebieranie palcami, wzrok utkwiony w ludziach wchodzących do galerii z większym skupieniem niż zazwyczaj. Mowa ciała podpowiada Justynowi, że rozmowa dobiegła końca. Wyciąga telefon i wychodzi na Trafalgar Square.

- Halo?

- Bea, mówi tata.

- Nie rozmawiam z tobą.

- Dlaczego?

- Peter opowiedział mi, jak się wobec niego zachowywałeś wczoraj podczas baletu - rzuca ze złością.

- Co takiego zrobiłem?

- Przesłuchiwałeś go przez całą noc co do jego intencji.

- Jestem twoim ojcem, to mój obowiązek.

- Nie. Zachowywałeś się jak gestapowiec - burczy. - Przysięgam, nie zamierzam z tobą zamienić ani słowa więcej, dopóki go nie przeprosisz.

- Przeprosić go? Niby za co? Zadałem mu tylko kilka pytań na temat jego przeszłości, żeby się upewnić, jakie ma ukryte zamiary.

- Zamiary? On nie ma żadnych ukrytych zamiarów!

- Zadałem mu kilka pytań. Co w tym złego? Bea, on nie jest wystarczająco dobry dla ciebie.

- Nie, Peter nie jest wystarczająco dobry dla ciebie. Jeśli chcesz wiedzieć, mnie nie obchodzi, co o nim myślisz. To ja mam być z nim szczęśliwa.

- On zarabia zbieraniem truskawek.

- Peter jest konsultantem komputerowym.

- W takim razie kto zbiera truskawki? - *Ktoś na pewno zbiera truskawki.* - Kochanie, wiesz, co myślę na temat konsultantów. Skoro są aż tacy świetni w swojej specjalizacji, dlaczego sami czegoś nie robią, zamiast zarabiać na podpowiadaniu ludziom?

- Ty jesteś wykładowcą, kuratorem, recenzentem i kim tam jeszcze. Skoro wiesz tak wiele, dlaczego sam czegoś nie zbudujesz albo nie namalujesz jakiegoś cholernego obrazu? - krzyczy Bea. - Zamiast opowiadać wszystkim bez przerwy o tym, jak to dużo wiesz na ten temat!

Hmmm.

- Kochanie, nie trać kontroli.

- Nie, to ty straciłeś kontrolę. Przepraszam Petera, a jeśli nie, nie będę odbierała twoich telefonów i sam sobie będziesz musiał radzić ze swoimi dramacikami.

- Zaraz, zaraz, poczekaj. Tylko jedno pytanie.

- Tato, ja...

- Czy wysłałaś mi koszyk z tuzinem słodkich bułeczek cynamonowych? - pyta szybko.

- Co takiego? Nie!

- Nie?

- Żadnych bułeczek, żadnych rozmów, żadnego niczego...

- Spokojnie, kochanie, nie musisz używać podwójnego przeczenia.

- Nie zamierzam utrzymywać z tobą żadnego kontaktu, dopóki nie przepraszasz - kończy.

- OK - wzdycha. - Przepraszam.

- Nie mnie, tylko Petera.

- Dobrze, ale czy to oznacza, że jutro po drodze do mnie nie odbierzesz moich rzeczy z pralni? Wiesz, gdzie to jest, zaraz obok stacji metra...

Kliknięcie. Justin wpatruje się w telefon zdezorientowany. *Moja własna córka rozłączyła się ze mną? Wiedziałem, że ten Peter oznacza kłopoty.*

Zastanawia się znów nad bułeczkami i znów wykręca numer. Chrząka.

- Halo.
- Jennifer, mówi Justin.
- Witaj, Justin - odpowiada chłodno.

Kiedyś jej głos był taki ciepły. Jak miód. Nie, jak gorący karmel. Pulsował między oktawami, kiedy słyszała jego imię, jak melodie wygrywane przez nią na fortepianie w konserwatorium, budzące go w niedzielne poranki.

Słucha ciszy po drugiej stronie linii.

Lód.

- Chciałem tylko zapytać, czy to ty wysłałaś mi koszyk z bułeczkami. - Kończąc zdanie, uświadamia sobie, jak idiotyczny był jego pomysł. Oczywiście, że Jennifer niczego mu nie wysłała. Dlaczego miałyby to zrobić?

- Słucham?

- Ktoś przysłał mi dzisiaj koszyk ze słodkimi bułeczkami i z podziękowaniem do biura, ale, niestety, się nie podpisał. Zastanawiałem się, czy to nie ty.

- A niby za co miałabym ci dziękować, Justin?

Jej głos jest teraz rozbawiony. Nie, nie rozbawiony, raczej przesiąknięty ironią.

Pytanie jest proste, ale znając Jennifer, jego implikacje sięgają dalej niż słowa. Justin podskakuje i łapie przynętę. Haczyk przebija mu usta i powraca rozgoryczenie, głos, do którego przywykł podczas upadku ich... cóż, podczas ich upadku. Jennifer wyciągnęła go z głębi niczym na spinningu.

- Och, no nie wiem. Może za dwadzieścia lat małżeństwa? Córkę? Dobrze życie, dach nad głową? - Wie, że to głupie. Jennifer zawsze miała dach nad głową, przed nim, po nim i bez niego. Nie potrafi się jednak powstrzymać, nie może, nie chce. To on ma rację. Jennifer się myli. Gniew smaga każde jego słowo, niczym dżokej popędzający konia tuż przed dotarciem do mety. *Trzask prask.* - Ubrania, ubrania i jeszcze więcej ubrań? - *Trzask prask.* - Nowa kuchnia,

choć wcale jej nie potrzebowaliśmy, ciepłarnia, na litość boską... - wylicza dalej, niczym dziewiętnastowieczny mężczyzna, umożliwiając żonie przyzwyczajenie się do dobrobytu, którego inaczej by nie zaznała. Ignoruje fakt, że owa kobieta sama zapewniła sobie dobre życie, grając w orkiestrze, która podróżowała po całym świecie. W kilku wyjazdach nawet jej towarzyszył.

Na początku ich małżeństwa nie mieli wyboru, jak tylko zamieszkać z matką Justina. Byli młodzi i oczekiwali dziecka, które zresztą było powodem szybkiego zalegalizowania związku. Justin jeszcze studiował, nocami pracował w barze, a w weekendy w muzeum sztuki. Jennifer zarabiała, grając na pianinie w eleganckiej restauracji w Chicago. Weekendami wracała do domu nad ranem, z bólem pleców i zapaleniem ścięgien w środkowym palcu. Wszystko to wypadło mu z pamięci, gdy zadała mu to jedno niewinne pytanie. Wiedziała, że usłyszy tę tyradę. Justin gulgocze i gulgocze, krztusi się przynętą, która utkwiała mu w ustach. Wreszcie wyczerpuje katalog rzeczy, które robili razem przez ostatnie dwadzieścia lat, i nagle uchodzi z niego para. Przerywa.

Jennifer milczy.

- Jennifer?

- Tak, Justin? - Bardzo zimno.

- Więc? - Justin wzdycha zmęczony. - To ty?

- Musiała to być jedna z twoich innych kobiet, bo z całą pewnością nie ja. - Klik i rozłącza się.

W Justinie gotuje się z wściekłości. Inne kobiety. Inne kobiety! Jeden romans, kiedy miał dwadzieścia lat, obmacywanki w ciemności z Mary-Beth Dursoą w college'u, i to zanim ożenił się z Jennifer, a ona traktuje go, jakby był co najmniej Don Juanem. W ich sypialni powiesił nawet kopię *Satyra opłakującego nimfę* Piera di Cosimo, której Jennifer nie znosiła, ale on miał nadzieję, że żona zrozumie odpowiednio symbolikę obrazu. Widnieje na nim młoda, półnaga dziewczyna, która na pierwszy rzut oka wydaje się spać, ale

po bliższym przyjrzeniu się widać krew sącząca się z jej gardła. Satyr ją opłakuje. Justin interpretował ten obraz jako symbol kobiety niewierzącej w wierność męża, która podążyła za nim do lasu. Mąż tymczasem nie udał się tam na schadzki, ale na polowanie. Kiedy przemykała się między drzewami, poruszając liśćmi, uznał, że to zwierzę. Czasem, w najczarniejszych chwilach ich małżeństwa, kiedy żarli się potwornie, kiedy gotowała się w nich nienawiść, kiedy gardła zdarte mieli do bólu od krzyku, oczy piekły ich od łez, głowy bolały od analizowania wydarzeń, a serca pękały z bólu, Justin przyglądał się obrazowi i zazdrościł satyrowi.

Zdenerwowany zbiega po schodach Północnego Tarasu, siada przy jednej z fontann, stawia koszyk u stóp i wgrzyza się w bułeczkę, zjadając ją tak szybko, że prawie nie czuje smaku. Okruszki spadają na ziemię, przyciągając stadko gołębi, głód wyziera z paciorkowatych czarnych oczu. Sięga po kolejną bułeczkę, ale zostaje zaatakowany przez rozochoczone ptaki, rozdziobujące chciwie zawartość koszyka. Przygląda się kolejnemu tuzinowi gołębi lądującemu przy nim jak samoloty bojowe. Obawiając się gradu bomb spuszczonej przez te krążące mu nadal nad głową chwytą koszyk i odpędza ptaki z brutalnością jedenastolatka.

Wbiega do mieszkania, zostawiając drzwi otwarte. Wita go Doris z paletą kolorów w dłoni.

- No dobrze, zawęziliśmy wybór. - Podtyka mu pod nos dziesiątki odcieni.

Jej długie paznokcie w lamparce cętki są ozdobione diamentem. Doris ma na sobie obcisły kombinezon z nadrukiem skóry węża, a na stopach wysokie szpilki, na których chwieje się niebezpiecznie. Jej włosy nadal szokują czerwienią, oczy podkreślone konturówką zrobione są na kocie, a usta umalowane szminką w odcieniu dobranym do koloru włosów przywodzą mu na myśl Ronalda McDonalda. Przygląda się im z irytacją, kiedy otwierają się i zamykają. Słyszy pojedyncze słowa:

- Celtycki Las, Jesienny Agrest, Angielska Mgła, Leśna Perła, wszystko w spokojnej tonacji będzie wyglądało doskonale w tym pokoju. A może Leśne Grzyby, Nomadyczny Blask albo Sułtańskie Przyprawy? Słodycz Cappuccino to mój ulubiony kolor, ale nie sądzę, żeby pasował do zasłon, jak myślisz? - Macha mu przed nosem materiałem, łaskocząc go w nos.

Swędzi go tak bardzo, że chyba przewiduje nadciągającą burzę. Nie odpowiada, zamiast tego oddycha głęboko i liczy w myślach do dziesięciu. Kiedy to nie działa, słucha nadal wyliczanki kolorów i liczy do dwudziestu.

- Halo, Justin? - Doris pstryka palcami przed jego nosem. - Ha-lo?!

- Może daj mu chwilowo spokój, Doris. Wygląda na zmęczonego. - Al spogląda nerwowo na brata.

- Ale...

- Chodź tutaj, moja ty Sułtańska Przyprawo - żartuje.

Doris piszczy z zachwytu.

- No dobrze, jeszcze tylko jedno. Bei bardzo spodoba się jej pokój pomalowany w Koronkową Kość Słoniową. Peteyowi też. Wyobraź sobie, jak romantycznie będzie...

- DOŚĆ! - wrzeszczy Justin z całej siły, nie chcąc, aby imię jego córki i słowo „romantyczny” wystąpiły w tym samym zdaniu.

Doris podskakuje i natychmiast przestaje mówić. Przykłada dłoń do piersi. Al przerywa picie i zamiera z butelką tuż przy ustach. W ciszy słychać jego głośny, ciężki oddech.

- Doris. - Justin oddycha głęboko i usiłuje mówić tak spokojnie, jak tylko może. - Proszę cię, wystarczy tego. Dość twoich Nocy Cappuccino...

- Słodyczy - prostuje i szybko zamyka usta.

- Wszystko jedno. To jest wiktoriański dom z dziewiętnastego stulecia, a nie jakaś malowana lala z odcinka *Zmiana pokoiów*. - Usiłuje powstrzymać emocje, obrażony w imieniu budowli. - Jeżeli wspomniałabyś coś o Czekoladowym Cappuccino...

- Słodczy - szepcze.
- Nieważne! Jeżeli wspomniałabyś to komukolwiek z tamtych czasów, natychmiast spalono by cię na stosie!

Doris piszczy, obrażona.

- To wnętrze wymaga wyrafinowania, musi zostać zrozumiane, potrzebuje studiów, myśli przewodniej, mebli z tamtego okresu i odpowiadających mu kolorów, a nie pokoiów w kolorach rodem z menu Ala.

- Hej! - protestuje Al.

- Myślę, że ten dom potrzebuje... - Justin oddycha głęboko i kończy łagodnym głosem - ...innego dekoratora. Może to cię trochę przerasta, ale doceniam twoją pomoc, naprawdę. Proszę, powiedz, że rozumiesz.

Doris kiwa powoli głową i Justin oddycha z ulgą.

Nagle paleta barw frunie przez cały pokój.

- Ty pretensjonalny mały gnoooojku! - wrzeszczy Doris.

- Doris! - Al zrywa się z fotela, a przynajmniej usiłuje to zrobić.

Justin szybko się cofa, kiedy żona brata podchodzi, celując w niego zaostrzonym szponem w zwierzęcy wzorek.

- Posłuchaj no, ty głupi mały człowieczku. Ostatnie dwa tygodnie spędziłam na „zrozumieniu” tego zaśmieconego grajdoła. Byłam w różnych bibliotekach i miejscach, których istnienia nawet byś nie podejrzewał. Chodziłam do ciemnych, obskurnych spelunek, w których ludzie śmierdzą starym... czymś. - Jej nozdrza falują, a głos obniża się groźnie. - Kupiłam każdą broszurę o historycznej kolorystyce, jaką zdołałam dorwać, i dobrałam kolory zgodnie z regułami obowiązującymi pod koniec dziewiętnastego wieku. Ścisnęłam dłonie ludzi, o których nie chciałbyś w ogóle wiedzieć, i widziałam miejsca w Londynie, o których ja nie chciałabym nigdy wiedzieć. Przeglądałam książki tak stare, że siedzące na nich roztocza były tak duże, iż mogły podać mi je własnoręcznie z półki. Dopasowałam do tego twojego historycznego okresu kolory dostępne w Duluksie tak dobrze, jak tylko mog-

łam, i odwiedziłam sklepy z meblami z drugiej i trzeciej ręki, a nawet antykwariaty. Widziałam meble w tak odrażająco złym stanie, że o mały włos nie założyłam ISPCF*. Widziałam rzeczy pełzające wokół stołów obiadowych i siedziałam w tak rozklekotanych krzesłach, że mogłam poczuć zapach czarnej śmierci, która zabiła ich ostatniego właściciela wieki temu. Zeszlifowałam tyle sosny, że mam drzazgi w miejscach, których nie chciałbyś zobaczyć. - Dźga Justina w pierś pazurzystym sztyletem, akcentując tym każde słowo. - Zatem. Nie. Mów. Mi. Że to mnie przerasta. - Chrząka i prostuje się. Gniew w jej głosie znika, zastąpiony żałosnym drżeniem. - Jednak niezależnie od tego, co powiedziałaś, dokończ ten projekt. Nie dam się zniechęcić. Zrobię to wbrew tobie, dla twojego brata, który w przyszłym miesiącu może już nie żyć, ale ciebie to nie obchodzi.

- Nie żyć? - Oczy Justina się rozszerzają.

Doris odwraca się na pięcie i wychodzi zdecydowanym krokiem, kierując się do swojej sypialni. Po chwili wychyla głowę na korytarz.

- Tak przy okazji, dla twojej wiadomości, zatrzasnęłabym za sobą BARDZO GŁOŚNO drzwi, żeby ci pokazać, jak bardzo mnie rozgniewałeś, ale w tej chwili są na podwórku, gotowe do oszlifowania i zagruntowania, zanim pomaluję je na... Koronkową Kość Słoniową - wypluwa z siebie buntowniczo i zatrząskuje za sobą drzwi do pokoju.

Przestępuję nerwowo z nogi na nogę przed otwartymi drzwiami do domu Justina. Powinnam nacisnąć dzwonek? A może zawołać go po imieniu? Czy zadzwoni po policję i każe mnie aresztować za bezprawne wkroczenie na teren prywatny? Och, to była bardzo niewłaściwa decyzja. Frankie i Kate przekonały mnie, że powinnam tutaj przyjść i mu się

* ISPCF, International Society for the Prevention of Cruelty to... *Furniture*, Międzynarodowe Towarzystwo Przeciwdziałania Okrucieństwu wobec... Mebli

przedstawić. Nakręciły mnie do tego stopnia, że wskoczyłam w pierwszą taksówkę i pojechałam na Trafalgar Square, żeby złapać go w Galerii Narodowej, zanim wyjdzie z pracy. Byłam bardzo blisko niego, kiedy rozmawiał przez telefon. Słyszałam, jak wypytuje ludzi o koszyk. Czułam się dziwnie komfortowo, przyglądając mu się bez jego wiedzy. Nie byłam w stanie oderwać od niego wzroku, syciłam się tym, że widzę go takim, jaki jest naprawdę, zamiast obserwować jego życie z perspektywy wspomnień.

Jego gniew na osobę, z którą rozmawiał, prawdopodobnie była żoną, kobietę z rudymi włosami i piegami, przekonały mnie, że nie jest to odpowiednia chwila. Dlatego podążyłam za nim. To nie to samo, co prześladowanie. Potrzebowałam trochę czasu, by zebrać się na odwagę, żeby z nim porozmawiać. Powinnam wspomnieć o transfuzji krwi czy nie? Uzna mnie za wariatkę czy też wysłucha z zainteresowaniem, a może nawet uwierzy?

W metrze znów nie było okazji. Mnóstwo ludzi przepychających się, unikających kontaktu wzrokowego. Nie było mowy o przedstawianiu się ani tym bardziej o rozmowie o możliwej inteligencji krwi. Dlatego po kilkakrotnym przemierzeniu ulicy, na której mieszkał, czując się jak zakochana uczennica i prześladowca jednocześnie, stoję teraz przed drzwiami domu Justina z nowym planem. Planem, który znów nie może zostać zrealizowany, ponieważ Justin i Al zaczynają rozmawiać o czymś, czego nie powinnam słuchać: o sekrecie rodzinnym, który ja znam bardzo dobrze.

Odsuwam palec od przycisku dzwonka, chowam się z dala od okien i czekam.

Justin spogląda na brata w panice i szybko szuka czegoś, na czym mógłby usiąść. Przyciąga gigantyczną puszkę farby i opada na nią, nie zauważając na wieczku białego kręgu świeżej farby.

- O czym ona mówiła? Dlaczego masz umrzeć w przyszłym miesiącu?

- Nie, nie - śmieje się Al. - Powiedziała, że mogę umrzeć. To zupełnie co innego. Hej, upiekło ci się, braciszku. Masz szczęście. Valium chyba rzeczywiście jej pomaga. Na zdrowie. - Unosi butelkę w toaście i opróżnia ją.

- Zaraz, chwileczkę, Al, o czym ty mówisz? Jest coś, o czym nie wiem? Co powiedział lekarz?

- Dokładnie to samo, co powtarzam ci przez ostatnie dwa tygodnie. Jeżeli jacyś członkowie najbliższej rodziny przeszli zawał serca w młodym wieku, czyli przed skończeniem pięćdziesiątego piątego roku życia, oznacza to podwyższone ryzyko wystąpienia podobnych problemów.

- Masz wysokie ciśnienie?

- Troszkę.

- Wysoki poziom cholesterolu?

- Owszem.

- W takim razie musisz tylko zmienić styl życia, Al. Wca-
le nie oznacza to, że padniesz trupem jak... jak...

- Tata?
- Nie. - Justin marszczy brwi i potrząsa głową.
- Zawał serca jest największym zabójcą mężczyzn i kobiet w Ameryce. Co trzydzieści trzy sekundy jakiś Amerykanin ma problemy z sercem, a niemal co minutę ktoś z tego powodu umiera. - Al spogląda na w połowie okryty pokrowcem zegar po dziadku ze strony matki. Mija minuta. Chwyta się za serce i zaczyna rzeźić. Odgłosy szybko zmieniają się w śmiech.

Justin wywraca oczami.

- Kto ci nagadał tych głupot?
- Ulotki w gabinecie lekarskim.
- Al, nie dostaniesz zawału.
- W przyszłym tygodniu kończę czterdzieści lat.
- Tak, wiem. - Justin klepie go żartobliwie po kolanie. - To mi się podoba. Wyprawimy ci huczne przyjęcie.
- W tym samym wieku umarł tata. - Al spuszcza wzrok i odrywa nalepkę z butelki po piwie.

- A więc o to chodzi, tak? - Głos Justina łagodnieje. - Do diabła, Al, dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- Pomyślałem, że chciałbym z tobą spędzić trochę czasu, wiesz, na wszelki wypadek... - Oczy Ala wilgotnieją. Ucieka wzrokiem w bok.

Powiedz mu prawdę.

- Al, posłuchaj, musisz coś wiedzieć. - Głos Justina drży. Chrząka, usiłując odzyskać nad nim kontrolę. *Nigdy nikomu o tym nie mówię.* - Tata żył pod ogromną presją w pracy. Miał dużo problemów finansowych i innych, o których nikomu nie mówił. Nawet mamie.

- Wiem, Justin. Wiem.

- Wiesz?

- No, rozumiem. Nie umarł bez powodu. Był bardzo zestresowany, a ja nie jestem. Ale od dzieciństwa miałem przecucie, że i mnie się to przytrafi. Cały czas, od kiedy pamiętam, ta myśl krąży mi po głowie, a teraz, gdy w przyszłym

tygodniu skończę czterdzieści lat i nie jestem w najlepszej kondycji... W firmie dużo się dzieje i nie dbałem o siebie. Nie potrafię tego robić tak jak ty, wiesz?

- Hej, nie musisz się przede mną tłumaczyć.

- Pamiętasz ten dzień, kiedy siedzieliśmy z nim na trawie? Ten dzień ze zraszczami. Kilka godzin, zanim mama go znalazła... pamiętasz, jak bawiliśmy się całą rodziną?

- To były dobre czasy. - Justin uśmiecha się, walcząc z łzami.

- Pamiętasz ten dzień?

- Jakby to było wczoraj.

- Tata trzymał szlauch i oblewał nas obu. Wydaje się, że był w takim dobrym nastroju. - Al marszczy czoło z niezrozumieniem i zamyśla się na chwilę, po czym uśmiech wraca na jego twarz. - Kupił mamie wielki bukiet kwiatów. Pamiętasz, jak włożyła sobie jeden z nich, taki duży, we włosy?

- Słonecznik - Justin kiwa głową.

- Było naprawdę gorąco. Pamiętasz to?

- Tak.

- Tata miał podwinięte nogawki aż do kolan, zdjął buty i skarpetki. Trawa zrobiła się mokra i kiedy tak ganiał nas po całym ogrodzie, do nóg przyklejały mu się zielonymi źdźbłami... - Uśmiecha się zamyślony. - Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Ale nie ja.

Justin widzi we wspomnieniach chwilę, kiedy ojciec zamyka drzwi do dużego pokoju. Justin wbiegł właśnie do domu z ogrodu. Chciało mu się strasznie siusiu. Wszystko przez tę wodę. Pozostali nadal byli na zewnątrz. Słyszał okrzyki mamy i piskliwy śmiech pięcioletniego Ala. Kiedy schodził z góry po wyjściu z łazienki, zobaczył tatę wychodzącego z kuchni i idącego korytarzem. Chciał wyskoczyć i przestraszyć go, więc przycupnął za barierką i obserwował ojca.

A potem dostrzegł, co tamten miał w dłoni. Butelkę płynu, która zawsze stała zamknięta w kuchennej szafce i którą wy-

owano tylko na specjalne okazje, kiedy ojca odwiedzała rodzina z Irlandii. Po wypiciu płynu z butelki wszyscy się zmieniali. Śpiewali piosenki, których Justin nigdy przedtem nie słyszał, śmiali się, opowiadali różne historie, a czasem płakali. Justin nie wiedział, dlaczego tata trzymał dzisiaj tę butelkę w rękę. Czy chciał śpiewać, śmiać się i opowiadać historie? A może chciał płakać?

Potem zobaczył buteleczkę lekarstw w drugiej ręce ojca. Wiedział, że to lekarstwa, bo stały w tym samym pudełku, z którego rodzice wydzielali im pigułki, kiedy chorowali. Justin miał nadzieję, że tata nie jest chory i że nie chce płakać. Obserwował, jak ojciec zamyka za sobą drzwi do pokoju. Powinien się domyślić, co chce zrobić, ale nie, wtedy tego nie wiedział.

Rozmyśla o tamtej chwili bez przerwy, usiłuje się zmusić do krzyku, który mógłby zatrzymać ojca. Ale dziewięcioletni Justin nigdy go nie słyszy. Siedzi przycupnięty na schodach, czekając na tatę, żeby go zaskoczyć. W miarę upływu czasu zaczyna przeczuwać, że coś jest nie tak, ale nie wie co i nie wie, dlaczego tak się czuje. Nie chce zepsuć sobie zabawy, sprawdzając, co się dzieje z tatą.

Po kilkunastu minutach, które wlokły się niczym godziny, kiedy zza drzwi pokoju nie dobiegał żaden dźwięk, Justin wstaje i przełyka głośno ślinę. Słyszy śmiech i pisk Alą dochodzący z ogrodu. Słyszy go cały czas, kiedy schodzi na dół i widzi zielone stopy na podłodze. Pamięta ich widok bardzo wyraźnie.

Tata leżał na podłodze niczym zielony gigant. Pamięta, że podążył za wielkimi zielonymi stopami i zobaczył tatę, wpatrującego się w sufit martwym wzrokiem. Justin nie powiedział ani słowa. Nie krzyknął, nie dotknął go, nie pocałował, nie spróbował mu pomóc, bo chociaż nie rozumiał zbyt wiele, wiedział, że jest już za późno. Po prostu powoli wycofał się z pokoju, zamknął za sobą drzwi i pobiegł do ogrodu, do mamy i brata.

Mieli pięć minut. Pięć minut więcej, kiedy świat był nadal taki sam. Justin miał dziewięć lat i bawił się w słoneczny dzień z bratem i rodzicami. Był szczęśliwy, mama była szczęśliwa, a sąsiedzi uśmiechali się do niego tak, jak do innych dzieci. Obiad, który zjedli, był zrobiony przez mamę, a kiedy Justin był niegrzeczny w szkole, nauczyciele krzyczeli na niego, tak jak powinni. Pięć minut dokładnie tego samego życia, co zawsze, dopóki mama nie weszła do domu. Potem wszystko się zmieniło. Pięć minut później nie był już dziewięciolatkiem, który ma brata i oboje rodziców. Nie był szczęśliwy, mama też nie, a sąsiedzi uśmiechali się do niego z takim smutkiem, że wołałyby, aby w ogóle tego nie robili. Wszystko, co od tej pory jedli, pochodziło z pojemników przynoszonych przez zasmucone sąsiadki, a kiedy Justin przekrobał coś w szkole, nauczyciele spoglądali na niego z taką samą miną. Wszyscy mieli taką samą minę. Pięć dodatkowych minut normalnego życia nie wystarczyło.

Mama powiedziała im, że tata umarł na zawał serca. Powiedziała to całej rodzinie i powtarzała każdemu, kto przychodził do domu z obiadem lub ciastem.

Justin nigdy nie potrafił się zmusić do wyznania komukolwiek, że zna prawdę. Z jednej strony pragnął wierzyć w kłamstwo mamy, z drugiej strony nie chciał jej łamać serca, bo ona sama w końcu uznała je za prawdę. Nigdy nie podzielił się swoją wiedzą nawet z Jennifer, ponieważ głośne wypowiedzenie tych słów sprawiłoby, że stałyby się prawdą, a on nie chciał potwierdzać, że jego ojciec umarł w taki sposób. Teraz, po śmierci mamy, był jedyną osobą która znała rzeczywistą historię śmierci ojca. Fakty sfabrykowane, aby im pomóc, wisiały nad Alem niczym czarne chmury i kładły się ciężarem na sercu Justina.

Chciał powiedzieć Ałowi prawdę, bardzo chciał, ale w jaki sposób by mu to pomogło? Już raczej pogorszyłoby wszystko, poza tym musiałyby się tłumaczyć, dlaczego przez tyle czasu trzymał to w tajemnicy... Z drugiej strony, pozbę-

dzie się ciężaru. Może dzięki temu poczuje ulgę? A Al może przestałby się tak bardzo bać zawału. Poradziliby sobie z tym razem.

- Al, muszę ci coś powiedzieć - zaczyna.

Nagle rozlega się dzwonek do drzwi. Ostre ułknięcie dźwięku, który zaskakuje ich obu i wyrywa z zamyślenia, rozbiłając ciszę niczym młotek uderzający w tafłę szkła. Ich myśli rozpryskują się na tysiące kawałków i opadają na ziemię.

- Czy ktoś zamierza otworzyć? - krzyczy Doris.

Justin podchodzi do drzwi, z białym kręgiem farby na siedzeniu. Drzwi są uchylone, więc otwiera je szerzej. Przed nim, na ruchomym stelażu wisi jego pranie. Garnitury, koszule, swetry, wszystko w plastikowych pokrowcach. Nikogo nie ma. Justin wychodzi na zewnątrz i wbiega po schodach sutereny, żeby zobaczyć dostawcę. Trawnik przed domem jest pusty, stoi na nim tylko kontener.

- Kto to? - pyta głośno Doris.

- Nikt - odpowiada zdeorientowany. Zdejmuje pranie ze stelażu i wchodzi do domu.

- Chcesz mi powiedzieć, że ten tani garnitur sam zadzwonił do drzwi? - pyta Doris, nadal zła z powodu niedawnej kłótni.

- Nie wiem. To dziwne. Bea miała je odebrać jutro. Nie umawiałem się z pralnią na dostawę do domu.

- Może to specjalna oferta dla najlepszych klientów. Z tego, co widzę, zanosisz tam całą swoją garderobę. - Przygląda się jego ubraniom z niesmakiem.

- Jasne. Założę się, że ta specjalna oferta oznacza duży rachunek - mruczy Justin. - Pokłóciłem się trochę z Bea przed przyjściem do domu. Może zorganizowała to w ramach przeprosin.

- Och, jesteś takim uparciuchem. - Doris wywraca oczami. - Czy kiedykolwiek pomyślałeś choćby przez sekundę, że to ty powinieneś przeproszać?

Justin przygląda się jej podejrzliwie.

- Rozmawiałaś z Beą?

- Zobacz, tu jest koperta - odzywa się Al, dusząc w zarodku kolejną kłótnię.

- Masz swój rachunek - śmieje się Doris.

Serce podchodzi Justinowi do gardła, kiedy dostrzega znajomo wyglądającą kopertę. Rzuca ubrania na ziemię i rozrywają.

- Ostrożnie! Dopiero co je wyprasowali. - Doris podnosi rzeczy i wieszka na drzwiach.

Justin, czytając, przełyka głośno ślinę.

- Co tam jest napisane? - pyta Al.

- To chyba groźba śmierci - mówi Doris. - Spójrz na jego twarz. A może list prośbny - dodaje podekscytowana. - Niektóre z nich są naprawdę znakomite. Co im się stało i ile od ciebie chcą? - chichocze.

Justin wyciąga kartkę, którą dostał wcześniej wraz z koszykiem pełnym bułeczek, i zestawia obie notki ze sobą, tak, że tworzą pełne zdanie. Odczytując je, czuje dreszcze ogarniające całe ciało:

Dziękuję... za uratowanie mi życia.

Leżę w kontenerze bez tchu. Serce bije mi w piersi tak szybko, jak serce kolibra. Jestem niczym dziecko bawiące się w chowanego. Nerwowe podniecenie rozlewa mi się po brzuchu. Zachowuję się jak pies przewrócony na wznak, usiłujący pozbyć się pcheł. Proszę, nie znajdź mnie, Justin, nie znajdź mnie w takiej sytuacji, leżącą na dnie kontenera w twoim ogrodzie, pokrytą gipsem i kurzem. Słyszę, jak jego kroki się oddalają. Wraca na dół, do sutereny, i zamyka drzwi.

Kim ja się stałam? Tchórzem. Przestraszyłam się i zadzwoniłam do drzwi, żeby powstrzymać Justina przed opowiedzeniem Ałowi prawdziwej historii o ich ojcu. Następnie, przerażona zabawą w Boga wobec dwóch nieznajomych osób, uciekałam i wylądowałam na dnie kontenera na śmieci. Jakież to metaforyczne. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek odważę się z nim porozmawiać. Nie wiem, jak znaleźć słowa, które opisałyby to, co czuję. Nasz świat nie jest cierpliwym miejscem: tego typu historie nadają się do „Enquirer” albo do magazynów kobiecych. Obok tekstu znalazłaby się w nich moja fotografia - stoję w kuchni taty i spoglądam z rozpaczą w obiektyw. Bez makijażu. Nie, Justin nigdy by mi nie uwierzył, gdybym mu opowiedziała - ale czyny przemawiają bardziej niż słowa.

Leżę na plecach, wpatruję się w niebo. Brzuchte chmury wpatrują się we mnie. Przepływają nad kobietą w kontenerze,

zaciekawione, przywołując maruderki, żeby też to sobie obejrzały. Coraz więcej chmur gromadzi się nade mną, zaintrygowanych tym widokiem. Potem odpływają, pozostawiając mnie wpatrującą się w maźnięty tu i ówdzie bielą błękit. Prawie słyszę mamę, śmiejącą się głośno, wyobrażam sobie, jak trąca łokciem przyjaciół tam, w górze, żeby popatrzyli na jej córkę. Widzę, jak wychyla się zza chmury. Uśmiecham się radośnie.

Wychodzę z kontenera i otrzepuję z ubrania kurz, farbę i wiórki drewniane. Usiłuję sobie przypomnieć, o czym jeszcze wspomniała Bea, opowiadając, co, zdaniem jej ojca, powinna zrobić osoba, której uratował życie.

- Justin, uspokój się. Zaczynam się przez ciebie denerwować. - Doris przysiadła na szczeblu drabiny, obserwując szwagra przechadzającego się nerwowym krokiem po pokoju.

- Nie mogę się uspokoić. Nie rozumiesz, co to oznacza? - Wręcza jej oba listy.

Doris czyta je rozszerzonymi z zaskoczenia oczami.

- Uratowałeś komuś życie?

- Tak. - Wzrusza ramionami i zatrzymuje się. - To nic wielkiego, naprawdę. Czasem trzeba zrobić to, co słuszne.

- Oddał krew. - Al przerywa nieudany pokaz skromności brata.

- Ty oddałeś krew?

- W ten sposób poznał Vampire, nie pamiętasz? - przypomina żonie Al. - Kiedy w Irlandii pytają cię: „Masz ochotę na kwartę?”, bądź ostrożny.

- Ma na imię Sara, nie Vampire.

- Zatem oddałeś krew, żeby móc się umówić na randkę. - Doris krzyżuje ramiona na piersiach. - Czy naprawdę nie potrafisz nic zrobić dla dobra ludzkości? Wszystko musi ci przynosić jakąś korzyść?

- Hej, nie jestem bez serca.

- Chociaż pompuje ono pół litra mniej krwi niż przedtem - dodaje Al.

- Poświęciłem wiele czasu, pomagając różnym organizacjom: college'om, galeriom, uniwersytetom, które potrzebowały mojej ekspertyzy. Jest to coś, czego nie musiałem robić, ale zgodziłem się dla ich dobra.

- Tak, jasne. Założę się, że płacili ci od słowa. Stąd te wszystkie „rany” zamiast „cholery”, kiedy walniesz się w duży palec u nogi.

Al i Doris wybuchają śmiechem, trącając się i klepiąc nawzajem z rozbawienia.

Justin oddycha głęboko.

- Wróćmy do obecnej sprawy. Kto wysłała mi te listy i robi te wszystkie rzeczy? - Znów zaczyna chodzić po pokoju i obgryzać paznokcie. - Może to jakiś żart Bei. Z nią jedną rozmawiałem o tym, że zasługuję na podziękowanie za uratowanie kogoś życia.

Błagam, niech to nie będzie Bea.

- Człowieku, ależ z ciebie egoista - śmieje się Al.

- Nie. - Doris potrząsa głową, a duże kolczyki uderzają ją w policzki. Utopirowane włosy nie zmieniają położenia nawet o milimetr. - Bea nie chce mieć z tobą do czynienia, dopóki nie przeprosisz. Nie ma słów, które mogłyby opisać, jak bardzo cię w tej chwili nienawidzi.

- Dzięki Bogu. - Justin nie przestaje chodzić po pokoju. - Musiała jednak komuś powiedzieć, inaczej by się to nie zdarzyło. Doris, dowiedz się, z kim Bea rozmawiała na ten temat.

- Hmm. - Doris unosi brodę do góry i spogląda w bok. - Usłyszałam od ciebie dzisiaj kilka bardzo brzydkich rzeczy na mój temat. Nie jestem przekonana, czy powinnam ci pomagać.

Justin opada na kolana i czołga się w jej kierunku.

- Proszę, Doris, błagam cię. Bardzo, bardzo mi przykro z powodu moich słów. Nie miałem pojęcia, ile wysiłku włożyłaś w odnawianie tego mieszkania. Nie doceniłem cię. Bez ciebie nadal piłbym z kubka do mycia zębów i jadł z miski dla kota.

- Właśnie, miałem cię o to zapytać - przypomina sobie Al. - Przecież nawet nie masz kota.

- Zatem przyznajesz, że jestem dobrą projektantką wewnątrz? - Doris unosi głowę.

- Doskonałą.

- Jak bardzo?

- Lepszą niż... - zawiesza głos - Andrea Palladio.

Oczy Doris przesuwały się szybko z lewej do prawej.

- Jest lepszy niż Ty Pennington?

- Palladio był włoskim architektem w szesnastym wieku. Jest powszechnie uznawany za najbardziej wpływową postać w historii architektury Zachodu.

- Och, OK. Wybaczam ci. - Wyciąga do niego rękę. - Daj mi telefon, zadzwonię do Bei.

Chwilę później wszyscy siedzą przy nowym stole kuchennym, słuchając Doris.

- Bea powiedziała Peteyowi i kobiecie, która nadzorowała wykonanie kostiumów do *Jezióra łabędziego*. I jej ojcu.

- Kostiumy do *Jezióra*? Macie jeszcze program?

Doris znika w sypialni i wraca z programem baletu. Przegląda go.

- Nie. - Justin potrząsa głową, czytając biografię projektantki. - Rozmawiałem z tą kobietą po przedstawieniu. To nie ona. Mówisz, że jej ojciec tam był? Nigdzie go nie widziałem.

Al wzrusza ramionami.

- Z całą pewnością ci ludzie nie są w to zamieszani. Na pewno nie uratowałeś życia jej ojcu. Ta osoba musi być z Irlandii albo otrzymała pomoc medyczną w irlandzkim szpitalu.

- Może jej tata jest Irlandczykiem albo pojechał niedawno do Irlandii?

- Daj mi ten program, zadzwonię do teatru.

- Justin, nie możesz tak po prostu do niej zadzwonić. - Doris usiłuje mu wyrwać program, ale Justin ją blokuje. - Co zamierzasz powiedzieć?

- Muszę się tylko dowiedzieć, czy jej ojciec jest Irlandczykiem albo czy podróżował do Irlandii w zeszłym miesiącu. Resztę wymyślę na bieżąco.

Al i Doris spoglądają na siebie zaniepokojeni, kiedy Justin wychodzi z kuchni, żeby zadzwonić.

- To twoja sprawka? - pyta cicho Doris męża.

- Absolutnie nie. - Al potrząsa głową, aż trzęsie mu się podbródek.

Pięć minut później powraca Justin.

- Pamięta mnie z zeszłej nocy, ale nie, to nie był jej ojciec. Czyli Bea musiała powiedzieć komuś jeszcze, albo... to na pewno głupie żarty Petera! Dorwę tego dzieciaka i...

- Dorośnij wreszcie, Justin. To nie on - mówi surowo Doris. - Zaczynj szukać gdzie indziej. Zadzwon do pralni i do faceta, który dostarczył ci koszyk.

- Już to zrobiłem. Ktoś zapłacił kartą kredytową i nie mogą ujawniać danych personalnych właściciela.

- Twoje życie jest jedną wielką zagadką. Ta kobieta, Joyce, tajemnicze dostawy, chyba powinieneś wynająć prywatnego detektywa - decyduje Doris. - Och! Właśnie sobie przypomniałam. - Sięga do kieszeni i wyjmuje z niej kartkę. - Skoro jesteśmy przy prywatnych detektywach, znalazłam to dla ciebie. Miałam to już kilka dni, ale nic nie mówiłam, bo nie chciałam, żebyś szukał wiatru w polu i zrobił z siebie idiotę. Skoro jednak tak czy inaczej zamierzasz to zrobić, proszę.

Wręcza mu informacje o Joyce.

- Zadzwoniłam do biura numerów międzynarodowych i podałam im numer telefonu tej kobiety, która zadzwoniła w zeszłym tygodniu do Bei. Podali mi adres. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli ją odnajdziesz, Justin. Zapomnij o tej drugiej osobie. To bardzo dziwne zachowanie. Nie wiadomo, kto i dla czego wysyła ci te listy. Skoncentruj się na Joyce. Porządny, zdrowy związek dobrze ci teraz zrobi.

Justin ledwie rzuca okiem na adres, a potem chowa kartkę

w kieszeni, zupełnie niezainteresowany, skoncentrowany na czym innym.

- Skaczesz z kwiatka na kwiatek, prawda? - Doris przygląda mu się uważnie.

- Hej, może to właśnie Joyce wysłała ci te listy? - sugeruje Al.

Doris i Justin spoglądają na niego powątpiewająco.

- Nie bądź śmieszny - zbywa go Justin. - Spotkałem ją w salonie fryzjerskim. Poza tym, kto powiedział, że dostaję te listy od kobiety?

- To oczywiste - wyjaśnia Al. - Dostałeś koszyk ze słodkimi bułeczkami. - Marszczy nos. - Tylko kobieta mogłaby pomyśleć o wysłaniu takiego prezentu. Albo homoseksualista. Kimkolwiek jest ta osoba, potrafi kaligrafować, co tylko potwierdza moją teorię. Kobieta, pedzio albo transeksualista - podsumowuje.

- To ja wymyśliłem koszyk z bułeczkami! - piekli się Justin. - Poza tym, ja też umiem kaligrafować.

- No właśnie, tak jak powiedziałem. Kobieta, pedzio albo transeksualista. - Al szczerzy zęby w uśmiechu.

Justin unosi ramiona w górę ze złością i opada na krzesło.

- Jesteście do niczego. W ogóle mi nie pomagacie.

- Wiem, kto mógłby ci pomóc. - Al prostuje się na krześle.

- Kto? - Justin opiera brodę na zaciśniętej w pięść dłoni, znudzony.

- Vampira - odpowiada Al z grozą w głosie.

- Już ją prosiłem o pomoc. Mogłem jedynie przeczytać sobie moje własne personalia w bazie danych. Nic a nic o osobie, która dostała moją krew. Sara nie powie mi, gdzie ją przesłali, zresztą teraz z pewnością w ogóle nie będzie chciała mieć ze mną do czynienia.

- Dlatego że zostawiłeś ją i pobiegłeś za autobusem wi-kingów?

- Myślę, że to się ściśle łączy.

- Rany, Justin, naprawdę świetnie sobie radzisz z kobietami.

- Cóż, przynajmniej jedna osoba uważa, że robię coś jak należy. - Justin wpatruje się w listy umieszczone na środku stołu.

Kim jesteś?

- Nie musisz pytać Sarę bezpośrednio. Może mógłbyś się pokreślić w jej biurze. - Al zaczyna się ekscytować.

- Nie, to by było niewłaściwe. Mógłbym się wpakować w kłopoty. Ją też. Już i tak potraktowałem ją wystarczająco źle.

- W takim razie byłoby bardzo miłym gestem, gdybyś pojawił się u niej w biurze i przeprosił - podpowiada sprytnie Doris. - Jako przyjaciel.

Na twarzach wszystkich trojga powoli pojawia się uśmiech.

- Możesz wziąć dzień wolny w przyszłym tygodniu, żeby pojechać do Dublinia? - pyta Doris, przerywając chwilę cichej radości.

- Zaakceptowałem już zaproszenie z Galerii Narodowej w Dublinie, żeby dać wykład na temat *Kobiety piszącej list* Terborcha - mówi podekscytowany Justin.

- Co przedstawia ten obraz? - pyta Al.

- Kobieta piszącą list, Sherlocku. - Doris parska śmiechem.

- Cóż za nudna historia. - Al drapie się po nosie.

Potem oboje z Doris przyglądają się Justinowi, który raz po raz odczytuje listy, jakby miał nadzieję odcyfrować niewidzialny kod.

- Mężczyzna czytający list - mówi Al głośno. - Przedyskutujmy to.

Zaczynają się śmiać z Doris, kiedy Justin wychodzi z pokoju.

- Hej, gdzie idziesz?

- Mężczyzna zamawiający bilet lotniczy. - Justin puszcza do nich oczko.

Kwadrans po siódmej rano, przed wyjściem do pracy, Justin staje przed drzwiami frontowymi i zastyga z dłonią na klamce.

- Justin, gdzie jest Al? Nie było go w łóżku, kiedy się obudziłam. - Doris wychodzi z sypialni w kapciach i szlafroku. - Coś ty wymyślił, mały śmieszny człowieczku?

Justin przykłada palec do ust, uciszając ją, i kiwa głową w kierunku drzwi.

- Ta osoba od krwi tam jest? - szepcze Doris z podnieceniem. Zsuwa kapcie i podchodzi bliżej na paluszkach.

Justin kiwa głową podekscytowany. Przyciskają uszy do drzwi i oczy Doris się rozszerzają.

„Słyszę!” - mówi bezgłośnie.

- OK, na trzy - szepcze Justin i razem odliczają cicho „raz, dwa...”.

Justin otwiera gwałtownie drzwi.

- Ha! Mam cię! - wykrzykuje, ustawiając się w pozycji zaczepno-obronnej i wyciągając przed siebie palec bardziej oskarżycielsko, niżby chciał.

- Aaaa! - krzyczy przestraszony listonosz, upuszczając koperty na ziemię tuż obok Justina. Rzuca w niego paczką i chwytą następną, unosząc ją przed siebie w obronnym geście.

- Aaaaa! - krzyczy Doris.

Justin składa się wpół, kiedy paczka uderza go w klejnoty

rodowe. Opada na kolana, twarz purpurowieje mu, walczy o oddech.

Wszyscy przyciskają dłonie do piersi, oddychając spazmatycznie.

Listonosz stoi w pozycji obronnej, z lekko ugiętymi kolanami, zasłaniając się paczką.

- Justin. - Doris podnosi kopertę i klepie Justina po ramieniu. - Ty idioto! To przecież listonosz.

- Wiem - chrypi Justin i zaczyna się krztusić. - Teraz to widzę. - W końcu udaje mu się pozbierać. - Wszystko w porządku, proszę pana. Może pan opuścić tę paczkę. Przepraszam, że pana wystraszyłem.

Listonosz powoli opuszcza paczkę. Spogląda na Justina w osłupieniu.

- Co to miało znaczyć?

- Myślałem, że to ktoś inny. Bardzo przepraszam. Spodziewałem się... czegoś innego. - Patrzy na listy na podłodze. Rachunki. - Czy jest jeszcze coś dla mnie?

Lewe ramię znowu zaczyna go swędzieć, jakby ugryzł go komar. Drapie się, na początku delikatnie, a potem zaczyna klepać zgięcie łokcia, usiłując odegnać łaskotanie. Niestety, robi się coraz silniejsze. Justin wbija paznokcie w skórę, drapiąc się zapamiętale. Na czoło występuje mu pot.

Listonosz potrząsa głową i zaczyna się wycofywać.

- Nikt nie dał panu żadnej paczki dla mnie? - Justin wstaje i przysuwa się do listonosza, nieświadomie przybierając groźną pozę.

- Nie, powiedziałem, że nie. - Listonosz zbiega pospiesznie ze schodów.

Justin spogląda za nim zdezorientowany.

- Zostaw tego człowieka w spokoju. Prawie dostał przez ciebie zawału. - Doris zbiera koperty z podłogi. - Jeżeli tak zareagujesz na twój biorcę, jego też przestraszysz. Jeżeli kiedykolwiek spotkasz tę osobę, radzę ci przemyśleć to twoje: „Ha! Mam cię!”.

Justin podwija rękaw i przygląda się ramieniu, spodziewając się zaczerwienionej skóry albo pokrzywki, ale nie widzi nic poza zadrapaniami.

- Ty coś bierzesz? - Doris przygląda mu się podejrzliwie.
- Nie!

Bratowa wraca do kuchni, szurając głośno nogami.

- Al? - Jej głos rezonuje w pomieszczeniu. - Gdzie jesteś?
- Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! - Z oddali dobiega ich głos Ala, stłumiony, jak gdyby ktoś wypchał mu usta skarpetkami.

Doris oddycha spazmatycznie.

- Kochanie?! - Justin słyszy otwieranie drzwi lodówki. - Al? - Doris wsadza głowę do środka. Wraca do dużego pokoju, potrząsając głową i uzmysławia Justinowi, że nie znalazła męża w lodówce.

- Jest na dworze.

- W takim razie, na litość boską nie stój tak i nie gap się. Pomóż mu!

Justin otwiera drzwi. Al siedzi na ziemi przy schodach. Na spoconej głowie niczym Rambo przewiązał sobie jedną z pomarańczowych opasek Doris. Jego podkoszulek jest mokry od potu, po twarzy ściekają mu strugi. Podkurczone nogi odziane w spandeksy leżą bezwładnie w tej samej pozycji, w której upadł.

Doris przepycha się agresywnie obok Justina i biegnie do męża. Opada na kolana.

- Kochanie, dobrze się czujesz? Spadłeś ze schodów?
- Nie - odpowiada słabo, opuszczając głowę.
- Nie, nie czujesz się dobrze, czy nie, nie spadłeś ze schodów?

- To pierwsze - odpowiada wyczerpany. - Nie, to drugie. Zaraz, co było pierwsze?

- Czy czujesz się dobrze. - Doris krzyczy, jakby Al ogłuchł. - A drugie, czy spadłeś ze schodów.

- Nie. - Al odchyła głowę do tyłu i opierają o ścianę.

- Nie co? Mam zadzwonić po karetkę? Potrzebujesz lekarza?

- Nie.

- Nie co, kochanie. Al, nie zasypiaj, nie waż się mnie zostawiać. - Uderza go w twarz. - Musisz zachować przytomność.

Justin opiera się o framugę drzwi i przygląda obojgu z założonymi na piersi ramionami. Wie, że jego bratu nic się nie stało, to wyłącznie brak kondycji. Idzie do kuchni po trochę wody.

- Moje serce... - panikuje Al, kiedy wraca. Chwyta się rozpaczliwie za klatkę piersiową i walczy o oddech, wyciągając głowę i połykając powietrze, niczym ryba szukająca karmy na powierzchni wody.

- Masz atak serca? - piszczy przerażona Doris.

Justin wzdycha.

- Al nie ma żadnego...

- Przestań, Al! - przerywa mu skrzek Doris. - Nie waż się dostać ataku serca, słyszysz? - Chwyta gazetę z ziemi i zaczyna walić Alą po ramieniu, akcentując każde słowo. - Nie. Waż. Się. Nawet. Pomyśleć. O. Umieraniu. Przede. Mną. Alu. Hitchcocku.

- Au! To boli! - Al masuje sobie ramię.

- Hej, hej! - Justin przerywa rodzinny dramat. - Daj mi tę gazetę, Doris.

- Nie!

- Gdzie ją znalazłaś? - Usiłuje wyrwać jej dziennik z rąk, ale ta go odpycha.

- Leżała przy Alu. - Wzrusza ramionami. - Gazeciarz ją dostarczył.

- Nie mają tutaj żadnych gazeciarzy - wyjaśnia Justin.

- W takim razie jest Al.

- Kawa na wynos też. - Al wreszcie odzyskuje oddech.

- Kawa na CO?! - wrzeszczy Doris tak głośno, że sąsiad z góry zamyka ostentacyjnie okno z hukiem. Doris zupełnie

się tym nie przejmuję. - Kupiłeś kawę? - Znów zaczyna go bić gazetą. - Nie dziwota, że umierasz!

- Hej! - Al obejmuje się ramionami w obronie przed ciosami. - To nie moja kawa. Stała przed drzwiami, razem z gazetą, kiedy tu przyszedłem.

- To moje. - Justin wyrywa gazetę z rąk Doris i chwytając kubek kawy stojący przy Alu.

- Nie ma żadnego listu. - Doris spogląda na obu braci. - Na dłuższą metę twoje sztuczki, by bronić brata, tylko go doprowadzą do grobu, wiesz o tym?

- W takim razie może powinienem to robić częściej - mamrocze Justin, potrząsając gazetą w nadziei, że znajdzie list. Sprawdza kubek z kawą w poszukiwaniu wiadomości. Nic. Mimo to jest przekonany, że to wszystko dla niego i ktoś, kto zostawił te rzeczy przed drzwiami, nie może być daleko. Spogląda na pierwszą stronę gazety. Nad nagłówkiem, w rogu widzi napis „str. 42”.

Otwiera je z pośpiechem, walcząc z dużymi stronicami, żeby dotrzeć do właściwej. Wreszcie widzi ogłoszenia i życzenia urodzinowe. Przeszukuje je przez chwilę i już zamierza zamknąć gazetę, uznając racje Doris obwiniającej Alą za jego uzależnienie od kofeiny, kiedy dostrzega ogłoszenie:

„Dozgonnie wdzięczny biorca chce podziękować Justynowi Hitchcockowi, dawcy i bohaterowi, za uratowanie życia. Dziękuję”

Odrzuca głowę do tyłu i wyje ze śmiechu. Doris i Al spoglądają na niego ze zdziwieniem.

- Al. - Justin opada na kolana przy bracie. - Musisz mi pomóc. - Jego głos faluje z podniecenia. - Widziałeś kogoś w pobliżu, kiedy wracałeś z joggingu?

- Nie. - Al przesuwając się ciężko z boku na bok. - Nie przypominam sobie.

- To się postaraj. - Doris uderza go lekko po twarzy.

- Nie musisz tego robić, Doris.
- Zawsze to robią na filmach, kiedy chcą z kogoś wydobyc informację. Dalej, powiedz mu, kochanie. - Trąca go łokciem.
- Nie wiem - krzywi się Al.
- Rzygać mi się chce na twój widok - warczy Doris do ucha męża.
- Naprawdę, Doris, to wcale nie pomaga.
- Dobrze. - Doris krzyżuje ramiona w geście protestu. - Ale Horatiowi z *Kryminalnych zagadek Miami* zawsze pomagało.
- W połowie drogi do domu straciłem oddech, o wzroku nie wspominając. Nie przypominam sobie nikogo. Przykro mi, braciszku. Człowieku, ale się przestraszyłem. Przed oczami zaczęły mi latać czarne punkciki i przestałem widzieć. Zaczęło mi się kręcić w głowie i...
- OK. - Justin zrywa się na równe nogi, wbiega po schodach do ogródka, podbiega do furki i rozgląda się po ulicy. Teraz, o wpół do ósmej, jest na niej sporo ludzi, którzy wychodzą właśnie do pracy. Ruch samochodowy również się zwiększa.
- DZIĘKUJE! - krzyczy z całej siły. Jego głos rozdziera ciszę. Kilka osób ogląda się na niego, ale większość trzyma głowy nisko, ponieważ kiedy jakiś człowiek traci zmysły w poniedziałkowy poranek, w Londynie zaczyna siać typowy październikowy deszczyk.
- NIE MOGĘ SIĘ DOCZEKAĆ PRZECZYTANIA TEJ WIADOMOŚCI! - Macha gazetą w powietrzu, obracając głowę w lewo i prawo, żeby usłyszano go ze wszystkich stron.
- Co się mówi do kogoś, komu ocaliło się życie? Powiedz coś głębokiego. Coś zabawnego. Coś filozoficznego.*
- CIESZĘ SIĘ, ŻE ŻYJESZ! - wykrzykuje.
- Em... dziękuję. - Przechodzi obok niego kobieta ze spuszczoną głową.
- PRZEPRASZAM, ALE NIE BĘDZIE MNIE TU JUTRO! -

Przerwa. - TO NA WYPADEK KOLEJNYCH PLANÓW. - Unosi kubek z kawą i macha nim. Brązowy płyn wylatuje z małej dziurki w przykrywce i rozpryskuje się w powietrzu. Nadal gorący. Ktokolwiek to był, musiał tu przyjść niedawno.

- MUSZĘ LECIEĆ JUTRO RANO DO DUBLINA. CZY STAMTĄD WŁAŚNIE POCHODZISZ? - krzyczy na wiatr, który zrywa kolejne pozółkłe jesienne liście z gałęzi drzew. Opadają niczym spadochroniarze na ziemię i toczą się po niej z delikatnym szmerem i stukotem, zanim zatrzymają się w cichym kącie.

- W KAŻDYM RAZIE JESZCZE RAZ DZIĘKUJĘ. - Macha gazetą i odwraca się w stronę domu.

Doris i Al stoją na szczycie schodów i spoglądają na niego z niepokojem. Al odzyskał już w pełni oddech i pozbierał się, ale i tak na wszelki wypadek opiera się o poręcz.

Justin wtyka gazetę pod ramię, prostuje się i usiłuje sprawić wrażenie zdrowego na umyśle, poważnego człowieka. Wkłada rękę do kieszeni i rusza w kierunku domu. Jego palce napotyka kawałek papieru. Wyciąga go i czyta, a potem mnie w kulkę i wrzuca do kontenera. Uratował komuś życie, takjak przypuszczał. Musi się teraz skoncentrować na najważniejszej sprawie. Wraca do mieszkania, siłąc się na powagę.

Leżę w starej wannie pośród zalatującego dywanu, potłamanych płytek, puszek po farbie i gipsowych płyt. Słucham, jak cichną głosy na podwórku i zamykają się drzwi do domu.

Obok mnie wylądował zmięty kawałek papieru. Sięgam po niego, przy okazji potracając dwunożny stołek, który zleciał na mnie, kiedy w pośpiechu wskakiwałam do kontenera. Rozprostowuję kartkę i nagle serce przyspiesza, kiedy widzę moje imię, adres taty i numer jego telefonu.

- Gdzie ty się, na Boga, podziewałaś? Co się z tobą stało, Gracie?

- Joyce - odpowiadam, wpadając do pokoju hotelowego bez tchu, pokryta kurzem i farbą. - Nie mam czasu na wyjaśnienia. - Uwijam się po pokoju, wrzucam rzeczy do torby, chwytam ubrania na zmianę i biegnę do łazienki, mijając tatę, który siedzi na łóżku.

- Próbowałem do ciebie dzwonić na podręczny telefon - woła tata.

- Tak? Nie słyszałam. - Usiłuję wcisnąć się w dżinsy. Podskakuję na jednej nodze, wciągając je wyżej i jednocześnie myję zęby.

Słyszę, jak tata coś mówi, ale to tylko mamrotanie, nie rozumiem słów.

- Nie słyszę cię. Myję zęby!

Zapada cisza. Kończę i wracam do pokoju. Tata kontynuuje przemowę, jakbyśmy nie mieli pięciominutowej przerwy.

- To dlatego, że kiedy zadzwoniłem, usłyszałem telefon w pokoju. Leżał na twojej poduszce, jak jedna z czekoladek, które zostawiają te miłe panie sprzątaczk.

- Och, aha. - Przeskakuję przez jego nogi i ruszam w kierunku szafki, żeby poprawić makijaż.

- Martwiłem się o ciebie - mówi tata cicho.

- Niepotrzebnie. - Skaczę po pokoju w jednym butcie, szukając drugiego.

- Poszedłem w końcu do recepcji, żeby zapytać, czy wiedzą, gdzie jesteś.

- Tak? - Przestaję szukać buta i koncentruję się na zakładaniu kolczyków. Ręce trzęsą mi się od nadmiaru adrenaliny, a palce wydają się zbyt duże, żeby wykonać zadanie. Motylek zabezpieczający sztyft spada na podłogę. Klękam i zaczynam go szukać.

- Potem przeszedłem całą ulicę, sprawdzając w sklepach i pytając się sprzedawców, czy cię nie widzieli.

- Tak? - rzucam nieuważnie, czując, jak pieką mnie kolana od szurania po dywanie.

- Tak - odpowiada cicho.

- Aha! Mam cię! - Znajduję zapięcie koło kosza na śmieci, pod szafką. - Gdzie, do diabła, podział się mój but?

- Po drodze spotkałem policjanta - ciągnie tata, a ja powstrzymuję się od okazania zniecierpliwienia. - Powiedziałem mu, że bardzo się martwię. Odprowadził mnie do hotelu i powiedział, żeby tu na ciebie zaczekał, ale gdybyś nie wróciła po dwudziestu czterech godzinach, mam zadzwonić pod ten numer.

- O, to bardzo miło z jego strony. - Otwieram szafę, szukając buta. Okazuje się, że nadal jest pełna ubrań taty. - Tato! - wykrzykuję. - Zapomniałeś spakować drugi garnitur. I odświętny sweter!

Szeglądę na niego po raz pierwszy (uświadamiam to sobie) od chwili, gdy tu przyszłam, i dopiero teraz dostrzegam, jak bardzo jest blady, jak staro wygląda w tym nowym, bezdusznym pokoju hotelowym. Siedzi przycupnięty na brzegu wąskiego łóżka, z czapką, obok na poły spakowanej walizki. W jednej dłoni trzyma fotografię mamy, w drugiej kartkę z telefonem, który dostał od policjanta. Ręce mu się trzęsą, oczy ma zaczerwienione i jakby zbolałe.

- Tato. - Narasta we mnie panika. - Dobrze się czujesz?

- Martwiłem się - powtarza cichutko. Przełyka głośno. - Nie wiedziałem, gdzie się podziałaś.

Dlaczego tak go ignorowałam od chwili wejścia do pokoju?

- Odwiedzałam przyjaciela - mówię łagodnie, przysiadając się.

- Ach. A twój przyjaciel tutaj martwił się o ciebie.

Uśmiecha się słabo. Wygląda tak krucho. Wstrząsa mną ten widok. Jest starym człowiekiem. Jego jowialne zachowanie gdzieś zniknęło. Drżącymi dłońmi, które zawsze były takie silne i pewne, chowa zdjęcie mamy i kartkę od policjanta do kieszeni. Już się nie uśmiecha.

Spoglądam na jego walizkę.

- Spakowałeś się sam?

- Próbowałem. Myślałem, że o niczym nie zapomniiałem. - Odwraca wzrok od szafy.

- No dobrze, spójrzmy, co tu mamy. - Słyszę brzmienie swojego głosu i zaskakuje mnie, że przemawiam do taty jak do dziecka.

- Nie zabraknie nam czasu? - pyta cichutko.

Mam wrażenie, że sama powinnam przerzucić się na szept, żeby go nie uszkodzić.

- Nie. - Oczy wypełniają mi się łzami. Mówię głośniej, niż zamierzałam: - Mamy bardzo dużo czasu, tato.

Spoglądam w bok i żeby się nie rozpłakać, podnoszę jego walizkę z łóżka. Codzienne, zwykłe rzeczy trzymają nas przy życiu. Jakże niezwykła jest zwyczajność. To narzędzie, które pomaga nam iść przez życie, matryca normalności.

Kiedy otwieram walizkę taty, tracę opanowanie. Gadam do siebie niczym oszalała matka z seriali telewizyjnych z lat sześćdziesiątych, powtarzając hipnotyczną mantrę, że wszystko jest świetnie i wspaniale. Ocham i acham, przeglądając zawartość walizki w kompletnym nieładzie, chociaż nie powinnam się dziwić. Tata nigdy w życiu się nie pakował. Najbardziej chyba denerwuje mnie świadomość, że siedemdziesięciopięcioletni mężczyzna po dziesięciu latach przeżytych

bez żony nie potrafi tego zrobić, a moja kilkugodzinna nieobecność sprawiła, że się o tym dowiedziałam. Zwykła prosta rzecz, której mój wielki jak dąb, niewzruszony jak skała ojciec nie potrafi zrobić. Zamiast tego siedzi na brzegu łóżka, mnie czapkę w powykręcanych dłoniach usianych plamami wątrobowymi. Ręce trzęsą mu się, jakby grały na niewidocznej strunie.

Rzeczy, które najwyraźniej usiłował bezskutecznie złożyć, leżą pozwijane w kulki, bez żadnego porządku, jakby spakowało je dziecko. Znajduję mój but zawinięty w ręczniki. Wyjmuję go i wkładam bez słowa, jakby była to najnormalniejsza rzecz na świecie. Ręczniki wracają na swoje miejsce. Zaczynam składać i przepakowywać jego rzeczy; brudną bieliznę, skarpetki, piżamę, swetry, kosmetyczkę. Odwracam się, żeby wyciągnąć resztę z szafy i oddycham głęboko.

- Mamy bardzo dużo czasu, tato - powtarzam, bardziej na swój użytek.

W metrze, w drodze na lotnisko, tata ciągle sprawdza godzinę i wierci się na siedzeniu. Za każdym razem, kiedy się zatrzymuje, popycha siedzenie przed sobą, jakby chciał popchnąć wagon do przodu.

- Spieszysz się gdzieś? - Uśmiecham się.

- Na spotkanie Klubu Poniedziałkowego.

Spogląda na mnie niespokojnie. Nigdy nie opuścił żadnego spotkania, nawet kiedy byłam w szpitalu.

- Ale dzisiaj jest poniedziałek.

- Och, po prostu nie chcę przegapić samolotu. Możemy tu utknąć na dobre.

- Och, nie martw się. Na pewno zdążymy. - Robię wszystko, żeby ukryć uśmiech. - Poza tym samoloty latają kilka razy dziennie.

- To dobrze. - Wygląda na uspokojonego. Może nawet jest pod wrażeniem. - Może uda mi się zdążyć na wieczorne spotkanie. Och, nie uwierzą w to, co mam im dzisiaj do opo-

wiedzenia - rzuca podekscytowany. - Donal padnie trupem, kiedy wszyscy dla odmiany będą słuchali mnie, a nie jego. - Rozsiada się wygodniej i wygląda przez okno w tunelową ciemność. Nie widzi w szybie swojego odbicia, lecz coś i kogoś innego, z odległej już przeszłości. Odlatuje do innego świata lub może raczej tego samego świata, ale w innym czasie. Wyciągam komórkę i zaczynam planować następne posunięcie.

- Frankie, to ja. Justin Hitchcock zamierza przylecieć jutro rano do Dublina. Muszę wiedzieć, co zamierza robić, i to szybko.

- Jak niby mam to zrobić, doktorze Conway?

- Myślałam, że masz sposoby.

- Owszem, mam, ale to ty jesteś jasnowidzem.

- Zdecydowanie nie jestem i nie wyczuwam, dokąd zamierza się wybrać.

- Czyżby twoje moce słabły?

- Nie mam żadnych mocy.

- Jasne. Daj mi godzinę. Zadzwoń do ciebie.

Dwie godziny później, kiedy wchodzimy z tatą na pokład samolotu, Frankie wreszcie się zgłasza.

- Będzie jutro o wpół do jedenastej w Galerii Narodowej. Zamierza opowiadać o obrazie pod tytułem *Kobieta pisząca list*. Bardzo fascynujące.

- Owszem. W mojej opinii to jedno z najlepszych dzieł Terborcha.

Milczenie.

- Ach, to była ironia. No dobrze. Czy twój wujek Tom nadal kieruje tą firmą przewozową? - Uśmiecham się i tata spogląda na mnie zaciekawiony.

- Co ty znowu knujesz? - pyta podejrzliwie, kiedy kończę rozmowę.

- Taki mały żart.

- Czy nie powinnaś wrócić do pracy? Minęło już kilka tygodni. Conor dzwonił do ciebie dzisiaj rano, kiedy wyszłaś.

Zapomniałem ci o tym powiedzieć. Jest w Japonii, ale słyszałem go głośno i wyraźnie - mówi. Nie jestem przekonana co mu zaimponowało; Conor czy firma telefoniczna. - Chciał wiedzieć, dlaczego dom nie ma jeszcze tablicy „Na sprzedaż” w ogrodzie. Powiedział, że miałaś to zorganizować. - Wygląda na zmartwionego, jakbym zrobiła coś bardzo złego i przeze mnie dom miał wylecieć w powietrze, bo nie ma tablicy „Na sprzedaż”.

- Nie, nie zapomniałam. - Jestem zdenerwowana telefonem Conora. - Sama zamierzam sprzedać nasz dom. Mam jutro pierwszych klientów.

Tata nie wygląda na przekonanego i ma rację. Kłamię w żywe oczy. Tak czy inaczej, wystarczy, żebym zajrzała do moich notesów i zadzwoniła do klientów, którzy, jak wiem, szukają podobnego domu. Jestem w stanie wymienić od razu kilkoro z nich.

- Twoja firma o tym wie? - Spogląda na mnie podejrzliwie.

- Tak. - Uśmiecham się sztucznie. - Mogą zrobić zdjęcia i postawić znak w ciągu kilku godzin. Mam znajomości w świecie agencji handlu nieruchomościami.

Tata się krzywi.

Oboje spoglądamy w bok, źli na siebie. Żeby nie czuć się ostatnią kłamczucha, wysyłam, póki stoimy w kolejce do wejścia do samolotu, wiadomości do klientów, którym pokazywałam nieruchomości, zanim wzięłam urlop. Może będą zainteresowani. Potem proszę mojego zaufanego fotografa, żeby zrobił kilka zdjęć domu. Kiedy zasiadamy w fotelach, mam już zaaranżowaną sesję zdjęciową, ludzi do postawienia znaku „Na sprzedaż” i spotkanie z jednym klientem następnego dnia. Małżeństwo nauczycieli w miejscowej szkole przyjdzie obejrzeć dom w czasie przerwy na lunch. Pod koniec tej wiadomości znajdują obowiązkowe: „Przykro mi z powodu dziecka. Myślałam o tobie. Do zobaczenia jutro. Linda xx”.

Natychmiast usuwam wiadomość ze skrzynki.

Tata spogląda na mój kciuk szybko naciskający na klawisze.

- Piszesz książkę? - pyta.

Ignoruję go.

- Dostaniesz reumatyzmu w kciuku, a to nic przyjemnego, wierz mi.

Naciskam „wyślij” i wyłączam komórkę.

- Naprawdę nie kłamałaś o domu? - pyta.

- Nie - odpowiadam z większą pewnością w głosie.

- Skąd mogłem wiedzieć? Nie miałem pojęcia, co mu odpowiedzieć.

Punkt dla mnie.

- W porządku, tato. Nie musisz się czuć, jakbyś był w środku całego tego ambarasu.

- Ale przecież jestem.

Punkt dla niego.

- Nie byłbyś, gdybyś nie odbierał mojego telefonu.

Dwa do jednego.

- Nie było cię przez cały poranek. Co miałem zrobić? Zignorować go? - Remis. - Martwił się o ciebie. Powiedział, że może powinnaś z kimś porozmawiać. Z profesjonalistą.

Przebił mnie z kretesem.

- Naprawdę?

Zakładam ręce. Mam ochotę natychmiast zadzwonić i powiedzieć Conorowi o wszystkim, czego w nim nie cierpię i co zawsze mnie wkurzało. Obcinanie paznokci w łóżku, co rano wydychanie nosa tak głośno, że trzęsły się okna, to, że nigdy nie pozwalał ludziom dokończyć zdania, głupi trik z monetą, niezdolność do poważnej rozmowy o naszych problemach, ciągłe odchodzenie podczas kłótni... Tata przerywa moje ciche torturowanie Conora.

- Powiedział, że zadzwoniłaś do niego w środku nocy i mówiłaś po łacinie.

- Doprawdy? - Czuję przypływ gniewu. - I co ty na to?

Tata spogląda w okno, kiedy samolot rozpędza się na pasie startowym.

- Powiedziałem mu, że jesteś też wikingiem mówiącym płynnie po włosku.

Widzę, jak kąciki ust podjeżdżają mu do góry. Odrzucam głowę do tyłu i wybucham śmiechem.

Remis.

Nagle tata łapie mnie za rękę.

- Dziękuję ci za to wszystko, kochanie. Świetnie się bawiłem.

Ściska mnie i zaczyna wyglądać przez okno na zielone pola otaczające pas startowy. Nie puszcza mojej ręki. Opieram głowę o jego ramię i zamykam oczy.

We wtorek rano Justin przechodzi przez salę przylotów na dublińskim lotnisku, z uchem przyklejonym do telefonu komórkowego, po raz kolejny słuchając nagrania głosu Bei, proszącego o zostawienie wiadomości. Wzdycha i wywraca oczami, znudzony już jej dziecinnym postępowaniem.

- Hej, kochanie, to ja, tata. Znowu. Wiem, że się na mnie gniewasz. Dla kogoś w twoim wieku wszystko wydaje się takie dramatyczne, ale gdybyś tylko posłuchała, co mam do powiedzenia, założę się, że byś się ze mną zgodziła. Jeszcze mi podziękujesz, kiedy będziesz już starszą siwowłosą panią. Chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze, i nie przestanę dzwonić, dopóki cię nie przekonam... - Natychmiast się rozłącza.

Za barierkami ustawionymi przy wyjściu z hali stoi mężczyzna w czarnym garniturze. Trzyma białą tabliczkę z imieniem i nazwiskiem Justina napisanymi dużymi drukowanymi literami. Pod spodem widnieje magiczne słowo: „DZIĘKUJĘ”.

Przez cały dzień, od chwili, kiedy otrzymał pierwszy liścik, słowo to przyciągało jego uwagę na billboardach, w gazetach, ogłoszeniach radiowych i telewizyjnych. Ilekroć wydobywało się z ust przechodnia, odwracał się i podążał za nim jak zahipnotyzowany. Zupełnie jakby w tym jednym słowie ukrywał się specjalny kod, przeznaczony wyłącznie dla niego. Unosiło się w powietrzu niczym zapach świeżo ściętej

trawy w słoneczny letni dzień. Było więcej niż zapachem; niosło ze sobą uczucie, miejsce, porę roku, radość, świętowanie zmiany, kolejnego etapu życia.

Zabierało go we wspomnienia niczym znajoma melodia z młodości, kiedy nostalgia jak przyptyw chwyta cię, wciąga w głąbę, gdy najmniej się tego spodziewasz, a często też, gdy najmniej tego pragniesz.

To jedno słowo, nieustannie brzmiące w jego głowie. Dziękuję, dziękuję, dziękuję. Im więcej je słyszy i widzi w krótkich liścikach, tym bardziej obce mu się wydaje, jakby widział tę szczególną sekwencję liter po raz pierwszy w życiu - coś jak zapis nut, znajomy, prosty, ale zaaranżowany w odmienny sposób nagle staje się czystym dziełem geniuszu.

Ta transformacja codziennych, zwykłych rzeczy w coś magicznego, rosnące zrozumienie, że to, co dostrzegał, nie jest takie, jakim mu się wydawało, przypomniało mu o czasach, kiedy był dzieckiem. Spędzał wtedy długie chwile w ciszy, wpatrując się w swoje odbicie. Stawał na stołku, żeby sięgnąć lustra. Im bardziej się w siebie wpatrywał, tym bardziej jego twarz zaczynała się zmieniać w nieznaną obcą. Nie była to już twarz, którą jego umysł uznał jako jego własną. Zamiast tego widział prawdziwego siebie: oczy rozstawione szerzej, niż sądził, jedna powieka opuszczona niżej, podobnie jedno nozdrze i kącik ust. Zupełnie jakby przez środek biegła linia, pociągając za sobą wszystko w dół, tak jak nóż zanurzający się w cieście czekoladowym. Powierzchnia, niegdyś gładka, opada i zawisa. Szybkie spojrzenie i wszystko znów wydaje się znajome. A uważna analiza przed wieczornym myciem zębów odsłania twarz obcej osoby.

Teraz odsuwa się od tego jednego słowa, okrąża je parę razy, przygląda się ze wszystkich stron. Zupełnie jak obrazy w galerii, słowa również dyktują wysokość, na jakiej powinny być demonstrowane, kąt, pod jakim należy do nich podchodzić, i pozycję, z której najlepiej jest je kontemplować. Właśnie znalazł odpowiednią perspektywę. Widzi teraz, ja-

kie znaczenie ma to słowo. Zupełnie jak gołębie pocztowe i przekazywane przez nie wiadomości, jak ostrygi z perłami, pszczoły z jadem w żądłach, pracowicie strzegące królowej i miodu. Ma cel, siłę piękna, przekonanie. Nie jest zwykłą uprzejmością powtarzaną i słyszaną tysiąc razy dziennie. „Dziękuję” ma teraz szczególną wymowę.

Nie myśląc więcej o Bei, zamyka klapkę telefonu i podchodzi do mężczyzny w garniturze.

- Witam.

- Pan Hitchcock? - Brwi wysokiego nieznajomego są tak czarne i gęste, że Justin ledwie widzi jego oczy.

- Tak - odpowiada podejrzliwie. - Czy przysłano pana po Justina Hitchcocka?

Mężczyzna spogląda na dokument wyciągnięty z kieszeni.

- Tak, sir. A więc to pan, czy też moja odpowiedź to panu zasugerowała?

- Owszem - odpowiada Justin. - To ja.

- Nie wydaje się pan o tym przekonany - mówi kierowca, opuszczając tabliczkę. - Gdzie się pan udaje?

- Czy nie powinien pan tego wiedzieć?

- Wiem, ale ostatnim razem, kiedy wpuściłem do mojego wozu kogoś równie niepewnego jak pan, zdołałem dostarczyć obrońcę praw zwierząt prosto na spotkanie IZWF.

Justin nie zna tego skrótu.

- Czy to źle?

- Przewodniczący Irlandzkiego Związku Właścicieli Foxhoundów tak uważał. Utkwił na lotnisku bez samochodu i szofera, podczas gdy w tym czasie wariat, którego odebrałem zamiast niego, oblewał czerwoną farbą salę konferencyjną. Powiedzmy sobie, że w kwestii napiwków był to tak zwany zerowy dzień.

- Foxhoundy tego by tak nie nazwały - żartuje Justin. - Chyba że „uuuuuuuuu”. - Unosi brodę w górę, wyjąc żartobliwie.

Szofer wpatruje się w niego bez emocji.

Justin się czerwieni.

- W każdym razie ja jadę do Galerii Narodowej. Jestem zwolennikiem Galerii Narodowej. Będę opowiadał o obrazie, a nie przemalowywał ludzi w ramach demonstracji mojego gniewu. Chociaż gdyby wśród publiczności była moja żona, może zaatakowałbym ją pędzlem - śmieje się. Kierowca rzuca mu kolejne nieprzyjemne spojrzenie. - Nie spodziewałem się, że ktokolwiek mnie odbierze. - Drepcze szoferowi po piętach, idąc do wyjścia. Jest szary październikowy poranek. - Nikt w galerii nie powiedział mi, że pan tu będzie czekał - rzuca, kiedy szybko przebiegają chodnikiem, uciekając przed desantem kropli deszczu.

- Nie wiedziałem o zleceniu do wczorajszej nocy. Otrzymałem telefon. Dzisiaj miałem być na pogrzebie ciotki mojej żony. - Szuka w kieszeniach biletu parkingowego i wsuwa go do maszyny.

- Och, przykro mi to słyszeć. - Justin przestaje strząsać z siebie ofiary desantu, które wylądowały z rozpryskiem na ramionach jego sztruksowej kurtki. Spogląda na kierowcę poważnie.

- Mnie też. Nienawidzę pogrzebów.

Ciekawa odpowiedź.

- Nie jest pan w tym odosobniony.

Mężczyzna zatrzymuje się i spogląda z powagą Justinowi w oczy.

- Zawsze chce mi się wtedy śmiać. Czy kiedykolwiek się to panu zdarzyło?

Justin nie jest pewien, czy powinien to potraktować poważnie, ale na twarzy kierowcy nie widać nawet cienia uśmiechu. Justin przypomina sobie pogrzeb ojca. Miał wtedy dziewięć lat. Obie rodziny zbite razem w ciasną gromadkę na cmentarzu, wszyscy ubrani na czarno od stóp do głów, niczym żuki grabarze zaczajeni nad wielką dziurą w ziemi, gdzie umieszczono trumnę. Krewni taty przylecieli z Irlandii, przywożąc ze sobą deszcz nietypowy dla upalnego lata w Chicago. Justin

stał tuż obok cioci Emeldy, która w jednej ręce trzymała parasol, a drugą obejmowała go mocno. Jego brat i mama byli z boku, pod wspólną parasolką. Al przyniósł ze sobą blaszany wóz strażacki, którym bawił się podczas przemowy księdza. Denerwowało to Justina. Właściwie to tamtego dnia wszyscy go denerwowali.

Nienawidził cioci Emeldy, która trzymała dłoń na jego ramieniu, chociaż wiedział, że starała się tylko pomóc. Jej dłoń była ciężka i twarda, zaciskała się mocno, jakby próbowała go powstrzymać, bała się, że od niej ucieknie i wskoczy do dołu, w którym chowano jego tatę.

Przywitał ją tego poranka ubrany w swój najlepszy garnitur, tak jak sobie tego zażyczyła mama nowym cichym głosem. Justin musiał niemal przyłożyć ucho do jej ust, żeby ją usłyszeć. Ciocia Emelda udawała, że ma zdolności parapsychologiczne, jak zawsze, gdy widzieli się po długiej przerwie.

- Wiem, czego chcesz, mój mały żołnierzyku - powiedziała z silnym akcentem z Cork.

Justin ledwie ją rozumiał i nigdy nie był pewien, czy ciocia do niego mówiła, czy nagle zaczynała śpiewać. Zaczęła grzebać w ogromnej torebce i wyciągnęła stamtąd żołnierzyka z plastikowym uśmiechem, szybko odlepiając cenę i przy okazji obdzierając nazwę figurki. Spojrzał na Pułkownika Anonima, który salutował jedną ręką, a w drugiej trzymał plastikowy karabin, i natychmiast nabrał wobec niego podejrzliwości. Strzelający ślepakami plastikowy karabin zniknął pod ciężką stertą czarnych płaszczy gromadzących się przy wejściu, gdy tylko Justin zdarł opakowanie z żołnierza. Jak zwykle zdolności paranormalne cioci Emeldy dostroiły się do pragnień innego dziewięciolatka. Justin wcale nie chciał plastikowego żołnierzyka, zwłaszcza tego dnia. Nie mógł się powstrzymać i wyobraził sobie młodego chłopca gdzieś w mieście, czekającego na wymarzoną zabawkę, a zamiast tego otrzymującego tatę Justina. Przyjął jednak podarunek od serca z uśmiechem tak wielkim i szczerym, jak u Pułkownika

Anonima. Później, kiedy stał obok dołu na cmentarzu, ciocia Emelda chyba wreszcie zestroiła się z jego myślami, bo zacisnęła dłoń na jego ramieniu mocniej, jakby przytrzymując go w miejscu. Justin myślał o tym, żeby wskoczyć w tę czarną, wilgotną dziurę.

Zastanawiał się, jak wygląda tamten świat na dole. Jeżeli udałoby mu się wyślizgnąć z silnego uchwytu irlandzkiej ciotki i wskoczyć do dołu, zanim ktokolwiek miałby szansę go złapać, i kiedy zamknęłyby się nad nim ziemia, niczym rozwijający się dywan z trawy, może znowu byłiby razem. Czy mogliby sobie stworzyć własny, mały przyjemny świat tam, w dole? Justin miałby taką tylko dla siebie. Nie musiałyby się nim dzielić z Alem i mamą. Mogliby się bawić i śmiać, nawet kiedy było ciemno. Może tata po prostu nie lubił światła? Może chciał tylko, żeby zniknęło, żeby nie musiał mrużyć więcej oczu, żeby słońce nie paliło mu delikatnej skóry, która pokrywała się piegami, czerwieniała i swędziała. Kiedy gorące słońce wspinało się wysoko na niebo, denerwowało tatę. Siadał w cieniu, kiedy Justin, Al i mama bawili się na zewnątrz. Mama brązowiała z dnia na dzień, tata zaś bladł i coraz bardziej złościł się na upały. Może chciał po prostu odpocząć od lata, od swędzenia i silnego światła?

Kiedy opuszczano trumnę, mama zaczęła rozpaczliwie płakać, a za nią Al. Justin wiedział, że jego brat nie płacze z tęsknoty za tatą, tylko dlatego, że przestraszył się reakcji mamy. Rozpłakała się, kiedy babcia ze strony taty zaczęła głośno chlupać. Płacz Ala złamał serca wszystkim zgromadzonym. To takie okropne, widzieć osierocone przez ojca dziecko we łzach. Nawet bratu taty, Seamusowi, który zawsze wyglądał, jakby za chwilę miał się roześmiać, drżała dolna warga, a na szyi nabrzmiała żyła. Justin wyobraził sobie, że w stryju Seamusie chowa się inna osoba, wyskakująca tylko wtedy, kiedy on jej pozwoli.

Ludzie nigdy nie powinni płakać, bo kiedy zaczną...

Justin chciał krzyknąć do nich, żeby przestali się wygłu-

pieć. Al nie płakał z powodu ojca. Justin chciał im wszystkim wytłumaczyć, że jego brat nie ma pojęcia, co się tak naprawdę dzieje. Przez cały dzień koncentrował się na swoim błaszonym wozie strażackim, od czasu do czasu spoglądając na Justina pytającym wzrokiem.

Trumnę taty przynieśli na miejsce pochówku panowie w garniturach, którzy nie byli wujkami Justina ani przyjaciółmi taty. Nie płakali, jak reszta, ale też się nie uśmiechali. Nie wyglądali na znudzonych, ale nie byli zainteresowani. Zupełnie jakby przeżyli pogrzeb taty już setki razy i przestało ich obchodzić, że znowu umarł. Nie mieli jednak nic przeciwko wykopaniu kolejnego grobu, w którym mieli go znowu pochować. Justin przyglądał się, jak mężczyźni z poważnymi minami rzucają garści ziemi na wieko trumny. Uderzała w drewno z głuchym łoskotem. Justin zastanawiał się, czy dzięki temu tata obudzi się ze swojej letniej hibernacji. Nie płakał jak pozostali, bo był przekonany, że tacie udało się wreszcie uciec przed światłem. Już nigdy nie będzie musiał siedzieć samotnie w cieniu.

Justin zdaje sobie sprawę, że kierowca wpatruje się w niego z wyczekiwaniem. Przysuwa głowę blisko, jakby spodziewał się odpowiedzi na bardzo osobiste pytanie dotyczące wysypki. Czy Justin też taką kiedyś miał?

- Nie - odpowiada cicho, chrząka i przyzwyczajają wzrok do świata trzydzieści lat później. Mentalna podróż w czasie; potężny czar.

- Oto nasz samochód.

Kierowca wciska guzik na pilocie. W odpowiedzi mercedes klasy S mruga zalotnie światłami. Justin rozdziawia usta.

- Czy wie pan, kto to zorganizował?

- Nie mam pojęcia. - Szofer otwiera drzwi i przytrzymuje je dla Justina. - Ja tylko odbieram zlecenia od szefa. Choć to niezwykle, zażyczyć sobie słowa „dziękuję” na tabliczce z imieniem. Czy to ma dla pana jakiś sens?

- Tak, ale... to skomplikowane. Czy mógłby się pan do-

wiedzieć od szefa, kto za to płaci? - Justin rozsiada się na tylnym siedzeniu i stawia u stóp walizkę.

- Mogę spróbować.

- Byłbym bardzo zobowiązany. - *Dostaną cię jednak!*
Rozluźnia się, wyciąga nogi i zamyka oczy, nie potrafiąc ukryć uśmiechu.

- Tak przy okazji, mam na imię Thomas - przedstawia się kierowca. - Jestem do pana dyspozycji przez cały dzień. Gdziekolwiek będzie pan chciał pojechać po wykładzie, proszę mi tylko powiedzieć.

- Na cały dzień? - Justin niemal krztusi się darmową wodą mineralną, która czekała na niego w pojemniku na butelki w podłokietniku. Ocalił życie bogatej osoby. Hurra! Powinien wspomnieć w rozmowie z Beą o czymś więcej niż tylko o bułeczkach i gazetach. Willa na południu Francji. Co z niego za idiota, że nie pomyślał o tym wcześniej.

- Może to pana firma załatwiła dla pana limuzynę? - zastanawia się Thomas.

- Nie. - Justin potrząsa głową. - Z całą pewnością nie.

- A więc może ma pan dobrą wróżkę za chrzestną matkę, taką, o której pan nic nie wie - podrzuca pomysł śmiertelnie poważny Thomas.

- Skoro tak, zobaczymy z czego zrobiona jest ta karoca z dyni - śmieje się Justin.

- Nie da się przetestować jej dobrze w korkach. - Thomas hamuje, kiedy wjeżdżają na ulice miasta, zatłoczone bardziej niż zwykle ze względu na deszczowy dzień.

Justin włącza ogrzewanie, odchyła oparcie do tyłu i pławi się w luksusie, przyglądając się zmizerniałym twarzom przechodniów i ludzi w autobusie, gapiących się zaspanym wzrokiem w zaparowane okna.

- Czy po wykładzie w galerii mógłby mnie pan zabrać na D'01ier Street? Muszę odwiedzić kogoś w klinice krwiodawstwa.

- Nie ma sprawy, szefie.

Październikowy wicher dmucha i świszczę, usiłując zerwać z pobliskich drzew ostatnie liście. Ale one trzymają się mocno niczym nianie z *Mary Poppins* chwytające się kurczowo latarni, żeby ich powietrzny wyścig nie skończył się daleko od wielkiego banku, w którym mają spotkanie w sprawie pracy. Liście, jak wiele osób tej jesieni, nie są jeszcze gotowe do wejścia w kolejny etap życia. Trzymają się kurczowo dnia wczorajszego, bo choć nie mogą wpłynąć na nieuchronną zmianę koloru, to jednak walczą zapamiętane, zanim porzucą miejsce, które przez trzy pory roku było ich domem. Przyglądam się, jak opada ostatni liść, tańczy w powietrzu, zanim upadnie na ziemię. Podnoszę go i powoli obracam w dłoni, trzymając za ogonek. Nie lubię jesieni. Nie lubię przyglądać się temu, jak rzeczy kiedyś tak silne i dumne ulegają w walce z naturą, więdną i schną, bezradne wobec mocy, których nie są w stanie kontrolować.

- Nadjeżdża samochód - mówię do Kate.

Stoimy naprzeciwko wejścia do Galerii Narodowej, schowane za zaparkowanymi przy ulicy samochodami, w cieniu drzew pochylających się nad bramami Merrion Square.

- Zapłaciłaś za to? - pyta Kate. - Chyba naprawdę oszalałaś.

- Powiedz mi coś, o czym jeszcze nie wiem. Właściwie to zapłaciłam tylko połowę. Szoferem jest wujek Frankie. Prowadzi firmę wynajmu limuzyn. Jeżeli spojrzy w naszą stronę, udawaj, że go nie znasz.

- Nie znam go.

- Dobrze, to bardzo przekonujące.

- Joyce, nigdy w życiu nie widziałam tego człowieka.

- No, no, to było świetne.

- Jak długo jeszcze będziesz się w to bawiła, Joyce? Wybieczka do Londynu wydawała się paradna, ale wszystko, co wiemy o tym facecie, to to, że oddał krew.

- Mnie.

- Tego nie możemy być pewne.
- Wiem to.
- Nie możesz tego wiedzieć.
- Mogę, i to jest właśnie zabawne.

Kate spogląda na mnie z takim zwątpieniem i litością, że zaczyna się we mnie gotować.

- Kate, wczoraj na obiad zjadłam carpaccio i fenkuły, a potem przesiadziałam cały wieczór, śpiewając arie, ze słowami, z Pavarottiego *Ultimate Collection*.

- Nadal nie rozumiem, skąd wiesz, że to właśnie ten Justin Hitchcock jest za to odpowiedzialny. Pamiętasz ten film, *Fenomeni* Kiedy John Travolta z dnia na dzień staje się geniuszem?

- Miał guza mózgu, który w jakiś sposób wpłynął na jego zdolności uczenia się - odpowiadam zła.

Mercedes zatrzymuje się przed bramą galerii. Kierowca otwiera drzwi Justinowi, który wysiada z walizeczką w dłoni, uśmiechnięty od ucha do ucha. Cieszę się, że moja miesięczna rata za dom została dobrze wykorzystana. Będę się martwiła pozostałymi rzeczami, kiedy przyjdzie na to czas.

Justin nadal roztacza wokół siebie aurę, którą poczułam już pierwszego dnia, w salonie fryzjerskim. Sprawia, że mój żołądek wspina się kilka pięter w górę i dalej po drabinie na dziesięciometrową platformę skoków do wody w finale olimpijskim. Justin spogląda na galerię, rozgląda się po parku i uśmiecha się. Jego uśmiech powoduje, że mój żołądek odbija się raz, drugi i trzeci, a potem wykonuje najtrudniejszy skok z trampoliny; półtora obrotu do tyłu, a potem jedną, dwie, trzy i pół śruby, zanim wpada do wody, uderzając o powierzchnię. Moje nieeleganckie wejście do wody pokazuje, że nie jestem doświadczonym wrakiem człowieka. Chociaż skok był przerażający, to jednocześnie dość przyjemny i jestem gotowa wykonać go ponownie.

Zrywa się lekki wiatr i liście wokół mnie szeleszczą. Nie jestem pewna, czy sobie tego nie wyobrażam, ale chyba czu-

ję lekki zapach wody po goleniu Justina - ten sam, który pa-
miętam z salonu fryzjerskiego. Przez ułamek sekundy widzę
w myślach, jak bierze w dłonie paczkę owiniętą w szmarag-
dowy papier, połyskujący w światłkach z choinki. Prezent
przewiązany jest dużą czerwoną kokardą. Na chwilę moje
dłonie stają się jego dłońmi, kiedy odwiązuje wstążkę, ostroż-
nie odwija pakunek, żeby nie podrzeć papieru. Uderza mnie
delikatność, z jaką obchodzi się z tak pięknie opakowanym
podarunkiem. Potem jednak słyszę jego myśli i wiem, że pla-
nuje schować papier i użyć go do opakowania prezentów,
które nadal leżą na siedzeniu jego samochodu. W środku
znajduje butelkę płynu po goleniu i maszynkę oraz krem do
golenia. Gwiazdkowy prezent od Bei.

- Jest przystojny - szepcze Kate. - Popieram twoją prze-
śladowczą kampanię w stu procentach, Joyce.

- To nie jest żadne prześladowanie - syczę. - Poza tym,
zrobiłabym to nawet, gdyby był brzydki.

- Mogę tam pójść i posłuchać wykładu? - pyta Kate.

- Nie!

- Dlaczego? Mnie nigdy nie widział, więc mnie nie rozpo-
zna. Proszę, Joyce. Moja najlepsza przyjaciółka wierzy, że jest
związana, niczym naczynia połączone, z obcym człowiekiem.
Chciałabym przynajmniej go posłuchać, zobaczyć, jaki jest.

- A co z Samem?

- Możesz go przez chwilę popilnować?

Zastygam.

- No dobrze - rzuca szybko Kate. - Zabiorę go ze sobą.
Stanę sobie z tyłu i wyjdę, jeżeli zaczniesz marudzić.

- Nie, nie, w porządku. Mogę go popilnować. - Prze-
łykam ślinę i przylepiam uśmiech do twarzy.

- Jesteś pewna? - Wygląda na nieprzekonaną. - Nie zo-
stanę do końca. Po prostu chcę zobaczyć, jaki on jest.

- Poradzę sobie. Idź. - Popycham ją delikatnie w kierun-
ku galerii. - Idź i baw się dobrze. My sobie tutaj posiedzimy,
prawda?

W odpowiedzi Sam wkłada do buzi duży palec u nogi.

- Obiecuję, że niedługo wrócę. - Kate pochyla się nad wózkiem, całuje syna i przebiega przez ulicę, zmierzając do galerii.

- No dobrze... - Rozglądam się nerwowo. - Zostaliśmy sami, ty i ja, Sean.

Spogląda na mnie wielkimi błękitnymi oczami i natychmiast moje wypełniają się łzami.

Rozglądam się dookoła, upewniając się, że nikt mnie nie słyszał. Miałam na myśli „Sam”.

Justin zajmuje miejsce na podium w sali wykładowej, która mieści się w piwnicach Galerii Narodowej. Wszystkie krzesła są zajęte. Wpatrują się w niego setki oczu. Justin jest w swoim żywiole. Do sali wchodzi spóźniony gość, młoda kobieta. Przeprasza i szybko zajmuje miejsce gdzieś z tyłu.

- Witam państwa i dziękuję bardzo za to, że przybyliście tu wszyscy w ten deszczowy poranek. Zamierzam opowiedzieć państwu o widocznym tu obrazie. *Kobieta pisząca list* Terborcha, siedemnastowiecznego artysty z epoki holenderskiego baroku, odpowiedzialnego w dużej mierze za popularyzację tematyki pisania listu. Obraz ten, choć oczywiście nie tylko on, oraz tematyka pisania listów to moja ulubiona dziedzina, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy tradycja korespondencji zdaje się niemal zaniknąć. - Przerywa.

Niemal, ale nie do końca, bo przecież ktoś wysłała mi liściki.

Schodzi z katedry, zbliża się nieco do publiczności i wpatruje się w nią z podejrzliwością wypisaną na twarzy. Przygląda się twarzom ludzi, przebiega wzrokiem po kolejnych rzędach, wiedząc, że gdzieś tam może ukrywać się tajemniczy autor notek.

Ktoś kaszle, wyrywając go z transu. Justin powraca do rzeczywistości. Nieco zakłopotany, kontynuuje wykład.

- W naszych czasach, kiedy pisanie listów stało się niemal przeżytkiem, jest to przypomnienie, jak wielcy mistrzo-

wie Złotego Wieku odzwierciedlali subtelność ludzkich emocji, na które wpływa, tak prosty, zdawać by się mogło, aspekt życia codziennego. Terborch nie był jedynym artystą tworzącym tego typu obrazy. Nie mógłbym nadal omawiać tego tematu, nie wspomniawszy o Vermeerze, Metsu i de Hoochu. Wszyscy oni malowali ludzi czytających, piszących, otrzymujących i wysyłających listy. Opisuję to w mojej książce pod tytułem *Złoty wiek holenderskiego malarstwa: Vermeer, Metsu i Terborch*. Obrazy Terborcha wykorzystują motyw pisania listu jako oś, na której obraca się życie z jego skomplikowanymi dramataми psychologicznymi. Jego dzieła są jedynymi z pierwszych, które łączą kochanków właśnie poprzez motyw korespondencji.

Przez połowę wykładu przygląda się kobiecie, która spóźniła się nieco na wykład, przez drugą zaś innej młodej kobiecie siedzącej za tą pierwszą. Zastanawia się, czy odczytując z jego słów głębsze, ukryte znaczenie. Niemal śmieje się sam z siebie. Dlaczego założył, że, po pierwsze, osoba, której uratował życie, znajduje się w audytorium, po drugie, że jest to młoda kobieta, a po trzecie, atrakcyjna. Zadaje sobie pytanie, właściwie jakiego zakończenia obecnego spektaklu oczekiwał?

Prowadzę wózek z Samem na Merrion Square i w jednej chwili zostajemy przetransportowani z georgiańskiego centrum miasta w inny świat, ocieniony starymi drzewami, otoczony kolorami. Ciemne pomarańcze, czerwienie i żółcie jesiennych liści pokrywają dywanem ziemię i z każdym podmuchem wiatru unoszą się i wirują wokół nas niczym ciekawskie rudziki. Znajduję ławkę w cichej alejce i odwracam wózek tak, żeby Sam mógł mnie widzieć.

Obserwuję go przez chwilę, kiedy wykręca głowę, żeby popatrzeć na liście jeszcze walczące o swoją pozycję na gałęziach tuż nad naszymi głowami. Wyciąga malutki paluszek w górę, do nieba, i wydaje z siebie niezrozumiały odgłos.

- Drzewo - wyjaśniam.

Mały uśmiecha się, nagle bardzo przypominając matkę.

Widok ten wywiera na mnie ten sam efekt, co kopniak w żołądek ciężkim buciorem. Przez chwilę nie mogę złapać tchu.

- Sam, skoro już tu jesteśmy, powinniśmy poważnie o czymś porozmawiać - mówię.

Sam uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Muszę cię za coś przeprosić - chrząkam. - Nie zajmowałam się tobą ostatnio, prawda? Problem w tym... - Przerwywam, czekając aż minie nas jakiś spacerowicz. - Problem w tym - ściszam głos - że nie mogłam znieść twojego widoku... - Znow milknę, kiedy Sam uśmiecha się jeszcze bardziej. - Och, chodź tutaj. - Pochylam się, odwijam kocyk i naciskam przycisk zwalniający szelki. - Chodź do mnie. - Wyjmuję go z wózka i sadzam na kolanach. Przytulam go mocno. Jest taki ciepły. Wdycham słodki zapach, trzymając twarz tuż nad jego głową. Włosy delikatne jak aksamit, ciało pulchne i miękkie. Mam ochotę ścisnąć go jeszcze mocniej. - Problem w tym - mówię cicho tuż nad jego głową - że twój widok i każde przytulenie łamały mi serce, bo przypominały mi, co straciłam. - W odpowiedzi spogląda na mnie i gaworzy. - Ale jak mogłam się tak ciebie bać, co? - Całuję go w nos. - Nie powinnam sobie tego na tobie odbijać, ale nie jesteś mój, a to takie trudne. - Do oczu napływają mi łzy. Pozwalam im stoczyć się po policzkach. - Chciałam mieć małego chłopczyka lub dziewczynkę, żeby, kiedy się uśmiechną, tak jak ty teraz, ludzie mogli powiedzieć: „Zobacz, wygląda zupełnie jak mama”. A może to dziecko miałoby moje oczy lub nos, bo to właśnie mówią mi ludzie. Że wyglądam jak moja mama. Uwielbiam tego słuchać, Sam, naprawdę uwielbiam, bo za nią tęsknię i chcę, żeby codziennie zauważano moje podobieństwo do niej. Ale nie chciałam, żeby spoglądanie na ciebie... Nie chciałam, żeby przypominało mi to o moim utraconym dziecku.

- Ba-ba - odpowiada Sam.

Pociągam nosem.

- Ba-ba już nie ma, Sam. Sean dla chłopczyka, Grace dla dziewczynki. - Wycieram nos.

Sam, niezainteresowany moimi łzami, spogląda w bok, przyglądając się ptaszкови. Celuje w niego pulchnym paluszkiem.

- Ptaszek - tłumaczę przez łzy.

- Ba-ba - odpowiada.

Uśmiecham się i ocieram wilgotne policzki. Łzy nadal płyną mi z oczu.

- Ale teraz nie ma już Seana lub Grace. - Tulę go mocno i płaczę, wiedząc, że Sam nikomu o tym nie powie.

Ptak skacze przez chwilę, a potem odlatuje w przestworza.

- Ba-ba nie ma - mówi Sam i wyciąga dłonie w górę.

Spoglądam na ptaka, nadal widocznego jako ciemny punktik na bładobłękitnym niebie. Przystaję płakać.

- Ba-ba nie ma - powtarzam.

- Co widzimy na tym obrazie? - pyta Justin.

Milczenie. Wszyscy patrzą na obraz.

- Zaczniemy od oczywistości. Młoda kobieta siedzi przy stole w cichym, skromnym pomieszczeniu. Pisze list. Widzimy pióro przesuwające się po kartce papieru. Nie wiemy, o czym pisze kobieta, ale jej słodki, łagodny uśmiech sugeruje, że to list do ukochanego lub kochanka. Pochyla głowę do przodu, eksponując piękny łuk szyi...

Sam wraca do wózka i siedzi tam, rysując coś zapamiętane błękitną kredką świecową, a raczej wali nią w kartkę papieru, zostawiając na niej kropki i rozpryskując wiórki wosku po całym wózku. Wyciągam własny notatnik. Biorę pióro i wyobrażam sobie, że słyszę słowa Justina z galerii po przeciwnej stronie ulicy. Nie muszę spoglądać na *Kobietę piszącą list*. Jej obraz wyrzył się w moich myślach po latach studiowania

go przez Justina w college'u i później, podczas zbierania materiałów do książki. Zaczynam pisać.

Kiedy przechodziłam przez fazę bycia gotem, farbowałam włosy na czarno, eksponowałam bladą twarz i poprzekłuwane kolczykami usta, pomalowane na czerwono, mama zapisała nas obie na kurs kaligrafii, w ramach aktywności zacieśniającej więź między matką a córką. Co środę o siódmej wieczorem chodiliśmy razem do pobliskiej szkoły podstawowej na naukę pisania.

Mama przeczytała w jakiejś książce, z którą tata się nie zgadzał, że uczestniczenie w zajęciach z dziećmi pozwoli im na łatwiejsze otwarcie się i dzielenie swoim życiem z rodzicami. Miałyby to robić same z siebie, zamiast być zmuszane do rozmów w cztery oczy, oficjalnych, niemal przypominających przesłuchanie, do jakich był przyzwyczajony tata.

Kurs zrobił swoje i chociaż marudziłam podczas lekcji, otworzyłam się i opowiedziałam jej wszystko. No, prawie wszystko. Reszty zapewne sama się domyśliła. Wyniosłam z tego doświadczenia pogłębioną miłość, szacunek i zrozumienie dla mojej mamy jako osoby i kobiety, nie tylko mamy. Nauczyłam się również kaligrafować.

Teraz, kiedy przykładam pióro do kartki papieru i rozpoczynam rytmiczną wędrówkę w górę i w dół, jak nas nauczono, przenosi mnie to we wspomnieniach do tamtej chwili, do klasy, w której siedziałam z mamą.

Słyszę jej głos, czuję jej zapach, odtwarzam nasze rozmowy, czasem dziwne, ponieważ mam siedemnaście lat i rozmawiamy o bardzo osobistych sprawach. Mówimy o tym na swój własny sposób, znajdując drogę do celu mimo trudności. Był to idealny wybór aktywności dla siedemnastoletniej dziewczyny. Lepszy, niż przypuszczała. Kaligrafia i rytm, koźnienie i styl gotycki, wszystko to wpisane w energię chwili. Zuniformizowany styl pisania, ale jednocześnie unikatowy. Lekcja, dzięki której zrozumiałam, że jednolitość niekoniecznie oznacza to, co myślałam. Istnieje wiele sposobów na wy-

rażanie siebie w świecie pełnym granic, bez konieczności ich przekraczania.

Nagle unoszę wzrok znad kartki.

- Trompe l'oeil - mówię na głos z uśmiechem.

Sam spogląda na mnie z zainteresowaniem znad swojego malunku.

- Co to znaczy? - pyta Kate.

- Trompe l'oeil to technika wymagająca niezwykle realistycznej wyobraźni, aby stworzyć optyczną iluzję, że namalowane przedmioty są rzeczywiste. Pochodzi z francuskiego *trompe*, czyli „trik”, i *l'oeil*, czyli „oko” - tłumaczy Justin publiczności. - „Oszukanie oka” - powtarza, rozglądając się po publiczności.

Gdzie ty jesteś?

- Jak poszło? - pyta Thomas Justina, kiedy ten wsiada do wozu po wykładzie.

- Widziałem cię stojącego z tyłu, więc sam mi powiedz.

- Nie znam się na sztuce, ale z całą pewnością wiedział pan, jak gadać godzinami o pewnej kobiecie piszącej list.

Justin uśmiecha się i sięga po kolejną darmową butelkę wody. Nie chce mu się pić, ale mają pod ręką a poza tym nic go nie kosztuje.

- Szukał pan kogoś? - pyta Thomas.

- O co ci chodzi?

- Wśród publiczności. Zauważyłem, że się pan przyglądał ludziom. Kobieta, tak? - Uśmiecha się szeroko.

Justin odpowiada mu tym samym i potrząsa głową.

- Nie mam pojęcia. Jeżeli ci powiem, pomyślisz, że oszalałem.

- I co sądzisz? - pytam Kate, kiedy spacerujemy po Merion Square i moja przyjaciółka zdaje mi sprawozdanie z wykładu Justina.

- Co sądzę? - powtarza, popychając powoli wózek z Samem. - Sądzę, że to nieważne, czy wczoraj jadł carpaccio i fenkuły, bo i tak wydaje mi się bardzo miłym mężczyzną. Myślę, że nie ma znaczenia, dlaczego czujesz z nim wspólno-

tę albo dlaczego coś cię do niego ciągnie. Powinnaś przestać kręcić się w kółko i wreszcie się mu przedstawić.

Potrząsam głową.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Wydawał się zainteresowany, kiedy biegł za twoim autobusem po ulicy i kiedy zobaczył cię na przedstawieniu baletowym. Co się zmieniło?

- Nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

- Skąd wiesz?

- Bo wiem.

- Ale skąd? I nie mów mi, że to znowu z powodu jakichś czarów i wróżenia z liści herbaty.

- Teraz pijam kawę.

- Nie cierpisz kawy.

- On najwyraźniej ją lubi.

Kate robi wszystko, co może, żeby nie nastawiać się negatywnie, ale odwraca wzrok.

- Jest zbyt zajęty poszukiwaniem kobiety, której ocalił życie. Przestał się mną interesować. Miał mój adres, nazwisko, telefon, Kate, i nigdy do mnie nie zadzwonił. Ani razu. Wyrzucił kartkę z tą informacją do kontenera na śmieci. Tyłko nie pytaj mnie, skąd to wiem.

- Znając ciebie, pewnie się w nim schowałaś.

Nie odzywam się.

Kate wzdycha.

- Jak długo zamierzasz prowadzić tę grę?

- Niezbyt długo. - Wzruszam ramionami.

- Co z pracą? Co z Conorem?

- Skończyłam z Conorem. Nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia. Cztery lata separacji i rozwód. Co do pracy, powiedziałam im, że wracam w przyszłym tygodniu. Mam już kalendarz wypełniony spotkaniami. Co do domu... cholera! - Zerkam na zegarek, sprawdzając, która godzina. - Muszę wracać. Za godzinę mam spotkanie z potencjalnymi nabywcami.

Szybki pocałunek na do widzenia i biegnę na przystanek.

- OK, to tutaj. - Justin patrzy przez okno samochodu w stronę drugiego piętra budynku, w którym znajduje się stacja krwiodawstwa.

- Chce pan oddać krew? - pyta Thomas.

- Nie ma mowy. Po prostu kogoś tu odwiedzam. Nie powinno mi to zająć zbyt wiele czasu. Jeżeli zobaczysz nadjeżdżające wozy policyjne, uruchom silnik.

W recepcji nerwowo pyta o Sarę i zostaje zaproszony do poczekalni. Otaczają go mężczyźni i kobiety w garniturach, czytający gazety i czekający na swoją kolejkę do oddania krwi. Przysuwa się do kobiety obok, przerzucającej żurnal. Pochyla się nad jej ramieniem i szepcze:

- Jest pani pewna, że pani tego chce?

Kobieta podskakuje przestraszona. Wszyscy pozostali opuszczają gazety i magazyny, wpatrując się w niego. Justin kaszle i spogląda w bok, udając, że ktoś inny wypowiedział te słowa. Na ścianach wokół niego plakaty zachęcają ludzi do oddania krwi i dziękują twarzami małych dzieci, ludzi, którzy wyleczyli się z białaczki i innych chorób. Justin czeka pół godziny, sprawdzając zegarek co minutę. Wie, że nie może się spóźnić na samolot. W końcu, kiedy w poczekalni pozostaje tylko jedna osoba, pojawia się Sara.

- Justin.

Nie jest chłodna, ostra ani rozgniewana. Mówi cicho, jak ktoś zraniony. To okropne. Wolałby, żeby się na niego gniewała.

- Sara. - Wstaje, żeby się z nią przywitać. Ściskają się dziwnie, całują w policzek raz i drugi. Trzeci zostaje przerwany i niemal staje się pocałunkiem w usta. Sara odsuwa się, kończąc tę farsę. - Nie mogę zostać zbyt długo. Muszę złapać samolot, ale chciałem cię zobaczyć. Czy możemy przez chwilę porozmawiać?

- Jasne. - Wchodzi do recepcji i siada z założonymi ramionami.

Justin rozgląda się dookoła.

- Nie masz jakiegoś gabinetu albo co?
- Tu jest cicho i spokojnie.
- Gdzie jest twoje biuro?

Spogląda na niego podejrzliwie i Justin porzuca próby wyciągnięcia od niej tej konkretnej informacji. Szybko siada obok niej.

- Przyjechałem, żeby przeprosić cię za moje zachowanie podczas naszego ostatniego spotkania. Właściwie to przy każdym spotkaniu i później. Naprawdę mi przykro.

Kiwa głową, czekając na więcej.

Do diabła, to wszystko, co miałem przygotowane! Myśl, myśl. Jest ci przykro i...

- Nie chciałem cię skrzywdzić. Tamtego dnia ci szaleni wikingowie naprawdę bardzo mnie rozproszyli. Właściwie można powiedzieć, że codziennie przez kilka ostatnich miesięcy rozpraszała mnie szaleni wikingowie *i... em... - Myśl!* - Czy mogę pójść do toalety? Jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Proszę?

Wygląda, że jest nieco zaskoczona, ale wskazuje mu drogę:

- Oczywiście. Tam na końcu korytarza.

Linda i jej mąż Joe stoją przed domem ze świeżo przybitej do przedniej ściany tablicy „Na sprzedaż” i zaglądają przez okno do dużego pokoju. Ogarnia mnie potrzeba chronienia tego miejsca, ale znika tak szybko, jak się pojawiła. Dom to nie miejsce, a przynajmniej nie to miejsce.

- Joyce? To ty? - Linda opuszcza okulary przeciwsłoneczne.

Uśmiecham się do nich niepewnie, sięgając do kieszeni po garść kluczy, wśród których nie ma już moich kluczyków do samochodu i kosmatej biedronki, którą kiedyś nosiła mama. Nawet klucze straciły duszę, charakter. Została im tylko funkcjonalność.

- Twoje włosy! Wyglądasz zupełnie inaczej.

- Witaj, Lindo. Witaj, Joe. - Wyciągam rękę na przywitanie, ale Linda ma inne plany i obejmuje mnie mocno.

- Tak bardzo, bardzo mi przykro - szepecze. - Biedula.

Miły gest, jeżeli znałabym ją nieco dłużej niż miesiąc. Nawet podczas naszych poprzednich spotkań robiła to samo, ciągle macając mnie po płaskim jeszcze brzuchu, kiedy dowiedziała się, że jestem w ciąży. To, że nagle moje ciało stało się własnością publiczną niesłychanie mnie wkurzało przez jedyny miesiąc, w którym byłam w stanie rozmawiać o ciąży.

- Zrobili to w szpitalu? - pyta cicho, spoglądając na moją fryzurę.

- Nie, nie - śmieję się. - Poszłam do fryzjera. - Aktywuję Dziwnie Optymistyczną Kobietę. Przekręcam klucz w zamku i wpuszczam ich do środka.

- Och - wzdycha podekscytowana Linda, a jej mąż uśmiecha się i bierze ją za rękę. Przypominam sobie siebie i Conora dziesięć lat temu, kiedy pojawiliśmy się, żeby obejrzeć dom opuszczony przez starszą panią, która mieszkała tu samotnie przez dwadzieścia lat. Podążam za młodszymi nami do środka i nagle to oni są prawdziwi, ja jestem tylko duchem. Pamiętam, co widzieliśmy, słucham naszej rozmowy, przeżywam jeszcze raz tamtą chwilę.

W środku śmierdziało wtedy niemożliwie, dywany były stare, podłogi trzeszczały, framugi okien spróchniały, a tapety były tak wiekowe, że zdążyły chyba wyjść z mody po raz trzeci. Wyglądało to obrzydliwie. Dom wymagał mnóstwa pracy i pieniędzy. Pokochaliśmy go od razu, gdy tylko do niego weszliśmy i stanęliśmy tam, gdzie teraz Linda i jej mąż.

Mieliśmy wtedy przed sobą całą przyszłość. Conor był Conorem, którego kochałam, a ja byłam dawną sobą. Doskonała harmonia. Potem Conor stał się tym, kim jest teraz, a ja zmieniłam się w Joyce, której już nie kochał. Dom robił się coraz piękniejszy, w miarę jak nasz związek stawał się coraz brzydszy. Pierwszej nocy po wprowadzeniu się tutaj potrafi-

liśmy leżeć na dywanie pełnym kociej sierści i być szczęśliwi, ale później każdy najmniejszy problem w naszym małżeństwie usiłowaliśmy naprawić, kupując nową kanapę, reperując drzwi, wymieniając okna. Gdybyśmy tak zamiast tego skoncentrowali się bardziej na sobie, na poprawianiu siebie, zamiast domu. Żadnemu z nas nie przyszło na myśl, że powinniśmy zlikwidować przeciągi w naszym małżeństwie. Wiatr dmuchał przez powiększające się pęknięcia, na które nie zwracaliśmy uwagi, dopóki pewnego poranka nie obudziliśmy się wychłodzeni.

- Pokażę wam dół, ale... em... - Spoglądam w stronę pokoju dla dziecka, który już nie wibruje, jak tuż po moim powrocie ze szpitala. To tylko drzwi, spokojne i nieruchome. Robią to, co powinny robić drzwi. Nic. - Proponuję, żebyście sami obejrzelisi górnę.

- Czy właściciele nadal tu mieszkają? - pyta Linda.

Rozglądam się dookoła.

- Nie. Już dawno się wyprowadzili.

Justin idzie w kierunku toalety, sprawdzając tabliczki na mijanych po drodze drzwiach, szukając gabinetu Sary. Nie ma pojęcia, gdzie zacząć, ale ma nadzieję, że jeśli znajdzie folder z informacjami o dawcach z Trinity College wczesną jesienią, uczyni kolejny krok.

Widzi jej nazwisko na drzwiach i puka delikatnie. Nie słyszy odpowiedzi, więc wchodzi i zamyka za sobą ostrożnie drzwi. Rozgląda się szybko i widzi stos folderów na półkach. Podchodzi do szafek na dokumenty i zaczyna je przeglądać. Chwilę później przekręca się klamka w drzwiach. Justin wrzuca dokumenty z powrotem do szuflady, odwraca się i zastygą. Z progu spogląda na niego zaskoczona Sara.

- Justin?

- Sara?

- Co ty robisz w moim gabinecie?

Jesteś wykształconym człowiekiem, wymyśl coś mądrego.

- Źle skręciłem.

Sara zakłada ramię na ramię.

- Może wreszcie powiedziałaś mi prawdę?

- Wracałem właśnie z toalety, zobaczyłem twoje nazwisko na drzwiach i pomyślałem, że wejdem i się rozejrzę, zobaczę, jak wygląda twoje biuro. Widzisz, uważam, że miejsce pracy odzwierciedla prawdziwy charakter osoby. Pomyślałem, że skoro czeka nas wspólna przyszłość...

- Nie czeka nas wspólna przyszłość.

- Och. Rozumiem. Ale gdyby czekała nas...

- Nie.

Przygląda się jej biurku i dostrzega fotografię Sara obejmującą małą dziewczynkę i jakiegoś mężczyznę, pozującą radośnie na plaży. Sara podąża za jego wzrokiem.

- To moja córka, Molly. - Zaciska usta, zła, że się odezwała.

- Masz córkę? - Justin sięga po ramkę, zawisa nad nią dłonią i spogląda na Sarę, prosząc o pozwolenie.

Sara kiwa głową, rozluźniając się nieco. Justin chwytając zdjęcie w dłoń.

- Jest śliczna.

- Też tak sądzę.

- Ile ma lat?

- Sześć.

- Nie wiedziałem, że masz córkę.

- Nie wiesz o mnie wielu rzeczy. Nigdy nie spędziłeś ze mną wystarczająco dużo czasu na naszych randkach, żeby rozmawiać o czymś więcej niż o tobie.

Justin się krzywi.

- Saro, tak mi przykro.

- Jasne, powiedziałeś to już, zanim przyszedłeś tutaj i zacząłeś węszyć.

- Nie węszyłem...

Jej spojrzenie powstrzymuje go przed kolejnym kłamstwem. Sara odbiera mu zdjęcie. Delikatnie. Nic w niej nie

jest agresywne ani twarde. Jest całkowicie rozczarowana. Nie po raz pierwszy idiota pokroju Justina ją zawiódł.

- Kim jest ten mężczyzna na fotografii?

Przygląda się zdjęciu ze smutkiem i odstawia je na miejsce.

- Jakiś czas temu bardzo chciałam ci o nim opowiedzieć - mówi cicho. - Właściwie to nawet próbowałam raz czy dwa.

- Przepraszam - powtarza Justin. Czuje się tak mały, że prawie chowa się pod jej biurko. - Jestem tu teraz i słucham.

- A ja jestem przekonana, że masz niedługo samolot.

- No tak. - Kiwa głową i rusza w kierunku drzwi. - Naprawdę bardzo, ale to bardzo mi przykro. Jestem zażenowany i rozczarowany sobą. - Nagle uświadamia sobie, że rzeczywiście czuje to, co mówi. - W tej chwili przechodzę przez trudne chwile.

- Pokaż mi kogoś, kto jest od tego wolny. Wszyscy mamy problemy, Justin. Nie wciągaj mnie w swoje, dobrze?

- Oczywiście.

Kiwa głową i uśmiecha się przepraszająco, a potem wychodzi z biura Sary, zbiega w dół po schodach i wsiada do samochodu, czując się malutki jak Tomcio Paluch.

- Co to jest?
- Nie wiem.
- Spróbuj to wytrzeć.
- Nie, ty to zrób.
- Widziałeś kiedyś coś takiego?
- Może.
- Co to znaczy, może? Albo widziałeś, albo nie.
- Nie wymądrzaj się.
- Nie wymądrzam się, tylko usiłuję zrozumieć, co to jest.

Myślisz, że zejdzie?

- Nie mam pojęcia. Spytajmy Joyce.

Słyszę mamrotanie Lindy i Joego w korytarzu. Zostawiłam ich samych, czekając w kuchni, popijając czarną kawę, spoglądając na krzew róży mamy w ogrodzie i obserwując duchy Joyce i Conora opalających się na trawie podczas upalnych dni lata.

- Joyce, czy moglibyśmy o coś zapytać?
- Jasne. - Odstawiam kubek, przechodzę koło ducha Conora przygotowującego swoją popisową lasagne, mijam ducha Joyce siedzącej w piżamie w ulubionym fotelu i zjadającej batonik Mars. Wchodzę na korytarz. Linda i Joe na czworaka przyglądają się plamie obok schodów. Mojej plamie.

- Myślę, że to wino. - Joe spogląda na mnie. - Czy właściciele powiedzieli cokolwiek o tej plamie?

- Em... - Trzęsą mi się nogi i przez chwilę się zastanawiam, co zrobią moje kolana. Pochyliam się, udając, że chcę się lepiej przyjrzeć plamie. Opieram się o poręcz schodów i zamykam oczy. - O ile wiem, była już czyszczona kilka razy. Chcecie zatrzymać dywan?

Linda się krzywi. Spogląda na schody, rozgląda się po domu, ze zmarszczonym nosem ocenia mój wystrój wnętrz.

- Nie, przypuszczam, że nie. Drewniane podłogi byłyby lepsze, nie sądzisz? - pyta Joego.

- Tak. - Kiwa głową. - Jasny dąb.

- Masz rację. Nie, nie sądzę, żebyśmy zatrzymali ten dywan.

Nie zamierzałam zatajać przed nimi, kim są właściciele. Nie miałyby to sensu, jeżeli zdecydują się podpisać kontrakt. Po prostu założyłam, że wiedzą, iż dom należy do mnie. Zwykłe nieporozumienie. Teraz jednak, kiedy zaczęli wytykać niedoskonałości wystroju wnętrz, rozmieszczenie pokoi, dziwne dźwięki i zapachy, do których nie przywykli, a które ja przestałam zauważać, pomyślałam, iż poczuliby się nieswojo, gdybym im powiedziała.

- Wygląda na to, że podoba wam się ten dom.

Uśmiecham się, patrząc na ich twarze rozjaśnione podnieceniem i radością. Wreszcie znaleźli miejsce, w którym czują się jak w domu.

- Tak - potwierdza Linda. - Byliśmy do tej pory bardzo wybredni, jak zresztą wiesz, ale sytuacja się zmieniła. Musimy wreszcie wyprowadzić się z naszego mieszkania do czegoś większego, i to jak najszybciej, skoro się rozrastamy, a raczej ja się rozrastam - żartuje nerwowo. Dopiero wtedy zauważam małe wybrzuszenie pod jej bluzką, twardy, wystający pępek.

- Och... - Gula w gardle, miękkie kolana, oczy pełne łez. Proszę, niech ta chwila szybko minie. Proszę, niech na mnie

nie patrzą. Na szczęście taktownie odwracają wzrok. - To fantastycznie, gratuluję - mówię radośnie, ale nawet ja słyszę, jak pusto brzmi mój głos, jak nieszczerze. Garść słów odbija się echem o ściany.

- Ten pokój na górze będzie idealny. - Joe kiwa głową w kierunku pokoiku dla dziecka.

- Och, oczywiście, no to świetnie.

Podmiejska gospodyni domowa z lat sześćdziesiątych powraca. Zachwycam się, i ocham, i acham aż do końca rozmowy.

- Nie mogę uwierzyć, że właściciele nie chcieli zabrać żadnych mebli. - Linda rozgląda się po domu.

- Oboje wyprowadzają się do mniejszych mieszkań i to, co mieli tutaj, po prostu się tam nie zmieści.

- I nie zamierzają zabrać zupełnie nic?

- Nic - rozglądam się z uśmiechem. - Nic poza krzewem róż z ogrodu.

I walizką wspomnień.

Justin wsiada do samochodu i głośno wzdycha.

- Co się panu stało?

- Nic. Mógłbyś zawieźć mnie prosto na lotnisko? Jestem troszeczkę spóźniony.

Opiera łokieć na podokienniku i zasłania twarz dłonią. Nienawidzi w tej chwili, tego egoistycznego, żalostnego człowieka, którym się stał. Nie pasowali do siebie z Sarą, ale jakie miał prawo wykorzystać ją w ten sposób, wciągnąć za sobą w grajdoł desperacji i egoizmu?

- Mam coś, co powinno panu poprawić humor - mówi Thomas, sięgając do schowka na rękawiczki.

- Nie, naprawdę nie jestem w... - przerywa, widząc, jak Thomas podaje mu znajomo wyglądającą kopertę.

- Skąd to wzięłeś?

- Mój szef do mnie zadzwonił i powiedział, że mam to panu oddać, zanim dotrze pan na lotnisko.

- Twój szef. - Justin przygląda się kierowcy podejrzliwie. - Jak on się nazywa?

Thomas milczy przez chwilę.

- John - odpowiada.

- John Smith? - pyta Justin z sarkazmem.

- Ten sam.

Wiedząc, że nie wyciągnie nic z Thomasa, Justin skupia się na kopercie. Przesuwa po jej brzegu palcem, zastanawiając się, czy ją otworzyć, czy nie. Mógłby ją zostawić w spokoju i zakończyć to wszystko, wrócić do normalnego życia, przestać wykorzystywać ludzi, poznać miłą kobietę i dla odmiany traktować ją w odpowiedni sposób.

- I co, nie zamierza jej pan otworzyć? - pyta Thomas.

Justin nadal przesuwając palcem po brzegu koperty.

- Może.

Tata otwiera drzwi ze słuchawkami w uszach i iPodem w dłoni. Przygląda mi się od stóp do głów.

- OOOOCH, WYGLĄDASZ DZISIAJ BARDZO ŁADNIE, GRACIE! - krzyczy. Mężczyzna z psem po przeciwnej stronie ulicy spogląda na nas. - BYŁAŚ NA JAKIMŚ SPECJALNYM SPOTKANIU?

Uśmiecham się. Nareszcie czuję lekką ulgę. Przykładam palec do ust i wyjmuję słuchawki z uszu taty.

- Pokazywałam dom klientom.

- Podobał im się?

- Zamierzają wrócić za kilka dni, żeby wymierzyć pokój. To dobry znak. Kiedy tam byłam, uświadomiłam sobie, że muszę przyjrzeć się wielu rzeczom.

- Nie wystarczy ci to, przez co przesłaś? Nie musisz robić wiwisekcji, żeby poczuć się lepiej.

Uśmiecham się.

- Miałam na myśli przedmioty, rzeczy, które zostawiłam w domu. Nie sądzę, żeby chcieli wszystkie meble. Czy mogę je przechować w twoim garażu?

- W moim studiu stolarskim?
- W którym nie byłeś od dziesięciu lat.
- Właśnie, że byłem - broni się. - No dobrze, możesz tam wstawić swoje rzeczy. Czyja kiedykolwiek się ciebie pozbęde? - dodaje z lekkim uśmiechem na twarzy.

Siadam przy stole kuchennym, a tata zaczyna się natychmiast krzątać. Nastawia czajnik, jak dla każdego, kto przekracza próg jego kuchni.

- Jak poszło spotkanie w Klubu Poniedziałkowym? Założę się, że Donal McCarthy nie mógł uwierzyć w twoją historię. Jaką miał minę? - pochylam się, zafascynowana.

- Nie było go. - Tata odwraca się do mnie plecami, po czym wyciąga kubek dla mnie i filiżankę ze spodeczkiem dla siebie.

- Co takiego? Dlaczego nie przyszedł? Zwłaszcza kiedy miałeś taką wspaniałą historię do opowiedzenia. Jak on śmia! Cóż, będziecie mieli następny tydzień, prawda?

Tata odwraca się powoli.

- Donal umarł w weekend. Jutro pogrzeb. Spędziliśmy cały wieczór, rozmawiając o nim i jego starych historiach, które opowiadał po sto razy.

- Och, tato, tak mi przykro.

- Ach, no cóż. Gdyby nie umarł w weekend, pewnie padłby trupem na wieść, że poznałem osobiście Michaela Aspela. Może to i dobrze. - Uśmiecha się smutno. - Nie był taki zły. Dobrze się bawiliśmy, nawet jeśli to polegało na denerwowaniu siebie nawzajem.

Robi mi się żal taty. To taka trywialna rzecz w porównaniu ze stratą przyjaciela, ale tak bardzo chciał podzielić się swoją historią ze swym największym adwersarzem.

Siedzimy oboje w milczeniu.

- Nie zostawisz im róży, prawda? - pyta wreszcie tata.

Od razu wiem, o czym mówi.

- Oczywiście że nie. Pomyślałam, że pięknie by wyglądała w twoim ogrodzie.

Tata przygląda się ogrodowi za oknem. Pewnie decyduje, gdzie wsadzić krzak.

- Musisz uważać, Grace. Zbyt duży szok powoduje poważne, a nawet śmiertelne pogorszenie stanu.

Uśmiecham się smutno.

- To trochę zbyt dramatyczne, ale nie martw się o mnie, tato. Dziękuję za troskę.

Nadal stoi odwrócony do mnie plecami.

- Mówiłem o różach.

Moja komórka dzwoni, wibruje na stole tak zapamiętale, że niemal z niego spada.

- Halo?

- Joyce, mówi Thomas. Odstawiłem właśnie twojego mężyczynę na lotnisko.

- Och, bardzo dziękuję. Dostał kopertę?

- Em, tak. Oddałem mu ją, ale właśnie spojrzałem na tylne siedzenie i nadal tam jest.

- Co takiego? - Zrywam się z krzesła. - Zawracaj! Zawracaj natychmiast. Musisz mu to dać. Zapomniał o niej.

- Problem w tym, że nie jestem pewien, czy chciał ją w ogóle otworzyć.

- Co? Dlaczego?

- Nie wiem, kochana! Dałem mu ją, kiedy wrócił do samochodu przed wyjazdem na lotnisko. Dokładnie tak, jak prosiłaś. Wydawał się bardzo przygnębiony i pomyślałem, że to go trochę rozchmurzy.

- Przygnębiony? Dlaczego? Co się stało?

- Joyce, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wszedł do samochodu przybity, więc dałem mu kopertę, a on siedział, przyglądając się jej przez dłuższy czas. Kiedy zapytałem, czy zamierza ją otworzyć, odpowiedział: „Może”.

- Może - powtarzam. Czyżby zrobiła coś, co go zdenerwowało? A może Kate coś mu powiedziała? - Był zdenerwowany po wyjściu z galerii?

- Nie, nie wtedy. Zatrzymaliśmy się przed punktem krwiodawstwa na D'01ier Street, zanim pojechaliśmy na lotnisko.

- Oddawał krew.

- Nie, powiedział, że musi się z kimś spotkać.

O mój Boże, może odkrył, że to ja dostałam jego krew i przestał być zainteresowany.

- Thomas, wiesz, czy otworzył tę kopertę?

- A zakleiłaś ją?

- Nie.

- W takim razie nie mam jak sprawdzić. Nie widziałem, żeby otwierał. Przykro mi. Chcesz, żebym podrzucił ją do ciebie w drodze z lotniska?

- Tak, proszę.

Godzinę później otwieram drzwi i widzę Thomasa, który wręcza mi kopertę. Czuję, że w środku są nadal bilety i smutniej. Dlaczego Justin nie wziął ich ze sobą? Dlaczego nie otworzył koperty?

- Proszę, tato. - Kładę ją na stole. - Prezent dla ciebie.

- Co to jest?

- Bilety na operę w przyszłym tygodniu - odpowiadam ze smutkiem, opierając brodę o dłoń. - Ofiarowałam je komuś innemu, ale najwyraźniej ten ktoś nie chce iść.

- Opera. - Tata robi zabawną minę, która mnie rozśmiesza. - Nie chodziłem na opery w czasie młodości. Czym to sieje?

Otwiera kopertę. Wstaję, żeby przygotować więcej kawy.

- Chyba jednak zrezygnuję, kochanie, ale dziękuję.

Odwracam się.

- Ale dlaczego, tato? Przecież podobał ci się balet, chociaż nie sądziłeś, że tak będzie.

- Tak, ale wtedy poszedłem z tobą. Nie zrobiłbym tego sam z siebie.

- Teraz też nie musisz. W kopercie są dwa bilety.

- Nieprawda.

- Na pewno są dwa. Sprawdź jeszcze raz.

Tata odwraca kopertę do góry nogami i potrząsa. Ze środka wypada kawałek papieru. Moje serce podskakuje z nadzieją.

Tata zsuwa okulary na czubek nosa i spogląda na notkę.

- „Pójdiesz ze mną” - mówi powoli. - Ach, kochanie, to bardzo miłe z twojej strony...

- Pokaż mi to. - Wrywam mu z rąk kartkę i odczytuję z niedowierzaniem. A potem jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze jeden raz.

Pójdiesz ze mną? Justin

- Chce się ze mną spotkać - mówię zdenerwowana, okręcając palec nitką z prującej się bluzki.

- Odetniesz sobie krążenie. Uważaj - odpowiada Kate z matczyną troską.

- Kate! Nie słyszałaś, co mówiłam? Chce się ze mną spotkać!

- I powinien. Nie sądziłaś, że to kiedyś nastąpi? Naprawdę, Joyce, pomyśl. Robiłaś sobie z niego żarty od tygodni. A jeśli rzeczywiście ocalił ci życie, tak jak twierdzisz, z całą pewnością chciałby poznać osobę, którą uratował. Powinnaś mu dodać pewności siebie. W końcu jest odpowiednikiem rycerza w lśniącej zbroi na białym koniu.

- Nieprawda.

- W jego oczach tak to właśnie się jawi. W jego oczach, którymi pożera młode panienki - rzuca agresywnie.

Spoglądam na nią uważnie.

- Wszystko w porządku? Zaczynasz mówić jak Frankie.

- Przestań gryźć wargę. Rozkrwawisz ją sobie. Wszystko jest w porządku. Po prostu cudownie.

- Już jestem - oznajmia Frankie, wpadając przez drzwi i dołączając do nas na odsłoniętych trybunach.

Siedzimy na balkonie obserwacyjnym nad basenem. Pod

nami Erie i Jayda z głośnym pluskiem uczą się pływać. Obok w wózczyku Sam rozgląda się ciekawie dookoła.

- Czy on kiedykolwiek coś robi? - Frankie przygląda się mu podejrzliwie.

Kate ją ignoruje.

- Podstawowym podmiotem dzisiejszej dyskusji jest to, czy musimy się bezustannie spotykać we wszystkich tych miejscach z tymi tam, pełzającymi wokoło? - Frankie spogląda na dzieci. - Co się stało z modnymi barami, nowymi restauracjami i sklepami? Pamiętacie? Kiedyś wychodziłyśmy na miasto i wspaniale się bawiłyśmy.

- Ja się doskonale bawię - odpowiada Kate nieco zbyt głośno i agresywnie. - Po prostu ubaw po pachy - dodaje i spogląda w bok.

Frankie nie słyszy niecodziennej nuty w głosie Kate, a może słyszy, ale postanawia ją zignorować.

- Tak, na obiadkach u innych par, które też nigdzie nie chodzą. Dla mnie to nie jest żadna zabawa.

- Zrozumiesz, kiedy będziesz miała dzieci.

- Nie planuję. Wszystko w porządku?

- Tak. Jej jest po prostu cudownie - odpowiadam za Kate, palcami zaznaczając w powietrzu cudzystów.

- Och, rozumiem - odpowiada Frankie i dodaje bezgłośnie: „Christian”.

Wzruszam ramionami.

- Czy chciałabyś o czymś porozmawiać? - pyta Frankie.

- Właściwie to tak. - Kate spogląda na nią gniewnie. - Jestem zmęczona twoimi złośliwymi komentarzami na temat mojego życia. Jeżeli nie bawi cię przebywanie tutaj lub w moim towarzystwie, idź sobie gdzie indziej, ale beze mnie. - Odwraca się, z policzkami zaczerwienionymi z gniewu.

Frankie milczy przez chwilę, obserwując przyjaciółkę.

- Świetnie - odpowiada żwawo, spoglądając na mnie. - Zaparkowałam przed basenem. Możemy pójść do nowego baru w mieście.

- Nigdzie nie idziemy - protestuję.

- Od kiedy zostawiłaś męża i twoje życie rozsypało się jak domek z kart, przestałaś być zabawna - odpowiada nachmurzona Frankie. - Jeżeli zaś chodzi o ciebie, Kate, od kiedy zatrudniłaś tę nową szwedzką nianię, na którą ma ochotę twój mąż, jesteś nie do wytrzymania. Co do mnie, mam już dość zmieniania mężczyzn jak rękawiczki, nic nieznaczącego seksu i jedzenia samotnie obiadów z mikrofalówki. No dobrze, powiedziałam to.

Patrzę zdumiona. Kate również. Obie staramy się z całych sił ją rozzłościć, ale jej komentarze są tak trafione, że aż śmieszne. Frankie trąca mnie łokciem i chichocze nerwowo do ucha. Kąciki ust Kate drgają.

- Powinnam zatrudnić męską niańkę - mówi wreszcie.

- Nie, nadal nie ufałabym Christianowi - odpowiada Frankie. - Jesteś paranoiczką, Kate - dodaje poważnie. - Byłam u ciebie, widziałam go. Świata za tobą nie widzi, a ta panienka w ogóle nie jest atrakcyjna.

- Tak sądzisz?

- Uhm.

Kiwa głową, ale kiedy Kate odwraca wzrok, mówi do mnie bezgłośnie „ślicznotka”.

- Powiedziałaś to serio? - rozjaśnia się Kate.

- Nie. - Frankie odrzuca głowę do tyłu i śmieje się. - Uwielbiam nic nieznaczący seks. Muszę tylko coś zmienić w sprawie obiadów z mikrofalówki. Mój lekarz twierdzi, że potrzebuję więcej żelaza. No dobrze. - Klaszcze w dłonie. Sam podskakuje ze strachu. - O czym miałyśmy dzisiaj rozmawiać?

- Justin chce się spotkać z Joyce - wyjaśnia Kate. - Prze stań przygryzać wargę! - dodaje surowo, spoglądając na mnie.

Robię posłusznie, co mi każe.

- Och, wspaniale - Frankie jest podekscytowana. - W czym problem? - widzi mój strach.

- Dowie się wtedy, że ja to ja.

- W przeciwieństwie do ciebie będącej...?
 - Kimś innym. - Znów przygryzam wargę.
 - Przypomina mi to stare dobre czasy. Masz trzydzieści trzy lata, Joyce. Dlaczego zachowujesz się jak nastolatka?
 - Ponieważ jest zakochana - wyjaśnia znudzonym tonem Kate, spoglądając na basen i klaszcze kaszlącej Jaydzie, której twarz jest w połowie zanurzona pod wodą.
 - Nie może być zakochana. - Frankie marszczy nos z odrazą.
 - Uważasz, że to normalne? - Kate zaczyna się niepokoić o Jaydę i pyta o naszą opinię.
 - Oczywiście że tak - odpowiada Frankie. - Przecież wcale nie zna tego gościa.
 - Dziewczyny, czy możemy na chwilę przerwać? - Kate usiłuje przetrząsnąć uwagę na swoją córkę.
 - Wiem o nim więcej niż jakakolwiek inna osoba - protestuję. - Poza nim samym.
 - Ach, pani ratownik! * Kate poddaje się i woła do kobiety siedzącej pod nami. - Czy moja córka przypadkiem się nie topi?
 - Jesteś zakochana? - Frankie patrzy na mnie, jakbym przed chwilą powiedziała, że zamierzam zmienić płeć.
- Uśmiecham się, kiedy ratowniczką skacze do wody, żeby uratować Jaydę. Kiloro dzieci krzyczy ze strachu.

- Musisz nas zabrać ze sobą do Irlandii. - Podekscytowana Doris stawia wazon na parapecie. Mieszkanie jest już niemal całkowicie urządzone. Pozostały tylko drobne rzeczy. - Może to jakiś wariat, nigdy nie wiadomo. Powinniśmy kręcić się w pobliżu, na wszelki wypadek. Może to jakiś morderca, seryjny prześladowca, który umawia się z ludźmi, a potem ich zabija. Widziałam coś takiego u Oprah.

Al zaczyna wbijać gwoździe w ścianę. Justin dołącza do niego, delikatnie i wielokrotnie waląc głową w stół kuchenny.

- Nie biorę was ze sobą do opery - mówi wreszcie.

- Zabrałeś mnie ze sobą na randkę z Delilah Jackson. - Al przestaje stukać młotkiem i spogląda na niego. - Dlaczego ta miałyby być inna?

- Al, miałem wtedy dwanaście lat.

- No i co z tego. - Wzrusza ramionami i powraca do wbijania gwoździ.

- A jeżeli to jakiś celebryta? - podnieca się Doris. - O mój Boże! Myślę, że tak właśnie jest! Jennifer Aniston mogłaby siedzieć w pierwszym rzędzie w operze, z wolnym miejscem obok. O mój Boże, a jeśli to prawda? - Spogląda na Alę podekscytowana. - Justin, musisz jej powiedzieć, że jestem jej największą fanką.

- Zaraz, zaraz, jedną chwileczkę. Zaczynasz hiperwentylować. Jakim cudem doszłaś do takiego wniosku? Nie wiemy nawet, czy to kobieta. Masz obsesję na punkcie gwiazd - wzdycha Justin.

- To prawda, Doris - dołącza się Al. - Prawdopodobnie to zwyczajny człowiek.

Justin się krzywi.

- Jasne, bo celebryci nie są zwyczajnymi ludźmi, tylko bestiami z głębin, które mają rogi i trzy nogi.

Al i Doris przestają stukać młotkami i spoglądają na niego.

- Jedziemy z tobą jutro do Dublina - decyduje Doris. - Twój brat ma urodziny, a weekend w Dublinie w jakimś miłym hotelu, jak Shelbourne, bo Al zawsze się tam zatrzymuje, byłby doskonałym prezentem dla niego od ciebie.

- Nie stać mnie na pokój w hotelu Shelbourne, Doris.

- W takim razie znajdziemy coś w pobliżu szpitala, w razie gdyby dostał zawału. Tak czy inaczej, jedziemy z tobą. - Doris klaszcze w ręce z zadowolenia.

Jestem w drodze na spotkanie z Kate i Frankie. Chcę, żeby pomogły mi wybrać strój na wyjście do opery dziś wieczorem. Nagle dzwoni telefon.

- Halo?

- Joyce, mówi Stephen.

Mój szef.

- Właśnie otrzymałem kolejny telefon.

- To wspaniale, ale nie musisz do mnie dzwonić za każdym razem, kiedy się to dzieje.

- Kolejna skarga, Joyce.

- Czyja i w jakiej sprawie?

- Ta para, której pokazywałeś wczoraj nowy dom.

- Tak?

- Wycofali się.

- Och, to wielka szkoda - mówię nieszczerze. - Powiedzieli dlaczego?

- Owszem. Najwyraźniej pewna osoba z naszej firmy doradziła im odtworzyć właściwie styl epoki, w której został zbudowany ten dom. Mieli zażądać od robotników dodatkowej pracy. Zgadnij, co się stało? Firma budowlana nie była zbyt zainteresowana otrzymaną listą, zawierającą, cytuję „odkryte dźwigary, nagą cegłą, żelazny piec na drewno, otwarte kominki...” i tak dalej. W związku z tym nabywcy się wycofali.

- Dla mnie to bardzo rozsądna lista. Firma budowlana zamierzała odrestaurować domy w stylu epoki bez żadnych detali w stylu epoki. Czy uważasz, że to ma jakikolwiek sens?

- Kogo to obchodzi? Joyce, miałaś ich tylko wpuścić, żeby wymierzili pokój przed zamówieniem kanapy. Douglas już im sprzedał ten dom, kiedy ty... kiedy cię nie było.

- Najwyraźniej jednak nie sprzedał.

- Joyce, przestań zrażać naszych klientów. Czy muszę ci przypominać, że twoja praca polega na sprzedawaniu domów? Jeżeli tego nie robisz, w takim razie...

- W takim razie co? - pytam wyniośle. Zaczyna się we mnie gotować.

- Nic - łagodnieje. - Wiem, że ostatnio miałaś problemy... - zaczyna niepewnie.

- Poradziłam sobie z nimi, a poza tym nie mają żadnego wpływu na moją zdolność sprzedaży domu - odpowiadam ostro.

- W takim razie sprzedaj jakiś - kończy Stephen.

- Doskonale. - Zatrząskuję klapkę telefonu i wpatruję się przez szybę autobusu w mijane domy. Tydzień w pracy, a ja już potrzebuję przerwy.

- Doris, czy to naprawdę konieczne? - jęczy Justin z łaźienki.

- Tak! - krzyczy Doris. - Po to tu właśnie jesteśmy. Musimy się upewnić, że dziś wieczorem będziesz odpowiednio wyglądał. Pospiesz się. Przebranie się zabiera ci więcej czasu niż kobiecie.

Doris i Al siedzą na brzegu łóżka w dublińskim hotelu, choć ku wielkiemu rozczarowaniu Doris to nie Shelbourne. Już bardziej Holiday Inn, ale jest w centrum miasta, na ulicy ze sklepami i to jej wystarcza. Zaraz po wylądowaniu rano Justin był przygotowany na oprowadzenie ich po dublińskich muzeach, kościołach, zamkach i innych miejscach, ale Al

i Doris mieli co innego na głowach. Zdołali jedynie wybrać się na wycieczkę autobusem wikingów, w trakcie której Doris zawyła jak wilk, kiedy woda ochlapała jej twarz podczas wodowania w rzece Liffey. Objazd skończył się pospieszną ucieczką do najbliższej toalety, w której Al musiał wypłukać rozpuszczony tusz z jej oka.

Do rozpoczęcia spektaklu w operze pozostało tylko kilka godzin. Wreszcie Justin odkryje tożsamość tajemniczego biorcy. Na myśl o tym był zdenerwowany i jednocześnie podniekcytowany. Będzie to wieczór pełen prawdziwej przyjemności lub tortury, w zależności od jego szczęścia. Musiał jeszcze wymyślić plan ewakuacji, na wypadek, gdyby spełnił się najczarniejszy scenariusz.

- Pospiesz się, Justin! - krzyczy znowu Doris.

Justin kończy wiązać krawat i wychodzi z łazienki.

- Ruchy! Ruchy! Ruchy! - skanduje Doris.

Justin przechadza się po pokoju w swoim najlepszym garniturze. Zatrzymuje się przed Alem i Doris i przestępuje nerwowo z nogi na nogę. Czuje się jak mały chłopiec w garniturze do pierwszej komunii.

Cisza. Al przerywa zajadanie z niesamowitą prędkością popcornu.

- Co? - pyta Justin nerwowo. - Coś nie tak? Mam coś na twarzy? Jest gdzieś plama? - Spogląda na garnitur.

Doris wywraca oczami i potrząsa głową.

- Ha, ha, bardzo śmieszne. A teraz poważnie, przestań marnować nam czas i pokaż się w prawdziwym garniturze.

- Doris! To jest prawdziwy garnitur! - wykrzykuje Justin.

- To twój najlepszy garnitur? - jęczy Doris, przyglądając się mu od stóp do głów.

- Chyba miałeś go na swoim ślubie. - Al przygląda się mu uważnie.

Doris wstaje i chwyta torebkę.

- Zdejmij to - mówi cicho.

- Co? Dlaczego?

Doris nabiera powietrza w płuca.

- Po prostu zdejmij. Natychmiast.

- To zbyt formalne, Kate. - Kręcę nosem na widok sukienek, które wybrała. - Nie idę na bal. Potrzebuję czegoś...

- Seksownego - mówi Frankie, machając przede mną krótką sukienką.

- Idzie do opery, nie do nocnego klubu. - Kate wrywa jej wieszak z rąk. - No dobrze, spójrz na to. Nieformalne, ale też nie prowokujące.

- Tak, w sam raz dla zakonnicy - rzuca Frankie z sarkazmem.

Obie odwracają się i przeglądają garderobę.

- Aha! Mam! - oznajmia Frankie.

- Nie. Ja mam lepszą.

Obie odwracają się na trzy cztery z takimi samymi sukienkami w ręku, tylko w różnych kolorach. Kate z czerwoną Frankie z czarną. Przygryzam wargę.

- Przestań! - krzyczą zgodnym chórem.

- O mój Boże - szepcze Justin.

- Co? Nigdy przedtem nie widziałeś różowego garnituru w prążki? Jest boski. Z tą łososiową koszulą i różowym kravatem będzie idealny. Och, Al, chciałabym, żebyś nosił takie garnitury.

- Wolę niebieski. - Al odważa się nie zgodzić. - Różowy wygląda trochę gejowsko. A może to dobry pomysł, w razie gdyby spotkanie okazało się całkowitą porażką. Możesz jej zawsze powiedzieć, że twój chłopak na ciebie czeka. Pomogę ci - oferuje.

Doris spogląda na niego z pogardą.

- Sam powiedz, czy to nie lepsze niż rzeczy, które nosisz? Justin? Ziemia do Justina! Na co ty patrzysz? Och, całym ładna dziewczyna.

- To Joyce - szepcze.

Kiedyś czytał, że serce kolibra bije z częstotliwością ty-
siąca dwustu sześćdziesięciu uderzeń na minutę. Zastanawiał
się wtedy, jakim cudem można coś takiego przeżyć. Teraz
zrozumiał. Czuł pulsowanie wszędzie, w szyi, nadgarstkach,
sercu i żołądku.

- To jest Joyce? - pyta Doris zaskoczona. - Kobieta od
telefonu? Cóż, wygląda... normalnie, Justin. Co o tym są-
dzisz, Al?

Al przygląda się nieznajomej od stóp do głów, a potem
trąca brata.

- No, wygląda naprawdę normalnie. Powinieneś się z nią
w końcu umówić.

- Dlaczego jesteście tacy zaskoczeni, że wygląda normal-
nie? - Dum-dum. Dum-dum.

- Mój drogi, sam fakt, że istnieje, jest zaskakujący - par-
ska Doris. - To, że jest ładna, zakrawa na cud. Dalej, zaprosź
ją na obiad dziś wieczór.

- Nie mogę. Nie dziś.

- Dlaczego?

- Idę do opery!

- Chrzanić operę. Kogo to obchodzi?

- Nie przestawałaś o tym mówić od tygodnia, a teraz mam
chrzanić operę? - Dum-dum. Dum-dum.

- Nie chciałam cię przedtem niepokoić, ale myślałam
o tym w samolocie i... - Nabiera powietrza w płuca i delikat-
nie dotyka jego ramienia. - To nie może być Jennifer Ani-
ston. Najprawdopodobniej w pierwszym rzędzie będzie cze-
kała na ciebie starsza kobieta z bukietem kwiatów, którego
wcale nie chcesz, albo otyły facet, któremu śmierdzi z buzi.
Przepraszam, Al, nie miałam na myśli ciebie. - Przepraszają-
co głaszcze męża po ramieniu.

Al jest jednak zbyt wstrząśnięty wizją żony, żeby zauwa-
żyć afront.

- Co takiego? Aleja zabrałem ze sobą moją książkę auto-
grafów!

Serce Justina uderza z prędkością serca kolibra, umysł szaleje niczym kolibrze skrzydła. Nie może myśleć, wszystko dzieje się tak szybko. Joyce, z bliska znacznie piękniejsza, niż pamiętał, w nowej krótkiej fryzurze okalającej twarz, zaczyna się oddalać. Musi coś zrobić, i to szybko. *Mysł! Mysł! Mysł!*

- Zaprosz ją na obiad jutro wieczorem - sugeruje Al.
- Nie mogę! Mam jutro wystawę.
- Zrezygnuj. Powiedz, że jesteś chory.
- Nie mogę, Al! Pracowałem nad tym od miesiący. Jestem cholernym kuratorem. Muszę tam być. - Dum-dum. Dum-dum.
- Jeżeli ty się z nią nie umówisz, ja to zrobię za ciebie. - Doris popycha go do przodu.

- Jest zajęta. Przyszła tu z przyjaciółkami.

Joyce zaczyna się oddalać.

- Joyce! - krzyczy Doris.

- Jezu Chryste!

Justin usiłuje odwrócić się i uciec w przeciwnym kierunku, ale Al i Doris blokują mu drogę ucieczki.

- Justin Hitchcock - słyszy i zaprzestaje prób sforsowania żywej bariery.

Odwraca się powoli. Kobieta stojąca przy Joyce wydaje się mu znajoma. Obok niej stoi wózek z małym dzieckiem.

- Justin Hitchcock. - Kobieta wyciąga dłoń na przywitanie. - Kate McDonald. - Potrząsa mocno jego ręką. - Byłam na pana wykładzie w Galerii Narodowej. Niesamowicie interesujący. - Uśmiecha się. - Nie wiedziałam, że zna pan Joyce. - Trąca przyjaciółkę łokciem. - Joyce?! Nigdy mi nie mówiłaś, że znasz Justina Hitchcocka! Byłam na jego wykładzie w zeszłym tygodniu. Pamiętasz, opowiadałam ci o tym? Obraz z kobietą i listem? Kobieta piszącą list?

Oczy Joyce są szeroko rozwarte, pełne zaskoczenia. Spogląda to na Justina, to na przyjaciółkę.

- Właściwie to Joyce niezupełnie mnie zna - odzywa się wreszcie Justin. Słyszy lekkie drżenie w swoim głosie. Adre-

nalina płynie w jego żyłach w takim stężeniu, że ma wrażenie, że zaraz wystartuje w górę jak rakieta i przebije sufit sklepu. - Mijaliśmy się przy kilku okazjach, ale nigdy nie mieliśmy możliwości się poznać. - Wyciąga dłoń. - Joyce, jestem Justin.

Joyce wyciąga do niego rękę i między ich palcami przebiega iskra. Odskakują od siebie szybko.

- Oj! - Joyce chowa dłoń w dłoni, jakby się poparzyła.

- Ooooooch - wzdycha Doris.

- To elektrostatyczność, Doris. Powstaje, kiedy powietrze i stykające się powierzchnie są przesuszone. Powinni tu wstać nawilżacze - mówi Justin niczym robot, nie odrywając wzroku od twarzy Joyce.

Frankie spogląda w bok i usiłuje powstrzymać śmiech.

- Czarujące.

- Bez przerwy mu to powtarzam - rzuca gniewnie Doris.

Po chwili Joyce znów wyciąga dłoń, żeby dokończyć przywitanie.

- Przepraszam, chyba strzelił mnie...

- Nie szkodzi. Mnie też - uśmiecha się Justin.

- Miło mi wreszcie pana poznać.

Trzymają się za ręce i wpatrują w siebie. Doris i Al stoją naprzeciwko przyjaciółek Joyce.

- Jestem Doris. - Bratowa Justina przerywa milczenie. - Żona jego brata.

Sięga ponad złączonymi dłońmi Justina i Joyce w kierunku Frankie.

- Frankie.

Potrząsają dłońmi. W tym samym czasie Al wita się z Kate. Maraton potrząsania dłońmi. Wszyscy robią to jednocześnie. W końcu Joyce i Justin kończą to przydługie przywitanie.

- Zgodziłabyś się pójść dzisiaj na obiad z Justinem? rzuca Doris.

- Dzisiaj? - Joyce otwiera usta ze zdziwienia.

- Z największą przyjemnością - odpowiada za nią Frankie.

- Ale dzisiaj? - Justin spogląda na Doris w szoku.

- Och, to nie problem. I tak chcieliśmy wybrać się gdzieś z Alem bez ciebie. - Trąca go łokciem. - Nie potrzebujesz przyzwoitki - uśmiecha się.

- Jesteś pewien, że nie wolałbyś pozostać przy swoich wcześniejszych planach na dzisiejszy wieczór? - pyta lekko zdezorientowana Joyce.

- O nie. - Justin potrząsa głową. - Bardzo chciałbym zjeść z tobą obiad. Chyba że ty masz jakieś plany na dziś wieczór?

Joyce spogląda na Frankie.

- Dziś wieczór? Mam coś, Frankie...

- Och, nie bądź głuptasem. Tak naprawdę w tej chwili to nieważne. - Frankie spogląda na nią znacząco. - Pójdziemy na drinka kiedy indziej - macha dłonią niedbale. - Gdzie ją pan zabierze? - Uśmiecha się słodko do Justina.

- Hotel Shelbourne? - sugeruje Doris. - O ósmej?

- Och, zawsze chciałam tam pójść na obiad - wzdycha Kate. - Ósma jest w porządku - decyduje.

Justin uśmiecha się i spogląda na Joyce.

- Rzeczywiście?

Joyce zastanawia się przez chwilę, jej umysł pędzi na złamanie karku, w rytm szalonego bicia serca.

- Jesteś absolutnie pewien, że chcesz anulować swoje plany na dziś wieczór? - Marszczy czoło i wpatruje się w niego intensywnie.

Justina ogarnia poczucie winy, kiedy myśli o osobie, którą zamierza zawieść dziś wieczór. Kiwa głową raz, chociaż nie jest pewny, jak bardzo przekonująco wypadł.

Wyczuwając to, Doris zaczyna go odciągać.

- Było nam bardzo miło panie poznać, ale musimy wrócić do zakupów. Miło mi, Kate, Frankie, kochana Joyce. - Ścisną ją przełomie. - Bawcie się dobrze na obiedzie. O ósmej. W hotelu Shelbourne. Nie zapomnij.

- Czerwona czy czarna? - Joyce pokazuje dwie sukienki Justinowi.

Justin przygląda się im uważnie.

- Czerwona.

- W takim razie czarna. - Joyce się uśmiecha, naśladując ich pierwszą i jak dotąd jedyną rozmowę z salonu fryzjerskiego, pierwszego dnia ich znajomości.

Justin śmieje się i pozwala się odciągnąć Doris.

- Dlaczego to zrobiłaś, Doris? - pyta Justin w drodze do hotelu.

- Rozprowiałeś o tej kobiecie od tygodni, a teraz wreszcie masz z nią randkę. Co w tym złego?

- Miałem plany na dzisiejszy wieczór! Nie mogę tak po prostu zawieść tego człowieka.

- Nie wiesz nawet, kim on jest!

- To nie ma znaczenia. Tak czy inaczej, zachowałbym się niegrzecznie.

- Justin, bądź poważny. Posłuchaj mnie. Te wszystkie podziękowania mogą być zwyczajnie okrutnym żartem.

Justin przygląda się jej z podejrzliwością.

- Asą?

- Naprawdę nie mam pojęcia.

- Ja też nie. - Al wrusza ramionami. Zaczyna dyszeć.

Doris i Justin natychmiast zwalniają.

Justin wzdycha.

- Wolałbyś zaryzykować pojawienie się na spotkaniu, po którym absolutnie nie wiesz, czego się spodziewać, czy pójść na obiad z ładną dziewczyną, za którą szalejesz i o której nie przestajesz myśleć od tygodni?

- Daj spokój - przyłącza się Al. - Kiedy ostatnim razem

czułeś coś takiego do jakiegokolwiek kobiety? Nie wiem nawet, czy zachowywałeś się w ten sposób z Jennifer.

Justin się uśmiecha.

- No więc, braciszku? Jak będzie?

- Naprawdę powinien pan coś łykać na tę zgagę, panie Conway - dobiega mnie z kuchni głos Frankie.

- Na przykład co? - Tacie wyraźnie podoba się towarzystwo dwóch młodych kobiet.

- Christian ma co chwila zgagę - mówi Kate.

Słyszę, jak Sean gaworzy coś cicho. Tata odpowiada mu, naśladowując jego nie-słowa.

- Och, to się nazywa... - Kate myśli. - Nie pamiętam, co to za lekarstwo.

- Jesteś zupełnie jak ja - mówi tata. - Też masz NPNC.

- Co to takiego.

- Nie. Pamiętam. Ni. Chole...

- Jestem gotowa! - Krzyczę z pięterka do wszystkich.

- Hurrra! - wykrzykuje Frankie.

- Kamera gotowa! - oznajmia Kate.

Tata zaczyna imitować grę na trąbce, kiedy schodzę ze schodów. Śmieję się głośno. Patrzę na zdjęcie mamy na stoliku w przedpokoju, przez cały czas wpatruję się jej w oczy. Mrugam do niej figlarnie, kiedy ją mijam.

Gdy tylko pojawiaam się w korytarzu i staję przed tatą wraz z moimi przyjaciółkami siedzącymi w kuchni, wszyscy milkną.

- Co się dzieje? - pytam z powagą.

- Och, Joyce - szepcze Frankie, jakbym zrobiła coś złego. - Wyglądasz tak pięknie.

Oddycham z ulgą i przyłączam się do nich w kuchni.

- Obróć się. - Kate filmuje mnie przez cały czas.

Obracam się w mojej nowej czerwonej sukience, przy akompaniamencie klaskania pulchnych rączek Sama.

- Panie Conway, nic pan nie powiedział! - Frankie trąca tatę. - Czy nie wygląda pięknie?

Wszyscy spoglądamy na tatę, który siedzi w milczeniu, z oczami pełnymi łez. Szybko kiwa głową, ale nic nie mówi.

- Och, tato - obejmuję go. - To tylko sukienka.

- Wyglądasz ślicznie, kochanie - udaje mu się wreszcie wykrztusić. - Powodzenia na randce, dziecino. - Całuje mnie w policzek i ucieka do dużego pokoju, zawstydzony emocjami.

- Zdecydowałeś już, gdzie dzisiaj idziesz? - pyta Frankie z uśmiechem. - Opera czy obiad?

- Nadal nie wiem.

- Zaprosił cię na obiad - mówi Kate. - Dlaczego uważasz, że wolałby operę?

- Ponieważ, po pierwsze, to nie on zaprosił mnie na obiad, tylko jego bratowa. Po drugie, ja się nie zgodziłam. Ty to za mnie zrobiłeś. - Spoglądam na Kate. - Pewnie mężczy go nie-wiedza, komu uratował życie. Nie wyglądał na przekonanego co do pomysłu obiadu, nie sądzisz?

- Przestań się dopatrywać nie wiadomo czego - mówi Frankie. - Zaprosił cię na obiad i koniec.

- Miałam jednak wrażenie, że czuje się winny, że wystawia do wiatru osobę, z którą umówił się do opery.

- Niekoniecznie - oponuje Kate. - Wyglądało na to, że naprawdę chce pójść z tobą na ten obiad.

- Trudna decyzja - podsumowuje Frankie. - Nie chciałabym być w twoich butach.

- Hej, to są moje buty - obraża się Kate. - Dlaczego nie możesz się po prostu przyznać, że to ty?

- Chciałam się przyznać, spotykając się z nim w operze. To właśnie miał być finał. Wieczór, gdy miał się dowiedzieć.

- W takim razie idź z nim na obiad i powiedz, że przez cały czas to byłaś ty.

- A jeżeli on pójdzie do opery?

Gadamy tak w kółko jeszcze przez jakiś czas. Kiedy dziewczyny wreszcie wychodzą, przepowiadam wszystkie za i przeciw w głowie, aż zaczyna mi się w niej kręcić tak bardzo, że nie mogę więcej myśleć. Przyjeżdża taksówka i tata odprowadza mnie do drzwi.

- Nie wiem, o czym tak zawzięcie rozmawialiście, ale jedno jest pewne - musisz podjąć decyzję w pewnej sprawie. Zrobiłaś to już? - pyta łagodnie.

- Nie wiem, tato. - Przełykam głośno. - Nie wiem, która decyzja jest słuszna.

- Oczywiście, że wiesz. Zawsze idziesz swoją drogą, kochanie. Zawsze.

- Co masz na myśli?

Spogląda na ogród.

- Widzisz tę ścieżkę?

- Chodnik?

Potrząsa głową i wskazuje na dróżkę wydeptaną w trawniku.

- To tyją zrobiłaś.

- Co? Nie rozumiem.

- Kiedy byłaś mała. - Uśmiecha się. - W świecie ogrodniczym nazywamy to „liniami pragnień”. To drogi, które wydeptują dla siebie ludzie. Zawsze unikałaś ścieżek ułożonych przez innych, kochanie. Szłaś własną drogą, znajdowałaś swoje własne sposoby na życie, nawet jeżeli, koniec końców, docierałaś do tego samego punktu, co wszyscy inni. Nigdy nie chciałaś podążać oficjalnymi szlakami. - Parska śmiechem. - O nie, nie ty. Zdecydowanie jesteś córką swojej matki. Chodzisz na skróty, tworzysz własne ścieżki, kiedy ja trzymam się wybrukowanych dróg i obchodzę wszystko dookoła. - Uśmiecha się do swoich wspomnień.

Oboje przyglądamy się wąskiej wstążce wydeptanej trawy prowadzącej do prawdziwej ścieżki.

- Linie pragnień - powtarzam. Widzę siebie jako małą dziewczynkę, nastolatkę, dojrzałą kobietę, za każdym razem

podążającą tym samym szlakiem. - Przypuszczam, że marzenia nie są liniowe. Nie ma prostej drogi wiodącej tam, dokąd pragniesz dotrzeć.

- Czy wiesz już, co zrobisz? - pyta, kiedy wsiadam do taksówki.

Uśmiecham się i całuję go w czoło.

- Tak.

Wysiadam z taksówki na Stephen's Green i natychmiast widzę tłumy zmierzające w stronę teatru Gaiety. Wszyscy elegancko ubrani w uznaniu dla najlepszego przedstawienia w Operze Narodowej. Nigdy wcześniej nie byłam na operze, widziałam tylko jedną w telewizji. Moje serce zmęczone ciałem, które nie nadaża, tłucze się szaleńczo, usiłując się z niego wydostać i samo pobiec do budynku. Wypełnia mnie trema i oczekiwanie oraz największa nadzieja w moim życiu. Wreszcie dopełni się ostatni etap planu. Boję się strasznie, że Justin rozgniewa się na mnie, chociaż z drugiej strony dlaczego miałby tak zareagować? Przerabiałam to setki tysięcy razy w głowie i nie potrafiłam dojść do żadnej rozsądnej konkluzji.

Zatrzymuję się w połowie drogi między hotelem Shelbourne i teatrem Gaiety, stojącymi jakieś trzysta metrów od siebie. Spoglądam to na jedno, to na drugie, zamykam oczy i nie obchodzi mnie, że wyglądam głupio, stojąc tak na środku ulicy.

Sobotnia noc. Czekam na wezwanie. W którą stronę iść? Na prawo do Shelbourne, na lewo do Gaiety. Serce łomocze mi w piersi.

Zwracam się w lewo i maszeruję pewnym krokiem w stronę teatru. Wewnątrz tętniącego życiem foyer kupuję program

i ruszam w stronę swojego miejsca. Nie ma czasu na drinka przed występem: jeżeli Justin pojawi się tu wcześniej i zobaczy, że mnie nie ma, nigdy sobie tego nie wybaczę. Miejsca w pierwszym rzędzie - nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu, chociaż zadzwoniłam w chwili, gdy rozpoczęto sprzedaż, tak bardzo chciałam je zdobyć.

Siadam w aksamitnym fotelu. Czerwona suknia zwisa po obu stronach siedzenia, torebka na kolanach, lśniąca buty Kate. Orkiestra jest tuż przede mną, muzycy dostrajają się i rozgrzewają, wszyscy ubrani na czarno - obywatele podziemia pełnego niesamowitych dźwięków.

Atmosfera jest magiczna. Po bokach widzę galerie i balkony. Setki ludzi rozmawia z podnieceniem, orkiestra nadal się dostraja, dążąc do perfekcji. Wokół mnie falują ciała, balkony wyglądają jak plastry miodu, powietrze przesiąknięte jest perfumami i zapachem wody kolońskiej. Czysta rozkosz.

Spoglądam w prawo, na pusty fotel i drzę z podekscytowania.

Głośniki oznajmniają, że przedstawienie rozpocznie się za pięć minut i spóźnialscy będą musieli poczekać z zajęciem miejsc do antraktu. Wolno im jednak będzie oglądać pierwszą część na specjalnych ekranach, dopóki porządkowi nie wpuszczą ich do środka.

Pospiesz się, Justin, pospiesz się, błagam, wybijając stopami nerwowy rytm.

Justin idzie szybkim krokiem z hotelu wzdłuż Kildare Street. Przed chwilą brał prysznic, ale jego skóra już jest mokra od potu. Koszula przylega do ciała, a czoło lśni. Zatrzymuje się na końcu ulicy. Tuż przed nim widnieje hotel Shelbourne, teatr Gaiety jest trzysta metrów dalej, po prawej.

Zamyka oczy i oddycha głęboko, zaciąga się świeżym październikowym powietrzem Dublina.

W którą stronę pójść. W którą stronę pójść.

*

Przedstawienie się rozpoczęło. Nie mogę oderwać wzroku od drzwi po prawej stronie. Na widok pustego fotela obok mnie czuję ucisk w gardle. Kobieta na scenie śpiewa z niesamowitym uczuciem, a ja, ku niezmiernej irytacji moich sąsiadów po lewej i z tyłu, nie mogę powstrzymać się od wpatrywania w drzwi. Pomimo zapowiedzi kilkorgu osobom pozwolono wejść do środka. Szybko zajęli miejsce. Jeżeli Justin nie przyjdzie teraz, prawdopodobnie będzie musiał poczekać do antraktu.

Odwracam się jeszcze raz i serce podchodzi mi do gardła, kiedy drzwi obok się otwierają.

Justin sięga do klamki. Gdy tylko wchodzi, wszystkie głowy odwracają się w jego kierunku. Rozgląda się szybko, szukając Joyce, z bijącym sercem, ściśniętym gardłem i spocnymi, trzęsącymi się dłońmi.

- Witamy, sir - zbliża się maitre d'. - W czym mogę pomóc?

- Dobry wieczór. Zamówiłem stolik na dwie osoby, na nazwisko Hitchcock. - Rozgląda się nerwowo, wyjmując chusteczkę z kieszeni i ociera czoło. - Czy ona już tu jest?

- Nie, sir. Jest pan pierwszy. Zechce pan napić się drinka w barze czy też mam pana zaprowadzić do stolika?

- Tak, do stolika. - Jeżeli ona pojawi się tu i stwierdzi, że nie ma go przy stole, on nigdy sobie tego nie wybaczy.

Menedżer prowadzi go do dwuosobowego stołu na środku restauracji. Justin siada na krześle uprzejmie przytrzymanym przez menedżera. Natychmiast inni kelnerzy nalewają mu wody, kładą serwetkę na jego kolanach i przynoszą świeże bułeczki.

- Zechce pan spojrzeć na menu, sir, czy woli pan zacząć na swoją towarzyszkę?

- Zaczekam, dziękuję. - Justin spogląda na drzwi i korzysta z chwili samotności, żeby się nieco uspokoić.

*

Minęła ponad godzina. Na salę weszło tymczasem kilka osób, poprowadzono je na swoje miejsca, ale żadna z tych osób nie była Justinem. Miejsce obok mnie nadal jest puste i zimne. Kobieta siedząca obok niego spogląda na nie od czasu do czasu, a potem przenosi wzrok na mnie, obsesyjnie i z napięciem obserwującą drzwi. Uśmiecha się uprzejmie i ze współczuciem. Do oczu napływają mi łzy. Czuję się potwornie samotna w tym pomieszczeniu pełnym ludzi, dźwięków, muzyki. Jestem taka opuszczona. Rozpoczyna się przerwa, kurtyna opada, zapalają się światła. Wszyscy wstają i ruszają do baru, przed budynek na papierosa i żeby rozprostować nogi.

Siedzę i czekam.

Im bardziej czuję się samotna, tym większa nadzieja rośnie w moim sercu. Nadal jeszcze może się pojawić. Może poczuje, że to dla niego tak samo ważne, jak dla mnie. Obiad z kobietą, którą widział tylko raz w życiu, czy wieczór z osobą, której uratował życie, która zastosowała się dokładnie do jego życzeń, dziękując mu w taki sposób, w jaki chciał?

Może to nie wystarczyło.

- Czy zechce pan obejrzeć kartę dań, sir?
- Em. - Justin spogląda na zegarek. Joyce spóźnia się pół godziny. Smutnieje, ale nie traci nadziei. - Moja przyjaciółka się spóźnia - wyjaśnia.
- Oczywiście, sir.
- Może zobaczę, jakie macie wina.
- Oczywiście, sir.

Kochanek kobiety zostaje wydarty z jej ramion. Ona błaga, żeby go wypuścili. W jej śpiewie jest płacz, skowyt i lament. Kobieta obok mnie chlipie. Do oczu nabiegają mi łzy, kiedy przypominam sobie dumę taty, gdy zobaczył mnie w nowej sukience.

- Powodzenia - powiedział.

Niestety, nie powiodło mi się. Straciłam kolejnego mężczyznę. Zostałam wystawiona do wiatru przez faceta, który wolał zjeść ze mną obiad. Tak, wiem, to bezsensowne, ale dla mnie jest jasne jak słońce. Chciałam, żeby się tu pojawił. Chciałam poczuć między nami więź, którą zainicjował. Pragnęłam, żeby zbliżyło nas właśnie to, a nie przypadkowe spotkanie w sklepie kilka godzin wcześniej. To takie kapryśne z jego strony, wybrać mnie zamiast czegoś o wiele ważniejszego.

Może spoglądam na to od złej strony? Może powinnam się cieszyć, że wybrał obiad ze mną. Spoglądam na zegarek. Może siedzi tam teraz i czeka? Ale jeżeli wyjdę, a on pojawi się w operze i mnie tu nie zastanie? Nie, lepiej będzie, jeśli zostanę, żeby nie komplikować spraw jeszcze bardziej.

Zmagam się sama ze sobą, jak bohaterowie na scenie.

Jeżeli jednak jest teraz w restauracji, a ja tutaj, to siedzi tam już od ponad godziny. Chyba w końcu by się poddał, zrezygnował z nieudanej randki w restauracji i pobiegł trzysta metrów dalej na randkę z tajemniczą osobą? A może już tu był, zajrzał przez drzwi, zobaczył, że to ja i postanowił nie wchodzić. Jestem tak przytłoczona myślami, że przestaję zwracać uwagę na to, co się dzieje na scenie. Zaplątałam się w sidła własnych pytań.

Nim się zreflektowałam, opera dobiega końca. Fotele pustoszeją, kurtyna opada, światła gasną. Wychodzę w chłodną noc. Miasto pulsuje życiem, ludzie delektują się sobotnim wieczorem. Łzy na moich policzkach są zimne, kiedy dotyka ich nocna bryza.

Justin wlewa resztki wina z drugiej butelki do kieliszka i niechcący odstawia ją zbyt głośno na stół. Stracił już koordynację, ledwie jest w stanie odczytać godzinę na zegarku, ale wie, że jest już zbyt późno, żeby Joyce się pojawiła.

Został wystawiony do wiatru. Przez jedyną kobietę, którą jako tako się zainteresował od czasu rozwodu. Nie licząc biednej Sary. Ale jej nigdy nie brał pod uwagę.

Jestem okropnym człowiekiem.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, sir - mówi uprzejmie maitre d'. - Dzwonił pana brat Al.

Justin kiwa głową.

- Chciał, żeby przekazać panu wiadomość, że nadal żyje i ma nadzieję, że... em... dobrze się pan bawi.

- Żyje?

- Tak, sir. Powiedział, że pan zrozumie, ponieważ jest już dwunasta. Jego urodziny?

- Dwunasta?

- Tak sir. Bardzo mi przykro, ale musimy już zamknąć restaurację. Czy zechciałby pan zapłacić?

Justin spogląda na niego nieprzytomnie i usiłuje znowu skinąć głową, ale czuje, że głowa przechyliła się bezwładnie na bok.

- Zostałem wystawiony do wiatru.

- Bardzo mi przykro, sir.

- O nie, nie trzeba. Zasłużyłem sobie na to. Ja z kolei wystawiłem do wiatru osobę, której nawet nie znam.

- Och, rozumiem.

- A ten ktoś był dla mnie taki dobry. Bardzo, bardzo miły. Przesłał mi koszyk ze słodkimi bułeczkami, kawę, samochód z szoferem, aja? Zachowałem się tak okropnie w stosunku do niego lub do niej - przerywa nagle.

Może jeszcze jest otwarta!

- Proszę. - Wyciąga kartę kredytową w kierunku menedżera. - Może jeszcze nie jest za późno.

Spaceruję po cichych uliczkach, owijając się ciasniej swetrem. Powiedziałam taksówkarzowi, żeby wysadził mnie na rogu mojej ulicy, chcę przespacerować się nieco, odetchnąć świeżym powietrzem i oczyścić umysł, zanim wrócę do domu. Chcę się również pozbyć łez, aby nie zobaczył ich tata, który zapewne siedzi w fotelu, tak jak za czasów mojej młodości. Pragnie się dowiedzieć, jak mi poszło, chociaż gdy tyl-

ko usłyszy zgrzyt klucza w zamku, pewnie uda, że śpi. Jak zwykle.

Przechodzę obok mojego starego domu, który udało mi się sprzedać zaledwie kilka dni temu, chociaż nie Lindzie i Joemu. Dowiedzieli się, że to ja jestem właścicielką i przestraszyli się, że mój pech przeniesie się na ich nienarodzone dziecko albo że schody, z których spadłam, są zbyt niebezpieczne dla Lindy podczas ciąży. Nikt nie chce wziąć odpowiedzialności za swoje czyny. Nie zawiniły schody, tylko ja. To ja się spieszyłam. To moja wina. Bardzo proste. Będę musiała jeszcze trochę popracować nad wybaczeniem sobie samej, ale nigdy nie zapomnę.

Może zbyt się spieszyłam przez całe życie, rzucałam się z głową, bez przemyślenia. Biegłam przez dni, nie zauważając mijających minut. Nie oznacza to wcale, że kiedy zwalniałam i zaczynałam ustalać program działań, uzyskiwałam lepsze wyniki. Mama i tata zawsze wszystko planowali: wakacje, dziecko, oszczędności, wyjścia do miasta. Wszystko zgodnie z planem. Jej przedwczesne odejście było jedyną rzeczą, której nigdy nie umieścili w grafiku; anomalią, która wybiła wszystko ze zwykłego rytmu.

Conor i ja od razu skoczyliśmy na głęboką wodę i, niestety, utonęliśmy.

Pieniądze za dom podzielimy na pół między siebie. Muszę zacząć szukać czegoś mniejszego i tańszego. Nie mam pojęcia, co zrobi on. Dziwne.

Staję przed moim byłym domem i wpatruję się w czerwone cegły, w drzwi, o których kolor kłóciliśmy się z Conorem, w kwiaty, dokładnie przemyślane przed posadzeniem. Nie są już moje, ale wspomnienia tak; wspomnień nie można sprzedać. Budynek, który kiedyś był mieszkaniem moich pięknych snów o przyszłości, teraz stoi dla kogoś innego, tak jak przed nami istniał dla innych ludzi. Jestem gotowa się z nim pożegnać. Cieszę się, że wszystko to należy do przeszłości i teraz

mogę zacząć od nowa, chociaż z kilkoma bliznami po nigdy do końca niezagojonych ranach.

Wracam do domu taty dopiero o północy. Okna są ciemne, nie pali się nawet jedna lampka. To bardzo dziwne, bo zawsze zostawia światło na ganku, zwłaszcza jeżeli wychodzę wieczorem.

Otwieram torbę, żeby wyciągnąć klucze i moje palce znajdują komórkę. Podświetlony ekran wskazuje, że nie odebrałam dziesięciu telefonów, w tym ośmiu z domu. Musiałam wyłączyć dźwięk podczas seansu w operze, a wiedząc, że Justin nie ma mojego numeru telefonu, nie pomyślałam o ponownym włączeniu.

Szukam kluczy i trzęsącymi się dłońmi usiłuję włożyć jeden z nich do zamka. Cały pęczek upada na ziemię z głośnym brzękiem, który niesie się echem po cichej ulicy. Przykucam, macając po omacku. Wreszcie znajduję je i za chwilę wpadam do domu jak rakieta, włączając po drodze wszystkie światła.

- Tato? - wołam z przedpokoju.

Fotografia mamy leży na ziemi przy szafce. Podnoszę ją i stawiam na miejscu. Usiłuję zachować spokój, ale moje serce ma inne plany.

Cisza. Nikt nie odpowiada.

Idę do kuchni i zapalam światło. Na stole stoi pełny kubek herbaty i talerz z tostem posmarowanym powidłami, z którego odgryziono jeden kęs.

- Tato? - wołam głośniej, idąc do dużego pokoju i włączając światło.

Na podłodze leżą rozrzucone lekarstwa, wszystkie pojemniczki otwarte i opróżnione, mieszanina kolorowych pigułek.

Ogarnia mnie panika. Wpadam do kuchni, na korytarz i pokonując po kilka stopni, wbiegam na górę, włączając światła i krzycząc z całych sił.

- TATO! TATO! GDZIE JESTEŚ?! TATO, TO JA, JOYCE! TATO?!

Łzy jak groch toczą mi się po policzkach, prawie nie mogę mówić. Nie ma go w łazience, w sypialni, w moim pokoju, nigdzie. Zatrzymuję się na podeście schodów, wsłuchuję się, czy nie usłyszę jego głosu. Nic, tylko bębnienie pulsu w uszach i w gardle.

- TATO! - krzyczę, oddychając ciężko.

Gula w gardle grozi, że za chwilę się uduszę. Nie wiem już, gdzie szukać. Zaczynam otwierać szafy, zaglądam pod łóżko, chwytam poduszkę taty i przytykam do twarzy, wdychając jego zapach. Łzy mnie oślepiają. Wyglądam przez okno do ogrodu. Ani śladu.

Kolana mam zbyt miękkie, żeby stać, w głowie za bardzo mi się kręci, żeby myśleć. Opadam na najwyższy stopień schodów i usiłuję zgadnąć, gdzie mógłby być.

Potem przypominam sobie rozsypane tabletki i krzyczę głośniejsz niż kiedykolwiek w życiu:

- TAAAAAATOOOOOOOOOO!

Odpowiada mi cisza. Nigdy nie czułam się aż tak samotna. Bardziej niż w operze, bardziej niż w nieszczęśliwym małżeństwie, bardziej niż kiedy umarła mama. Całkowicie, kompletnie samotna. Ostatnia bliska mi osoba została mi odebrana.

- Joyce? - Słyszę głos dochodzący od drzwi wejściowych, które zostawiłam otwarte. - Joyce, to ja, Fran. - Stoi w szlafroku i kapciach, a obok jej syn z latarką w dłoni.

- Nie ma taty. - Głos mi się trzęsie.

- Jest w szpitalu. Usiłowałam do ciebie za...

- Co takiego? Dlaczego? - Wstaję i zbiegam ze schodów.

- Myślał, że dostał kolejnego zawału...

- Muszę jechać. Muszę do niego jechać. - Rozglądam się w poszukiwaniu kluczyków do samochodu. - Gdzie go zawieźli?

- Joyce, uspokój się, kochanie. Uspokój się. - Fran otacza mnie ramieniem. - Zawiozę cię.

Biegnę korytarzem, sprawdzam każde drzwi, usiłując znaleźć właściwy pokój. Jestem przerażona, łązy przesłaniają mi widok. Zatrzymuje mnie pielęgniarka, usiłuje uspokoić, pomóc. Od razu wie, o kim mówię. Wprawdzie nie powinnam o tej porze przychodzić w odwiedziny, ale widzi wyraźnie, że jestem bardzo zdenerwowana i chce mnie uspokoić, że ojcu nic nie jest. Pozwala mi do niego wejść na kilka minut.

Podążam za nią korytarzami, aż wreszcie wchodzimy do pokoju. Tata leży w łóżku podłączony do kroplówki, z rurką w nosie, blady i bardzo kruchy pod szpitalnymi prześcieradłami.

- Czy to ty się tak awanturowałaś? - pyta słabym głosem.

- Tato. - Usiłuję zachować spokój, ale nie bardzo mi się to udaje.

- Wszystko w porządku, kochanie. Po prostu się przestraszyłem, to wszystko. Myślałem, że to znowu moje serce, poszedłem po proszki, ale zakręciło mi się w głowie i wszystkie wysypały się na ziemię. Podobno to coś z cukrem.

- Cukrzyca, Henry - mówi z uśmiechem pielęgniarka. - Doktor wytłumaczy ci to jutro rano.

Pociągam nosem, usiłuję się uspokoić.

- No, chodź tu, ty głuptasie.

Tata wyciąga do mnie ramiona. Podbiegam do niego i przy-

tułam go mocno. Jego ciało wydaje się kruche, ale jednocześnie wzbudza we mnie poczucie bezpieczeństwa.

- Nigdzie się nie wybieram. No, uspokój się już. - Głaszcz mnie po włosach i klepie pokrzepiająco po plecach. - Mam nadzieję, że nie zmarnowałem ci wieczoru. Powiedziałem Fran, żeby ci nie przeszkadzała.

- Oczywiście, że powinieneś do mnie natychmiast zadzwonić - mówię schowana w zagłębieniu jego ramienia. - Tak się przestraszyłam, kiedy nie było cię w domu.

- Ale wszystko w porządku. Tylko musisz mi pomóc z tym całym cukrem - szepcze. - Powiedziałem lekarzowi, że rozumiem, ale to nieprawda - mówi lekko zmartwiony. - Jest strasznie przemądrzały. - Pociera nos.

- Oczywiście, że ci pomogę. - Wycieram oczy i usiłuję się opanować.

- Jak poszło? - Rozjaśnia się. - Opowiedz mi wszystko. Dobre wieści?

- Hem... - przygryzam wargę. - Nie pojawił się. - Znow zaczynam płakać.

Tata cichnie. Smutnieje, wpada w złość, a potem znów smutnieje. Przytula mnie znowu, tym razem mocniej.

- Ach, kochanie - mówi łagodnie. - Straszny z niego głupiec.

Justin kończy opowiadać historię katastrofalnego weekendu Bei, która siedzi na kanapie z otwartą buzią.

- Nie mogę w to uwierzyć. Tyle mnie ominęło! Koszmar.

- Nie ominęłoby cię, gdybyś ze mną rozmawiała - drażni się z nią Justin.

- Dziękuję za to, że przeprosiłeś Petera. Doceniam to. On też.

- Zachowywałem się jak idiota. Po prostu nie chciałem zaakceptować, że moja mała dziewczynka jest już dorosła.

- Lepiej, żebyś się z tym pogodził - uśmiecha się Bea. - Mój Boże! - Powraca do historii Justina. - Nadal nie mogę sobie wyobrazić, kto wysłał ci te wszystkie rzeczy. Kim jest ten człowiek? Biedaczek, musiał na ciebie czekać w operze.

Justin kryje twarz w dłoniach, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Proszę cię, przestań. Czuję się okropnie.

- Ale wybrałeś mimo wszystko Joyce.

Kiwa głową i uśmiecha się smutno.

- Musisz ją naprawdę lubić.

- A ona musi mnie naprawdę nie lubić, ponieważ się nie pojawia. Nie, Bea, skończyłem z tym. Najwyższa pora. Skrzywdziłem zbyt wiele osób, usiłując się dowiedzieć, komu oddałem krew. Jeżeli nie pamiętasz, z kim jeszcze o tym rozmawiałem, nigdy się nie dowiemy.

Bea myśli intensywnie.

- Powiedziałam tylko Peterowi, kierownicze projektu kostiumów i jej ojcu. Dlaczego uważasz, że to jedno z nich?

- Widziałem się tamtej nocy z projektantką kostiumów. Nie zachowywała się, jakby mnie znała. Poza tym jest Angielką. Po co miałyby jechać do Irlandii na transfuzję krwi? Zadzwońłem do niej i spytałem o jej ojca. Nawet nie próbuj - dodaje, widząc jej wyczekujące spojrzenie. - W każdym razie okazuje się, że jest Polakiem.

- Zaraz, chwileczkę, skąd ty to wszystko bierzesz? Ona nie była Angielką, tylko Irlandką. - Bea marszczy brwi. - Oboje byli.

Dum-dum. Dum-dum.

- Justin. - Do pokoju wchodzi Laurence z kubkami kawy dla niego i Bei. - Zastanawiałem się, czy masz chwilę czasu, żeby porozmawiać.

- Nie teraz, Laurence. - Justin przesuwa się na brzeg siedzenia. - Bea, gdzie masz program z baletu? Jest tam jej fotografia.

- Naprawdę, Justin. - W progu pojawia się Jennifer, z założonymi rękami. - Czy mógłbyś okazać odrobinę szacunku? Laurence ma coś do powiedzenia i powinieneś tego wysłuchać.

Bea przemierza pokój, przepychając się przez walczących dorosłych i po chwili wraca, wymachując programem. Ignoruje matkę i Laurence'a. Justin też.

Chwyta program i przerzuca szybko kartki.

- Tutaj! - Stuka palcem w zdjęcie.

- Słuchajcie. - Jennifer staje pomiędzy nimi. - Musimy wreszcie to załatwić.

- Nie teraz mam. Proszę! - wykrzykuje Bea. - To bardzo ważne!

- A to nie?

- To nie ona. - Bea potrząsa szaleńczo głową. - To nie jest kobieta, z którą rozmawiałam.

- Jak wyglądała? - Justin zrywa się na równe nogi. Dum-dum. Dum-dum.

- Niech pomyślę. Niech pomyślę - gorączkuje się Bea. - Wiem! Mamo?!

- Co? - Jennifer spogląda na Justina i Beę zdezorientowana.

- Gdzie są zdjęcia, które zrobiliśmy pierwszego wieczoru, wtedy, kiedy zastępowałam w balecie Charlotte?

- Och... em...

- Szybko!

- W szafce narożnej w kuchni - podpowiada Laurence, marszcząc brwi.

- Dzięki, Laurence! - Justin wyrzuca pięść w górę. - Są w szafce narożnej w kuchni! Szybko, przynieś je tu!

Zaniepokojony Laurence biegnie do kuchni, pozostawiając Jennifer, która patrzy na nich w osłupieniu. Dochodzi ich szelest papierów. Justin przemierza szybkim krokiem pokój w tę i w tę. Bea i Jennifer przyglądają mu się uważnie.

- Tutaj.

Laurence wyciąga przed siebie plik zdjęć. Bea wrywa mu je z ręki.

Jennifer usiłuje coś powiedzieć, ale Justin i Bea poruszają się i mówią zbyt szybko. Dziewczyna przegląda zdjęcia w przyspieszonym tempie.

- Nie było cię wtedy w barze, tato. Zniknąłeś gdzieś, ale zrobiliśmy sobie zdjęcie grupowe. Jest tutaj! - podbiega do taty. - To oni. Kobieta i jej ojciec. Tu, na końcu - wskazuje palcem.

Milczenie.

- Tato?

Milczenie.

- Tato, dobrze się czujesz?

- Justin? - Jennifer podchodzi bliżej. - Jest bardzo błądy. Laurence, szybko, przynieś mu szklankę wody.

Laurence posłusznie wybiega do kuchni.

- Tato. - Bea pstryka palcami tuż przed jego twarzą. -
Tato, jesteś tutaj?

- To ona - szepcze.

- Kto ona? - pyta Jennifer.

- Kobieta, której ocalił życie. - Bea podskakuje podeks-
cytowana.

- Ocaliłeś życie kobiecie? - pyta oszołomiona Jennifer. -
Ty?

- To Joyce - szepcze Justin.

Bea wzdycha zaskoczona.

- Kobieta, która do mnie dzwoniła?

Kiwa głową.

Bea znowu wzdycha.

- Kobieta, którą wystawiłeś do wiatru?

Justin zamyka oczy i przeklina się w myślach.

- Ocaliłeś życie kobiecie, a potem wystawiłeś ją do wia-
tru? - śmieje się Jennifer.

- Bea, gdzie jest twój telefon?

- Dlaczego pytasz?

- Dzwoniła do ciebie, prawda? Miałaś jej numer na wy-
świetlaczu.

- Och, tato, to było całe wieki temu. Telefon zapamiętuje
tylko dziesięć najnowszych numerów. Ona dzwoniła kilka ty-
godni temu.

- Cholera!

- Dałam ten numer Doris, pamiętasz? Zapisała ci go.
Dzwoniłeś do nich ze swojego mieszkania!

*Wyrzuciłeś tę kartkę do kontenera, ty idioto! Kontener!
Nadal tam jest!*

- Proszę. - Laurence, dysząc, wręcza mu szklankę wody.

- Laurence. - Justin wyciąga ku niemu dłoń, chwytając ją
za policzki, przyciąga do siebie i całuje w czoło. - Daję wam
moje błogosławieństwo. Jennifer. - Chwyta byłą żonę i całuje
ją w usta. - Powodzenia.

Wybiega z mieszkania przy akompaniamencie głośnej za-

chęty Bei. Jennifer wyciera z odraza usta, a Laurence wodę z ubrania.

Justin wybiega ze stacji metra i rusza w stronę domu. Deszcz leje z nieba niczym z wyciskanej szmaty. Nic go to nie obchodzi. Spogląda w górę i śmieje się z całego serca. Uwielbia to uczucie wilgoci na twarzy. Nie może uwierzyć, że Joyce jest kobietą, której uratował życie. Powinien się domyślić. Teraz już rozumie, skąd to jej pytanie, czy jest pewien, że chce zmienić plany i zjeść z nią obiad, obecność jej przyjaciółki na wykładzie, wszystko!

Skreca za róg, wbiega na podjazd i widzi kontener wypełniony po brzegi różnymi rzeczami. Wskakuje do środka i zaczyna się przez nie przebijać.

Za oknem, w mieszkaniu Doris i Al przerywają pakowanie walizek i patrzą na niego z niepokojem.

- Cholera, naprawdę myślałem, że już mu się poprawiło - mówi Al. - Powinniśmy zostać?

- Nie wiem - odpowiada zmartwiona Doris. - Co on, do diabła, robi? Jest dziesiąta wieczorem. Sąsiedzi za chwilę zadzwonią po policję.

Szary podkoszulek Justina jest przesiąknięty wodą, mokre włosy przylepiają się do czoła, woda kapie mu z nosa, spodnie oblepiają nogi. Al i Doris obserwują go, jak sapie i pokrzykuje, wyrzucając zawartość kontenera na zewnątrz.

Leżę w łóżku, wpatruję się w sufit i usiłuję przemyśleć swoje życie. Tata nadal jest w szpitalu, gdzie robią mu różne badania. Wróci jutro. W domu nie ma nikogo i ta samotność zmusza mnie do zastanowienia się nad moim życiem. Udało mi się przejść przez stadium rozpacz, winy, smutku, gniewu, samotności, depresji, cynizmu i odnaleźć wreszcie drogę do nadziei. Niczym narkoman na detoksie snułam się po domu ze wszystkimi tymi emocjami bużującymi pod skórą. Mówiłam do siebie głośno, krzyczałam, jęczałam, płakałam i odbywałam żałobę.

Wybiła jedenasta w nocy. Na zewnątrz jest ciemno, zimno i wietrznie. Zimowe miesiące dobijają się do drzwi. Dzwoni telefon. Sądząc, że to tata, biegnę na dół, chwytam telefon i siadam na najniższym schodku.

- Halo?

- Przez cały ten czas to byłeś ty.

Zastygam. Serce wali mi jak młotem. Odsuwam słuchawkę od ucha i oddycham głęboko.

- Justin?

- To byłeś ty, prawda?

Milczę.

- Widziałem zdjęcie z wieczoru po występie Bei. Ciebie i twojego ojca. Tej nocy Bea powiedziała ci o tym, że od dałem krew i że chcę podziękowań. - Kicha.

- Na zdrowie.
- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Za każdym razem kiedy się spotykaliśmy? Śledziłaś mnie czy... o co chodzi, Joyce?
- Jesteś na mnie zły?
- Nie! To znaczy, nie wiem. Nie rozumiem tego. Jestem zagubiony.

- Pozwól, że ci wyjaśnię. - Oddycham głęboko i usiłuję się uspokoić, przekrzyczeć głośne dudnienie w piersi. - Nie chodziłam za tobą do tych wszystkich miejsc, w których się spotkaliśmy, więc proszę, nie obawiaj się. Nie jestem prześladowcą. Coś się wydarzyło, Justin. Coś się stało, kiedy dostałam krew w szpitalu, bo kiedy twoja krew popłynęła w moich żyłach, nagle poczułam więź z tobą. Zaczęłam się pojawiać w miejscach, w których byłeś, jak choćby w salonie fryzjerskim i na balecie. To wszystko zbieg okoliczności - mówię zbyt szybko, ale nie mogę zwolnić. - A potem Bea powiedziała mi, że oddałeś krew w tym samym czasie, w którym miałam transfuzję i...

- Ico?

Nie jestem pewna, co ma na myśli.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteś pewna, czy to moja krew dostałaś? Ja nie mogłem się tego dowiedzieć. Nikt nie chciał mi powiedzieć. Czy ty się dowiedziałaś?

- Nie. Nikt mi nie powiedział. Nie musiał. Ja...

- Joyce - przerywa i od razu martwi mnie jego ton.

- Nie jestem dziwaczką, Justin. Zaufaj mi. Nigdy nie doświadczyłam tego, co czuję od kilku tygodni. - Opowiadam mu całą historię o tym, jak nabyłam jego umiejętności, wiedzę i gusta kulinarne.

Milczy.

- Powiedz coś, Justin.

- Nie wiem co. To brzmi... dziwnie.

- Bo jest dziwne, ale prawdziwe. Wiem, że to, co teraz powiem, zabrmi jeszcze gorzej, ale czuję, jakbym zyskała część twoich wspomnień.

- Doprawdy?

Jego głos jest chłodny, odległy. Tracę go.

- Wspomnienia parku w Chicago, Bei tańczącej w sukience baletnicy na czerwonym kocu w kratkę, koszyk piknikowy, butelka czerwonego wina. Dzwony katedry, budka z lodami, ty i Al na huśtawce, zraszacze...

- Hej, hej, powoli. Zaczekaj. Kim jesteś?

- Justin, to ja!

- Kto ci o tym wszystkim powiedział?

- Nikt! Po prostu to wiem! - Pocieram oczy zmęczonym gestem. - Dobrze wiem, że to wydaje się dziwne. Jestem normalnym, porządnym człowiekiem, ze zdrową dawką cynizmu, ale to moje życie. Wszystko to dzieje się naprawdę. Jeżeli mi nie wierzysz, bardzo mi przykro. Zaraz się rozłączę i nie będę ci już zwracać głowy, ale zrozum, to nie jest żart, wkręcanie cię, ani żaden spisek.

Milczy przez chwilę.

- Chcę ci wierzyć - mówi wreszcie.

- Czujesz jakąś więź między nami?

- Powiem ci, co czuję. - Zaczyna wyliczać wolno, jakby ważąc każdą literę słowa: - Wspomnienia, gusta, hobby i co tam jeszcze to jest coś, co mogłaś kiedyś usłyszeć ode mnie. Nie twierdzą, że robisz to specjalnie, może nie zdajesz sobie z tego sprawy. Czytałaś jednak moje książki. Wspomniałem tam o wielu osobistych sprawach. Widziałaś zdjęcie w medalionie Bei, byłaś na moich wykładach, czytałaś moje artykuły. Może ujawniłem w nich szczegóły ze swojego życia. Właściwie to na pewno to zrobiłem. Skąd mogę wiedzieć, że zyskałaś swoją wiedzę na skutek transfuzji? Skąd mogę wiedzieć, i nie obraż się za moje słowa, że nie jesteś wariatką która wmówiła sobie jakąś historię przeczytaną w książce albo obejrzaną w kinie? Skąd mam to wiedzieć?

Wzdycham. Nie widzę sposobu, żeby go przekonać.

- Justin, w tej chwili nie wierzę w nic, oprócz tej jednej rzeczy.

- Przykro mi, Joyce.

To początek końca naszej rozmowy.

- Nie, poczekaj - przerywam. - To wszystko?

Milczenie.

- Nie chcesz nawet spróbować mi uwierzyć?

Wzdycha ciężko.

- Myślałem, że jesteś inna, Joyce. Nie wiem dlaczego, bo nigdy cię nie poznałem, ale sądziłem, że jesteś inna. To... tego nie rozumiem. To... to jest nie w porządku, Joyce.

Każde jego zdanie jest ciosem w serce i w żołądek. Mogłabym znieść te słowa od kogokolwiek innego, ale nie od niego.

- Domyślam się, że wiele przeszłaś w życiu. Może powinnaś... porozmawiać z kimś o tym.

- Dlaczego mi nie wierzysz? Proszę, Justin. Musi być coś, co zdoła cię przekonać. Coś, co wiem, a czego nie napisałaś w żadnym artykule, książce ani nikomu o tym nie powiedziałaś na wykładzie... - Przerywam, bo coś przychodzi mi do głowy. Nie, nie mogę tego wykorzystać.

- Żegnaj, Joyce. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży w twoim życiu. Naprawdę.

- Poczekaj! Jest taka jedna rzecz. Tylko ty o niej wiesz.

Zamiera.

- Co to takiego?

Zaciskam powieki i nabieram powietrza w płuca. Zrobić to czy nie? Zrobić czy nie? Otwieram oczy i wypluwam z siebie:

- Twój ojciec.

Milczenie.

- Justin?

- Co z moim ojcem? - pyta zimno.

- Wiem, co widziałaś - mówię cicho. - Dlaczego nigdy nikomu o tym nie opowiedziałaś.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Wiem, że siedziałaś wtedy na schodach, patrzyłaś na ojca przez szczebelki w barierce. Ja też to widziałam. Wi-

działałam go z butelką i lekarstwami, zamykającego za sobą drzwi. Widziałam zielone stopy na podłodze...

- PRZESTAŃ!-wrzeszczy.

Milknę przerażona.

Muszę dalej próbować, inaczej nigdy więcej nie będę miała okazji tego wszystkiego powiedzieć.

- Wiem, jak ciężko ci było, jako dziecku, jak trudno było nosić tę tajemnicę, nie powiedzieć nikomu...

- Nic nie wiesz - przerywa mi zimno. - Absolutnie nic. Proszę, trzymaj się ode mnie z daleka. Nie chcę już nigdy mieć z tobą do czynienia.

- Dobrze - szepczę do siebie samej, ponieważ Justin już zdążył się rozłączyć.

Siedzę na schodach w ciemnym, pustym domu i słucham, jak październikowy wiatr uderza w ściany.

A więc to koniec.

MIESIĄC PÓŹNIEJ

- Następnym razem powinnaś wziąć samochód, Gracie - mówi tata, kiedy wracamy do domu z wycieczki do ogrodu botanicznego. Trzymam go pod ramię, unosząc się w górę i w dół, kiedy kołysz się na boki. W górę i w dół, w dół i w górę. Kojący ruch.

- Nie. Potrzebujesz ruchu, tato.

- Mów za siebie - mamrocze. - Jak tam życie, Sean? Okropny dzień, prawda? - woła do starszego pana drepcząc po drugiej stronie ulicy z balkonikiem.

- Fatalny - odkrzykuje Sean.

- Co sądzisz o mieszkaniu? - pytam po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku minut. - Nie możesz się tym razem wymigać od odpowiedzi.

- Nie wymiguję się, słońce. Jak się masz, Patsy? Jak się masz, Suki? - Zatrzymuje się i poklepuje jamnika. - Ale z ciebie ślicznota - mówi i ruszamy dalej. - Nienawidzę tego małego kundla. Szczeka przez całą noc, kiedy Patsy nie ma w domu - mamrocze, naciągając czapkę głębiej na oczy w ochronie przed wiatrem. - Chryste Przenajświętszy, ależ się trzeba namocować przy tym wietrze. Czuję się jak na bieżalni.

- Bieżni - śmieję się. - Dalej, tato, powiedz mi, podobało ci się mieszkanie czy nie?

- Nie wiem. Wydaje się strasznie małe, a poza tym, po sąsiedzku mieszka dziwny człowiek. Nie podobał mi się.

- Wydawał się bardzo przyjazny.
- Tobie może i tak. - Krzywi się i potrząsa głową. - W tej chwili każdy facet wydaje ci się w porządku.
- Tato! - śmieję się.
- Witaj, Graham. Okropny dziś dzień, prawda? - mówię do mijającego nas sąsiada.
- Fatalny dzień, Henry - odpowiada Graham, wsadzając rękę do kieszeni.
- W każdym razie nie sądzę, że powinnaś kupować to mieszkanie, Gracie. Zaczekaj jeszcze trochę, może pojawi się coś odpowiedniejszego. Nie ma sensu kupować pierwszego lepszego, jakie ci się trafiło.
- Tato, obejrzelismy już dziesięć mieszkań i żadne ci się nie podobało.
- Czy to ma być dla mnie, czy dla ciebie? - pyta.
- W górę i w dół. W dół i w górę.
- Dla mnie.
- W takim razie co cię obchodzi moje zdanie?
- Szanuję twoją opinię.
- Jas... witaj, Kathleen!
- Nie mogę mieszkać z tobą do końca życia, wiesz?
- Koniec życia przyszedł i odszedł, słońce. Nie mogę cię do niczego zmusić. Jesteś przodowniczką dorosłych dzieci mieszkających u rodziców.
- Mogę pójść dzisiaj z tobą na spotkanie Klubu Poniedziałkowego?
- Znowu?
- Muszę dokończyć partię szachów, którą zaczęłam z Lanym.
- Lany tylko stawia pionki, chce, żebyś się pochyliła, bo próbuje ci zajrzeć w dekolt. Ta gra nigdy się nie skończy. - Tata jest zde gustowany.
- Tato!
- Co? Musisz prowadzić jakieś normalne życie towarzyskie, a nie przesiadywać ze starymi prykami jak Lany czyja.

- Lubię z wami przesiadywać.

Tata uśmiecha się do siebie, najwyraźniej zadowolony z tego, co usłyszał.

Skręcamy na podjazd przy domu i kołysząc się, zbliżamy się do drzwi.

Widok tego, co stoi na progu, sprawia, że zatrzymuję się jak wryta.

Mały koszyk ze słodkimi bułeczkami w plastikowym opakowaniu przewiązany różową wstążką. Spoglądam na tatę, który przestępuje nad bułeczkami i otwiera drzwi. Jego zachowanie sprawia, że zaczynam wątpić w to, co widzę. Czyżbym je sobie wyobraziła?

- Tato! Co ty robisz? - Oszołomiona, rozglądam się dookoła. Nikogo nie widzę.

Tata mruga do mnie, na chwilę smutnieje, a potem uśmiecha się szeroko i zamyka mi drzwi przed nosem.

Sięgam po kopertę przyklejoną do plastiku i trzęsącymi się dłońmi wyciągam kartkę.

Dziękuję

- Przepraszam, Joyce - słyszę głos za moimi plecami.

Moje serce na chwilę się zatrzymuje. Odwracam się.

Stoi tam, w bramie ogrodowej, z bukietem kwiatów w odznaczonych w rękawiczki dłoniach, z bardzo przepraszającym wyrazem twarzy. Ma na sobie zimowy płaszcz i szalik, czubek nosa i policzki zaczerwienione od zimna. Jego zielone oczy błyszczą w szarym świetle dnia. Niesamowita wizja, zapiera mi oddech w piersiach. Jego bliskość staje się niemal nie do zniesienia.

- Justin... - Nie jestem w stanie wykrztusić z siebie więcej.

- Sądzisz - robi krok w moim kierunku - że mogłabyś wybaczyć takiemu głupcowi, jak ja? - Staje tuż za bramą.

Nie jestem pewna, co mam powiedzieć. Minął miesiąc. Dlaczego teraz?

- W naszej rozmowie przez telefon dotknęłaś czułego

miejsca - mówi, chrząkając głośno. - Nikt nie wie o moim tacie. Czy raczej, nikt nie wiedział. Nie mam pojęcia, skąd ty to wzięłaś.

- Powiedziałam ci już.

- Nie rozumiem tego.

- Ja też.

- Ale z drugiej strony, nie rozumiem większości dziwnych rzeczy, które zdarzają się codziennie. Nie rozumiem, co moja córka widzi w jej chłopaku. Nie rozumiem, jakim sposobem mój brat przeciwstawił się wszystkim prawom fizyki i nie zmienił się we frytkę. Nie wiem, jak Doris otwiera karton mleka takimi długimi paznokciami. Nie rozumiem, dlaczego nie zapukałem do twoich drzwi miesiąc temu i nie powiedziałem ci, co czuję... nie rozumiem tak wielu prostych rzeczy, że nie wiem, dlaczego z tą miałoby być inaczej.

Przyglądam się jego twarzy, kręconym włosom wystającym spod wełnianej czapki, jego niepewnemu, nerwowemu uśmiechowi. A on patrzy na mnie uważnie i zaczynam się trząść, choć wcale nie z zimna. Nie czuję zimna. Świat ocieplił się nagle wyłącznie na mój użytek. Jak to miło z jego strony. Dziękuję niebiosom.

Justin marszczy czoło, wpatrując się we mnie.

- O co chodzi? - pytam.

- O nic. Po prostu w tej chwili bardzo mi kogoś przypominasz. To nieważne. - Chrząka i uśmiecha się, usiłując wrócić do przerwanej rozmowy.

- Eloise Parker - zgaduję.

Justin poważnieje.

- Skąd ty to wiesz, u licha?

- Była twoją sąsiadką w której podkochiwałeś się przez całe wieki. Kiedy miałeś pięć lat, zdecydowałeś, że musisz coś z tym zrobić, więc zebrałeś kwiaty z ogrodu przed domem i zaniósł je. Otworzyła drzwi, zanim dotarłeś na jej podjazd, i wyszła ubrana w błękitny płaszcz i czarną apaszkę - mówię, owijając się szczelnie swoim błękitnym płaszczem.

- A co dalej? - pyta zaskoczony.
- Nic. - Wzruszam ramionami. - Rzuciłeś je na ziemię i uciekłeś. Stchórzyłeś.

Potrząsa głową lekko i uśmiecha się.

- Jakim cudem...?

Wzruszam ramionami.

- Co jeszcze wiesz o Eloise Parker?

Spogląda na mnie przymrużonymi oczami.

Uśmiecham się i spoglądam w bok.

- Straciłeś z nią dziewictwo w wieku szesnastu lat, w jej sypialni, kiedy jej rodzice wyjechali na wycieczkę statkiem.

Justin wywraca oczami i opuszcza bukiet tak, że kwiaty zwisają tuż nad ziemią.

- Widzisz, to właśnie jest niesprawiedliwe. Nie powinnaś wiedzieć o mnie takich rzeczy.

Śmieję się głośno.

- Zostałaś ochrzczona pod imieniem Joyce Bridget, ale wszystkim opowiadasz, że na drugie masz Angelinę - odgrywa się.

Otwieram usta ze zdziwienia.

- Kiedy byłaś mała, miałaś psa, Bunny. - Unosi zadziornie brew.

Przyglądam mu się podejrzliwie.

- Upiłeś się bimbrem, kiedy miałaś... - Zamyka oczy i zastanawia się chwilę. - Piętnaście lat. Z przyjaciółkami, Kate i Frankie.

Podchodzi bliżej, krok po kroku, i ten zapach, jego zapach, o którym tak marzyłam, spowija mnie coraz bardziej.

- Pierwszy raz pocałowałaś się z Jasonem Hardym w wieku dziesięciu lat. Wszyscy nazywali go Jasonem Twardym.

Śmieję się.

- Nie jesteś jedyną osobą którą dopuszczono do wiedzy o prywatnych sprawach. - Podchodzi jeszcze bliżej, tak blisko, że dalej już nie można.

Moje serce rozpoczyna maraton skoków na trampolinie.

Mam tylko nadzieję, że Justin nie słyszy jego radosnego łomotania.

- Kto ci to wszystko powiedział?

- Moje tutaj przybycie było operacją na szeroką skalę. - Uśmiecha się. - Na bardzo szeroką. Twoje przyjaciółki kazały mi przejść serię testów, na dowód, że jest mi wystarczająco przykro. Dopiero wtedy zdecydowały, że jestem wart, by stanąć przed twoim obliczem.

Śmieję się, nieco zaskoczona, że Kate i Frankie wreszcie doszły do porozumienia w jakiejś sprawie, a co najdziwniejsze, utrzymały tajemnicę.

Milczenie. Stoimy tak blisko siebie, że jeśli spojrzę na niego, dotknę nosem jego brody. Wpatruję się w ziemię.

- Nadal boisz się spać w ciemnościach - szepcze, biorąc mnie pod brodę i unosząc głowę tak, że mogę już patrzeć tylko na niego. - Chyba że ktoś z tobą jest - dodaje z lekkim uśmiechem.

- Oszukiwałaś podczas pierwszego testu w college'u - szepczę.

- Kiedyś nienawidziłem sztuki. - Całuje mnie w czoło.

- Kłamiesz, kiedy mówisz, że jesteś wielbicielem *Mona Lizy*. - Zamykam oczy.

- Miałaś niewidzialnego przyjaciela, Horatia, do czasu gdy skończyłaś pięć lat.

Całuje mnie w nos. Planuję kolejny komentarz, ale jego usta dotykają moich tak delikatnie, że słowa wreszcie poddają się i bledną, zanim zdołają dotrzeć do krtani. Wycofują się do banku pamięci, skąd przybyły.

Mgliście zdają sobie sprawę, że Fran wychodzi ze swojego domu i mówi coś do mnie. Obok przejeżdża samochód, trąbiąc. Wszystko jednak jest zamazane, dociera do mnie z oddali. Jestem zagubiona w chwili z Justinem, tworzę nowe wspomnienie dla niego. Dla mnie.

- Przebaczysz mi? - Odsuwa się.

- Nie mogę inaczej. Mam to we krwi. - Uśmiecham się.

Justin chichocze. Spoglądam na kwiaty w jego dłoni, zmiażdżone między naszymi ciałami. - Zamierzasz je rzucić na ziemię i uciec?

- Właściwie to nie są dla ciebie. - Policzki czerwienieją mu jeszcze bardziej. - W klinice krwiodawstwa jest ktoś, kogo naprawdę muszę przeprosić. Miałem nadzieję, że ze mną tam pójdziesz, pomożesz mi wyjaśnić przyczynę mojego dziwnego zachowania, a ona z kolei być może będzie w stanie wytłumaczyć nam kilka innych rzeczy.

Spoglądam w stronę domu i widzę tatę obserwującego nas zza firanki. Spoglądam na niego pytająco. Pokazuje mi kciuk uniesiony w górę. Do oczu napływają mi łzy.

- Tata też uczestniczył w spisku?

- Nazwał mnie nic niewartym głupim sukinsynem.

Justin się krzywi. Wybucham śmiechem.

Posyłam tacie pocałunek i powoli odchodzę. Czuję na sobie jego wzrok. Mama też mi się przygląda, kiedy wędruję ścieżką przez ogród, przecinając trawę, podążając linią pragnień, którą stworzyłam jako mała dziewczynka, w stronę brukowanej ścieżki, wiodącej na świat z domu, w którym wyrosłam.

Tym razem jednak nie jestem sama.